



# *Sarah Mlynowski*



## *koktajl mleczny*

*Powieść o drinkach, randkach i innych szaleństwach*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## *Drań*

Drań, drań, drań, drań. Aż trudno uwierzyć, że okazał się takim draniem.

Biję się z myślami, bo nie wiem, czy warto ryzykować awanturę z szefową, dzwoniąc przez międzymiastową na koszt firmy. Wendy jest w Nowym Jorku. Rozmowa z Natalie wystarczy, gdy pojawiają się mniejsze problemy, na przykład trudności w pracy, wolny wieczór, nuda, ale żalosne upokorzenie, któremu na imię mężczyzna, wymaga niezwłocznego omówienia z Wendy.

Minimalizuję e-maila, bo moja szefowa, czyli pani dyrektor, może tu wejść w każdej chwili. Zamiast bzdurnego listu z Tajlandii Shauna zobaczy tekst „Zakochanego kowboja”, który powinnam teraz redagować. Wystukuję nowojorski numer.

– Słucham, tu Wendy – słyszę rzeczowy głos specjalistki od lokat bankowych, która nie traci czasu na głupstwa.

– To ja – odpowiadam.

Nienawidzę go. Daję słowo, że go nienawidzę.

– Chyba jestem telepatką. Miałam nie odbierać, ale coś mnie tknęło, że to będziesz ty.

Szkoda czasu na pogaduszki.

– A nie miałaś przeczucia, że ten drań pozna w Tajlandii jakąś zdzirę i poinformuje mnie o tym w liście? – Nigdy się do niego nie odezwę. Jeśli będzie przysyłać e-maile, zniszczę je. Kiedy zadzwoni, przerwę połączenie. Kiedy zrozumie, że nie potrafi beze mnie żyć, złapie pierwszy samolot do Bostonu i natychmiast przyjedzie do mego domu z diamentowym pierścieniem o wartości równej jego półrocznej pensji, której zresztą nie dostaje, zatrzasnę mu

drzwi przed nosem. Dobra, taka głupia to ja już nie jestem... Chyba wyjdę za niego.

– Kurde – powiedziała Wendy. – Ma kogoś?

– Nie wiem. Poznał ją, gdy szukał własnej tożsamości. Przez trzy tygodnie nie dawał znaku życia, a teraz przesyła pozdrowienia i dodaje, że ma się dobrze i jest zakochany.

– Padło zakazane słowo?

Jeremy nie był w stanie napisać rzeczownika na literę M ani wypowiedzieć na głos odpowiedniego czasownika. Moim zdaniem, jego usta mają wadę genetyczną i dlatego są niezdolne do wymówienia kombinacji głosek KOCHAM.

Naprawdę go nienawidzę.

– Ależ skąd. Odezwał się, bo chciał mnie zawiadomić, że kogoś ma.

– Przecież mu pozwoliłaś umawiać się z innymi, nie?

– Zgadza się, ale sądziłam, że tego nie robi.

Tak się fatalnie składa, że nieustannie wyobrażam go sobie w akcji. Śni mi się podczas orgii z nagimi, wesolutkim Tajkami. Zamiast redagować „Zakochanego kowboja” stale mam go przed oczyma: jest na haju i uprawia szalony seks z wysoką Holenderką, piękną jak bogini i podobną do Claudii Schiffer, która podróżuje stopem w szpilekach oraz skąpych szortach. Dochodzę do wniosku, że to samoudręczenie jest symptomem ostrej paranoi, bo nieustannie zadaję sobie pytanie, czemu wyjechał sam, skoro mnie kocha. Po miesiącu powinien wrócić do domu i oznajmić, że poszukując własnej tożsamości, zrozumiał, jak bardzo mnie kocha, więc pragnie spędzić ze mną resztę swego dorosłego życia. Miał też zasypywać pocałunkami moje obnażone ciało i powtarzać raz po raz magiczne słowo KOCHAM.

Oczywiście został tam i wszystko zepsuł.

– Jackie, od dwóch miesięcy Jer włóczy się stopem po Azji. Moim zdaniem, przespał się już z setkami Tajek. Przeczytaj mi tego e-maila.

Czy komputer się zawiesi, jeżeli na niego zwymiotuję?

– W pracy nie mogę czytać na głos. Prześlę ci jego list. Poczekaj moment... dostałaś? – Na moim ekranie pojawia się tekst „Zakochanego kowboja”.

– Chwileczkę, dzwoni drugi telefon. Poczekaj przy aparacie. – Przełącza rozmowę i w moje uszy sączy się uproszczona wersja chicagowskiego hitu „You're the Inspiration”.

O Boże!

Zaraz się rozbeczę, bo obraz na monitorze jest niewyraźny, jakby ktoś przejechał po ekranie pomarańczową gumką tandetnego ołówka. Trzeba myśleć pozytywnie, wspominać przyjemne sytuacje: tańcząca Julie Andrews, czekoladowe jaja wielkanocne firmy Cadbury, moja przyrodnia siostra, szesnastoletnia Iris, powtarzająca, że jestem najwspanialsza na świecie: „Jackie, wyglądasz jak Sarah Jessica Parker, ale jesteś od niej ładniejsza”.

To są dobre myśli. Ekran traci pomarańczowe zabarwienie i odzyskuje normalny kolor. Więcej pozytywnych wspomnień... Kciuk Jeremy'ego kreślący małe kółka po wewnętrznej stronie mego ramienia.

Kurczę blade, cholera jasna.

Następne podejście. Szóstka za esej o Edgarze Alanie Poe u profesora McKleena. Pozbyłam się wtedy wszelkich zahamowań, a kąciki ust same się unosiły, więc suszyłam zęby, uśmiechając się do lustra. Dobra, już się pozbierałam. Przedstawienie odwołane, drodzy państwo.

O cholera! Widzę, że Helen, redaktorka serii zajmująca sąsiednie pomieszczenie, zerka ciekawie przez szklaną ścianę. Zawsze wpada nie w porę. Czuję się wtedy tak, jakbym dostała okres przed balem maturalnym lub w

dniu świętego Walentego albo w dniu imprezy przy basenie. Ilekroć buszuję po Internecie, sprawdzając program kin, czy spóźniona zakradam się cichaczem, spotykam Helen. Ta kobieta ma chyba nadprzyrodzone zdolności.

Gładko uczesane włosy jak zwykle upięła w ciasny kok. Ani jeden włos się z niego nie wymknie. Moim zdaniem, używa kleju, żeby się dobrze, trzymały.

Wygląda jak surowa nauczycielka z dziewiętnastowiecznej pensji dla panien.

– Tak? – rzucam z roztargnieniem, jakbym była okropnie zajęta.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, ale byłabym wdzięczna, gdybyś przestała tak hałasować – szepce, wymownym gestem kładąc palec na ustach. – Nie mogę się skoncentrować.

Omam jej nie powiedziałam, żeby pocałowała mnie w dupę. Kiedy przed dwoma miesiącami zaczęłam pracować w „Kupidynie”, obiecałam sobie, że nie dam się zawojować takim zarozumiałym i wszystkowiedzącym babiszonom. Gdy usłyszała, że kończyłam studia w Penn, odparła, że ktoś z jej znajomych przeniósł się tam, bo w Harvardzie nie dawał sobie rady. Ona, rzecz jasna, ukończyła Harvard.

Kiedys postanowiłam dać jej szansę, więc zajrzałam do sąsiedniego pokoju i zaszcebiotałam:

– Wiesz, Helen? Shauna chce pogadać...

– Jacquelyn, moim zdaniem... wzywa nas do siebie na rozmowę – odparła, nie podnosząc głowy.

Nie wiedzieć czemu większość redaktorów uważa Helen za dar niebios dla „Kupidyna”.

– Och, to nasz ekspert od interpunkcji – mówią zgodnie. Albo zagadują:  
– Helen, jak było w Harvardzie? Helen, streszcz nam swoją teorię rozkładu i subiektywizmu w „Ulissiesie” Joyce’a.

Dobra, trochę przesadzam, ale czy normalna kobieta w czasie przerwy obiadowej czyta „Raj utracony” albo „Metafizyczną historię krytyki literatury”?

Jestem pewna, że Helen z rozkoszą przedstawiłaby mi kilka hipotez dotyczących dekonstrukcji i subiektywizmu.

– Pierwszy rok studiowałam w Harvardzie, ale Jim, mój profesor, uczony światowej sławy, już wtedy nalegał, żebym ruszyła w objazd po uniwersytetach, prezentując moje niezwykle teorie...

Ble, ble, ble. Ja też mam wyższe wykształcenie i znam się na literaturze, ale jak mam się tym pochwalić, skoro ten babol nie dopuszcza nikogo do słowa? Poprawka: wykształcenie niepełne wyższe, bo zaliczyłam tylko jeden rok studiów magisterskich. Ciekawe, dlaczego absolwentka Harvardu pracuje w wydawnictwie „Kupidyn”? Powinna redagować dzieła Michaela Ondaatje i zastanawiać się nad sensem życia, a nie cyzelować styl opowiadania o szalonej miłości barczystego kowboja i jego wybranki, dwudziestopięcioletniej dziewczyny. Moim zdaniem, Helen skończyła studia z mierną oceną.

Dobra, nie powinnam się tak nią przejmować.

– Przepraszam – mówię z kamienną twarzą. – Rzecz w tym, że mam problem ze średnikami i jestem poważnie zaniepokojona.

– Ach tak. – Wodzi spojrzeniem od monitora do telefonu, bo podejrzewa, że ją nabieram. – Chętnie pomogę. Też byłam kiedyś zwykłą redaktorką, lecz szybko awansowałam na starszego redaktora. Mogę dziś po południu zorganizować spotkanie konsultacyjne i wyjaśnić zasady używania przecinka oraz średnika... o ile mówiłaś serio.

– Oczywiście! – Nie mogę się nadziwić, że tacy ludzie istnieją. Czy głupek zdaje sobie sprawę, że jest głupkiem? Może Helen budzi się rano, spogląda w lustro i myśli: O rany, ale jestem beznadziejna! Chyba nie. Czy to oznacza, że ja sama mogę być koszmarną żoną, nie mając o tym pojęcia? Czy idioci uważają się za mędrców? Czy brzydule patrzą na swoje odbicie i widzą Cindy Crawford? Może nie jestem taka śliczna i mądra, jak mi się wydaje? Czy dlatego Jeremy mnie nie chce? Może widzi ohydny, tępy wariatkę?

Helen stuka ołówkiem w oddzielającą nas szybę, co oznacza, że nabrała do mnie zaufania.

– Dobrze. Inni koledzy też mają wątpliwości, więc ustalę termin zebrania.

– Policzki jej poczerwieniały z przejęcia. Dla Helen interpunkcja jest niczym gra wstępna. – Za kwadrans trzecia? Termin ci odpowiada?

– Cudownie. – Jasne, do takiej rozmowy tęskniłam lata.

– Zgoda. Wyślę e-maila do wszystkich moich redaktorów.

Nareszcie wróciła do swego pokoju. Jakby nie mogła przejść na drugą stronę korytarza i zajrzeć do Julie. Książki z serii „Prawdziwa miłość” opracowują tylko dwie redaktorki: Julie i ja. Poza tym nie podoba mi się zaimek dzierżawczy „moich”. Nie jest naszą właścicielką. Wydawnictwem kieruje Shauna, i to ona nas ocenia. Seria Helen jest jedną z wielu, nad którymi pracujemy.

– Przepraszam. – Ze słuchawki dobiega znowu głos Wendy. – Poczekaj, właśnie czytam. Ble, ble, ble... „Dziś znowu wzięłem E...” Po co tracisz czas, zadając się z narkomanem? „Powiesiłem na balkonie zieloną koszulkę z napisem ZAŁOGA–J i ktoś ją ukradł”. Boże, co za palant! „Widuję się z cudowną dziewczyną, od miesiąca podróżujemy razem”. Tu cię boli?

– Nie tylko. Opuściłaś poprzednie zdania: „Moim zdaniem, powinnaś wiedzieć...”



– „Moim zdaniem, powinnaś wiedzieć...” No, źle z tobą, Jer. To ma być dowcip? Facetowi odbiło i teraz się zgrywa?

– Niestety. – Chwileczkę! A jeśli to naprawdę żart? Albo nowy wirus komputerowy odpowiednio zmutowany i wpisany w moje najgorsze przeczucia?

– Facet rwie panienki, a ty siedzisz na tyłku przez cały weekend. Przecież od jego wyjazdu z nikim się nie spotykasz!

Czasami dochodzę do wniosku, że Wendy nie potrafi okazać współczucia.

– Widuję się ze znajomymi, ale nie chodzę z nimi na randki – bronię swoich racji.

– Jesteś żałosna.

No pewnie! Nie umówiłam się z chłopakiem podobnym do Jasona Priestly, którego przedstawiła mi Natalie, z obawy, że Jer dowie się o randce i zniechęcony do mnie pokocha inną. A jeśli zadzwoni pod moją nieobecność? Pod żadnym pozorem nie mogę zaprosić faceta do siebie, bo mój pokój to istne muzeum fotograficzne: Jer i ja w parku, Jer i ja na bankiecie, Jer odbiera dyplom; wszędzie tylko on, on i on. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie zabrał naszego zdjęcia, które mógłby postawić obok śpiwora. Chyba kupię zabawną ramkę do wspólnej fotografii.

Żałosne.

Aha, chwileczkę...

– Może użył czasownika „widywać” w dosłownym znaczeniu?

– Nie... – Wzdycham. Nawet siebie nie przekonałam.

– Masz rację. Zacznę chodzić na randki. Będę zmieniać facetów jak rękawiczki. Zaliczę wszystkich w Back Bay. – To bardzo droga i snobistyczna dzielnica Bostonu, w której teraz mieszkam.



Nadejdzie wiekopomna chwila. Poznam wielu mężczyzn inteligentnych, namiętnych, bajecznie bogatych, którzy obsypią mnie biżuterią, będą przysyłać kwiaty do wydawnictwa i szeptać mi do ucha, że jestem cudowna, dotykając tej części ciała, na której cały dzień siedzę przed głupim komputerem. Życie stanie się cudowne. Będę się budzić z uśmiechem przyklejonym do ust niczym kobiety w reklamówkach kawy.

– Słusznie. Dość jęków. – Przecież sama nie mogę łązić po knajpach, prawda? – Skąd wezmę znajomych, z którymi mogłabym się gdzieś wypuścić? – wzdycham rozpaczliwie.

Milczenie.

– Masz tam jakieś koleżanki?

– Żartujesz! – Wszystko na nic. Podłe to moje życie. Sama wyślę róże z anonimowym listem miłosnym i będę szeptać sobie do ucha słodkie słówka. – Mogę zadzwonić do Natalie.

– Na pewno znasz kogoś innego.

Wendy nie lubi Natalie. Mieszkałyśmy razem w akademiku w Penn. Natalie mówi, że Wendy to jajogłowa snobka. Wendy uważa Natalie za wyniosłą arystokratkę, nieodrodną córkę bostońskich braminów. Obie mają rację. Wendy rzeczywiście popisuje się inteligencją, a Natalie jest trochę zadufana w sobie. Nie miałam pojęcia, kim są bramini, póki Wendy mi nie wyjaśniła, że Natalie należy do najwyższej kasty bostońskiej socjety. Powiedziałam kiedyś Wendy, że w jej ustach to brzmi jak obelga.

– Fatalna sprawa. Nikt inny nie wchodzi w grę. – Jeśli nie liczyć popaprańców z wydawnictwa. Od przeprowadzki rozmawiałam tylko z moją pięćdziesięcioletnią manikiurzystką oraz szefem miejscowego komisariatu.

Rzadko wychodzę z domu, a w wolnych chwilach oglądam powtórki seriali albo czytam „Cosmopolitan”, „Glamour”, „City Girl” i „Mademoiselle”,

starając się stworzyć mentalne archiwum pod hasłem: kolorowe czasopisma o romansach i dobrej zabawie. Dzięki tym sugestiom wychwycę z czasem wszystkie moje błędy popełnione w związku z Jeremym, stanę się lepszym człowiekiem, odniosę sukces, będę seksowna i zadowolona z życia. Na stronie piątej mówią, żebym zaproponowała mu randkę, a na siedemdziesiątej drugiej radzą, abym czekała na telefon, z lektury strony pięćdziesiątej wynika, że on woli kobietę niezależną, ale na pięćdziesiątej szóstej ostrzegają, że odejdzie, gdy nie dam mu poznać, jak bardzo jest mi potrzebny... Czy szary cień do powiek uczyni mnie godną pożądaną? Czy skuteczniejszy jest brazylijski воск do miejsc szczególnie wrażliwych? O co chodzi z tym woskiem? Chyba się gubię.

– W takim razie dziś wieczorem idź do knajpy z Natalie i poszukaj nowych znajomych. Co z Samanthą? – pyta Wendy.

Sam to moja denerwująca współlokatorka. Ona i jej chłopak bez przerwy gruchają jak dwa gołąbki.

– Nie znoszę jej. Każe mi używać podczas zmywania trzech gąbek: niebieskiej do talerzy, zielonej do garów, różowej do zlewu.

– Dobry pomysł.

Owszem, dla osób pokroju Wendy, która drzwi publicznej toalety otwiera kopniakiem, żeby nie dotknąć brudnej klamki. Ja nie jestem taką dziwaczką. Ciekawe, dlaczego otacza mnie tylu świrusów? Z drugiej strony jednak lepsi tacy znajomi niż żadni.

– Za co lubisz Natalie? – pyta Wendy.

Natalie nie jest najbystrzejszą panną we wszechświecie, ale potrafi się dobrze bawić. Wyższe sfery mają pewne atuty. Natalie zna wszystkich i na pewno chętnie przedstawi mnie facetom z kręgu bostońskich braminów, o ile jej na to pozwolę. Kiedy zadzwoniłam, żeby jej powiedzieć o przeprowadzce,

w ciągu niespełna tygodnia spiknęła mnie z Sam i zaraz razem zamieszkałyśmy.

– Gdybyś się tu przeniosła, trzymałabym z tobą. Skoro cię nie ma, jestem skazana na towarzystwo Natalie.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Wendy naprawdę zachowuje się czasami jak snobka. Jest typową prymuską i nie toleruje głupoty. Znamy się od czasu, gdy w drugiej klasie nauczycielka matematyki, pani Martin, która wiecznie nosiła jeden szary golf i śmierdziała jak ser szwajcarski, posadziła nas w ostatniej ławce. Połączyło nas uwielbienie dla Michaela Jacksona i Cabbage Patch Kids. Od tamtej pory byłyśmy nierozłączne i wspólnie znosiłyśmy katusze gimnazjum, liceum i studiów. Razem cierpiałymy też przez Teda Adamsona, który został skreślony gdzieś między gimnazjum i liceum – konkretnie wówczas, gdy zerwał ze mną pod koniec piątej klasy i umówił się z Wendy, gdy obchodziła swoją bar micwę. Podczas wakacji wystawił ją do wiatru, a w ósmej klasie znów zaczął się do mnie przystawiać.

Nasza przyjaźń przetrwała tę próbę. Były też inne zawirowania. Pewnego dnia w szkolnej stołówce wyrzuciłam do kosza na śmieci jej aparat na zęby, ale do końca życia będę się upierać, że zawinęła go przecież w serwetkę i położyła na papierowej torebce po kanapkach, więc wyglądał jak zwykły śmieć.

Z kolei na trzecim roku studiów Wendy darowała mi, że omal nie zginęła z mojej ręki, bo Andrew MacKenzie, z którym była w tandemie podczas zajęć laboratoryjnych z rachunku różniczkowego (nie mam pojęcia, po co matematykom laboratorium), dowiedział się od niej, że, moim zdaniem, jego kumpel Jeremy wart jest grzechu. Jeremy wpadł nam w oko dokładnie trzy lata wcześniej, gdy chodził na wykłady z amerykańskiej prozy dwudziestego wieku, które odbywały się w sali sąsiadującej z laboratorium matematycznym

Wendy. Huck Finn płynął sobie w dal, a ja coraz bardziej traciłam głowę. Andrew, rzecz jasna, wspomniał o tym kumplowi. Co za wstyd!

Powinnam była dłużej gniewać się na Wendy.

– To wszystko twoja wina – burknęłam.

– Ja mam czuć się winna, że brak ci znajomych? Nie zapominaj, że studiowałam, kiedy mnie zaproponowano posadę w Bostonie. Czy teraz mam rzucić Wall Street?

Wendy dostała oferty ze wszystkich banków, do których wysłała podania. Chcieli ją zatrudnić nie tylko dlatego, że z wyróżnieniem ukończyła wydział finansów i zarządzania w Penn. Działała też jako wolontariuszka w instytucjach dobroczynnych, pisała do uczelnianej gazety, podczas wakacji prowadziła w Afryce kurs angielskiego i pracowała dorywczo w centrum komputerowym, wprowadzając zainteresowanych w tajniki programu Excel.

Większość studentów – i ja też – wybrała zajęcia fakultatywne pod hasłem „Olewamy względność czasu i przestrzeni” – jajcarskie ćwiczenia, gdzie pisało się pracę roczną z parametrów fizycznych podrywu, natomiast Wendy chodziła na poważne konwersatoria: rozkład narracji w prozie epoki postkolonialnej, rosyjski formalizm, nowa krytyka w literaturze angloamerykańskiej. Tak się złożyło, że wybrane przez nią zajęcia dla mnie były obowiązkowe, więc dużo czasu spędzałyśmy razem. Bez skrupułów opuszczałam ćwiczenia, bo Wendy przepisywała i drukowała notatki, robiła do nich indeksy oraz czterokolorowe wykresy.

– Przez ciebie zaczęłam kręcić z Jeremym. Ty nas poznałaś.

– Dość tych jęków. Czego się spodziewałaś, skoro wygadywał takie bzdety?

– Nie zamierzam o tym rozmawiać, jasne?

– W porządku. Zadzwoń do Natalie i powiedz jej, że chcesz poznać fajnych chłopaków. Natychmiast!

– Dobrze, zadzwonię. – Czy Wendy ma za mało podwładnych? Czemu mi rozkazuje?

– W porządku.

– Jasne.

– Trzymam kciuki. Cześć, kochanie moje, czekam na telefon – powiedziała i rzuciła słuchawkę.

Wystukałam numer Natalie. Jeśli nie liczyć czterech lat studiów, moja przyjaciółka z wyższych sfer przez całe życie mieszkała z rodzicami. Teraz zabija czas, robiąc zakupy, malując paznokcie i szukając męża. Jeśli nie ma nic lepszego do roboty, udziela się jako wolontariuszka.

Pierwszy sygnał, potem drugi... Włączyła identyfikację połączeń.

– Cześć! – woła piskliwym głosem, jakby przed chwilą sztachnęła się helem. – Co u ciebie?

– Zabawimy się dziś wieczorem. Będę podrywać wszystko, co się da. Dokąd idziemy?

– Wybacz, ale dziś nie ruszam się z domu. Okropnie utylam.

Natalie waży czterdzieści cztery i pół kilo. Nie jestem w stanie słuchać takich bzdur.

– Jak mam kogoś poznać, skoro nie wychodzę z domu?

– Czemu tak nagle zachciało ci się nowych znajomości? A Jer?

– Nie zamierzam o nim rozmawiać. Muszę poznać kilku facetów.

– Właściwie...

– Błagam!

– No dobrze. Wpadnę po ciebie o dziewiątej. Pójdziemy do „Orgazmu”.

Tak się nazywa modny klub, gdzie podają świetne koktajle. Od mojego domu dzielą go cztery przecznice. Bywają tam superfaceci.

– Świetnie – odpowiadam.

– Na wszelki wypadek zamroź wódeczkę. Nie wiem, czy zdołam się wcisnąć w moje ciuchy. W najgorszym razie coś od ciebie pożyczę.

Aha. Serdeczne dzięki!

– Jacquelyn... – Helen wygląda zza przegrody. Słodko uśmiecham się do niej, kończąc rozmowę z Natalie.

– Wybacz, Helen, ale interpunkcja mnie przerasta. Na pewno rozumiesz, w czym rzecz. Zobaczymy się wieczorem, Nat. – Z pochyłą głową odkładam słuchawkę.

Postanowiłam chodzić na randki. Żaden mi się nie oprze. Zapomnę o tamtym draniu. Będę siedzieć na tarasie w leciutkich sandałkach i kusej sukience na cienkich ramiączkach, sączyć koktajle i flirtować z moim chłopakiem. Lepsza jest liczba mnoga: z moimi chłopakami. Jeremy? Nie przypominam sobie.

Jeremy to drań. Widuje się z wysoką, długonogą blondynką w przykrótkiej bluzeczce odsłaniającej pępek ozdobiony kolczykiem. Pewnie jest śliczna i błyskotliwa, a on kupuje jej róże i zostawia w schronisku miłosne liściki na różowych karteczkach w kształcie serca.

Jackie? Nie przypominam sobie. Ach tak, chodziłem z nią podczas studiów, nim pokochałem jak wariat moją długonogą blond boginię z kolczykiem w pępku.

Na pewno jest Holenderką. One wszystkie są prześliczne. To dla niego bez znaczenia, że od trzeciego roku studiów jesteśmy razem, choć z przerwami. Szesnaście minut temu był najważniejszy na świecie. Tak bardzo

pragnęłam, żeby mnie ze sobą zabrał na tę wyprawę, lecz najwyraźniej mężczyzna szukający własnej tożsamości obywatela się bez swojej dziewczyny.

Muszę znaleźć nowego chłopaka. W Bostonie z pewnością jest facet, który od razu się zorientuje, że jestem cudowna. Przecież wolnych mężczyzn są u nas tysiące. Będzie ich przynajmniej... Szczerze mówiąc, nie mam nawet pojęcia, ilu mieszkańców liczy Boston.

Na szczęście wszystko można znaleźć w Internecie. Tak, doskonale! Ilu wolnych mężczyzn mieszka w Bostonie? Poprawka: ilu wolnych mężczyzn, liczących od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, mieszka w Bostonie? Szukaj: faceci – stan wolny.

Po trzech kwadransach przeszukiwania rozmaitych stron takich jak: „Idealna miłość”, „Jak poderwać seksownego singla”, „Męskie pragnienia”, weszłam na stronę Urzędu Statystycznego USA. Piętnaście minut później znalazłam dane Bostonu. Średni czynsz: 581. Pięćset osiemdziesiąt jeden dolarów? Czyżby chodziło o angielskie funty? Może komuś wystarcza pomieszczenie wielkości łazienki?

Ludność Bostonu to niespełna trzy miliony: 1324 994 mężczyzn i 1450 376 kobiet. Fatalna proporcja.

A teraz przedziały wieku... osiemnaście do dwudziestu. Małolaty. Dwadzieścia jeden do dwudziestu czterech. Też za młodzi. Dwadzieścia cztery do czterdziestu czterech. Czterdzieści cztery? Ale widełki! Mój ojciec ma tyle. Chyba przesadziłam. Tacie stuknęła pięćdziesiątka... może trochę więcej. Nie pamiętam. Z drugiej strony taki czterdziestolatek jest pewnie ustawiony życiowo. W Bostonie mieszka 210 732 osób w wieku od dwudziestu czterech do czterdziestu czterech lat, z czego mężczyzn będzie około 100000. Szkoda, że Wendy nie może mi zrobić wykresu.



Sto tysięcy. Mnie wystarczy jeden. Niech będzie przystojny, inteligentny, z bujną czupryną (żadnych pożyczek dla zamaskowania łysiny), z dobrym zawodem i pięknymi perspektywami na przyszłość (mile widziane ładne i zrywane auto); żadnych golfów (normalny facet tak się nie ubiera), ani śladu trądziku. Powinien ładnie pachnieć (najlepiej piżmem), szanować matkę (maminsynek nie wchodzi w grę), okazywać wrażliwość... albo lepiej stanowczość... nie, wrażliwość, zdecydowanie wrażliwość... lecz bez przesady. Czy mógłby się rozplakać w mojej obecności? Owszem... byle rzadko, jedynie w wyjątkowych sytuacjach.

Masz wiadomość. Chcesz ją teraz przeczytać?

A jeśli Jeremy zrozumiał, że kocha mnie nad życie, nie może beze mnie żyć, a namiętna holenderska lalunia już mu się znudziła?

*Uwaga: redaktorki serii wydawniczej „Prawdziwa miłość”. Już za pięć minut w sali konferencyjnej rozpoczyna się pilne spotkanie konsultacyjne. Omówimy zasady używania średnika. Proszę o punktualność. Helen.*

Cholera jasna! Sama jestem sobie winna, że przez godzinę będę musiała słuchać, jak przynudza. Wyobraźmy sobie, że znaki przestankowe układają się w cienką garotę, którą duszę Helen, a ładnie splecione, tłuściutkie literki tworzą sznur zaciągnięty na szyi Jeremy'ego.

Drań, drań, drań, drań.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Żadna ze mnie laska, ale czasem miło zrobić się na bóstwo.*

– Cześć! Sam, jesteś?

Cisza. Hura! Nie ma dla mnie nic przyjemniejszego niż powrót do pustego mieszkania. Dawniej było inaczej. Gdy w Penn mieszkałam z Wendy, uwielbiałam wchodzić do salonu, gdzie moja najlepsza przyjaciółka, rozwalona na kanapie, oglądała telewizję z nogami wspartymi na poduszkach w czerwone i różowe kwiaty, podarowanych nam przez jej babcię.

– Hura! Wróciłaś! – krzyczała Wendy. Parzyłyśmy razem francuską kawę z wanilią (dwie

tabletki słodziku dla mnie, łyżka cukru dla niej) i omawiałyśmy miniony dzień z bolesną dokładnością.

– Wstąpiłam do kafeterii, a tam siedzieli Crystal Warner i Mike Davis.

– Nadal są razem?

– Tak, choć on ją zdradził. Masz pojęcie?

Moim zdaniem, Wendy postąpiła samolubnie, przenosząc się do Nowego Jorku i zostawiając mnie samą.

Miga czerwona lampka aparatu telefonicznego, co oznacza, że jest wiadomość.

– Masz trzy nowe wiadomości – mówi automatyczna sekretarka.

Wątpliwe, aby któraś pochodziła od Jeremy'ego. Słaba nadzieja, że zmienił zdanie; gdy przycisnę guzik, nie usłyszę głosu jak z nowojorskiego talk–radia i nie dowiem się, że ten drań bardzo za mną tęskni. Skontaktuje się ze mną w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Głupio jest urządzony ten świat. Widzę oczyma wyobraźni, jak machinalnie naciskam guzik. Rzecz jasna, wiadome imię nawet mi przez myśl nie przemknie, aż tu słyszę, że on

tęskni. Czuję się tak, jakby mi kto wylał na głowę kubel lodowatej wody. Dobrze znam to uczucie, ponieważ Sam rano stoi czterdzieści pięć minut pod prysznicem, więc zużywa gorącą do ostatniej kropli.

No proszę! Jest wiadomość. La-la-la. Ciekawe, od kogo. Odsłucham jak zwykle, ale guzik mnie obchodzi, kto dzwonił.

– Cześć, Sam, mówi mama. Odezwij się!

– Jackie! Jackie, gdzie się włóczysz? Dzwoniłam do pracy, ale nie odebrałaś. Teraz wychodzę, ale musimy pogadać. Przeżywam kryzys emocjonalny. Matthew powiedział Mandy, że mnie lubi, a ja za nim nie przepadam. Co mam teraz zrobić? Zadzwoń, jak wrócisz do domu. Aha, przecież wychodzę. No to zostaw wiadomość. – Sygnał. Iris przeżywa permanentny kryzys emocjonalny. Kim jest Matthew?

– Cześć, Jackie. Tu Janie. Dzwonię, żeby powiedzieć cześć. Odezwij się, jeśli znajdziesz chwilę. – Sygnał.

Cholera.

Janie to moja matka. Gdy miałam cztery lata, kazała mi mówić do siebie po imieniu. Ten nakaz miał ideologiczne uzasadnienie: słowo „matka” jest świadectwem burżuazyjnej zмовy, która ma na celu zachowanie wpływów i przywilejów warstwy rządzącej, w tym wypadku rodziców. Nim skończyłam pięć lat, ojciec awansował z kierownika działu bielizny damskiej na dyrektora wytwórni markowej konfekcji dla pań, a matka odrzuciła marksistowskie ideały i odkryła w sobie zadatki na prawdziwą materialistkę. Nie potrafiłam się przestawić i znów nazywać ją mamą. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Nie zrozumcie mnie źle: bardzo kocham Janie, lecz, moim zdaniem, jest lekko stuknięta.

Nazywam się Jacquelyn Norris. Fern Jacquelyn Norris. Nie używam pierwszego imienia, bo jest ohydne. Nie rozumiem, jak rodzice mogli mi to

zrobić. Podejrzewam, że Janie nazwała mnie tak na cześć jakiegoś halucynogenu z lat siedemdziesiątych, przenoszącego w odmienny stan świadomości. Zdołałam ją przekonać, żeby używała mego drugiego imienia, ale ojciec jest chyba niewyuczalny.

Dawno temu mieszkałam z rodzicami w domu przy Lazar Street w Danbury, w stanie Connecticut. Moją najlepszą przyjaciółką została dziewczynka z kucykami imieniem Wendy. Byłyśmy równego wzrostu. Teraz jest znacznie wyższa, ale się przyjaźnimy jak dawniej. Kucyki zniknęły (przelotnie wróciły jednak w latach dziewięćdziesiątych, bo taka była moda).

Ojciec ma na imię Tim, ale mogłam go nazywać tatusiem. Już wspomniałam, że zajmuje się damską konfekcją, natomiast Janie robi bransoletki. Wykonała ich tysiące, jedne inkrustowane kryształem górskim, inne ozdobione srebrnymi księżycami i gwiazdkami. Sprzedała ich trochę w miejscowych butikach, ale większość pakuje do pudełek po butach, które układa warstwami jak cegły obok regału na książki. Ma szczęście, że nadąża za modą i często kupuje buty.

Jako sześciolatka odkryłam, że moi rodzice, których uważałam za idealną parę, przestali się lubić. Dziś sprawa jest dla mnie jasna. Wszystko nabiera wyrazistości, gdy patrzy się z dystansu: odpowiedzi na pytania egzaminacyjne; zadurzony chłopak, który uchodził za takiego sobie, póki nie zaczął się umawiać z ogólnie lubianą cheerleaderką; martwe pole, które należało sprawdzić przed gwałtownym skrętem, żeby nie stracić bocznego lusterka.

Przed laty tamto nagłe ochłodzenie uczuć było dla mnie prawdziwą katastrofą. Tata przeniósł się do pensjonatu, a ja zamieszkałam z Janie w mieszkaniu na drugim krańcu miasta. Po kilku miesiącach tata ożenił się z Bev, zatrudnioną na pół etatu agentką biura podróży, i oboje znaleźli dom na Dufferin Street. Trochę później Janie wyszła za handlowca imieniem Barnie i

przeniosłyśmy się do jego mieszkania z dwiema sypialniami przy Carleton Avenue, niewiele większego niż nasze poprzednie lokum.

Miałam osiem lat, gdy Janie zaszła w ciążę i nasza rodzina licząca trzy i pół osoby zajęła lokal z trzema sypialniami na Finch Street. Skoro wspomniałam o Iris, dodam, że Janie kazała jej mówić do siebie „mamo”. Kiedy mała skończyła cztery lata, Janie uznała, że ma dość sąsiadów tupiących jej nad głową, odgłosów dobiegających z ruchliwej ulicy oraz policji interweniującej, gdy zbyt głośno nastawiała kompaktki Beatlesów (słowo daję, tak było), więc zamieszkaliśmy we własnym domu.

Przy Kelsey Avenue pozostaliśmy, dopóki Janie nie uznała, że marnieje w tej prowincjonalnej dziurze. Nastąpiła przeprowadzka do Bostonu, która mnie na szczęście ominęła, bo zaczęłam właśnie studia w Penn. Cała rodzina mieszkała przez cztery lata w Newton. Stamtąd przenieśli się do Wirginii, bo Janie uznała, że zasługuje na to, aby po spacerze trwającym niespełna kwadrans zanurzyć stopy w oceanie.

Dwadzieścia cztery lata żyję na tej planecie i do tej pory zajmowałam czternaście rozmaitych sypialni, wliczając pokój w akademiku, pierwsze i drugie mieszkanie wynajmowane w Penn na spółkę z Wendy, moje własne lokum w Penn po jej wyjeździe do Nowego Jorku, gdzie dostała pracę w sekcji lokat bankowych, a ja zostałam – oficjalnie, żeby zdobyć tytuł magistra, a tak naprawdę – dla Jeremy'ego. Uwzględniam również mieszkanie zajmowane przez rodziców przed moimi narodzinami.

Nie mam teraz ochoty dzwonić do Janie. Wolę leżeć na kanapie i oglądać odmóżdżające bzdury. Klik, klik, klik. Na wszystkich kanałach nudne dzienniki. Wolę podziwiać moje czarne skórzane botki do kolan. Wypatrzyłam je na Newbury Street, gdy wracałam z pracy do domu. Taki zakup to pierwszy krok do odzyskania duchowej równowagi.

Jest ich pięć. Spisałyśmy je z Wendy, gdy na studiach zerwała z... Jak mu było? Przewodniczący samorządu na ekonomii, który zdradzał ją z taką jedną, co nosiła zielone szelki. Wiem, Putzhead!

Znalazłam nasze zapiski w szufladzie pełnej rupieci między dwoma odcinkami biletów na koncert „New Kids on the Block” i walentynkową kasetą, na której są przeboje typu „I Just Called to Say I Love You”, „Lost in Love” oraz „Glory of Love”. Zamierzałyśmy chyba wysłać tę listę do „Cosmopolitan” albo innego kolorowego czasopisma. Spisana została czerwonym atramentem, a pachnie zwietrzałymi marlboro, bo wtedy jeszcze paliłyśmy.

Jak dojść do siebie po zerwaniu:

1. Kup czarne botki do kolan.
2. Zmień uczesanie. Idź do salonu, gdzie podadzą ci kawę, a przystojni fryzjerzy będą twierdzili, że masz wyjątkowo piękne włosy.
3. Zadzwoń do przyjaciółki i przyznaj, że okropnie tęsknisz za swoim byłym. Niech ci przypomni, ile razy zostałam przez niego wystawiona do wiatru; niech śmiało powie, że, jej zdaniem, to kurdupel i cham, więc chyba zasługujesz na kogoś lepszego, a twój były jest przeciętny, brzydko pachnie i tak dalej. Na wszelki wypadek nie dzwoń do najlepszej przyjaciółki, bo jak się z nim pogodzisz, mogą być kłopoty.
4. Dzwoń do znajomych facetów, aby sobie przypomnieć, że jesteś warta grzechu, ale nie posuwaj się za daleko. Będą ci potrzebni kilka miesięcy po zerwaniu.
5. Kup dużą tabliczkę czekolady albo kosztowną bombonierkę z pralinkami wypełnionymi kolorowym nadzieniem. Może być jedno i drugie. Zjedz wszystko, jak leci.

Niesamowite! Minęło pięć lat, a tamte wskazówki pozostały aktualne:

1. Botki: kupione.

2. Fryzura: przed podjęciem decyzji muszę zbadać sytuację. Byłoby fatalnie, gdyby drugi krok skończył się wielkim płaczem. Musiałabym chodzić w baseballówce z napisem Red Sox, którą kupił mi Jeremy, żebym wyglądała na rodowitą Amerykankę.

3. Telefon do przyjaciółki: wykonany... połowicznie. No tak, zważywszy na to, że Jeremy i ja zrywaliśmy pięciokrotnie, dobre znajome się wykruszyły, a nie zamierzam narażać na szwank nielicznych ocalałych przyjaciół.

4. Telefon do znajomego: i tu mamy kłopot, bo odkąd zaczęłam chodzić z Jeremym, trudno mi podtrzymywać dawne znajomości lub zawierać nowe.

4a. Poznać wielu chłopaków. 4b. Dzwonić do nich.

5. Czekolada: mam. W portfelu powinno być zawsze rezerwowe dwadzieścia dolców, a w lodówce zapas słodczy. Z tą dwudziestką jest u mnie krucho. Punkt piąty trochę przerobiłam: słodczyce zajadać, oglądając „Seks w wielkim mieście” lub „Ally McBeal”, co mi uświadomi, że wiele jest ładnych, samodzielnych i samotnych kobiet, które – w przeciwieństwie do mnie – są już po trzydziestce.

Kroki od jeden do pięć można powtarzać z dowolną częstotliwością, aż dziewczyna przeboleje rozstanie. Etap pierwszy i drugi w trakcie kolejnych powtórek ulega pewnym modyfikacjom. W grę wchodzi seksowne sandaalki, spodnie ze skóry, bluzeczka bez pleców, a także pasemka, trwała, asymetria... Wiadomo.

Dziś nie mam czasu na słodczyce. Biorę prysznic, dla odmiany gorący, i używam próbki cudnie pachnącego mydła, które trzymałam na powrót Jeremy'ego. Proszę bardzo, już się prawie otrząsnęłam. Starannie prostuję włosy, używając suszarki. Parzę sobie palce, ale to bez znaczenia, ponieważ wyglądam super. Wkładam czarną spódnicę do kolan ze śmiałym rozcięciem



sięgającym biodra, do tego prawie nie noszony obcisły top i moje nowe botki, które naprawdę są warte sto pięćdziesiąt dolarów, chociaż na dobrą sprawę nie stać mnie na taki wydatek.

Tak, niezła ze mnie laska.

Otwieram „Cosmopolitan” na stronie z opisem makijażu i maluję powieki przydymionym cieniem, starając się nie wydłubać sobie oka. Obrysowuję usta konturówką, żeby podkreślić ładny uśmiech. Będę się dużo śmiać, bo wtedy mam dołki na policzkach.

Jeszcze pasek... na szczęście.

Mam dość czekania, aż coś się wydarzy. Czas ucieka, trzeba używać życia... Wiadomo, o co chodzi. Jestem młoda, mam dwadzieścia cztery lata. Nie chcę siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak mi tyłek rośnie, podczas gdy Jeremy cieszy się swobodą i robi, co chce. Kobiety zawsze czekają, aż mężczyzna je wybierze, zaprosi na randkę, pocałuje.

Jak to było? W gimnazjum marzyłam, żeby się całować. Chyba wszyscy moi koledzy zasmakowali już we francuskich pocałunkach (wyobrażałam sobie wtedy, że Francuzki biegają po ulicach z wilgotnymi ustami i każdemu rzucają się na szyję). Nawet Wendy grała w butelkę na urodzinach kuzyna.

Ted chodził ze mną od dwóch dni. Siedzieliśmy przy stole ustawionym w ogrodzie przed szkołą tańca i gadaliśmy o głupstwach, że niby gorąco i tak dalej. Dłonie nam się pociły, serca kołatały i oboje mało nie zemdleliśmy, czekając na pierwszego całusa. W końcu jego twarz niemal spadła na moją i się pocałowaliśmy – niezdarnie, bo usta mieliśmy zaciśnięte, a wargi zetknęły się nagle jak ludzie uczepleni jednej poręczy i wpadający na siebie w zatłoczonym metrze. Po chwili nasz pocałunek nabrał wyrazu. Przypomniałam sobie wskazówki Wendy: otwórz usta i poruszaj wkoło językiem... jego przypominał gąbkę. Na podniebieniu wyczułam smak miętówki.

Czekanie zawsze jest trudne. Gdy dziewczyny mają za sobą pierwszy pocałunek, wypatrują pierwszej miłości, potem utraty dziewictwa. Skoro ten jedyny długo się nie zjawiał, można było stracić cnotę z Rickiem nudziarzem, który nosił (i pewnie wciąż nosi) farbowane ciuchy i wszystkich nazywał (i pewnie wciąż nazywa) cwaniakami. Kto chce, niech skróci oczekiwanie tak jak ja.

Wiecie, czego nie znoszę w telewizji i w kinie? Tam wszystko jest zbyt proste. Ludzie się całują albo idą do łóżka. Główny bohater rozpina dziewczynie spodnie, a ona mówi, że nie czuje się jeszcze gotowa, żeby z nim spać, a on na to, że nie szkodzi. Spodnie pozostają na tyłku i po sprawie. Brak mi stanów pośrednich, choć każdy wie, przez jakie etapy przechodzimy, zanim nam zaświta, w czym rzecz, mimo że i tak wiadomo, co jest grane.

Nie od razu przespałam się z Rickiem. Długo się czailiśmy, przechodząc wszystkie stany pośrednie, aż w końcu zmęczona tym krążeniem i ciągłymi podchodami postanowiłam to zrobić.

Nasz pierwszy raz zdarzył się w niedzielny wieczór na twardym łóżku w akademiku. Nastawiliśmy płytę „Skeletons From the Closet”, a gdy zabrzmiał drugi utwór, było już po sprawie. Czułam się jak skaleczona, gdy siedzieliśmy na jego pościeli, ćmiąc papierosy. Dłonie śmierdziały mi gumą. Pamiętam, że pomyślałam: To tak ma być?

Z Jeremym czułam się... inaczej. Wystarczyło, że pogłaskał mnie po plecach i nagle byłam w stanie myśleć tylko o jego palcach. Miał cudowne ręce: dwa razy większe od moich, zawsze suche, pachnące dymem z palonych liści. To miły zapach. Rzadko trzymamy się za ręce, ale zawsze dotyka mego ramienia, pleców albo kolana.

Dość tego. Zmieniam kanał w swojej głowie.

JulieAndrewsJulieAndrewsJulieAndrews. Wielkanocne zajaczkki z czekolady. Kto ma tyle wdzięku co ja, tyle wdzięku co ja, no kto ma...?

No, trochę przesadziłam z tym urokiem osobistym. Siedzę tu w pełnej gotowości, jak na kobietę fatalną przystało, i czekam, aż zjawi się Natalie. Zza frontowych drzwi słyszę chichotania Sam i Marka. Oni ciągle chichoczą i stale się obmacują, aż ludzi wokół nich ogarnia zakłopotanie. Kiedy podpisywałam umowę najmu, nie sądziłam, że będę miała dwoje współlokatorów.

Przesadzam. Szczerze mówiąc, rzadko widuję Marka, bo Sam ma w pokoju telewizor i osobną łazienkę. Przesiadują u niej i rzadko wyłażą. Ciągłe się bzykają albo oglądają seriale policyjne, nie wiedzieć czemu nadawane po sześć razy dziennie.

U Sam najbardziej denerwują mnie oskarżycielskie spojrzenia. W ten sposób próbuje mi dać do zrozumienia, że mam po sobie sprzątać, ponieważ mój bałagan okropnie ją denerwuje. Złości się na przykład, gdy zostawiam skarpetki na stoliku do kawy. Zwraca mi uwagę, że nie powinnam zostawiać w lodówce resztek: kartonów z odrobiną mleka, pudełek z okruchami pizzy, dzbanka po mrożonej herbacie, którego dno pokrywa stara, lepka maź. Raz wyrzuciła do kubła zapleśniałą połówkę mojej kanapki z serem i oznajmiła, że nie muszę dzielić się z nią jedzeniem. I to nie była sarkastyczna uwaga.

Sprawa wygląda tak: gdybym dojadła resztki, musiałabym posprzątać i wyrzucić opakowania do kubła –zwykle pełnego, a to oznacza, że trzeba włożyć nową torbę i wynieść śmieci. Za dużo z tym zachodu. Tak samo z filtrem do wody. Staram się nie opróżniać dzbanka, bo nie znoszę go napełniać. Chyba jeszcze do mnie nie dotarło, że koniec wieńczy dzieło i stanowi nagrodę.

Sam złości się, że wszystko zostawiam na jej głowie: płacenie czynszu i rachunków, podlewanie kwiatków, karmienie kota... Zakładam, że to należy do jej obowiązków, skoro mnie przypadają inne, no nie? Tylko nie pytajcie o konkrety. W tej chwili nie jestem w stanie się skupić (Jer, Jer, Jer). Na szczęście Sam robi wszystko, co trzeba. W przeciwnym razie zostałybyśmy wyrzucone na bruk, kwiatki by uschły, a kocina zdechła z głodu.

Z tym kotem to był żart. Na pewno pamiętałabym, żeby go nakarmić, ale przysięgam, że nie mamy kota.

Sam otwiera drzwi. Ona i jej najdroższy niosą torby z żarciem.

– Pokaż się! Ale laska! Co planujesz na wieczór?

– Czeka mnie „Orgazm”.

– Szczęściara! – Mark wybucha śmiechem.

Sam odstawia torbę z zakupami i obejmuje go w pasie.

– To nazwa baru, głuptasie.

– No pewnie. Żartuję, Mali Misiu.

Mark mówi do Sam: Mali Misiu. Nie mam pojęcia dlaczego. Co to właściwie znaczy?

– Wiem, Duzi Misiu.

Sam nazywa Marka Duzim Misiem. Ciekawe dlaczego. Wolę nie wiedzieć.

– Z kim się wypuszczasz? – pyta Sam.

– Idę z Nat. Zamierzamy się upić i podrywać facetów. Może się przyłączycie? – Mam nadzieję, że odmówią.

– Fajny pomysł – odpowiada Mark – ale wolimy pooglądać TV.

Dzięki Bogu!

– Znowu skrót myślowy, co? – Wtrąca rozchichotana Sam. – Jak CNN i KFC?

– Skrótowce są modne, wiesz, jak jest – odpowiada Mark. – Jeśli będziesz grzeczna, Mali Misiu, zafundujemy sobie potem lody z MD.

– Ale z niego głuptas! Czy to normalne? — pyta mnie Sam, pieszczotliwie klepiąc Duziego Misia po pośladku.

– Sama jesteś głuptasem – wtrąca jej najdroższy.

Po raz drugi mam dziś ochotę zwymiotować. Gdy znikają szczęśliwie za zamkniętymi drzwiami, w oczekiwaniu na Nat przygotuję dwie setki dla kurażu. Wyciągam butelkę wódki i kieliszki. Nat powinna tu być lada chwila, więc od razu je napełnię.

Ekstra! Nareszcie wychodzę! Nie byłam jeszcze w „Orgazmie”, ale Natalie wiele mi opowiadała o tym klubie.

– Tam po prostu trzeba bywać – tłumaczyła, gdy kłamałam, że jestem zawałona pracą, choć mam zasadę, żeby nie brać roboty do domu. Za mało dostaję na rękę, żeby się tak poświęcać. Jaka płaca, taka praca i już. –Spotkasz tam wszystkich, którzy coś znaczą – ciągnęła Nat. Byłam zdziwiona, że wciąż się używa tego zwrotu. Ja go znam jedynie z telewizyjnych filmów o nastolatkach robiących karierę.

Mniejsza z tym. Dziś się tam pokażę, o ile Natalie przyjedzie. Gdzie ona jest? Jeremy, dokąd odszedłeś? Oczyma wyobraźni widzę długonogą Holenderkę.

Chyba zacznę sama. Gdzie ta moja... nie Holenderka, tylko kolejka. Marzenia powinny się opierać na realnych podstawach; co komu po tęsknocie za mirażami, które się nie spełnią?

Ależ pali! Nie ta prawda, tylko wódka, chociaż i tamto stwierdzenie może powalić dziewczynę, o ile nie jest dość czujna.

Cholerna zdzira z holenderskim kolczykiem w pępku. Kieliszek Nat jest tak samiuteńki jak ostatni kawałek czekolady. Wychyłam go i słyszę dzwonek domofonu.

– No, jakoś wbiłam się w te moje ciuchy – dobiega mnie głos Nat. –  
Czekam na dole.

Dobrze, że sobie golnęłam, bo wódeczka by się zmarnowała.

TTLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

*„Przeżywam orgazm”*

- Cześć, skarbie. Idziemy pieszo? – pyta Natalie, biorąc mnie pod rękę.
- Pewnie! Za osiem minut będziemy na miejscu.
- No to prowadź. Którędy?

Ale głupia ta Natalie. Czy ona myśli, że mam wbudowany kompas? Fakt, że mijam klub przynajmniej dwa razy dziennie, ale to samo można powiedzieć o niej. Z drugiej strony jednak w Bostonie łatwo się zgubić, bo ulice nieoczekiwanie zmieniają nazwy: Court na State, Winter na Summer – a potem nagle znikają. Atak paniki wywołany nagłym poczuciem zagubienia to dla mnie nie nowina (nie trafię do domu, zabłądzą w podejrzanej dzielnicy, okradną mnie, zamordują i nikt się nie zorientuje, aż po miesiącu znajdą na pół rozłożone zwłoki przypięte pasami do fotela mojej dziesięcioletniej toyoty zepchniętej do rzeki. Na miłość boską, czemu nie mam komórki jak każdy normalny człowiek), ale na szczęście Back Bay ma dość przejrzysty układ ulic.

- Pijemy dziś trzy kolejki – zapowiada Natalie.

Nie chodzi jej o zachowanie trzeźwości. Ma obsesję na punkcie liczenia kalorii. Sama się w to wpędziła. Zawsze nosi przy sobie żółty kołonoatnik z kiścią winogron na okładce, purpurowy cienkopis oraz marker. Notuje każdy posiłek i zakreśla flamastrem wszystkie swoje grzeszki (cytuję jej słowa; ja bym tak nie powiedziała).

– Chyba wiesz, że setka wódki to czterysta kalorii. Nie miałam pojęcia. Po co mi ta wiedza? W tym tygodniu odpuszczam sobie. Pochłonęłam już osiemset kalorii. Będą ich jeszcze miliardy.

Natalie wcale nie wygląda jak grubas. Na moje oko jest taka sama jak zawsze: bardzo, bardzo chuda i bardzo, bardzo wysoka. To znaczy bardzo,



bardzo wysoka w porównaniu ze mną, co nie jest trudne, skoro mierzę niespełna metr sześćdziesiąt. Natalie ma pewnie ponad metr siedemdziesiąt, ale gdy stoi obok mnie, wygląda jak Michael Jordan.

Poważnie mówiąc, najbardziej przypomina Buffy, postrach wampirów, ale jest szatynką. Sam twierdzi, że zrobiła sobie operację u doktora Harveya Golda, chirurga plastycznego, najlepszego w Bostonie specjalisty od nosów, ale Nat za żadne skarby się do tego nie przyzna. Operację zafundowali jej rodzice z okazji matury i urodzin. Chyba wiadomo, że mowa o Nat, nie o Buffy? Gdy pierwszy raz odwiedziłam jej dom w Beacon Hill, obejrzałam wszystkie zdjęcia, szukając twarzy sprzed zabiegu. W ogromnej rezydencji naliczyłam trzydzieści pięć fotek oprawionych w ramki, ale nie znalazłam żadnej, na którym Nat miałaby mniej niż osiemnaście lat. Podejrzane, co?

Ubiera się jak Buffy. Czarny top bez ramiączek od Dolce i Gabbana oraz dopasowane czerwone spodnie na pewno kosztowały więcej, niż wynosi moja miesięczna pensja. Na szczęście Nat może sobie pozwolić na takie ekstrawagancje, bo to jej pasuje i estetycznie, i finansowo. Jeśli chodzi o mnie, więcej tuszuję, niż podkreślam.

Nat pracuje jako wolontariuszka w klinikach psychiatrycznych i ośrodkach terapeutycznych. Chce zrobić dyplom z psychologii. W przyszłości ludzie z zaburzeniami psychicznymi będą się do niej zwracać o pomoc. Okropna perspektywa! Bałabym się nawet wówczas, gdyby jej udział w terapii ograniczał się do zupełnego minimum.

Zgodnie z moimi przewidywaniami po ośmiu minutach stajemy przed klubem, gdzie czeka w kolejce dwadzieścia zniecierpliwionych osób, tłoczących się pod lśniąca metalicznym blaskiem figurą kobiety pogrążonej w miłosnej ekstazie. Natalie podchodzi do samych drzwi.

– George! – piszczy na widok przerażającego osiłka wygolonego na łyso i mierzącego dobrze ponad metr osiemdziesiąt, który nosi ogromne ciemne okulary i dlatego przypomina mi Terminatora.

– Cześć, ślicznotko – odpowiada. Cmok, cmok, cmok, cmok.

– George, przedstawiam ci Jackie, jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

– Cześć – rzucam potulnie i ruszamy w stronę baru.

– Jak niebo? – mruczy Natalie. To nasz tajny szyfr. Pyta, czy nos jej się nie błyszczy?

– Bezchmurne – odpowiadam.

– A ulica? – Teraz chce wiedzieć, czy ma czyste zęby. Trudno powiedzieć, jakie resztki miałyby utkwąć między nimi, skoro jestem pewna, że Nat stale się głodzi. Uśmiech ma tak promienny, jakby nosiła sztuczną szczękę.

– Pusta. A co u mnie? – pytam na wszelki wypadek. Ekonomia wysiłku, czyli dwa w jednym: uśmiecham się i jednocześnie kręcę głową.

Po lewej stronie widzimy szatnię. Na szczęście koniec września jest ciepły, więc nie potrzebuję cieplejszych ciuchów. Muszę obnażyć wszystkie swoje wdzięki, żeby mieć dobre wejście. Nat z kolei nawet w jutowym worku przyprawiłaby wszystkich o palpację serca. Na prawo od nas jest parkiet. Kilka skąpo ubranych lasek tańczy tam w rytm głośnej piosenki, której nie potrafię rozpoznać. „Bum, bum, bum, bum, chodź i weź mnie”. Po prostu cudnie.

– Idziemy. – Przed nami bar. Ruszam w tamtą stronę, torując sobie drogę w gęstym tłumie.

Cycata barmanka z przesadnym dekoltem pyta, co bym chciała. Takie cycki bym chciała, myślę, ale rzecz jasna nie powiem tego na głos. Gdybym to zrobiła, uznałaby chyba, że jestem zboczona, a ja rzeczywiście marzę o dużych

piersiach. Moje wypełniają wprawdzie stanik B2, a Jeremy nie narzeka (nie mieszczą się w moich dłoniach, mówi). Barmanka nosi chyba ten sam rozmiar, ale spójrzmy prawdzie w oczy: żeby osiągnąć efekt taki jak u niej, muszę założyć markowy „wonderbra”. I tu jest problem: zapraszam faceta do domu, zdejmuję stanik i co? Jak się wytłumaczyć?

Zamawiam dwie „cytrynowe krople”, starając się patrzeć prosto w oczy tej piersiastej barmance. Moje ulubione połączenie smaków: najpierw zlizuję cukier, potem wódka, a na koniec wysysam sok z cytryny. Czysta rozkosz. Czuję się, jakbym kupiła los na loterii: cel został określony, teraz trzeba działać.

– Gotowa? – pytam.

– Zdrówko – odpowiada Natalie.

Tak! Upiję się dzisiaj! Pójdę na całość! Już się bawię! Po prostu ubaw po pachy! Już prawie zapomniałam o tym draniu!

Natalie wyciąga z torebki żółty notes. Nie zdziwiłabym się, gdyby poprosiła, żeby jej do cytryny podali słodzik.

– Popatrz, tam jest Andrew MacKenzie! – mówi, wskazując ręką w głąb sali, i macha na powitanie.

Błagam, powiedzcie mi, jak mam zapomnieć o Jeremym, skoro wszędzie płaczą się jego kumple z Penn. Przecież to Andrew nas spiknął. On też macha i przepycha się w stronę baru.

– Miałam nadzieję, że cię tu spotkam, kochanie – mówi Natalie. – Słyszałam, że wróciłeś do Bostonu. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Ach tak?

– A co mówiłyście? – pyta, całując ją lekko w policzek. No ciekawe, o czym była mowa.

– Zachwycaliśmy się tobą. Jesteś taki męski – odpowiada Natalie, obejmując go za szyję.

Jeśli chodzi o flirt, świetnie sobie radzi. Nie ma pojęcia, gdzie jest północ, ale błyskawicznie znajduje drogę do męskich serc, choć jej uwagom brakuje oryginalności. Każdemu powtarza, że jest męski, ale większość facetów daje się nabrać na te stare sztuczki. Ciekawe, skąd to nagle zainteresowanie Andrew. Setki razy próbowałam ich skojarzyć, bo wówczas moglibyśmy umawiać się we czwórkę: Jer, ja i tamtych dwoje. Andrew się do tego palił i nic dziwnego, bo Nat wszystkich kręci, ale twierdziła, że on nie jest w jej typie. Przesadnie miły, tak powiedziała.

– Jackie! – woła Andrew, uwalniając się z ramion Nat. –Nie miałem pojęcia, że jesteś w Bostonie.

O Boże! A zatem Jer nie rozmawia o mnie z przyjaciółmi. Tak mało dla niego znaczę, że nie zasługuję na krótką wzmiankę. Ale draństwo!

A może Andrew i Jer w ogóle ze sobą nie rozmawiają? Tak, wolę takie wyjaśnienie. Tyle ich dzieli. Andrew z wyglądu przypomina Jera. Zresztą czy ja wiem? Obaj są dość wysocy. Tak, jasne, w porównaniu ze mną każdy jest gigantem. Jer jest podobny do Ethana Hawke'a: namiętny, seksowny, nonszalancki (zapuszcza teraz kozią bródkę). Andrew to raczej typ przyzwoitego, miłego chłopaka z sąsiedztwa. Jeremy jest szatynem, Andrew rudzielcem, a właściwie rudawym blondynem, jakby miał pasemka –naturalne, nie farbowane jak moje kosmyki w odcieniu szarawego blondu. Jego oczy są piwne: przyjemny brązowy kolor gorzkiej czekolady. Jer ma tęczówki niebieskie jak u dziecka. No dobrze, nie są podobni, ale trzymali się razem i dlatego Andrew przypomina mi Jera. To by się zgadzało, nie?

– Znalazłam tu pracę – odpowiadam.

– Gdzie? Kiedy się przeprowadziłaś?

- Od dwóch miesięcy pracuję w wydawnictwie „Kupidyn”.
- Naprawdę? Piszesz dla nich?
- Nie. Redaguję.
- Ciekawe zajęcie. Znasz Fabia?

Nie mam pojęcia, czemu wszyscy mnie o to pytają, ilekroć wspominałam o „Kupidynie”.

- Nie znam Fabia, bo rzadko dobieram okładki. A co u ciebie?
- Od dwóch lat pracuję w Nowym Jorku i robię magisterium.
- Naprawdę? Gdzie?
- W Harvardzie – odpowiada, próbując stłumić uśmiech, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że uwielbia swoje studia, ale nie zamierza się przede mną popisywać. To zresztą wyjaśnia powody nagłego zainteresowania Natalie.

- Wspaniała nowina – odpowiadam.
- Cudownie, Andy – szczebiocze Natalie, kładąc mu rękę na ramieniu. Andy? Skąd takie zdrobnienie? Co za poufałość!
- Dzięki – słyszymy. – Czego się napijecie, dziewczyny?

Natalie jest roztargniona, bo z przeciwnego końca baru macha do niej wysoki gość w garniturze od Armaniego.

- Zaraz wrócę, dobra? – mówi i odchodzi.
- Wygląda na to, że byli umówieni – mruczę.

Przepychamy się do baru. Sama nie wiem, czy zapytać o Jeremy'ego. Nie, to nie jest dobry pomysł. Niewątpliwie przestali się kontaktować, lecz gdyby Andrew wspomniał Jerowi, że o niego pytałam, wyszłabym na żalną kretynkę.

Pani Cycata pyta Andrew, co zamawiamy, a on gapi się na jej dekolt i zerka na mnie.

- Czego się napijesz?

Nie będę wypytywać o Jeremy'ego. Nie będę wypytywać o Jeremy'ego. Nawet nie wspomnę jego imienia.

– „Cytrynowa kropla”.

– Dama wybrała – mówi, kładąc na blacie kartę kredytową.

– Ile mam ci zwrócić? – pytam.

– Ja stawiam.

– Dziękuję. – Dla mnie bomba.

– Pijemy.

– Jasne.

Cukier... wódka... cytryna... pycha.

– Do dna? – pyta znowu Andrew.

– Tak.

Cukier... wódka... cytryna... pycha.

Wskazuje dwa wolne stolki przy barze. Nie zapytam, czy Jeremy się do niego odzywał. Nie zapytam, czy Jeremy się do niego odzywał. Nie zapytam, czy Jeremy się do niego odzywał.

– Jak żyjesz? Co nowego? – mówi.

– Żadnych rewelacji – odpowiadam. – Jeremy odezwał się do ciebie? – Cholera jasna!

– Odkąd wyjechał do Tajlandii, nie dał znaku życia. Wciąż jesteście razem?

Aha. Nagle czuję łzy płynące po twarzy i dziwną mieszaninę smaków na ustach: cukier, wódka, cytryna, sól. Nigdy więcej nie wypowiem imienia Jeremy. Gdy znajdę się w sytuacji bez wyjścia i będę musiała o nim pomyśleć, wezmę przykład z Prince'a i użyję bezosobowego symbolu. Od tej chwili Jeremy ma ksywę „P”.

Zasłaniam oczy ręką, aby Andrew nie spostrzegł, że płaczę. Czuję się jak pewien chłopak z drugiej klasy, który jedną ręką wycierał nos, a drugą zasłaniał twarz, lecz i tak wszyscy wiedzieli, co jest grane. Tak samo jak Andrew. Natychmiast się zorientował. Obejmuje mnie, więc mogę się wypłakać na jego ramieniu. Moje łzy lecą mu na szarą koszulę, tusz rozmazuje mi się po twarzy. Wyglądam, jakbym miała sesję egzaminacyjną i nie spała od paru tygodni, drzemiąc czasami w bibliotece i pijąc hektolitry kawy.

Twarda ta jego klata. No dobra, daleko mu do Ethana Hawke'a, ale jest super, a jak zrobi dyplom w Harvardzie, zyska dodatkowy atut. Mogłabym go uwieść dziś wieczorem, kochalibyśmy się jak szaleni, bez żadnych zahamowań, a rano obudzilibyśmy się, ciasno objęci ramionami, i po wspólnym śniadaniu spacerowalibyśmy nad rzeką, trzymając się za ręce...

Ładnie pachnie, bardzo ładnie. Całkiem jak „P”.

W żadnym wypadku nie wdam się w dziki romans z mężczyzną pachnącym wodą kolońską „P”. Chodziło mi przecież o to, żeby znaleźć faceta, który nie przypomina „P” i pomoże mi o nim zapomnieć... choćby na jakiś czas. Oto mój plan: „P” będzie zdruzgotany, gdy usłyszy, że związałam się z innym. Pojmie nareszcie, że kocha mnie nad życie i poprosi, abyśmy znów byli razem. A potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Nie powinnam się przyznawać do tych marzeń, co? Wypadałoby raczej poszukać innego faceta, z którym będzie mi się dobrze układało, ale prawdą jest, że bez namysłu posłużę się kimkolwiek, byle tylko Jeremy do mnie wrócił. Wzdycham. Jestem niereformowalna.

Odsuwam się od Andrew.

– Wybacz. Powinnam wziąć się w garść. – Na jego koszuli została ciemna, wilgotna plama.



– Nie szkodzi. – Nagryzmolił coś na pudełku zapalek. –Dzwoń, jak będziesz chciała pogadać.

– Dzięki. – Czuję się coraz bardziej upokorzona z powodu tego incydentu.

Jaki miły chłopak.

Otwieram drzwi damskiej toalety, w której dziesięć dziewczyn bez żenady kontroluje swój wygląd w umieszczonych wysoko lustrach. Nie wiem, czemu tak się dzieje, ale bywalczyńnie knajp ledwie przekroczą próg łazienki, zmieniają się w dzikie bestie. Ruszają do przodu, napierając własną piersią i pracując łokciami, a potem ustawiają na umywalce kosmetyki niczym amunicję. Oto dowód: babka w mini z wężowej skóry wyciąga z torebki wypchaną kosmetyczkę, wyklada jej zawartość na blat i sięga po zalotkę.

Patrzę na swoją buzię. Zamiast przymglonej szarości lansowanej przez „Cosmopolitan” mam wokół oczu popielate obwódki, jakbym kichnęła nad pełną popielniczką.

– Przepraszam – zagaduję tę w mini z wężowej skóry. –Czy masz przypadkiem zmywacz do oczu?

– Jasne, kochaneczko – odpowiada (jest dużo starsza ode mnie, bo w naszym pokoleniu już się tak nie mówi. Natalie powiedziałyby: kochanie. To zasadnicza różnica). –Weź także waciki.

– Dzięki. – Ćwiczę uśmiech przed lustrem, żeby wyglądał na drapieżny i wymuszony. Może stać się żołą? Mężczyźni je uwielbiają.

Ruszam w stronę drzwi i wracam do baru.

– „Numerek na plaży”, poproszę.

Siadam na stołku i próbuję nad sobą zapanować, żeby nie kołysać się ze złości w przód i w tył. Blondynka z nastroszonymi włosami potrząsa głową i pochyla się, żeby elegancik, z którym rozmawia, mógł jej spojrzeć w dekolt.

Trzej goście siedzący po drugiej stronie rzucają na głos cyfry, oceniając przechodzące obok panny. Facet z obwisłą skórą daje dziewięć i pół brunetce, która siedzi cztery stołki dalej. Wbiła się w długą spódnicę z rozcięciem do biodra. Gęba tamtego faceta przypomina winogrono obrane ze skórki, a oczy są jak rodzyнки. Gdy słyszę, jak mówi: osiem, podejrzewam, że chodzi mu o mnie. Najchętniej wylałabym mu na głowę zawartość kieliszka niczym bohaterka filmowego melodramatu, ale zadowolam się pogardliwym spojrzeniem. Szkoda dobrego alkoholu, choć on wyrządza nam poważne szkody. Gapię się na faceta, aż wzrok mi mętnieje i jego twarz staje się zbiorem brunatnych, a następnie pomarańczowych punkcików jak obraz na ekranie, gdy siedzę zbyt blisko telewizora.

Co ja tutaj robię? Czemu nie siedzę w domu, oglądając telewizję? Dochodzi jedenasta, więc mogłabym popatrzeć z Sam na „Policjantów z Nowego Jorku”. Blond czupiradło chichoce fałszywie jak publiczność sitcomu. Nienawidzę „Orgazmu”, nienawidzę Bostonu i nienawidzę Natalie. Gdzie ona jest?

Chwileczkę. Czy ja dobrze widzę? Jonathan Gradinger? Cudny Jonathan Gradinger, który dorastał w Danbury i jako uczeń ogólniaka grał Danny'ego Zukoe w szkolnym przedstawieniu „Grease”? Był upragnionym maturzystą, a ja zachwyconą pierwszoklasistką. Przez trzy wieczory siedziałam w pierwszym rzędzie, bo uznałam, że jest precudny. Jego zdjęcie wycięte z afisza przylepiłam na drzwiach mojej szafki obok plakatu Kirka Camerona, a w każdej z pięciu części mego skoroszytu roilo się od kartek z podpisami: Jackie Gradinger, Jacquelyn Gradinger, Fern Gradinger, Fern Jacquelyn Gradinger, Fern Jacquelyn Norris Gradinger.

Znałam na pamięć jego plan lekcji i podczas długiej przerwy skradałam się za nim, gdy szedł z pracowni chemicznej na matmę, chociaż angielski

miałam w suterenie. Na szczęście był ponad to, żeby dostrzec postrzeloną smarkulę łązącą za nim jak cień.

Robi się tu gorąco. Jestem roztrzęsiona. W głowie brzmią mi piosenki z „Grease”. Sączę wolno mój „numerek na plaży” i marzę, by zapalili światło. Gdy patrzę na plecy tego faceta, wydaje mi się, że to on. Ma na sobie zwykłą koszulę. Cudny Jonathan Gradinger też się tak ubierał. Wszędzie poznałabym jego potylicę. Gdyby się leciutko obrócił w lewo... jeszcze trochę. Dlaczego ta zdzira zawraca mu głowę w takiej chwili? Czyżby zamierzał odejść? Stój, stój!

Próbuję telepatycznie przesłać mu wiadomość: Odwróć się, odwróć się natychmiast, odwróć się w tej chwili. Odwróć się zaraz, Jonathanie Gradinger, i zakochaj się we mnie na śmierć i życie.

Marna ze mnie telepatka. Cóż, przełomowe chwile wymagają śmiałych posunięć. Wypuszczam z ręki szklanekę, bo lepiej zmarnować trochę alkoholu, niż stracić życiową szansę.

O rany, to rzeczywiście cudny Jonathan Gradinger, mój idol z czasów młodości! Patrzy na mnie! Spogląda mi w oczy! No dobra, teraz wszyscy się na mnie gapią. Zwracanie na siebie uwagi opanowałam w stopniu celującym.

– Co jest? – wypytuje cycata barmanka.

– Wszystko w porządku. Przepraszam, nie mam pojęcia, jak to się stało. – Ale ze mnie kłamczucha! Przecież działałam z premedytacją, na dodatek skutecznie, bo Jonathan Gradinger do mnie podchodzi.

O Boże, idzie tu! Tak się składa, że nigdy nie zamieniłam z nim słowa. Jak mogłam wtedy się do niego odezwać? Muszę się napić. Gdzie mój kieliszek?

Aha. Niech to jasna cholera!

Oddychaj! Spokojnie. Zrelaksuj się. Myśl o kąpieli pachnącej wanilią, o dwugodzinnym masażu, który Iris robi ci za dwa dolary płatne bilonem (byle

nie za drobnym). Kanapa, kocyk, drzemka przed telewizorem... Robię się trochę... senna.

– Cześć. – Cudowny, zmysłowy głos przerywa mi rozmyślenia. – Poznaję cię! Jesteś z Danbury?

Jonathan Gradinger przemówił do mnie. Jonathan Gradinger się do mnie odezwał! Jonathan Gradinger naprawdę ze mną rozmawia! Jonathan Gradinger zadał mi pytanie! Wendy z pewnością w to nie uwierzy. Spokojnie. Dam sobie radę.

– Cześć, tż jstś stntd, fjne sptknie.

– Proszę? – odpowiada niepewnie i ma rację, bo sama nie wiem, co mówię. Faktycznie nie miałam zielonego pojęcia, o co mi właściwie chodziło.

– Cześć. – Tym razem zaledwie jedna sylaba. I dobrze. –Fakt. – O kurczę, zamieniłam dwa słowa z Jonathanem Gradingerem. Będę mogła chwalić się wnukom.

– Chodziłaś do mojego ogólniaka? – zapytał.

Konwersacja trwa. Nadal chce ze mną rozmawiać.

– Tak. – Kiwam głową.

Udało się. Rozmowa w toku!

– Byłaś w mojej klasie? – Przegarnia palcami wspaniałą gęstą czuprynę... O, przerzedziła się. Gdzie jego piękne włosy?

– Niezupełniebyłamoklasęniżej. – Gdy się nie zastanawiam i mówię na jednym oddechu, to, kurczę blade, całkiem nieźle mi idzie.

– Chwileczkę! – odpowiada pogodnie. Jego cudny uśmiech wcale się nie zmienił. – Pamiętam cię. Czy to ty łąziłaś za mną jak cień? Jackie... Nazwiska sobie nie przypomnę.

Ojej, kochani, on wie, że na imię mi Jackie. Danny Zukoe pamięta, jak się nazywam. Kiwam głową, bo nie mogę wykrztusić słowa. Język stanął mi kołkiem.

– Napijemy się? – pyta. Jonathan Gradinger proponuje mi drinka. Znowu kiwam głową i nie mogę przestać. To już chyba odruch. Nie wygląda na to, żebym nagle stała się rozmowna jak bohaterka telenoweli. Jonathan Gradinger spogląda w dół. – Wydaje mi się, że „numerek na plaży” bardzo ci odpowiada.

Jasne, zwłaszcza z tobą, potwierdzam. Nieprawda, żartowałam, wcale tego nie mówię. Nadal kiwam głową.

– Jak ci się podoba Boston?

– Od chwili, gdy zaczęliśmy rozmawiać, jestem nim zachwycona. – Moment! Powiedziałam te słowa głośno, choć nie miałam zamiaru. Co to? On się śmieje! Uważa, że jestem zabawna. Pewnie myśli, że go bajeruję. Ale to prawda. Bajeruję Jonathana Gradingera. – Naprawdę bardzo mi się tu podoba – dodaję z powagą. – A tobie? – Odpowiedź nie jest dowcipna czy frywolna, ale wypowiedziałam dwa pełne zdania, w tym jedno zachęcające do podtrzymania rozmowy. Tylko dajcie mi szansę.

– Mieszkam w Bostonie od pewnego czasu i lubię go. Przywykłem.

– Kiedy się tu przeniosłeś? – Drugie pytanie. Wyraźnie się rozkręcam.

– Osiem lat temu.

– Kawał czasu. Można powiedzieć, że należysz do bostońskich braminów. – Następny żart! Jonathan wybucha śmiechem. Hura!

– Niezupełnie. Jeszcze się nie przeprowadziłem do Beacon Hill.

Milczenie. Przedłuża się. Sekunda, dwie... Ratunku! Co robić? Chwileczkę, mam pomysł.

– Czym się zajmujesz w Bostonie? – Ostatnia deska ratunku: niech facet opowiada o sobie.

– Jestem lekarzem.

Naprawdę?

– Jaka specjalizacja? Pediatria, lekarz rodzinny, kardiochirurg?

– Ortopeda.

– Słucham?

– Leczę stopy.

Jasna sprawa. Redaktorka musi wiedzieć takie rzeczy. Ortopeda jest od nóg.

– Bardzo... ciekawe. – O rany, co by tu dodać? Może zapytać o stopy sportowców? Na szczęście sama mam ładne stópki. Śmiało można o nich powiedzieć, że są zgrabniutkie; mój rozmiar to szóstka. Pedikiurzystka twierdzi, że z przyjemnością się nimi zajmuje, ale sądzę, że pochlebia mi, bo chce dostać napiwek. To śmieszne, skoro zakład należy do niej. Wiadomo, że właścicielom nie płaci się z górką, lecz odkąd widziałam, jak nadęta baba ze sztucznymi paznokciami zapłaciła za manicure dwadzieścia dolców i dorzuciła cztery jako napiwek, za każdym razem płacę dwadzieścia cztery dolce zamiast dwudziestki. Moim zdaniem, właścicielka powinna się obruszyć i powiedzieć: „Co się pani wygłupia! Proszę zabrać te cztery dolce! Niech mnie pani nie obraża! To mój zakład!” Ale ona bierze forszę, bez sensu. Zresztą to mi zwisa.

– Skończyłeś tu medycynę?

– Owszem. A co u ciebie?

– Jestem redaktorką.

– Naprawdę? Gdzie?

– W „Kupidynie”.

– Proszę?

– Wydajemy romanse.

– Aha, moja mama je czyta! Znasz Fabia?

Śmieję się z nieodpartym wdziękiem (w końcu od wieków przyjaźnię się z Nat) i klepię go po ramieniu.

– Niestety, nie. A ty?

– Tak się składa, że jest moim pacjentem. Ma bardzo ładne stopy.

– Bujasz, co? – pytam.

– Jasne. Wiesz, co mówią o ludziach z ładnymi stopami?

– Co?

– Że im buty pasują.

Żarty na temat stóp chyba mnie przerastają. Znowu wybucham śmiechem.

– Masz fajne botki – dodaje, zerkając w dół.

– Dzięki. Najnowszy zakup. Buty samotnej dziewczyny.

– Czemu?

– Mają zwracać uwagę.

– Ja cię zauważyłem. Czy to deklaracja?

– Świetnie. – Uśmiecham się tajemniczo.

– Wydoroślałaś.

– Kiedy mnie ostatnio widziałeś, nosiłam różowe spinki i miałam kręcone włosy.

– Ślicznie wyglądasz, Jackie.

– Dzięki, ty również. – Jesteś super. Uwielbiam cię, chociaż ubyło ci włosów i urok jakby nie ten... ale nadal możesz się podobać.

– Masz kogoś? – pyta.

– Nie. – Od początku próbuję ci to dać do zrozumienia. – A ty?

– Jestem sam jak palec. – Dotyka nagle mego ramienia. Jesteśmy w domu!



– Jackie! Jackie! – Z tyłu dobiega wrzask Nat. Ciekawe, jak zdołała przekrzywić ten łomot: „Bum, bum, weź mnie, bum, bum”. Teraz unosi wysoko ręce i macha do mnie.

– Dasz mi swój numer? – Nareszcie! Padły magiczne słowa.

– Naturalnie. – Czuję się jak Kopciuszek, ale moje nowiutkie botki, czyli podstawowe wyposażenie samotnej dziewczyny, są oczywiście znacznie fajniejsze niż szklane pantofelki. Zresztą i takie zawsze chciałam mieć. Proszę cycatą barmankę o zapalki i grzebię w torebce, szukając długopisu. Dolly patrzy na mnie krzywo i nie daje zapalek.

– Dyktuj. – Jonathan wyjmuję mi z ręki długopis. Czuję lekkie ukłucia, jakby po moim ramieniu biegały drobniutkie mrówki, te czarne, a nie jadowite czerwone. Podaję numer telefonu, który on zapisuje na rękę.

– Jackie! Jackie! Jackie!

– Muszę iść – stwierdzam, machając do Natalie, którą Jonathan nagle dostrzega. Bardzo dobrze. Niech wie, że mam znajomych.

– Super – odpowiada. – Zadzwoń. Błagam, nie zapomnij.

Przez resztę wieczoru poznaję wszystkich, którzy coś znaczą, i przybieram odpowiednie pozy, aby Jonathan Gradinger dostrzegł z daleka wszystkie moje atuty. Obserwuję uważnie, czy na widok potencjalnej rywalki nie ściera mojego numeru. Zapewniam, że robię to bardzo dyskretnie; przecież nie mogę się gapić otwarcie.

Czy zadzwoni? Dziś mamy piątek, więc pewnie odezwie się jutro. A może późno w nocy? Powie, że nie zaśnie, póki nie usłyszy łagodnego tonu zachęty w moim głosie.

– Dobrze się bawisz? – pyta Natalie szeptem, co nie jest łatwe, ponieważ łomot nie ustaje.

Siedzimy przy stoliku z facetem w garniturze od Armaniego i trzema jego kolegami. Jeden z nich gada do mnie z wyraźnym francuskim akcentem. Potakuję, chociaż niewiele rozumiem z tej paplaniny.

– Następna kolejka, co? – Tyle łapię. Zgadzam się natychmiast.

Jaki cudowny wieczór. Najwspanialszy facet na świecie będzie moim chłopakiem. Zapragnie się ze mną ożenić, a że jest lekarzem, chyba nie trzeba mu będzie tłumaczyć, gdzie się znajduje łechtaczka, i poprosi mnie o rękę, a że jest taki mądry, wszystkie koleżanki ze szkoły średniej będą mi zazdrościć, ponieważ mnie poślubi.

Najbardziej w całej opowieści podoba mi się kawałek o zazdrości. Ta obrzydliwa Sherri Burns uważała się za istne чудо: „Och, to chyba oczywiste, że choć jestem pierwszoklasistką, z moją urodą mogę kandydować w wyborach miss szkoły. Patrzcie, jakie mam delikatne rysy, taki wygląd trzeba zawsze podkreślać odpowiednim strojem”.

Nie mogę się doczekać, kiedy ta mała usłyszy wielką nowinę. Z pewnością robiła słodkie oczy do mojego Jonathana, ale nie przywiązuję do tego wagi. Mogę sobie pozwolić na wielkoduszność. Szkoda, że nie wiem, gdzie ona teraz mieszka, bo zadzwoniłabym do niej dziś wieczorem, żeby powiedzieć o naszych zaręczynach. Muszę przygotować zjazd absolwentów. Od naszej matury minęło przecież ponad osiem lat. Niby przypadkiem wspomnę, że przyjadę z narzeczoną i zapytam, czy go pamięta. Przecież to Jonathan Gradinger. Może zorganizujemy konkurs piękności?

Albo lepiej umieszczę nasze zdjęcie na stronie internetowej absolwentów szkoły. Trzeba zabrać na randkę aparat fotograficzny. Ten pomysł bardziej mi się podoba.

– Jutro pójdziemy do „G-Kropka”, zgoda? – proponuje Natalie, chwytając mnie za rękę. Pewnie chodzi o jakiś bar.

– Dobry pomysł – odpowiadam, zastanawiając się, czy mogę wystąpić w tym samym stroju.

TTLR

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Nie budźcie mnie!*

Tego ranka moja pierwsza rozsądna myśl dotyczy Jonathana Gradingera, a nie „P”. Z tego wniosek, że przebolełam rozstanie. A tak z ręką na sercu... Najpierw przychodzi mi do głowy następujące stwierdzenie: krczblde, kto śmie dzwonić do mnie w sobotę rano o 9.15? Lepiej dla niego, żeby to była ważna sprawa. W rzeczywistości jest dopiero sześć po dziewiątej. Pospieszyłam mój wielki budzik (jest taki ogromny, że bym widziała cyfry bez szkieł kontaktowych) o dziewięć minut w nadziei, że ten poślizg gwarantuje mi punktualność.

– Haaallooo? – mówię.

– Fren! – To mój tata. – Jeszcze w łóżku?

– Skądże. – Nie wiedzieć czemu zawsze mówię, że wstałam, gdy jestem zaspana.

– Czas ucieka. Szkoda dnia.

– Już wstałam. – Powieki... ciężą. Usta... nieruchawe.

– Dobrze. Co nowego?

– Zapomniałam. – Ale wpadka.

– Przekręcisz do nas, jak się obudzisz?

– Nie, możemy teraz pogadać. Wszystko po staremu. –Dobrze, już dobrze. Siadam, jestem rozbudzona. Będę miała cienie pod oczami, a że skończył mi się korektor, żaden facet mnie nie pokocha i to wszystko przez ciebie, tatku.

– Skoro nic szczególnego się nie dzieje, czemu nie znalazłaś wolnej chwili, żeby do nas zadzwonić?

O cholera! Nie olewam ich z rozmysłem. Po prostu stale zapominam, że istnieją i że powinnam do nich przekreślić.

- W pracy mam urwanie głowy.
- Dobrze, że jest robota. Co redagujesz?
- Książkę.
- O czym?

Obudził mnie, żeby się dowiedzieć, o co biega w „Zakochanym kowboju”? Bohater ma ranczo warte miliony. Szkoda, że mój tata nie jest takim obszarnikiem.

- To romans, tatku. Prosta historia.
- To znaczy?
- Dziewczyna poznaje chłopaka, kocha go, a on ją zdradza.
- I koniec?

Muszę być całkiem rozkojarzona, skoro mówię ojcu takie rzeczy. Czemu zadzwonił do mnie za wcześnie? Lepiej nie mówić tego na głos, bo przyjdzie mi wysłuchać kolejnego wykładu o tym, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

– Nie, jest ulubiony ciąg dalszy. Chłopak przeprosza, żeni się, a potem żyją długo i szczęśliwie.

– To miłe, córeczko. Ale pamiętaj, co ludzie mówią: po pracy konieczny jest odpoczynek. Trzeba się zabawić, bo życie traci smak. Chodzisz na randki? Jak tam Jeffrey? Spotykasz się z nim?

Nie, tato. On teraz bzyka panienki w Tajlandii... Oczywiście nie mówię tego na głos, bo ojciec dostałby ataku serca. Jest przekonany, że do tej pory zachowałam niewinność.

- Na imię mu Jeremy. Przystopowałam na jakiś czas.
- Nie ma pośpiechu.

Inni rodzice namawialiby dwudziestoczwolatkę, żeby zaczęła myśleć o ślubie albo przynajmniej znalazła sobie kogoś na stałe, ale tata jest odmieńcem. Chyba sądzi, że wciąż mam piętnaście lat. Gdy jedzie w delegację, przywozi mi koszulki z napisem „Witamy w...” (tu nazwa odwiedzanego stanu), zawsze w dziecięcych rozmiarach. Z kolei Janie domaga się wnuków, bo chce być nazywana babcią. Jeśli dochowam się potomstwa, nakazę maluchom zwracać się do niej po imieniu. Niech się wścieka.

– Co nowego u ciebie, tatku?

– Zapisalem się na jogging.

– Dobry pomysł. Co jeszcze?

– Chodzę teraz do pracy cztery razy w tygodniu.

– Dlaczego?

– Chcę mieć więcej czasu dla siebie. Wiesz, życie to nie próba generalna.

Należy się nim cieszyć tu i teraz. Nie zamierzam marnować czasu w robocie.

To z pewnością wpływ Bev. Tata zaczyna nawet cytować jej słowa: „Życie nie jest próbą generalną” albo „Mamy tylko jedno życie”. Był pracoholikiem, zwłaszcza po rozwodzie. Odkąd Bev zaciągnęła go do psychoanalitka, zaczął gadać inaczej; wypytuje o cudze odczucia i powtarza wytarte komunały niczym prawdę objawioną.

– Tim, czy to Fern? Mogę z nią pogadać? – Z oddali dobiega głos Bev.

– Bev ma do ciebie słówko. Kocham cię, cześć. – Oddaje słuchawkę.

O tak wczesnej porze rozmowa z nią jest ponad moje siły. Nie żebym jej nie lubiła; wręcz przeciwnie. Ale widzę u niej kilka poważnych wad. Jest fanatyczną wielbicielką talk-show i Oprah. Zamiast pracować, jak przystało na współczesną kobietę żyjącą w dwudziestym pierwszym wieku, podaje się za agentkę biura podróży, zatrudnioną na pół etatu, co jest taną wymówką, bo planuje tylko swoje wakacje. Kiedy nie zwiedza, cały swój czas poświęca na

oglądanie programów z Oprah, upodabnianie się do swojej idolki oraz gotowanie niskokalorycznych potraw z jej książki kucharskiej. Zdecydowanie nadużywa w języku potocznym czasowników „łączyć” i „odkrywać”, które pojawiają się z rzeczownikami „duchowość” i „tożsamość”.

– Cześć, Fern. Jak nastrój i samopoczucie?

– W porządku. A u ciebie?

– Wspaniale, cudownie. Po prostu fenomenalnie. Jak przebiega terapia? – Bev przekonała ojca, żeby dał mi siedemdziesiąt dolarów na psychologa; jedno spotkanie w tygodniu. Twierdziła, że dzieci nie są w stanie nigdy przeboleć rozvodu, więc nagła przeprowadzka do Bostonu może naruszyć moją kruchą równowagę ducha. Pieniądze rzeczywiście pomogły mi wyjść z psychicznego dołka: kupiłam sobie nowe okulary przeciwsłoneczne i świetne botki, a teraz oszczędzam na samochodowy odtwarzacz płyt kompaktowych.

– Czego się o sobie dowiedziałaś w tym tygodniu?

– Niewiele – odpowiadam. Jest za wcześnie na tę psychologiczną paplaninę. – A co u ciebie?

– Nic nowego. Buduję wewnętrzną siłę i prowadzę dziennik pozytywnych emocji. – Nie zamierzam pytać, co tam gryzmoli. Bev dodaje: – W ubiegłym tygodniu przeczytałam znakomitą książkę. Jestem pewna, że ci się spodoba.

– Czego dotyczy?

– No tak... moment. Uboga dziewczyna dopuszcza się kazirodztwa. Nie pamiętam tytułu, ale dla mnie to mocna rzecz.

Nie widzę najmniejszego pokrewieństwa między bohaterką tajemniczej powieści a moją macochą rodem z Manhattanu, która w soboty przesiaduje u fryzjera, niedziele spędza u manikiurzystki, poniedziałki i piątki buszuje po centrum handlowym, a resztę czasu poświęca na oglądanie programów Oprah.



Czasami podejrzewam, że jest krewną Natalie, tylko nie chce się do tego przyznać. Zresztą nie jesteśmy ze sobą tak blisko, żebym jej mogła robić wymówki.

– Daj mi znać, kiedy sobie przypomnisz tytuł książki. Zaraz ją kupię. Muszę kończyć, bo wychodzę.

– Dobrze, pa. Dbaj o samopoczucie.

– No pewnie.

Budzę się pół do drugiej. Moja pierwsza przytomna myśl: Od zerwania minął jeden dzień, a już jestem trwale związana z mężczyzną, którego poślubię.

Wkrótce pójde na randkę. Z Jonathanem Gradingerem. Tak! Oczywiście, gdy się pobierzemy, przestanę go tak nazywać. Zachowuję się jak postać z powieści Jane Austen: Witam, panie Gradinger. Proszę mi podać gazetę, panie Gradinger.

Czemu jeszcze nie zadzwonił? Muszę przyznać, że zaczynam trochę svirować. Według „Playboya” powinien odczekać co najmniej trzy dni. A może pięć? To dla mnie za długo! Muszę przekreślić do Wendy.

Wybieram jej numer służbowy. To żałosne, prawda? Jest sobotnie popołudnie, a nawet mi nie przyjdzie do głowy, żeby łąpać ją w domu.

– Wendy, słucham.

– Cześć!

– Witaj – mówi. Słyszę cichutki szelest przekładanych papierów. – No, jak sprawy?

– Wspaniale. Całkiem zapomniałam o Jeremym.

– Na pewno – mówi. Czyżbym słyszała ironię w jej głosie?

– Żebyś wiedziała. Natknęłam się przypadkiem na mego przyszłego męża.

– Dobra nowina. Zostanę pierwszą druhną?

– Nie, raczej zwykłą. Iris kazała mi przysiąc, że jej się dostanie ta fucha. Ale możesz zaplanować mi wieczór paniński.

– W porządku. Ale na moim ślubie ty będziesz pierwszą druhną... o ile znajdę w końcu czas na randki. – Odkąd Wendy zaczęła pracować, z konieczności żyje w ścisłym celibacie.

– To chyba oczywiste, że będę twoją pierwszą druhną! Już pracuję nad okolicznościowym przemówieniem – odpowiadam. Nie należy rozumieć tego dosłownie; po prostu czasami zdarzają się fajne sytuacje, a jak sobie człowiek tego nie zapisze, to gdy potem przyjdzie co do czego, zapomina języka w gębie i... No dobra, jestem gapa i tyle.

– Tak przypuszczałam. Kim jest przyszły pan Norris? Robię krótką pauzę, żeby podgrzać atmosferę.

– To Jonathan Gradinger.

– Co?

– Przecież słyszałaś.

– O Boże! Gdzie go spotkałaś? Jesteś pewna, że ci się nie przyśnił?

– Oczywiście. – Widziałam go na jawie. To nie było senne marzenie. A jeśli go sobie wymyśliłam? Wodzę spojrzeniem po pokoju w poszukiwaniu śladów wczorajszej eskapady. Czarna spódniczka leży na podłodze tam, gdzie została wczoraj rzucona. Podnoszę ją natychmiast i wącham. Pachnie dymem i „numerkiem na plaży”. „P” trafiony, zatopiony.

– Jak to było? – dopytuje się Wendy.

– Zobaczył mnie w klubie – opowiadam, nie wdając się w szczegóły. – Rozmawialiśmy. Poprosił o mój numer telefonu.

– Niesamowite! Nadal jest taki cudny?

– No wiesz, latka lecą, ale prawie się nie zmienił.

– Zadzwoił?

– Jeszcze nie.

– Aha.

O co jej chodzi?

– Wcale nie musiał, Wen. Pokaż mi faceta, który dzwoni następnego dnia. Moim zdaniem, odezwie się jutro wieczorem. O ósmej trzydzieści, zaraz po „Rodzinie Simpsonów”.

– Wątpię, pewnie się gdzieś wybiera.

– Dziś wieczorem na pewno się ze mną nie spotka.

– Dlaczego?

– Bo wyszłoby na jaw, że nie ma wyboru. Zaufaj mi, Wen, w tej grze istnieją ściśle określone reguły. – Kochana, milutka Wendy. Jakaż ona naiwna!

– Co ty możesz o nich wiedzieć? Dopiero od wczoraj uczestniczysz w rozgrywce.

Spokojnie, jeszcze pamiętam, jak wyglądał świat, zanim Jer mnie poderwał. Daję słowo, naprawdę korzystałam z życia.

– Zadzwoi w sobotę i umówi się ze mną na wtorek, a gdy spotkamy się we wtorek, zarezerwuje sobie przyszłą sobotę. Zajarzyłaś?

– Jasne. Ciekawe, dokąd cię zabierze?

– We wtorek czy w sobotę?

Wendy milczy. Moim zdaniem, nie może się połapać w tych wszystkich zawiłościach. Od roku z nikim się nie umówiła, więc teraz mózg jej się lasuje.

– Sheri Burns pęknie z zazdrości – dodaje.

– Wiem! To cudownie, prawda?

– W jaki sposób się dowie? Pomijam, rzecz jasna, ogłoszenie w ślubnej kolumnie „The Times”.

– Postanowiłam zrobić fotkę na randce i dać ją na stronę internetową naszej szkoły.

– Niezły pomysł. Oho, muszę lecieć, mam zebranie.

– Co ty? Kto oprócz ciebie przychodzi do pracy w sobotę?

– Zapytaj raczej, kogo brakuje.

– Biedactwo. Nie sądzisz, że powinnaś znaleźć sobie normalną posadę?

– Na pewno nie. Pogadamy kiedy indziej.

– Pa.

Co mam teraz zrobić? Najpierw wstać. Dochodzi druga.

– Cześć! – wołam z łóżka. – Kto jest w domu?

– Cześć! – wrzeszczy Sam. – Sprzątam łazienkę.

Jestem niemal pewna, że szoruje ją codziennie. Widziałam, jak zakradała się do toalety z butelką płynu dezynfekcyjnego zaraz po wyjściu gościa. Na punkcie lodówki też ma niezłego hopla. Data przydatności do spożycia to dla niej świętość. Ale mleko w kartonie wyrzuca równiutko trzy dni po otwarciu. W tym wypadku informacja na pudełku przestaje się liczyć. Nie jestem w stanie jej przekonać, że niektóre produkty można przetrzymywać trochę dłużej, więc nie muszą od razu trafiać do kosza.

– Chyba nie zamierzasz tego jeść? – powiedziała do mnie wczoraj, patrząc z obrzydzeniem na szczelnie zapakowaną i pokrojoną w plasterki pieczeń z indyka, którą należało otworzyć przed sześcioma dniami. Myliła się... Zjadłam do ostatniego kawałka. Gdybym wzięła przykład z Sam, wszystkie moje zapasy trafiłyby do klopa lub śmietnika.

Odrzuciłam koldrę i postawiłam stopy na podłodze. Była zimna. Gdzie moje kapcie? Czy w ogóle mam kapcie? Żadnych. Gdzie moje skarpetki? Wciągam szorty. Nawet Sam nie może patrzeć na moje majtasy. Wchodzę do jej pokoju.

– Dzień dobry – mówię.

– O, kawał dnia za nami – odpowiada, czyszcząc kafelki jakąś dziwną maszynką. – Późno wróciłaś?

– Tak. Było super.

– Świetnie. Jeśli chcesz sprzątnąć u siebie, możesz wziąć moje środki czystości.

Nie jestem pewna, ale to brzmi jak aluzja. Dobra, i tak nie mam dziś nic lepszego do roboty, a moja łazienka zarosła brudem. Ostatni raz czyściłam ją... niech pomyślę. Czy kiedykolwiek tam sprzątałam?

– Dzięki. Wezmę się do pracy zaraz po śniadaniu. To znaczy po obiedzie.

Przygotowuję kanapki. Marnie wyglądają, bo indyk się skończył i została tylko sałata. Dobra, najpierw obiadek, potem godzinka przed telewizorem i sprzątam.

Co my tu mamy? Klik, klik. O rany, powtarzają „Zdrówko”. Ach, Diane. Jest taka mądra. Zawsze miałam nadzieję, że będzie z Frasierem. Lilith przypomina Helen. Nie zasługuje na niego. Po przyjeździe do Bostonu od razu pobiegłam do baru „Zdrówko”. Rozczarowałam się. Nikt tam nie zawołał „Jack!”, kiedy weszłam. No tak. Już trzecia. Muszę posprzątać. Zaczyna się „Randka w ciemno”. Uwielbiam ten program. Zostanę do pierwszej przerwy na reklamę...

Jest piąta, a ja się nie zabrałam do roboty. Tyłek mi ciąży. Naprawdę powinnam się ruszyć. Sam zostawiła środki czystości na samym środku mojej łazienki.

Dlaczego jeszcze nie zadzwonił?

Pół do siódmej. Jestem głodna. Zupa mleczna z torebki? Skończyło się mleko. Z wodą to danie jest niejadalne. Zamawiam pizzę. Duża pepperoni. Co

z dzisiejszym wieczorem? Natalie chciała pójść do „G-Kropka”. Powinnam zadzwonić. Poczekam do następnej reklamy.

Kwadrans po siódmej. Umieram z głodu. Gdzie moja pizza? Bezpowrotnie minęło pół godziny. Dzwonię do Natalie.

- Cześć, Jackie – mówi Nat.
- Co słychać?
- Stara bieda. Właśnie się ubieram.
- Dokąd idziesz?
- Na kolację. Z Erykiem.
- Co to za Eryk?
- Facet, z którym wczoraj rozmawiałam.

Chwileczkę! Wieczorem się spotkali, a dzisiaj zadzwonił?

- Ten w garniturze od Armaniego?
- Właśnie on. Odezwał się z samego rana. Całkiem możliwe, że pochodzi z królewskiej rodziny, ale pewności nie mam.

Nie zwracam uwagi na ostatnie zdanie, tylko drażę poruszony wcześniej temat.

- Zadzwonił rano?
- Tak. To znaczy dziś rano.
- Chciał się umówić na wieczór, a ty się zgodziłaś.
- Owszem. Miałam odmówić? Jeśli chodzi o ścisłość, już wczoraj prosił, żebyśmy się spotkali, a o jedenastej zadzwonił, aby to potwierdzić. Jakies zastrzeżenia?

Niby czemu? Co mam ze sobą począć dziś wieczorem?

- A nasze plany?
- Ach, prawda! Uznałam, że ci nie zależy.
- Wręcz przeciwnie.

Wiem, że na jej miejscu zachowałabym się identycznie. Najważniejsza przestroga kolorowych czasopism brzmi: nie można pozwolić, żeby najlepsze przyjaciółki poróżniły się z powodu faceta. To samo dotyczy dobrych koleżanek... no chyba że chłopak jest super. Chodzi mi o to, że trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: po co w sobotę wieczorem idę do klubu z dobrą znajomą? Żeby dyskutować o polityce? Gdy dzwoni facet w typie mego Jonathana, od koleżanki oczekuję wyrozumiałości, nawet jeśli czułabym się dotknięta, gdyby mnie potraktowała tak samo. Z drugiej strony taki superman jak mój Jonathan Gradinger nie poniży się do tego stopnia, żeby zadzwonić od razu.

– Chcesz, żebym odwołała tę randkę?

No pewnie!

– Ależ skąd! Idź i baw się dobrze.

– Wybierz się do „G–Kropka”.

Jak mogłabym pójść tam sama? Ze trzy godziny musiałabym czekać w kolejce, a przy barze sama zabawiałabym się rozmową.

– Szczerze mówiąc, nie mam ochoty. Jestem zmęczona. – Ktoś puka do drzwi. – Muszę kończyć. Przywieźli pizzę.

– Naprawdę nie jesteś na mnie wściekła?

Gotuję się ze złości.

– Ależ skąd!

– Dobra. Uwielbiam cię, kochanie! Miłego wieczoru!

Zamierzałam początkowo zjeść tylko pół pizzy i resztę zostawić na poniedziałkowy obiad, ale skoro dziś wieczorem nie muszę wbijać się w obcisłą kieckę, pożrę całą i będę się nad sobą użalać. Pieskie życie. Całą sobotę spędzam przed telewizorem. Jeremy mnie nie kocha, Jonathan Gradinger nie chce się ze mną zadawać, a tymczasem chłopak Natalie zadzwonił następnego dnia.



Sam wchodzi do naszego salonu. Jeśli zapyta, czy sprzątnęłam łazienkę, wezmę pizzę i wymażę sosem pomidorowym cały jej kłopot.

– Co jest grane?

– Nic.

– Masz jakieś plany na wieczór?

– Nie.

– Chcemy obejrzeć nowy film o Jamesie Bondzie. Może się przyłączysz?

– Nie. – Właściwie to chętnie bym się z nimi wypuściła. – A może?

– Wstawaj! Co ci szkodzi? Tkwisz tu od sześciu godzin.

– Twoim zdaniem, kino mnie rozrusza? Będziemy wraz z Bondem ścigać przestępców?

– Przynajmniej zwleciesz się z kanapy, żeby przejść do samochodu.

Ma rację, ale w tej chwili wydaje mi się, że to zbyt duży wysiłek. Stojąc pod prysznicem, staram się nie zwracać uwagi na zielonobrazowe smugi brudu widoczne tu i ówdzie na mojej wannie. Jutro posprzątam i już.

Mark przyjeżdża za kwadrans dziewiąta. Opuszcza szybko nowiutkiej dwudrzwiowej hondy civic, a Sam całuje go w usta. Jeśli zamierzają obmacywać się przez cały wieczór, usiądę osobno. Wciskam się na tylne siedzenie i walczę z pasem bezpieczeństwa zwiniętym jak bandaż, wspominając sprzeczkę usłyszaną niedawno przez cienkie ściany. Sam powiedziała mi później, że wcale się nie kłócili, tylko prowadzili rzeczową dyskusję.

Sam: Dwudrzwiowe auto? Czy mamy po szesnaście lat.

Mark: Po co czterodrzwiowe? Czy jestem trzydziestopięcioletnim ramolem?

I tak przez całą noc – dwoje drzwi, a może czworo; czworo czy jednak dwoje. Stara śpiewka powtarzana uporczywie do rana nie pozwoliła mi zasnąć

(bo musiałam siedzieć na łóżku wyprostowana, z uchem przytkniętym do ściany), aż w końcu dopadłam biurka, żeby napisać petycję do Hondy: niech zaczną produkować trzydrzwiowe auta, bo wtedy Sam i Mark może się wreszcie zamkną.

Nadepnęłam na stare, zgniecione opakowanie po hamburgerach. Śmierdzi jak zepsute warzywa. Sam mu na to pozwala?

– Trzeba pojechać do myjni – mówi Sam i węszy. Dwoma palcami podnosi opakowanie po big macu, jakby to była brudna pielucha, i składa je w niewielki pakiecik.

– Dobra, mamuśka – odpowiada Mark i włącza radio. Moim zdaniem, nie jest w stanie dłużej tolerować takiego marudzenia. Ciekawe, czy ma ochotę wysmarować jej klop tłuszczem, na którym w McDonalddie smaży się frytki.

– Nie bądź chamem – odcina się Sam.

Rozparta na tylnym siedzeniu, czuję się jak ich dziecko.

– Daleko jeszcze? – pytam.

– Za chwilę będziemy na miejscu – uspokaja Mark.

Wjeżdżamy na parking multipleksu, w którym są dwadzieścia cztery sale kinowe. Stoi tu już z tysiąc aut. Jak widać, nie tylko my wpadliśmy na pomysł, żeby obejrzeć film i pogapić się na gwiazdy. Dlaczego ludzie nie mają własnego życia? Parkujemy na szarym końcu, wciśnięci między dwa samochody.

– Dlaczego nie zatrzymałeś się przed kinem? Mogłyśmy tam wysiąść – mówi Sam.

– Przepraszam, zapomniałem – odpowiada Mark.

Szkoda, że nie wysadził nas wcześniej. Teraz powinien skombinować jakiś pojazd.

Właściwie można by na tym zrobić niezły interes: wózki kursujące po parkingu, żeby ludzie łatwo mogli dotrzeć do wejścia – całkiem jak w Disneylandzie. Z drugiej strony jednak taki pojazd musiałby często przystawać, bo co chwila ktoś by wsiadał i wysiadał, więc jazda by się przedłużała. Chyba lepiej przejść ten kawałek.

– Pospieszcie się, dziewczyny, już się spóźniliśmy – nalega Mark. Właściwie zwraca się do mnie, bo wlekę się okropnie. Chodzę wolniej od innych, ale czy to moja wina, że kurduple mają krótsze nogi? Gdyby zatrzymał się przed drzwiami jak prawdziwy dżentelmen, zdążyłybyśmy już kupić bilety.

Multipleks majaczy w oddali jak zamek Kopciuszka. Trzy imponujące postaci z kreskówek Disneya wirują nad wejściem. Dalej też nie brak mocnych wrażeń, bo z sufitu zwisa olbrzymi nietoperz, którego mała, naiwna dziewczynka natychmiast by się przestraszyła. Bilety kupione, więc stajemy w kolejce po popcorn. Sam i Mark proszą o dietetyczne żelki i colę light. Nudziarze! W takim kinie trzeba chrupać popcorn. Równie dobrze mogliby pójść na mecz baseballowy i zrezygnować z hot doga. Wtedy cała wyprawa traci sens.

– Usiądźmy wreszcie – mówi Sam.

Odchodzą, trzymając się za ręce.

– Poproszę mały popcorn z dodatkową porcją masła i sok pomarańczowy – mówię do nastolatki z kolczykiem na łuku brwiowym i jaśmutkimi włosami.

– Chce pani powiększyć napój? Drugi otrzyma pani gratis. Wystarczy przyjść z kubeczkiem.

Pani? Jaka pani! Co tak oficjalnie?

– Nie, dziękuję. – Nawet małe porcje są tu ogromne.

– Dopłaci pani tylko trzydzieści pięć centów – kusi smarkuła z kolczykiem.

– No dobra. – Trzydzieści pięć centów nie majątek.

– Proszę wziąć duży popcorn. Dopłata wynosi jedynie sześćdziesiąt pięć centów.

– Nie, dziękuję.

– Ale drugi sok będzie gratis. Proszę tu po niego wrócić.

Ciekawe, kiedy mam przyjść, jeżeli seans zaczyna się za pół minuty. Ale dają za darmo, więc trzeba brać. Przyjdę z kubeczkami po seansie. Zabiorę go do pracy jako drugie śniadanie.

Smarkula z kolczykiem podaje mi dwa ogromniaste kartonowe opakowania: kubek z napojem większy niż duży sok i pudełko z popcornem wielkie niczym wiadro.

Ojej, moje ukochane czerwone porzeczki!

– Jeszcze to, dobrze?

– Oczywiście, proszę pani. Razem piętnaście pięćdziesiąt.

Piętnaście dolców i pięćdziesiąt centów? Moja przekąska kosztuje dwa razy więcej niż bilet do kina.

O rany, muszę zrobić siusiu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jak teraz pójde do klopa, nie będę musiała wychodzić w połowie filmu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Problem w tym, że przypominam jucznego wielbłąda. Ciekawe, w jaki sposób mam się wcisnąć do maleńkiej kabiny z wiadrem popcornu, kobiałką porzeczek i kubłem soku pomarańczowego tak, żeby niczego nie rozlać ani nie rozsypać.

Pierwsza lekcja, której udzielił mi Jeremy, dotyczyła wkładania słomki do kubka z napojem: należy to zrobić dopiero po zajęciu miejsca, bo płyn się ulewa. Proste, nie? A jednak nim zaczęłam z nim chodzić, często wychodziłam z kina w dzinsach poplamionych sokiem pomarańczowym.

Z kolei ostatnia udzielona przez niego życiowa lekcja zniechęciła mnie do spotkań z popapranymi egoistami. I tak trzymać.

W sali jest ciemno, a na ekranie pojawia się napis z prośbą o wyłączenie telefonu komórkowego, bo widzowie dostaną cholery, jak zadzwoni.

Kurczę blade, jak ich teraz znajdę? Mijam rzędy foteli i czuję się tak, jakbym szukała pilota. Nie ma, nie ma, nie ma... Przede mną ekran.

– Hej, siadać! Proszę odsłonić! Co to za spacery? –Wielki Boże, jakżeby mogli opuścić reklamy! Ale gdzie jest Sam i Mark? Pewnie w ostatnim rzędzie. Chyba ich przeoczyłam.

Nie usiedli na końcu. Zawracam i ruszam znowu ku ekranowi. Sam macha do mnie z pierwszego rzędu.

– Przepraszam, zapomniałam okularów. Mam nadzieję, że będziesz stąd dobrze widzieć.

Zastanawiam się, czy wyjdę na ostatnią chamkę, jeżeli usiądę sama pośrodku sali jak normalny człowiek. A może jakiś potencjalny adorator zobaczy mnie, siedzącą na osobności, i uzna, że jestem mizantropką przychodzącą do kina, żeby kogoś poderwać, albo, co gorsza, pomyśli sobie, że wyrwałam się na parę godzin z nędznego mieszkania śmierdzącego kocimi siuškami. No i co teraz robić?

– Usiądę pośrodku – mówię szeptem do Sam. Jestem dużą dziewczynką. Nie potrzebuje towarzystwa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obok tamtej blondynki jest wolne miejsce. Ruszam śmiało w jej stronę.

– Hej, siadać! Proszę odsłonić! Co to za spacery?

Opadam na fotel, próbując mądrze rozmieścić moje zapasy żywności. Jeremy i ja zawsze siadaliśmy obok przejścia. Aha, poprawka: on tam zasiadał. Potrzebował dużo wolnej przestrzeni, żeby wyciągnąć nogi. Rzecz jasna, ani razu nie zapytał, czy chciałabym zająć to miejsce. Zawsze miałam za sąsiada

jakiegoś czubka, który zajmował cały podłokietnik. To ja dostawałam gęziej skórki, gdy jego ramię ocierało się o moją rękę. Odpowiedzcie mi na takie pytanie: skoro jest tylko jeden podłokietnik na dwie osoby, czemu widz zajmujący sąsiednie miejsce zwykle rości sobie prawa do całości?

Dobrze, że przynajmniej ta blondynka nie ogranicza mi życiowej przestrzeni, tylko migdali się ze swoim chłopakiem. Nie widzę jego twarzy, ale ona to prawdziwa laska z burzą lśniących jasnych włosów. Robię, co w mojej mocy, żeby nie czuć do niej nienawiści.

Muszę zrobić siusiu. Powinnam wstąpić do toalety, nim zaczął się seans.

O kurczę, ten Pierce Brosnan to ekstra facet. Natalie mówi, że zbyt dobrze się prezentuje. O co jej właściwie chodzi? Podobno nie zamierza pokazywać się z mężczyzną bardziej urodziwym od niej. Tak mówiła. Nie znosi, gdy wchodzi razem do restauracji i wszyscy gapią się na niego, a nie na nią. Chciałabym mieć takie problemy.

Ale ciao! Chyba zaproponuję w pracy, żebyśmy zaczęli wydawać powieści szpiegowskie. Muszę iść do toalety.

Wiercę się, zakładając nogę na nogę. Z niewiadomych powodów nadal sącę napój. Chyba zacznę urabiać szefostwo, żeby na okładce naszej nowej serii szpiegowskiej pojawił się Pierce Brosnan. Rzecz jasna, nie raczą mnie zaprosić na sesję zdjęciową. Śliczna tleniona blondynka typowana na partnerkę w ogóle mu się nie spodoba, natomiast ja przypadkiem będę tamtędy przechodziła, a Pierce spyta nagle z brytyjskim akcentem tym swoim lekko schrypniętym głosem:

– Kto to?

– Ona? – zdziwi się Helen (jest tylko redaktorką serii, więc nie wiem, czy się załapie na sesję zdjęciową). – Ależ to tylko redaktorka!

Wszystko będzie idealnie zsynchronizowane w czasie, więc z kolei ja zapytam:

– Chodzi o mnie?

Pierce z zapalem pokiwa głową, wyciągnie po mnie swoje cudowne, mocne ramiona i zaczniemy pozować. A gdy powiew z dmuchawy rozwieje mi włosy, on się do mnie odwróci i zapyta:

– Chcesz być kolejną dziewczyną Bonda?

Zagram specjalistkę od DNA, która biega po szpitalu w Skąpej białej bluzeczce i obcisłych spodniach.

Rany boskie, na ekranie pokazał się wodospad! Nie wytrzymam. Muszę iść do toalety. I to natychmiast!

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

– Hej, siadać! Proszę odsłonić! Co to za spacer?

Pędzę do damskiej łazienki i wpadam do pustej kabiny. Starannie układam na desce kawałki papieru toaletowego.

Ulżyłam sobie i nagle... szuuuuuu! Publiczne toalety mają jakiś feler. Zanim człowiek wstanie, uruchamia się spluczka. Jak mam zostać dziewczyną Bonda, skoro nie potrafię dać sobie rady z taką drobnostką?

Wchodzę do sali i skradam się do swego fotela (Hej, siadać! Proszę odsłonić! Co to za spacer?). Kusi mnie, żeby wypytać blondynę, co się zdarzyło podczas mojej nieobecności, ale zwalczam pokusę. Mogłaby sobie ubzdurać, że chcę się zaprzyjaźnić, co zresztą wcale nie byłoby takie złe, bo pewnie wszyscy faceci na nią lecą i odrzuconych wielbicieli nie brakuje. Zapomnij! Niech sobie nie myśli, że jestem namolną panną pozbawioną własnych znajomych. Jeszcze uzna, że straciłam już wszelką nadzieję. Niedoczekanie!



Gdy na ekranie pojawia się lista płac, zrywam się z fotela. Muszę natychmiast opuścić salę i stanąć w kolejce po darmowy napój. Jak się należało spodziewać, wmusiłam w siebie zaledwie ćwierć kubła, lecz skoro zapłaciłam, muszę wziąć co moje. Niech to cholera...

– Jackie?

Odwracam się w stronę sąsiadów i widzę, jak Andrew MacKenzie odrobinę piegowatym ramieniem obejmuje blondynkę, która obrzuca mnie taksującym spojrzeniem, jakby myślała: Aha, tak wygląda dziewczyna bez przyjaciół.

– Cześć, Andrew. Wyglądam na samotniczkę, ale prawda jest taka, że przyszedłam ze znajomymi. Usiedli w pierwszym rzędzie, ale mnie zabolął kark... – Oboje patrzą na mnie z jawną obojętnością.

Andrew na pewno doniesie Jeremy'emu, że poszłam sama do kina w sobotni wieczór. Chyba przy wyjściu rzucę się pod dwudrzwiową hondę civic Marka.

– Co słyszeć? – Uśmiecha się, gestem dając mi do zrozumienia, żebym ruszyła do przejścia między fotelami,

– Posłuchaj, naprawdę jestem tu z przyjaciółmi. – Nie ruszę się stąd, póki Sam i Mark do mnie nie podejną. Muszę udowodnić, że nie przyszedłam sama.

– Jackie, to jest Jessika. Jessiko, przedstawiam ci Jackie. – Podaje mi dłoń ozdobioną nienagannym francuskim manicure. Jessika. Pasuje do niej to imię. Wygląda jak Jessika Lange. Jest na co popatrzeć.

Co to za dziewczyna? Dlaczego nie wspomniał, że kogoś ma? Prawda, w „Orgazmie” nie dałam mu sposobności do zwierzeń.

Sam i Mark są już przy drzwiach. Cholera jasna! Poszli z drugiej strony.

– Cieszę się, że was spotkałam, ale muszę lecieć – mówię, żeby nie przedłużać żalostnego widowiska, i wybiegam z sali. Przy stoisku z popcornem

nie ma kolejki... bo jest zamknięte. Wstrętne oszustwo. Powinni tego zabronić. Nie nadaję się na dziewczynę Bonda.

- Przeprowadzę auto – słyszę znajomy głos.
- Jakiś ty kochany, Mark.
- Jestem Miś, Duży Miś.

Wszystko jedno. I tak nie chciałabym zostać dziewczyną Bonda, bo nienawidzę srebrnych obcisłych spodni.

Brak wiadomości. Nie sądziłam, że będzie inaczej, ale na wszelki wypadek trzeba sprawdzić. Nie zadzwonił w sobotę wieczorem. Gdyby się odezwał, to by oznaczało, że, jego zdaniem, siedzę w domu i poza czekaniem na telefon nie mam nic lepszego do roboty. Zresztą z jakiej racji sobotni wieczór miałby spędzać w domu? I Bogu dzięki, że się dziś nie odezwał, bo lepiej unikać przegranych facetów.

Teraz kąpiel. Przeraza mnie trochę zielonkawy osad wokół odpływu. Muszę posprzątać łazienkę. Gdzie środki czystości? Czemu Sam je zabrała? Przysięgam, że jutro się do tego wezmę. Nawet budzik nastawię. Pobudka o dziewiątej. No dobra, o dziewiątej trzydzieści. O dziesiątej.

Drrrrrrrrrr... Jest dziewiąta pięćdziesiąt siedem, a w rzeczywistości dziewiąta czterdzieści osiem. Jeszcze trzy minuty snu. Nie odbieram. Spadaj, tatau. Wyłączam telefon i budzik.

Kurde. Jest dwunasta czterdzieści. Muszę posprzątać łazienkę. Chwileczkę, mam wiadomość. Nie zostawił jej tata. Identyfikator abonenta informuje: nieznany. Jakiż to gruboskórny idiota dzwoni w niedzielę o dziewiątej pięćdziesiąt siedem?

– Jackie, mówi Jonathan Gradinger. Mój numer: 555-28-54. Zadzwoń w wolnej chwili. Zadzwoń w wolnej chwili.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### *Przegarnij własną czuprynę, czyli łapy przy sobie!*

Tak! Zadzwoił. Tak! Tak! Tak! Bogu dzięki, że nie odebrałam, gdy byłam zaspana, bo mogłabym palnąć jakieś głupstwo. Jeszcze bym mu powiedziała, że jest przecudowny. Czemu zadzwonił tak wcześnie? Chyba mnie lubi. Jestem mu naprawdę bliska, skoro pomyślał o mnie zaraz po przebudzeniu. Załóżmy, że ocknął się pół do dziesiątej. Z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjmuję, że zwykle wstaje o tej porze. A może obudził się o ósmej i zaraz pomyślał o mnie, więc postanowił trochę pobiegać, bo... roznosiła go energia. Daremnie walczył z naturalnym instynktem, a gdy został pokonany, zadzwonił do mnie.

Boże drogi! A jeśli chce się ze mną spotkać dziś wieczorem? Może zaproponuje, żebyśmy spędzili razem ten dzień? Wyobraźmy sobie, że oddzwonię, a on zapyta, czy może zaraz po mnie przyjechać, bo mamy zjeść razem obiad, a gdy tu wpadnie, będzie musiał skorzystać z łazienki. Trzeba natychmiast posprzątać, a potem do niego zadzwonię.

Wchodzę do łazienki. Włosy utworzyły na terakotowej podłodze istny dywan.

– Sam! – wrzeszczę bliska płaczu. – Ratunku! Jak to się robi?

Pięć sekund później Sam wpada do łazienki w pełnym rynsztunku, wyposażona w płyn do mycia, żółte rękawice i szczotkę, która, moim zdaniem, służy do mycia klopa, ale nie jestem tego pewna.

– Dlaczego ja takiej nie mam? – wypytuję.

– Bo się jej nie sprzedaje z sedesem, tylko osobno, jak baterie łazienkowe, mój kochany brudasie.

– Rozumiem. Stokrotne dzięki.

– Nie sprzątnę za ciebie, tylko pokażę, jak się do tego zabrać.

– Aha.

Po upływie pół godziny i zużyciu połowy płynu oraz dwu rolek papierowych ręczników jestem zadowolona z efektów.

Teraz mogę do niego zadzwonić. Może na popołudnie zaplanował piknik. Będziemy pić szampana, jeść truskawki oraz maleńkie kanapeczki z tuńczykiem. Moment, trzeba się najpierw doprowadzić do porządku. Na razie kłaki sterczą mi na wszystkie strony. Czuję się jak Pippi Langstrump. Biorę prysznic, suszę włosy i wyciskam z tubki resztki korektora. Jeszcze odrobina szminki. Wkładam szlafrok. Nie mogę się ubrać, póki nie wiem, dokąd idziemy. Uff.

Ponownie słucham wiadomości:

– Jackie, mówi Jonathan Gradinger. Mój numer: 555–28–54. Zadzwon w wolnej chwili. Zadzwon w wolnej chwili.

Nie mam pojęcia, czemu dwukrotnie powtórzył ostatnie zdanie. Wiadomość od niego przypomina mi te zostawiane przez babcię Wendy podczas naszych studiów w Penn: Vendy, dzwoni babunia. Odezwij się do swojej babci. Odezwij się do swojej babci.

Zapisuję numer i dzwonię.

– Cześć – słyszę jego cudowny, seksowny głos. O Boże, rozmawiam z Jonathanem Gradingerem.

– Cześć, Jonathan.

– „Mówi Jonathan Gradinger. Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę podać nazwisko i numer. Postaram się wkrótce oddzwonić. Bardzo proszę o podanie nazwiska i numeru. Postaram się wkrótce oddzwonić. Życzę miłego dnia.”

Znowu powtórzenie. To powinna być dla mnie wskazówka, ale czy przypadkiem nie jestem uprzedzona? Przecież takie nawyki dodają ludziom uroku.

Na razie mam zamęt w głowie. O Boże, pogadałam sobie z automatyczną sekretarką Jonathana Gradingera! Przed czterdziestoma ósmioma godzinami w głowie by mi nie powstało, że będę prowadzić taką rozmowę. Gdyby chiromantka powróżyla mi z ręki i stwierdziła, że za parę dni dostanę domowy numer telefonu Jonathana Gradingera (nie ma porównania z komórką; numer domowy to częśćka jego prywatności), z pewnością bym jej nie uwierzyła.

Chwileczkę, skąd pewność, że dzwonię do domu?

Piii. Muszę zostawić wiadomość. Piii.

Mam pustkę w głowie. Nie wiem, co powiedzieć. Sok z żuka... sok z żuka? Gapię się na słuchawkę i w końcu ją odkładam. Moja wina. Powinnam to przewidzieć i odpowiednio się przygotować. Gdzie czerwony cienkopis? Dobra, powinno być krótko i zwięźle.

Witaj, Jonathanie. Mówi Jacquelyn... Zbyt oficjalnie.

Cześć, Jon. Tu Jack... Nie przesadzać ze skrótami. Przecież nie rozmawialiśmy jeszcze przez telefon, więc jak usłyszy imię Jack, może uznać, że dzwonił facet.

Mija kwadrans; wciąż zmagam się z tekstem.

– Twoja łazienka po prostu błyszczy! Jestem zachwycona! – woła Sam, a ja natychmiast się dekoncentruję. –Jackie, gdzie jesteś?

– W moim pokoju.

– Co robisz? – Wchodzi z ociąganiem, jakby obawiała się, że jakaś żywa istota wyskoczy z przepełnionego kosza na brudy i rzuci się na nią.

– Układam odpowiedź. – Streszczam jej sytuację.

– No dobra – mówi. – Co sądzisz o tym: Cześć, Jonathan, tu Jackie. Odsłuchałam twoją wiadomość. Zadzwoń w wolnej chwili.

– Och, to genialne. Jak tam szło po słowie „wiadomość”? Dyktuj wolno, żebym zdążyła wszystko zapisać.

– Odbiło ci.

– Mniejsza z tym. Już pamiętam.

– Uaktywniłaś podgląd połączeń oczekujących i przełączanie rozmowy?

– Po co?

– A jeśli zadzwoni, kiedy będzie zajęte? Za pierwszym razem mu się nie udało, bo wyłączyłaś telefon.

– Aleś ty sprytna! Byłabyś supersinglem.

– Dzięki za komplement, ale ta fucha mi nie odpowiada.

Wybieram odpowiednią kombinację klawiszy i naciskam guzik powtórzenia ostatnio wybranego numeru. Sam trzyma mnie za rękę, bo potrzebuję moralnego wsparcia.

– Cześć. Mówi Jonathan Gradinger. Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę podać nazwisko i numer. Postaram się wkrótce oddzwonić. Bardzo proszę o podanie nazwiska i numeru. Postaram się wkrótce oddzwonić. Życzę miłego dnia.

Starając się nadać głosowi całkiem naturalne brzmienie, odczytuję nagryzmołoną odpowiedź i ostrożnie odkładam słuchawkę.

Teraz pozostaje mi tylko czekać. Hm, hm, hm. Jak zabić czas? Jakim cudem Jonathan zabierze mnie na piknik, skoro jeszcze nie dzwonił?

– Muszę się czymś zająć. Sam, masz jakieś plany na dziś?

– Będę poprawiać zadania domowe.

– Uczysz czwartą klasę, prawda? Zadajesz im do domu?

– Muszą od czasu do czasu odrabiać pracę domową.

- Chodźmy na zakupy.
- Nie mogę. Jestem splukana.
- Racja, ja też. Nie chcesz się powłóczyć?
- Oglądanie wystaw działa na mnie przygnębiająco.

Ach, w takim razie pooglądam telewizję. Jonathan wkrótce zadzwoni.

Szósta godzina. Ani słowa od Jonathana.

Siódma godzina. Pewnie wybrał się gdzieś po południu.

Ósma godzina. Bez wątpienia już wrócił do domu. Teraz włącza telewizor i szykuje się do oglądania kolejnego odcinka „Rodziny Simpsonów”.

Ostatnia scena. Wkrótce zadzwoni.

Koniec odcinka. Za moment usłyszę dzwonek. Śmiało, łap za telefon, nie bądź taki nieśmiały.

Dochodzi jedenasta, koniec czekania. Nie cierpię Jonathana Gradingera. Zapewne poznał dziś fajną pannę, stracił dla niej głowę, a o mnie zapomniał. Nikt mnie już nie pokocha. W ciągu dnia będę pracować, wieczorami pogapię się w telewizję, a w sobotnie wieczory będę chodzić do kina – samotnie.

Następnego dnia w wydawnictwie staram się zredagować powieść do końca, ale po każdym rozdziale dzwonię do domu, żeby sprawdzić, czy telefonował.

– Nie ma żadnej wiadomości – mówi ta dziwka, automatyczna sekretarka.

Wracam do domu w paskudnym nastroju. Ale cóż to? Stojąc w drzwiach, widzę migającą czerwoną lampkę. Wchodzę do mieszkania w butach (szkoda mi czasu na ich zdejmowanie, choć Sam gotowa mnie ukatrupić). Błagam, niech to nie będzie Janie, błagam, niech to nie będzie Janie, błagam, niech to nie będzie...



– Cześć, Jackie, tu ponownie Jonathan Gradinger. Zadzwoń do mnie. Podaję numer do pracy: 555–94–78. Podaję numer do pracy: 555–94–78.

Tym razem nie zwlekam, nie szoruję łazienki, nie piszę tekstu czerwonym cienkopisem. Nieważne, że łóżko jest rozbebeszone. Dzwonię natychmiast do Jonathana.

- Klinika Dartmouth – słyszę kobiecy głos.
- Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z doktorem Gradingerem?
- Pani godność?
- Jackie.

Mimo wszystko nie podobają mi się te jego powtórzenia w odebranych wiadomościach. Przecież automatyczną sekretarkę wymyślono między innymi po to, żeby odtwarzać nagranie, ile razy ma się na to ochotę. Mogłabym w nieskończoność słuchać wiadomości od Jonathana.

– Jak nazwisko? – Aha, ta baba niewątpliwie rości sobie jakieś prawa do mojego Jonathana. Może i słusznie? A jeżeli to z nią szlajał się wczoraj wieczorem? – Halo? – rzuca trochę zniecierpliwiona.

– Norris. Jestem znajomą pana doktora. Dzwonił do mnie i prosił, żebym się odezwała.

- Proszę zaczekać.

W słuchawce leci muzyka. Ciekawe, jaką randkę planuje Jonathan. Na tej podstawie wiele można powiedzieć o facecie. Kolacja oznacza, że nie ma obaw i jest gotów na wszystko.

– Jackie? – słyszę jego cudowny, zmysłowy głos. Jeśli zaproponuje, abyśmy poszli na kawę, będę wiedziała, że tchórzy.

- Jonathan! Cześć!
- Miło cię słyszeć.
- Cieszę się, że zadzwoniłeś.

– Przecież mówiłem, że się odezwę. – Wybucho śmiechem. Ale zaproszenie do kawiarni bywa także oznaką wrażliwości.

– Wiem. – Zaproszenie na drinka jest najlepszym rozwiązaniem. Taka moda.

– Jak minął weekend? – pyta Jonathan.

– Dobrze, dzięki. A tobie?

– Wspaniale. – Wspaniale? Jak to? Niby dlaczego? – Co robisz w czwartkowy wieczór?

– Nic. Dlaczego pytasz? – Co ja gadam? Nie mogę uwierzyć, że zadałam takie głupie pytanie! Czasami wygaduję takie bzdury, że to się w pale nie mieści.

– Miałem nadzieję, że obejrzymy razem „Mieszkanie”.

I tu mnie zaskoczył. Bilety na „Mieszkanie” kosztują masę forsy, a poza tym dawno zostały wyprzedane.

– Z przyjemnością.

– Doskonale. Przedstawienie zaczyna się punkt ósma. Przyjadę po ciebie o szóstej trzydzieści, pójdziemy coś przekąsić, zgoda?

– Doskonały pomysł.

– Zadzwoń do ciebie w środę, żeby dogadać szczegóły

– Świetnie.

– Wspaniale. Miłej pracy.

– Nawzajem.

Koniec połączenia. Gapię się na słuchawkę, a potem ostrożnie ją odkładam. Zdejmuję buty i stawiam przy drzwiach, aby Sam nie odkryła, że biegałam w nich po mieszkaniu.

Tak! Jestem niemal pewna, że randka w teatrze oznacza poważniejsze zaangażowanie niż wyprawa na drinka. O mój Boże! Na dobrą sprawę jestem zaręczona.

– Moim zdaniem, rzecz jest grubymi nićmi szyta –mówi Wendy. – Kupił bilety, nim cię zaprosił?

– Na pierwszej randce chce zrobić dobre wrażenie.

– A jeśli miał pójść w innym towarzystwie?

– Próbuje mnie olśnić.

– I dlatego bez pytania uznał, że się zgodzisz? A gdybyś nie mogła? Zaprosiłby kogoś innego? Bilety są po dwieście dolców!

– Jest lekarzem. Stać go na taki wydatek, nie?

– To ortopeda, a właściwie spec od stóp. Nie jest prawdziwym lekarzem. Nie sądzisz, że może oczekiwać dowodu wdzięczności, skoro wyłożył lekką rączką dwieście kawałków?

– Wen, z pewnością nie uważa mnie za sprzedajną panienkę.

– Mimo to miej się na baczności.

– Serdeczne dzięki, dodałaś mi otuchy. Lepiej zadzwonię do osoby, która nie ma węża w kieszeni.

– Pa.

– Pa.

Odkładam słuchawkę. Jeszcze trzy dni i zaczniesz się dla mnie prawdziwą miłość. Czy mam się ubrać jak dziewczyna z sąsiedztwa w typie Sandry Bullock, czy raczej wzorować się na paradującej bez majtek Sharon Stone.

Zaledwie trzy dni minęły od zerwania, a już wybieram się na randkę. Czy od czasu, gdy wypadłam z gry, zasady bardzo się zmieniły?

Spróbować prozaku? Och, żartuję, nie biorę prochów... przynajmniej na razie. Czy powinnam go zaprosić do siebie na kawę i wspólne oglądanie telewizji? A może na telewizję i na noc? Lub na kawę, telewizję i na noc.

Zrobić pierwszy krok czy udawać niezdożyta? Co radzą kolorowe czasopisma? Wskazówka numer dwa brzmi: w czasie pierwszej randki dziewczyna powinna zachować dystans i otoczyć się aurą tajemniczości, aby mężczyzna pragnął dowiedzieć się jak najwięcej o siedzącej przed nim zagadkowej istocie. Inaczej mówiąc, powinna być zołą.

Odczuwam narastające latami napięcie wywołane lekturą sprzecznych wskazówek dotyczących pierwszego spotkania. Próbuję sobie przypomnieć, jak to było ze mną i Jeremym.

Muszę wysilić pamięć. To dobry znak.

Za pierwszym razem zaprosił mnie do restauracji hotelu Motley. Nie sądzę, żeby na wszelki wypadek zarezerwował także pokój. Nim zamówił butelkę wina, spytał mnie, jakie wolę. Zdecydowałam się na białe, ponieważ czerwone przebarwia zęby. Człowiek sprawia wrażenie, jakby powinien natychmiast odwiedzić dentystę i usunąć kamień nazębny.

Muszę przyznać, że mam bzika na punkcie uzębienia. W szkole średniej przez trzy i pół roku nosiłam aparat ortodontyczny. Zapewne ustanowiłam rekord. Kiedy zdjęto mi aparat, wszyscy pracownicy mojego upartego ortodonta bili brawo, a ja przysięgłam sobie, że przenigdy nie narażę na szwank moich prościutkich ząbków, lśniących niczym perły, co oznaczało i nadal oznacza, że nie palę, nie piję czerwonego wina, unikam curry i nie jem spaghetti z sosem pomidorowym. Nadal raz w tygodniu, w niedzielny wieczór zakładam aparat i będę to robić, póki nie wyjdę za mąż, co zresztą nie było moim pomysłem; ortodonta postawił taką cezurę.

Jeremy od razu spostrzegł, że spoglądałam tęsknie na brushettę, którą uwielbiam, więc bez pytania ją dla mnie zamówił. Gdy przyniesiono rachunek, demonstracyjnie sięgnęłam po torebkę. Wiadomo, o co chodzi: daję do zrozumienia, że wyciągam portmonetkę i wykładam kasę. Jeremy położył na stoliku kartę kredytową.

– Nie, pozwól, że zapłacę – powiedział.

Szczerze mówiąc, odetchnęłam z ulgą, bo gdybym miała uregulować połowę rachunku za tamtą kolację, co najmniej przez miesiąc żywiłabym się potem zupą mleczną.

– Zgoda, ale następnym razem ja stawiam – odparłam z uśmiechem, co było genialnym posunięciem, bo w ten sposób sugerowałam, że spotkamy się znowu.

Zresztą gdybym istotnie musiała zapłacić, to następna randka odbyłaby się w McDonalddie.

Przysięgam, że po tamtej wystawnej kolacyjce na nic mu nie pozwoliłam. Uprzejmie podziękowałam za miłe spotkanie i pocałowałam go w policzek. No i klops! Zepsuła mi się automatyczna sekretarka. Potem dowiedziałam się od niego, że dzwonił i zostawił wiadomość, której rzecz jasna nie odebrałam. Z pewnością uznał, że jestem okropnie zajęta albo całkiem obojętna, albo w ogóle mi na nim nie zależy, podczas gdy ja zadręczałam się, jak zwykle analizując randkę z bolesną dokładnością.

Czyżby uznał mnie za paskudnego łakomczucha, bo pożerałam wzrokiem brushettę? Markowaną próbę sięgnięcia po torebkę potraktował jako oszustwo? Przejrzał mnie, kiedy oznajmiłam, że następnym razem ja płacę? Dopiero kiedy uświadomiłam sobie, że od trzech dni nikt, nawet Janie, nie zostawił mi wiadomości, stało się jasne, że automatyczna sekretarka musi być zepsuta.

Natychmiast zainwestowałam w telefoniczny cud techniki z elektroniczną nagrywką wmontowaną w aparat.

Mój kolejny problem polegał na tym, że nie miałam pojęcia, czy Jeremy dzwonił, czy też nie. Wydedukowałam, że skoro widzieliśmy się w sobotę, a jest czwartek, to gdyby rzeczywiście mu na mnie zależało, pewnie już by zadzwonił i zostawił wiadomość.

Postanowiłam zaryzykować, więc zatelefonowałam i od razu usłyszałam, że był zmartwiony, bo nie miał pojęcia, co się ze mną dzieje. Zostawił aż dwie wiadomości! W przypiływie natchnienia oznajmiłam, że bardzo mi przykro, ale nie dzwoniłam, ponieważ byłam strasznie zajęta. Odparł, że nic nie szkodzi, i zapytał, co sądzę o jego pomysłe. A ja na to, że dla mnie bomba (choć nie miałam pojęcia, w czym rzecz).

Okazało się, że proponował wyprawę do kina w piątkowy wieczór. Godzinę wcześniej obiecałam Wendy, że pójdę z nią na imprezę. Trzymałam ją w niepewności przez cały tydzień, bo czekałam na telefon Jeremy'ego.

– W piątek jestem zajęta. – Niech to jasna cholera! Wskazówka kolorowych czasopism numer jeden: pod żadnym pozorem nie wystawiaj do wiatru najlepszej przyjaciółki z powodu faceta.

– A sobota? Masz wolny wieczór?

– Owszem, to mi pasuje – powiedziałam, nagle zdając sobie sprawę, że całkiem nieświadomie stosuję się do rad gazetowych psychologów, i co ważniejsze, przynosi to spodziewane efekty.

Słyszałam, że Jeremy potrafi sobie każdą owinąć wokół palca, a tymczasem moje świeżo odkryte poczucie niezależności (nawiasem mówiąc zupełnie przypadkowe) powaliło go na kolana. Gdybym zachowała dystans i okazywała mu obojętność, w moim życiu nie byłoby rozdziału pod tytułem „Jeremy”. Albo gdybym dłużej udawała chłodną i niedostępną, nadal wielbiłby

mnie na kolanach. Niestety, w telefonicznych cudach techniki automatyczne sekretarki nigdy się nie psują.

Gdy po raz pierwszy umówiłam się z Jeremym, miałam na sobie zwykłe czarne spodnie i sweterek w kolorze bordo. Pierwsza randka z Jonathanem wymaga bardziej wyrazistej oprawy. Poza botkami do kolan nie mam niczego, co by mnie upodobiło do Sharon Stone. Zresztą Jeremy już mnie w nich widział. Poprawka: oczywiście Jonathan mnie w nich widział. Jonathan! Zresztą, moim zdaniem, w długich butach nie chodzi się do teatru.

Muszę zajrzeć do „Cosmopolitan”. Chyba czekają mnie spore zakupy.

W czwartek przyszło zestawienie transakcji z karty Visa. Ojej. Ojej! Nie ma mowy o nowych ciuchach. Włożę czarne spodnie i bordowy sweterek, które miałam na sobie na pierwszej randce z Jeremym.

W środę zrozumiałam, że nie mogę się tak ubrać, ponieważ to będzie zła wróżba. Przyjęłam rozwiązanie kompromisowe: kupię jedną rzecz. Włożę nowy sweterek oraz czarne spodnie. Są naprawdę super. Kiedy mam je na sobie, mój tyłek wydaje się mały i zgrabny. Lekko się rozszerzają, ale bez przesady. Kosztowały tyle samo co seria wizyt u ortodonty.

W czwartek wychodzę z pracy trochę wcześniej, żeby się przygotować. Czerwony sweterek jest... bardzo podobny do starego, tyle że nowiutki. Czarne spodnie leżą płasko na łóżku jak ubranie dla lalki wyciętej z papieru. Czas zrobić się na bóstwo.

Telefon dzwoni w chwili, gdy maluję rzęsy podkreśnione zalotką.

– Cześć. – To Natalie. – Co wkładasz?

– Czarne spodnie i czerwony sweter.

– Aha.

– O co ci chodzi?

– Wydaje mi się... zresztą mniejsza z tym. Przepadło.



– Co ty gadasz?

– Jonathan na pewno będzie w garniturze. Przecież Wang Center for Performing Arts to jedna z najslynniejszych sal koncertowych, prawda? Moi rodzice poszli tam w ubiegłym tygodniu. Tata był w smokingu.

O cholera!

– Co mam włożyć? Kreację z balu maturalnego? – Ogarnia mnie panika, co słycać w głosie.

– Bez przesady, ale sukienka rzeczywiście byłaby idealna. Nie masz przypadkiem małej czarnej? To uniwersalny strój na wszelkie wyjścia.

Milczę.

– Jak chcesz, pożyczę ci jedną z moich.

Natalie ma z dziewięć kiecek odpowiednich na wszelkie okazje. Dziewięć nienagannie skrojonych sukienek, w które rzecz jasna nie wleżę. Zbiera mi się na płacz. Czuję łzy pod powiekami. Będę czerwona i zapuchnięta, tusz mi się rozmaże, a na policzkach zostaną ciemne smugi.

– Muszę kończyć – mamrocę i odkładam słuchawkę. Co robić? Co robić?

– A niech to jasna cholera! – wrzeszczę.

– Co jest? – Do pokoju wchodzi Sam, moja dobra wróżka. – Odwołał spotkanie?

– Nie, wcale nie odwołał – szlocham.

– W takim razie czemu ryczysz?

– Nie mogę iść w takim stroju! Powinnam włożyć małą czarną, odpowiednią na wszelkie wyjścia, ale nie mam takiej kiecki. – Oddycham głęboko, jakbym rodziła.

– Pożyczę ci swoją, dobra?

Tak! Jednak pójdę na bal! Ciekawe, czemu do tej pory nie przyszło mi do głowy, że mogę pożyczać ciuchy od Sam. Pewnie dlatego, że nigdzie nie

wychodziłam. Kiwam głową, bo nie jestem w stanie wykrztusić słowa. – – Jest kilka możliwości. Ile mamy czasu?

– Dziewiętnaście minut. – Patrzę na zegarek.

– Wystarczy. Ściągaj spodnie, włóż rajstopy i czarne czółenka.

Okropnie marudzę. Przymierzam kolejno sześć kiecek, ale w rezultacie wyglądam jak Gwyneth Paltrow. Mam na sobie szarą suknię tubę i czarny jedwabny szal.

– Teraz fryzura – mówi Sam, upinając mi włosy w elegancki kok. Nagle wydoroślałam i spowaźniałam. Ale numer! Mam dwadzieścia cztery lata i dopiero teraz poczułam się dorosła.

Słyszę dzwonek domofonu.

– Halo?

– Cześć. Tu Jon.

– Cześć, Jon. Już otwieram.

– Poczekaj! – woła Sam, biegnąc za mną z lakierem do włosów. Rozpyła mi go na głowę i twarz.

– Przynajmniej brwi będą wyglądały jak należy.

– Masz torebkę? – pyta Sam. Mój wielki parciany wór z pewnością nie zyskałby uznania w oczach Calvina Kleina. – Chwileczkę, zaraz coś znajdę. – Wyjmuje z szuflady maleńką czarną torebeczkę naszywaną koralikami. – Proszę, weź ją. Zabierz szminkę, zapasowe rajstopy... czyste majtki i szczoteczkę do zębów, na wszelki wypadek – dodaje szeptem.

– Odbiło ci? – odpowiadam cichutko. – Szczoteczka się nie zmieści.

Słyszemy pukanie do drzwi. Uśmiecham się do mego odbicia w lustrze.

– Kto tam? – pytam i czuję się jak kretyńka. Otwieram drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Jonathan w ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i srebrzystym krawacie wygląda jak James Bond. Co za szczęście, że się przebrałam.

Jest super. Na razie randka przebiega bez większych wpadek. Zaledwie kilka nieistotnych drobiazgów może budzić wątpliwości. Ogólnie rzecz biorąc, oscylujemy między prawdziwym ideałem i niemal absolutną doskonałością. Jonathan otworzył przede mną drzwi granatowego bmw. Prawdziwy luksus, zapach skóry. To dobry znak.

– Może być Dave Mathews? – pyta Jonathan, wskazując odtwarzacz kompaktów.

Niech będzie. Mnie tam wszystko jedno.

– Bardzo go lubię – odpowiadam.

– Ja również – cieszy się Jonathan. – Jesteś prawdziwą fanką, czy tylko podoba ci się jego przebój „Crash”?

– Raczej to drugie. – Nie potrafię wymienić innej piosenki Dave'a.

– Ach tak. – Najwyraźniej to zła odpowiedź. – Czy już ci mówiłem, że ślicznie dziś wyglądasz? – mówi Jonathan, otwierając mi drzwi auta także i wówczas, gdy dotarliśmy na miejsce. Coraz lepiej.

Przy wejściu zbliża się do nas przechodzona hipiska z lat sześćdziesiątych. Niesie wiklinowy koszyk pełen czerwonych róż.

– Dzięki, nie trzeba – mówi Jon, obojętnie patrząc na nią kątem oka.

To mi się nie podoba. Wiem, że obsypywanie dziewczyn kwiatami jest staroświeckie, ale chciałabym, aby przynajmniej raz facet do tego stopnia stracił dla mnie głowę, że na widok kwiaciarki z pękiem róż odczuł przemożną chęć kupienia mi jednej róży. Co gorsza, Jon w ogóle nie zwraca uwagi na tamtą kobietę.

Na widowni poprawiam się w fotelu tak, żeby ukryć podwójną fałdę tłuszczu na brzuchu. Kiecka Sam jest trochę za wąska w talii i biodrach. Na

szczęście rajstopy mają obcisłą górę. Jon siada, zakładając prawą nogę na lewą, a ręce kładzie na kolanach.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zacznie się przedstawienie – mówię. – Słyszałam, że jest cudowne. Podobno od kilkunastu lat nie było tak dobrego musicalu.

– Wszystko się zgadza – Jon na to.

– Tak? Widziałeś spektakl?

– Dwa razy. Ciągle słucham płyty ze ścieżką dźwiękową przedstawienia.

Aha.

Bierze mnie za rękę. Jego dłoń jest chłodna. Spojrzał mi prosto w oczy i nuci zmysłowym barytonem: – Czy wiesz, że przy tobie się rozgrzewam?

– Proszę? – Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, ale dla mnie może śpiewać nawet i po japońsku. To bez znaczenia. Mam jeszcze w uszach jego „Summer Nights” ze szkolnego przedstawienia musicalu „Grease”. Jakże mogłabym zapomnieć ten cudowny głos?

– Przegarnij mi dłonią czuprynę...

– Słucham? – Co jest grane?

– To fragmenty piosenek z dzisiejszego spektaklu.

– Aha.

– Zaczyna się. – Jonathan wciąż trzyma mnie za rękę. Chyba jestem zakochana. Naprawdę straciłam dla niego głowę.

Zmieniam zdanie, gdy słuchamy największego przeboju. Aktorzy śpiewają piosenkę „Rozgrzany”. Jon przez chwilę nuci razem z nimi, a potem jego mruzcando nabiera mocy i przechodzi w pełny głos, w głośny śpiew. Podczas spektaklu! Wydiera się na całe gardło w sali koncertowej Wang Center for the Performing Arts! Nie puszczając mojej dłoni, unosi ją do ust niczym mikrofon.

– Moje dłonie na piersiach twych...

Dobra, jedną zwrotkę mu daruję, byle tylko przestał. Natychmiast!

Przymknął się wreszcie. Oto dowód, że Bóg istnieje.

Wkrótce okazało się, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej.

Zabrział duet.

Jon śpiewa jak chłopak: Dlaczego nie nosisz tych spodni skórzanych?

Potem jako dziewczyna: Bo mi to nie leży, kochany.

O nieba, litości!

Siedząca przed nami siwowłosa kobieta odwraca się i przeszywa Jona wrogim spojrzeniem, ale on nie zwraca na to uwagi. Pan w smokingu zajmujący sąsiedni fotel spogląda na niego, jakby miał do czynienia z trędowatym. Para z tyłu chichocze. Ci ludzie nie śmieją się ze scenicznych żartów, nie uśmiechają się do nas. To my ich bawimy.

Męski głos: Lubisz, gdy czasami nabroję? Dziewczęcy głos: Mam słabość do twoich psot. Oj, napsocił, i to bardzo.

– Fantastyczna piosenka – entuzjazmuje się, gdy utwór dobiegł końca. –  
Moja ulubiona będzie w drugim akcie. Słowa znam na pamięć.

Pewnie znów okropnie napsoci.

Na szczęście do końca aktu zachowuje się spokojnie, wyjąwszy głośne oklaski w najmniej oczekiwanych momentach. W czasie przerwy zmykam do łazienki, żeby się ukryć.

Światła przygasają na znak, że wkrótce zacznie się druga część, a ja zmuszona jestem wrócić na swoje miejsce. Ledwie usiedliśmy, Jon chwyta moją rękę i zatacza palcem kółka w jej wnętrzu. Jedno, drugie, trzecie... Splata palce i zacieśnia uścisk.

Dobra, jest chyba bardzo uczuciowy. Trzyma mnie za rękę zbyt mocno, ale wybaczam mu, ponieważ to Jonathan Gradinger. Byle tylko nie ważył się

nigdy śpiewać głośno w miejscach publicznych... Byle tylko nie ważył się nigdy śpiewać głośno w miejscach publicznych, czeka nas długie i szczęśliwe życie.

Ściskam jego dłoń. Pani Jackie Gradinger. Żona Jonathana Gradingera.

Nasze ręce, które spoczywały wygodnie na podłokietniku, niespodziewanie się rozdzielają. Palce Jonathana zataczają kółka na moim udzie.

O, kurczę! Nie bądź taki szybki Bill!

Jego kciuk zbliża się niebezpiecznie do... sekretnych zakątków mojej kobiecości, jak zwykły określać owo miejsce autorki piszące dla „Kupidyna”.

Temu panu już dziękujemy.

Na scenie jedna z postaci umiera. Słuchamy piosenki. Czemu Jonathan nie śpiewa z aktorami? Śmiało, Jon, śpiewać każdy może.

Przesuwam ruchliwą dłoń w stronę kolana.

Jonathan całuje mnie w ucho.

Siwowłosa pani łka cicho. Drżą jej ramiona.

– Jesteś bardzo seksowna – mruczy Jon.

Czuję jego wilgotne usta. Litości!

– Oglądaj spektakl.

– Już go widziałem – szepce. – Wolę patrzeć na ciebie.

W takim razie powinienesz mnie zaprosić na kolację jak normalny facet.

Jon całuje mnie w szyję. Gdy się odsuwam, kładzie rękę na moim udzie.

Aktorzy śpiewają o wzniosłych uczuciach. „Prawdziwa miłość zawsze pasuje jak obcisła rękawiczka”. Jonathan znowu im wtóruje. Prawdziwa miłość?

Kurde, o co chodzi?

Do końca spektaklu trwa monotonna przepychanka. Gdy odsuwam jego rękę, zajmuje się moją szyją. Odsuwam głowę, a dłoń wraca na moje udo. Ten głupek zasłużył na Oscara za wytrwałość... lub za wyjątkowo nieudaną randkę.

Po spektaklu staje się znowu prawdziwym dżentelmenem: przepuszcza mnie w drzwiach i bierze pod rękę. Może jednak nie odwołam ślubu.

– Podobała ci się sztuka? – pyta.

– Bardzo – odpowiadam.

Schodzimy po schodach na kamienny chodnik. Jon obejmuje mnie ramieniem.

– Niewiarygodne, jakim trudnościami stawiają czoło zwykli ludzie: bezdomność, ubóstwo, uzależnienie od narkotyków. To prawdziwa tragedia – dodaje.

– Daj pan trochę drobnych – prosi mężczyzna w podartych dżinsach i brudnej zielonej koszulce, zastępując nam drogę. Jon nie zwraca na niego uwagi. Żeby mi wynagrodzić ten wieczór, będzie musiał zainwestować mnóstwo forsy w pierścionek z trzykaratowym brylantem.

Powoli, niemal ostentacyjnie wyjmuję dziesięciodolarowy banknot i wrzucam go do żebraczej puszk. Chciałam dać piątaka, ale mam tylko dziesiątkę. Przecież nie poproszę bezdomnego, żeby mi wydał resztę.

– Aleś ty szlachetna – rzuca fałszywie Jon.

W samochodzie rozmawiamy o głupstwach.

– Podobno w Nowym Jorku obniżono ceny biletów, żeby więcej ludzi zobaczyło spektakl – mówię.

Tak stwierdziła Wendy.

– A po co?

No dobra...

Jon parkuje pod moim domem.



– Posiedźmy chwilę na świeżym powietrzu.

– Dobrze – zgadzam się.

Każda dziewczyna wie, że kiedy facet składa taką propozycję, co innego mu w głowie. Muszę przyznać, że mam wątpliwości. Jeszcze go całkiem nie skreśliłam. Nie brak mu zalet: przecież to Jonathan Gradinger. Doktor Gradinger. Jeździ bmw, jest przystojny, starszy ode mnie, czuprynę ma jeszcze bujną. Ale są też wady: to bezduszny dupek, który bez mrugnięcia okiem wydaje dwieście dolców, kupując bilet na sztukę o życiu bezdomnych.

Tym razem sama muszę otworzyć sobie drzwi auta. Gdy siadamy na ławce przed kamienicą, czuję wilgoć między nogami, ale to nie oznacza, że zaraz pozwolę mu na wszystko. Po prostu ławka jest mokra. Cholera! Sam mnie zabije, jeżeli poplamie szarą suknię tubę.

Zamierzam wstać, ale w tej samej chwili usta Jonathana spadają na moją twarz. W dosłownym znaczeniu tego słowa! To nie jest pocałunek. Szkoda mi używać tego słowa, żeby opisać to skandaliczne zachowanie.

Górna warga Jona nie dotyka mojej, język zawadza, gdziekolwiek się pojawi, dolnej wargi jakby nie było.

– Muszę już iść. – Odpycham go.

Westchnienie. Szkoda mi trzykaratowego brylantu, który zmuszona byłabym zwrócić.

– Jeszcze wcześniej!

Dobrze, że dziś czwartek. Praca jest dobrą wymówką.

– Rano mam zebranie. – Postanowiłam jednak nie być zołą. W końcu to Jonathan Gradinger. Chętnie poznałabym jego przyjaciół. Na pewno trafi się paru superfacetów. – Dzięki, przedstawienie było świetne.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Szkoda, że musisz już iść. To był uroczy wieczór.

Zapewne mówi szczerze.

– Dobranoc – mówię, wyjmując klucze. Otwieram frontowe drzwi.

„Czujesz chłód i to koniec już”. Szkoda, że nie jestem w stanie powiedzieć mu: „lecz przyjaźń trwa”. Ale to nie Danny Zukoe.

Erotoman mi niestraszny. Nad wrażliwością można popracować. Ale facet, który nie ma pojęcia, jak całować? To nie do pomyślenia!

Przynajmniej teraz wiem, czemu jest sam.

TTLRR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *Bzykaj inną!*

„Nie czuła dotąd równie silnego pożądania. Gdy przyłgnęła do muskularnego, obnażonego torsu, jej sutki nabrzmiały. Zrozumiała, że nie chce dłużej odwlekać tej chwili. Zniecierpliwiona, ogarnięta żądzą szybko zdjęła bieliznę i usiadła mu na biodrach. Wszedł w nią natychmiast, poczuła w sobie jego męskość”.

Trudno się skoncentrować na interpunkcji, gdy rozum błądzi po manowcach rzeczywistości. Z drugiej strony po doświadczeniach ostatniego tygodnia na samą myśl o seksie robi mi się niedobrze. W czwartek rozczarował mnie ten dupek Jon, a w piątek miałam do czynienia z popaprańcem do n-tej potęgi. Napiję się kawy, to mi ułatwi koncentrację.

Lawirując w labiryncie redaktorskich nor, docieram do obskurnej kuchenki, otwieram szafkę i sięgam po... Mój kubek zniknął.

Zdesperowana, postanawiam zajrzeć do zmywarki, chociaż wiem, że go tam nie będzie. Ani razu nie został porządnie umyty. Płuczę go tylko w zlewie. Gdzie stoi zmywarka? Aha, już widzę. Nie ma, nie ma, nie ma. Tam go nie znajdę.

Po co komu mój kubek? Właściwie należy do Sam, lecz skoro nie spostrzegła jego braku, teoretycznie pozostaje moją własnością. Ozdabia go fajny obrazek z polarnym niedźwiedziem. Jest mój, mój, mój. Biurowa szuja skradła mi kubeczek. Jak go znajdę, pomażę wewnątrz środkiem na przeczyszczenie i wytropię łobuza, obserwując, kto najczęściej biega do łazienki. A tymczasem muszę wziąć cudzy kubek. Zapewniam, że nienawidzę takich sytuacji.

– Witaj, Jackie – słyszę Julie, drugą redaktorę serii „Prawdziwa miłość”. Jest bardzo poważna, ale to jedna z nielicznych koleżanek, z którymi jestem w stanie wytrzymać. Nie należy do fanklubu Helen.

– Cześć, Julie. Co u ciebie?

– W porządku. Jak twoje sprawy?

– Całkiem dobrze.

– Jackie, chciałam cię o coś zapytać. – Ramiona ma założone pod biustem wydymającym czarny sweter.

Spodziewam się, że będziemy rozmawiać o tym, kiedy po dwukropku można dać wielką literę. Nie dziwiłabym się, gdyby spytała mnie niczym eksperta o funkcje pauzy, co by zresztą ugruntowało moją pozycję zawodową i potwierdziło, że mam tu coś do powiedzenia. Nic z tych rzeczy.

– Mogłabym cię umówić z moim bratem? – pyta Julie.

– Co? Ty masz brata?

– Tak. Jesteś w jego typie.

Ciekawe, w jaki sposób do tego doszła, skoro nawet ja nie mam pojęcia, jak się zasufladkować. Na potwierdzenie Julie energicznie kiwa głową, więc pytam:

– Co to za typ? Jak byś mnie określiła?

– Drobną, kędzierzawą, zgrabną, wesołą, otwartą, niegłupią. – I pomyśleć tylko, że rozwiązując psychozabawy z kolorowych czasopism nie potrafiłam opisać samej siebie.

– Skąd pewność, że on mi się spodoba? – Czy powinni mi się podobać mężczyźni podobni do mnie: niscy, z kręconymi włosami? A może wolę chudzielców? Julie jest wychudzona i koścista. Ciekawe, czy brat ją przypomina. Ta rozmowa to życiowa szansa. Jeśli uda się określić, kto jest w moim typie, w przyszłości łatwo uchronię się przed nieudanymi randkami.

– Dlaczego od razu zakładasz, że mój brat Tim nie jest w twoim typie? – irytuje się Julie. – To wspaniały chłopak.

Trzecia z fundamentalnych wskazówek kolorowych magazynów brzmi: trzymaj się z daleka od wspaniałych chłopaków. To męski odpowiednik dziewczyny o bogatej osobowości.

W pierwszej chwili pomyślałam nawet, że można by zaryzykować (takie podejście do sprawy nie miało nic wspólnego z faktem, że byłam szczerze zaskoczona swoim odkryciem: Julie ma brata! To dziwne, ale zawsze się dziwię, gdy dociera do mnie, że znajomi prowadzą normalne życie – pewnie dlatego, że otacza mnie tłum płaskich książkowych postaci), teraz jednak szansa, że umówię się z niskim, kędzierzawym i chudym, ale obdarzonym wspaniałą osobowością bratem Julie równa się zero. Nie, żebym miała coś przeciwko niewysokim, kudłatym chudzielcom, którzy są podobno w moim typie. Problem w tym, że nie mogę chodzić z chłopakiem, który ma na imię tak samo jak tata. Dziwne uczucie. Jak z Freuda. Czy mogłabym powtarzać szeptem jego imię? Czy odważyłabym się krzyknąć je w chwili najwyższego uniesienia? Gdybym była wściekła, proszę bardzo... Mam na myśli wrzask, nie szept. To zresztą wcale nie oznacza, że jestem zła na tatę. Natomiast mama czasem mnie denerwuje, choć nie wiem dlaczego. A Freud nie ma tu nic do rzeczy.

– Tak się składa, że niedawno kogoś poznałam – tłumaczę Julie.

Kłamczucha! Nos mi rośnie jak u Pinokia.

Przerwa na drugą kawę. Nagle przypominam sobie o moich postanowieniach. Miałam wziąć na wstrzymanie i odczekać. Zresztą w pracy i tak nie spotykam przystojnych mężczyzn, na których mogłabym patrzeć z góry. Tu po prostu brakuje facetów. W „Kupidynie” pracuje dwieście osób, z

czego sto sześćdziesiąt siedem to kobiety. Trzydzieści pięć jest w ciąży. Na trzecim piętrze co tydzień odbywają się zajęcia szkoły rodzenia.

Fatalna męsko–damska proporcja sprawia, że w robocie także nie znajdę panów, z którymi warto się zaprzyjaźnić. No i gdzie szukać znajomych, którzy mi przedstawiają fajnych kolegów? Nie mogę usiąść obok faceta tkwiącego przy barze i zaproponować, abyśmy się zaprzyjaźnili. Andrew jest idealnym kandydatem na dobrego kumpla, ale nie widziałam się z nim od koszmarnego spotkania w multipleksie. Miałam nadzieję, że w piątek przyjdzie do „Orgazmu”, ale się nie pojawił. Na pewno dopieszcza swoją lalunię.

Piątkowy wieczór...

Zamiast gawędzić z Andrew, kilka godzin spędziłam w towarzystwie Eryka. On nie ma ani kropli królewskiej krwi. To przeciętny Europejczyk, chociaż przy forsie. Natalie kręci nosem. Postanowiła nie zwracać na niego uwagi, więc się wściekał. Raz po raz stawiał jej wódkę, ale odmawiała, a ja piłam. Ktoś musiał. Obojętność Nat sprawiła, że całkiem stracił głowę, co potwierdza, że faceci wolą zołzy.

Wskazówka numer cztery zaczerpnięta z kolorowych czasopism: zainteresowanie mężczyzn wzrasta proporcjonalnie do kobiecej niechęci. (To mi się nie zgadza z radą numer dwa: zachowaj dystans, żeby go usidlić. Czwórka z kolei ostrzega, że brutalnie odrzucony wielbiciel może stać się natrętny). Na przykład Jonathan. Spotkaliśmy się tylko raz, a wykonał już siedem telefonów. Cztery razy odłożył słuchawkę, ale zostawił też trzy wiadomości.

Sobota: „Cześć, miłości moja. (Miłości moja? Cóż to za poufałość?). Tu Jon. Zadzwoń do mnie. Zadzwoń do mnie”.

Niedziela: „Witaj, kochanie. (Kochanie? Czy ja mam trzydziestkę na karku?). To ja. To ja. Dzwonię, żeby spytać, jak spędzasz weekend. Zadzwoń do mnie. Zadzwoń do mnie”.

Wtorek: „Hej, pieszczotko. (Pieszczotka brzmi nieźle, ale nie w jego ustach!). Może spotkamy się pod koniec tygodnia, co? Zadzwoń do mnie. Zadzwoń do mnie”.

Wiem, że powinnam zachować się jak na dorosłą dziewczynę przystało, zatelefonować do niego i powiedzieć, że nie będziemy się widywać, ale musiałabym słuchać jego gadki... dwukrotnie. Jeśli nie będę odpowiadała na telefony, w końcu się odczepi. Jego wiadomości przypominają niektóre reklamy: dwa w jednym. Na szczęście mój aparat wyświetla, kto dzwoni.

Dobrze się stało, że nie przyszedł w piątek do „Orgazmu”. Po sześciu kolejkach, które postawił zakochany Eryk, miałam taki zamęt w głowie, że mogłabym zapomnieć, jaki z niego dupek. A gdybym z nim wyszła? Mówię, rzecz jasna, o Jonathanie, a nie o Eryku. Zresztą byłam tak mocno wstawiona, że kto wie?

Wypatrzyłam farbowanego blondyna; niezła sztuka.

Mogłabym z nim chodzić albo przynajmniej wyjść od czasu do czasu. Miał nowojorskie przyciemnione okulary w drucianej oprawie i narciarski sweter z beżowym paskiem biegnącym przez pierś. Wyglądał bardzo seksownie, chociaż to moda sprzed kilku lat. Siedział przy barze i gadał z dwoma kumplami. Próbowałam telepatycznie zmusić go, żeby na mnie spojrzął, choć nie robiłam sobie większych nadziei. I słusznie.

Około drugiej Nat i ja uznałyśmy, że pora zakończyć wieczór i wrócić do domu. Swoją jettę zaparkowała przed moim domem, bo mieszkam w pobliżu. Gadałyśmy na cały głos, idąc skrótem w stronę mojej kamienicy. Po trzech



minutach spostrzegła mężczyznę w dżinsowej kurtce i spodniach. Szedł kilkanaście metrów za nami.

– Wiem, że Eryk jest przystojny – paplała Nat – ale mówi tak dziwnie, że ledwie go rozumiem. Gdybym dzięki niemu została księżną albo dorwała się do ogromnego spadku, to...

Minęłyśmy kolejną przecznicę, a tamten gość nadal włókł się za nami.

– Nat – szepnęłam – ktoś za nami lezie. Boję się. Przejdźmy na drugą stronę ulicy, kiedy dotrzemy do rogu.

– Może to Jon?

– Nie. Woli mnie nękać telefonami, niż śledzić. Nie znam tamtego faceta.

– Od razu spostrzegłam, że pobladła pod nienagannym makijażem. Przecięłyśmy ulicę. –Dobra, teraz udajemy, że rozwiązały nam się sznurowadła.

– Co ty gadasz? – szepnęła. Ma rację, pomyślałam, zezując na nasze botki sięgające kolan. Powinnam była włożyć sznurowane adidas. Czemu tego nie zrobiłam?

Zaczęłyśmy przyglądać się obcasom. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Miałam nadzieję, że facet zniknie, nim policzę do dziesięciu. Niestety, właśnie przechodził na drugą stronę ulicy.

– Cholera jasna – szepnęła Nat. Wskazując najbliższy budynek, dodała cicho: – Udajmy, że tam mieszkamy. Nie potrafię biegać w takich butach.

Ruszyłyśmy tak szybko, jak się dało, stukając głośno obcasami o chodnik. Gdy dotarłyśmy do białego wieżowca, Nat otworzyła szklane drzwi i weszłyśmy do przedsionka, gdzie wisiał staromodny domofon. Podniosłam słuchawkę i zawahałam się, nie wiedząc, jaki numer wystukać.

– Wybierz byle jaki! – syknęła Natalie.

Nacisnęłam 1234, modląc się w duchu, żeby pod starym numerem mojego hotmaila mieszkał przyzwoity człowiek.

– On tu idzie – jęknęła Natalie.

Czemu to bydle nie dzwoni? Odezwij się wreszcie! Nasz prześladowca minął drzwi, zajrzał do środka i poszedł dalej.

– To jakiś obłąd – powiedziała Nat, gapiąc się w ciemną pustkę za szybą, która po chwili znowu się wypełniła. Ten cholerny dupek wrócił i stanął przed nami. Jasne džinsy miał opuszczone do kolan i trzymał się za swą... nabrzmiałą męskość. – Widzisz? To nie do wiary! – krzyknęła Nat.

Odwróciłam głowę i znowu chwyciłam słuchawkę. Tym razem wystukałam numer swojej automatycznej sekretarki: 54321. Wiem, wiem, nie jestem oryginalna.

Drrr, drrr.

– Nie patrz! Nie patrz! – szepnęła wystraszona Natalie, ale i tak widziałam odbicie w szybie wewnętrznych drzwi. Facet... robił swoje.

Drrr, drrr.

– W głowie się nie mieści. Że też musiało nas to spotkać – szeptałam. – Musimy coś zrobić.

Facet... skończył. Naciągnął spodnie, zapiął rozporek i odszedł.

– Haloooo? – rozległ się zaspany i zniecierpliwiony głos człowieka mieszkającego pod numerem mojej automatycznej sekretarki.

Odwiesiłam słuchawkę.

– Och – wykrztusiłam, pokazując ślad w postaci białej plamy na chodniku, zostawiony przez naszego prześladowcę.

– Chyba zwymiotuję – mruknęła Nat.

Odczekałyśmy, aż na ulicy pojawiła się niegroźna z wyglądu para, i rozdygotane wypadłyśmy z budynku, błagając, żeby nas odprowadzili do domu.

Nat postanowiła spać u mnie na kanapie, ponieważ była zbyt wystraszona, żeby w pojedynkę wrócić do swego mieszkania.

– A jeśli ukrył się w moim samochodzie i zaatakuje mnie podczas jazdy? Co wtedy?

Obudziłyśmy Sam i Marka, nalegając, żeby wyjrzał przez okno i upewnił się, czy natręt nie stoi przed domem.

– Dziewczyny, czemu wracałyście same? – skarcił nas Mark.

– Mam rozumieć, że to nasza wina? – odcięłam się ze złością. – Sprowokowałyśmy zbrojnego, tak?

– Chciałem tylko powiedzieć, że powinnyście bardziej na siebie uważać. – Wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że mu się przyjrzałyście.

– Jesteś obrzydliwy. Nie miałam ochoty na to patrzeć.

– Chodzi mi o jego twarz. No wiesz, mam na myśli rysopis, może go rozpoznać.

– Aha. Nie sądzę.

– Chyba zacznę nosić jakąś broń – pisnęła Natalie. – Na przykład kij baseballowy albo pistolet. To by odstraszyło takiego natręta.

– Odbiło ci? Boston to nie Teksas – odparłam. – Tu nie wolno ganiać po mieście i strzelać do ludzi.

– Powinnaś wybiec na ulicę i powiedzieć mu, że szukasz głębokiego uczucia, bo chcesz wyjść za mąż. Oni boją się tego jak ognia i wieją, gdzie pieprz rośnie – wtrąciła Sam, z ironicznym uśmiechem spoglądając na swego chłopaka.

Wszyscy ją olaliśmy.

– Pamiętajcie, jak był ubrany? – dopytywał się Mark.

– Tak. Miał dzinsową kurtkę i spodnie z tego samego materiału. Kto się tak ubiera? Facet nie zna się na modzie. To nieporozumienie – stwierdziła Natalie.

Ją też olaliśmy. Wkrótce się zrehabilitowała, wspominając o kursach samoobrony. Dlatego wczoraj, zamiast pracować, przez pół dnia surfowałam po Internecie, szukając takich zajęć. Mam wrażenie, że większość adeptek to kobiety, a wśród nauczycieli przeważają mistrzowie sztuk walki płci męskiej. Bez szkody dla nich można się tam dowiedzieć, jak należy robić uniki, jak trafić faceta w czułe miejsce albo wydłubać mu oko.

Przez to kilkugodzinne buszowanie w sieci okropnie zaniedbałam robotę. Mam trudności z koncentracją. W nocy śnią mi się znaki przestankowe. Czuję się jak gracz, który zbyt długo siedział przed komputerem i dlatego nawet we śnie przebiera palcami po klawiaturze albo ścisza joystick. Dziś nie wychodzę na obiad. Przez cały dzień będę ślęczeć nad romanssem „Miłość kowboja”, który muszę zredagować w tym tygodniu. Czytam, żując kanapkę.

„Krzyknął pod wpływem niezwykłych odczuć. Pochylił głowę i przesunął dłońmi po jej nabrzmiałych sutkach. Żadnej kobiety nie pragnął tak jak Julie. Objął rękami jej biodra, zachęcając, żeby uniosła długie, gładkie nogi i splotła je za jego plecami. Czuł, że jest gotowa, więc natychmiast w nią wszedł, pokonując ostrożnie lekki opór. Jęknęła, gdy poruszając się rytmicznie, posiadał ją bez reszty. Nie dbał o to, co powiedzą jego najbliżsi. Ta dziewczyna należała teraz do niego. Już wiedział, że nie pozwoli jej odejść”.

– Och, Ronan! – zawołałam z pełnymi ustami, jedząc chleb posmarowany masłem orzechowym. Julie przed chwilą wbiła paznokcie w gładkie plecy swego kochanka. Czytałam dalej.

„Jedną ręką pieścił kształną, jędrną pierś, a drugą przyciągnął jej głowę. Zmiażdżył jej usta namiętym pocałunkiem i wsunął język między rozchylone wargi. Z każdą chwilą wchodził w nią głębiej. Połączeni i wstrząsani dreszczami rozkoszy zmierzali ku całkowitemu spełnieniu”.

Przerywa mi dzwonek telefonu. Ojej, nie naniosłam poprawek w tym akapicie. Kto by pamiętał o gumce (oho, freudowska pomyłka; rzecz jasna, mam na myśli redaktorski ołówek), czytając tak gorący fragment. Zresztą Julie także zapomniała o kondomie. Mam nadzieję, że bierze pigułki.

– Tu Jackie – odbieram telefon.

– Kochanie, to ja. – Jestem jego kochaniem? To Jonathan Gradinger. Skąd wziął mój służbowy numer?

– Cześć, Jon – odpowiadam z roztargnieniem, chcąc mu dać do zrozumienia, że jestem okropnie zajęta i nie mogę długo rozmawiać. – Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. Jak się masz, kochanie? Byłaś zapracowana?

– Straszliwie. Wybacz, że się do ciebie nie odzywam, ale mamy w wydawnictwie prawdziwe urwanie głowy.

– Jasne. Po całonocnym marszu zorganizowanym w ubiegłym tygodniu także miałem wiele nagłych interwencji.

– Co to za maraton?

– Marsz protestacyjny kobiet. Podobno czują się zagrożone, chodząc wieczorem po mieście. Feministyczne bzdety.

Postanowione: nienawidzę tego głupka.

– Czyżby? Właśnie szukam dobrego kursu samoobrony.

– Masz na myśli karate?

– Nie, chodzi mi jedynie o skuteczną samoobronę.

– Wystarczy, że kopniesz faceta w jaja i przestanie cię napastować – slysze w odpowiedzi. Chętnie bym na tobie poćwiczyła, kochasiu. – Mniejsza z tym. Chciałem zapytać, czy możemy się spotkać dziś wieczorem.

– Przykro mi, Jon, ale jestem zawałona robotą i sama nie wiem, o której stąd wyjdę.

– Nie szkodzi. Poczekał na ciebie. Jeśli nie masz ochoty na kino, wymyślimy inną rozrywkę.

– Naprawdę wolałabym nie zwracać ci głowy. Nie mam ochoty nigdzie łązić dziś wieczorem. – Ciekawe, co ci chodzi po głowie, chłopaczku.

– Dobra. W takim razie spotkajmy się jutro.

Ten facet ma wiele wspólnego z trądzikiem: nie można się go pozbyć.

– To nie jest dobry pomysł, Jon. Będę z tobą szczerą: nie przebolełam jeszcze pewnego rozstania. – Aż trudno uwierzyć, że posługuje się takim popaprańcem, żeby spławić innego natręta. Jer w końcu mi się przydał.

– Wcześniej o tym nie wspomniałaś.

– Wiem i bardzo cię za to przepraszam. Nim się tu przeprowadziłam, byłam z kimś związana. Nie potrafię o nim zapomnieć. – Właściwie to prawda, więc nie skłamałam. Gdybym lubiła Jonathana, nigdy bym się do tego nie przyznała, ale teraz wszystko mi jedno. Ta wymówka brzmi lepiej niż proste stwierdzenie, że Jon mi nie odpowiada.

– Co się stało?

– Miał się przenieść do Bostonu wraz ze mną, ale nic z tego nie wyszło.

– Rozumiem i nie mam pretensji. Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie.

– Oczywiście. – Na pewno nie zadzwonię. Domyślałam się, że zламаłam mu serce, ale czy miałam inne wyjście? Wskazówka numer pięć z kolorowego

czasopisma dla pań: lepiej natychmiast odtrącić wielbiciela, niż przywiązać go do siebie niepotrzebnie.

– Mam prośbę, Jackie. Skoro nie możemy się umówić, poznaj mnie z fajną koleżanką, co?

Wniosek jest oczywisty: wszyscy mężczyźni to popaprańcy. Zwłaszcza ci, z którymi się spotykam. A głównie Jeremy.

Obiecał się przenieść do Bostonu w tym samym czasie co ja. Miałam już za sobą rok studiów magisterskich, on zrobił dopiero licencjat, ale to wcale nie znaczy, że jest głupkiem i tak dalej. Po maturze przez rok pauzował, a w czasie studiów dostał urlop dziekański na cały semestr, bo działał społecznie na uczelni. Był wiceprzewodniczącym samorządu studenckiego. Podczas kampanii Wendy i ja przez wiele dni szykowałyśmy plakaty i wyborcze gadzety. Najbardziej mi się podobała ścianka z trójwymiarowych cegieł (szablon, tektura, czerwona farba), a na niej hasło: „Jeremy – idealny wiceprzewodniczący, a nie kolejna cegła w murze”. Nie muszę tłumaczyć, że był fanem zespołu Pink Floyd. Dzięki mnie na każdej tablicy ogłoszeń wisiało jego zdjęcie. Wyglądał super, ale jacyś wandalę pomazali mu czarnym flamastrem jeden ząb. Spaskudzili tak wszystkie plakaty.

– A mówiłem ci, że nie powinienem się uśmiechać – stwierdził wówczas. Taki z niego egocentryk.

Tak sobie myślałam, gdy wyjadał najlepsze czekoladki z bombonierki, nie pytając, czy mam na nie ochotę. Do głowy mu nie przyszło, że jeśli zje wszystkie orzechowe, ja nie zjem ani jednej.

Kiedy z powodu dziury w zębie musiał iść do dentysty, trzy godziny przesiedziałam w poczekalni. (Dentysta odczuwa sadystyczną przyjemność, bo mnie boli, twierdził). Ale gdy mu gumka pękła i byliśmy w strachu, nawet nie



zapytał, czy ma pójść ze mną do ginekologa. Musiałam zaciągnąć tam Wendy. Od tamtej pory biorę pigułki.

Skoro mowa o jego wybujałym egocentryzmie, pozwólcie, że opiszę moją bostońską porażkę. Wyobraźcie sobie taką sytuację: chłopak, z którym chodzicie kawał czasu, zamierza robić magisterium na uniwersytecie w Bostonie. Potem bajeruję was, twierdząc, że to jest miasto nieograniczonych możliwości, wspaniałych posad, cudownych ludzi. Prosi, żeby się tam z nim przeprowadzić. Zgadzacie się – nie ze względu na perspektywę wspaniałej pracy – tylko z uwagi na ludzi, a w rzeczywistości dla niego.

Przerywacie zaawansowane studia magisterskie, wmawiając sobie, że tytuł naukowy na nic się w życiu nie przyda. Dla świętego spokoju zamieszkacie osobno, bo on nie czuje się jeszcze na siłach, by dzielić z wami chatę. Matka ostrzega, że dziewczyna nie powinna włączyć się za facetem po kraju, jeśli nie założył jej na palec obrączki, ale wyśmiewacie jej obiekcje. Dwadzieścia trzy lata to nie pora na ślub. Jesteście za młode!

Zdobyłyście pewne doświadczenie, redagując uczelnianą gazetę, więc szukacie pracy w wydawnictwie, bo nie macie ochoty na kurs pedagogiczny i posadę nauczycielki, a nie bardzo wiadomo, dokąd pójść, będąc licencjatem wydziału anglistyki. W „Kupidynie” dostajecie pracę redaktorki w pełnym wymiarze. Zaczynacie intensywnym dwutygodniowym kursem obrabiania tekstu literackiego. Nie chcecie spędzić całego życia na poprawianiu romansów, ale bierzecie tę robotę, bo okropnie wam zależy, aby pozostać z Jerem. Dzwonicie do Natalie, dawnej koleżanki ze studiów, która poznaje was z Sam. Podpisujecie umowę najmu. A tymczasem wasz ukochany wciąż szuka mieszkania. Te poszukiwania bardzo się przedłużają.

Pewnego dnia, gdy pakujecie książki do kartonów otrzymanych w sklepie monopolowym (właśnie kończycie dziewiętnasty wiek, bo tomy ustawione są

chronologicznie, a nie według alfabetu), wasz rzekomy skarb najdroższy dzwoni do drzwi. Jaki on kochany, myślicie. Przyniósł kolacyjkę. W pudełku jest makaron po tajsku i sajgonki. Najdroższy ma też bilet na samolot. Jeden bilet. Dla siebie. Leci do Tajlandii.

Powiada, że musi odnaleźć samego siebie. Dostał już zgodę na rozpoczęcie studiów w semestrze zimowym. Zastanawiacie się szybko nad przyczynami jego zagubienia, ale o tym lepiej nie wspominać. Głaszcze was po plecach i mówi, że też musicie od niego odpocząć, a zresztą parę miesięcy nie robi żadnej różnicy. Zaczynacie płakać i pytacie, jak mógł, a on na to, że tu nie chodzi o was. Taka jest prawda.

Wpadacie na świetny pomysł: możecie przecież z nim jechać. Należy wam się odpoczynek, dawno nie miałyście wakacji. Zaciągniecie pożyczkę. Nauczycie się jeść pałeczkami. Ale on patrzy na was nie widzącym wzrokiem, jakby dostrzegał tylko reprodukcję obrazu Francesca Hayeksa „Pocałunek”. Dał ją wam na urodziny. Romantyczne malowidło utrzymane w rdzawych barwach przedstawia mężczyznę w typie Robin Hooda, a kolory pasują do waszej narzuty. Sądziłyście, że ten plakat to dyskretna aluzja, bo romantyczny bohater czule całuje swą wybrankę.

– Muszę sam uporać się ze swoim problemem – odpowiada ukochany.

Wzdrygacie się i znów wybuchacie płaczem. On was całuje w policzek i wsuwa dłonie pod waszą koszulę. Po chwili jesteście z nim w łóżku, chociaż należało go znienawidzić.

Pomagacie mu potem kupić plecak, podróżny jasiek i przewodniki. Jesteście uśmiechnięte i wyrozumiałe, a on was całuje w kolejce do kasy. Gdy nadchodzi dzień przeprowadzki, kończy z wami pakowanie. Siedzicie na torbie z butami, a on mówi nagle:

– Musimy coś omówić.

Wolałybyście, żeby się zamknął. Niech milczy, do jasnej cholery, niech milczy. Niestety, dowiadujecie się, że pod jego nieobecność oboje powinniście kogoś mieć. Czytaj: zamierza sypiać z Tajkami.

– Z nami koniec? – pytacie, ale zaprzecza. Macie po prostu widywać ludzi. Ciekawe, jak by się zachował, gdybyście zaprotestowały. Wolicie tego nie robić, więc zapada milczenie.

Następnego ranka żegnacie się z nim i prosicie, żeby wysyłał e–maile.

Takie już moje zezowate szczęście, że jak na ironię właśnie teraz, gdy nie mam nikogo, każda bohaterka romansu, którą uważam za swoje alter ego, spotyka księcia z bajki. Gdzie moja wieczna miłość? Gdzie bajkowy królewicz? Gdzie zabójczo przystojny, błyskotliwy, niezłomny i romantyczny bohater?

Z pewnością nie jest nim Jeremy. On rwie Tajki. Nie mówiąc o Holenderkach.

Dość tego! Wróćmy do Ronana i Julie.

Na moim wygaszaczu pojawia się trzech przystojnych osiłków w kowbojskich kapeluszach, z nagimi torsami. Uśmiechają się łobuzersko. I zmysłowo. Popatrzcie na te bezwłose, gładkie klaty. Gdzie ci mężczyźni? Czemu ich nie spotkałam?

Potrzebuję twardego faceta, który poci się z wysiłku, potrafi zabić gołymi rękami i zrobiłby to, gdyby zaszła potrzeba. Nie zamierzam go popychać do morderstwa, ale miałby u mnie plus, gdyby był gotowy na wszystko.

Tego mi właśnie potrzeba. Marzę o randce z barczystym twardzielem o nogach jak słupy. To ma być mężczyzna w najlepszym gatunku. Koniec z filozofującymi dupkami. A poza tym nie będę się umawiać z facetami, których imiona zaczynają się na J.

Gdzie szukać rozebranego do pasa osiłka? Na budowie, w koszarach, na rodeo, w sekcji karate? Niespodziewanie doznaję olśnienia. Precz z samoobroną! Zapiszę się do sekcji wschodnich sztuk walki. Jonathan nie jest całkiem bezużyteczny, choć do tej pory stanowił jedynie pożywkę do rozmyślań na temat dobrych rad z kolorowych czasopism.

Wchodzę do Internetu i wybieram hasło „Boston” oraz „sztuki walki”. Czternaście możliwości: karate, judo, taekwondo, origami... Origami? Klikam na taekwondo. Nazwa przypomina mi tibo, które kiedyś uprawiałam.

Dobra, nie uprawiałam, tylko kupiłam wideo z treningu. Fakt, nie kupiłam, tylko wypożyczyłam. Mniejsza z tym.

Na ekranie pojawia się dziesięciu boskich muskularnych brunetów w pomiętych białych kimonach. Fachowo demonstrują boczne kopnięcia. Zapala się napis: Tylko 500 dolarów. Taniocha! Wspaniale! Oczywiście w opłatę nie wliczono stroju, kolorowych pasów oraz egzaminów, które należy zdać, aby pokonać kolejny etap, a także specjalnych cegieł rozbijanych na treningach i kawy niezbędnej po wysiłku. Mówi się trudno. Wchodzę w to i zamierzam:

1. Poznać superfacetów.
2. Nauczyć się skutecznych chwytów, żeby fatalnie ubrany łachmyta nie potraktował mnie na rogu jako obiekt seksualnych dewiacji (chyba że nagle przyjdzie mi ochota, żeby mnie nagabywano na wybranym skrzyżowaniu).
3. Popracować nad figurą i wyglądać lepiej niż holenderska laska Jeremy'ego. Gdyby ten dupek tu wrócił, po prostu wybiję mu z głowy te bzdety.

Po pracy idę na trening.

Przyjdź do nas! Taki napis pojawia się na ekranie. Spoko, chłopcy, wkrótce do was dołączę.

– Już po obiedzie? – pyta Helen nosowym głosem. Ponad szklaną przegrodą wsuwa głowę do mojej redaktorskiej nory i przerywa miłe rozmyślenia.

Jeszcze przed chwilą machało do mnie zachęcająco dziesięciu brunetów.

– Tak, tak, oczywiście.

Zerka na biurko i pożyczony kubek.

– Ach, więc to ty go ukradłaś! Od rana tropiłam winowajcę. Możesz z niego korzystać, oczywiście, lecz bardzo proszę, żebyś najpierw poprosiła.

Kubek Helen? Cholera! Oblazły mnie jej bakterie!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### *Jak najwięcej wołowiny!*

Przyznaję, nie poszłam na trening we środę, ale się nie leniłam, przysięgam. Miałam inny powód: postanowiłam zmienić styl życia i każdą sprawę zawczasu przemyśleć, zamiast skakać od razu na głęboką wodę. Dlatego najpierw zadzwoniłam do sekcji, żeby się umówić na spotkanie. Widzicie, potrafię być zorganizowana, jeśli tak postanowię. Trener, mistrz NanChu zaprosił mnie na próbny trening w sobotę o jedenastej. Tak, darmowe zajęcia. Chwileczkę, po co mi próbny trening? A jeśli mistrz uzna, że się nie nadaję? Może mu się nie spodobam i nie zostanę przyjęta?

Ubiorę się jak dziewczyna z „Flashdance” w „She is A Maniac” i scenie z ćwiczeniami. Na szczęście mam piękne sportowe spodenki Calvina Kleina i pasującą do nich górę kupioną w centrum handlowym podczas zimowej wyprzedaży.

Jutro sobota, więc dziś nie mogę zarwać nocy. Ale nie przesadzajmy. Trening taekwondo zaczyna się o 11.00, więc powinnam wyjść z domu o 10.30, w takim razie wstanę... Moment, trzeba zjeść śniadanie. Kto pływa, je godzinę wcześniej; podobnie jest chyba z adeptami sztuk walki. Skoro mam skończyć posiłek o 9.45, powinnam wstać o 9.15... lepiej o 9.25. Nie ma sensu brać prysznic, skoro i tak zaraz się spocę.

Trening będzie jutro, a dziś idę do „Orgazmu” z Natalie... o ile raczy się wreszcie pojawić. Całe wieki czekam na nią w korytarzu, przestępując z nogi na nogę w moich nowych botkach. Włożyłam je, chociaż mam na sobie długie spodnie, bo czuję się w nich bardzo seksowna.

W końcu bmw z piskiem opon hamuje na kolistym podjeździe. Za kierownicą siedzi brunetka o lśniących długich włosach i promiennym

uśmiechu jak z reklam pasty do zębów. Obok niej widzę machającą energicznie Natalie. Otwieram drzwi auta i siadam z tyłu.

– Jackie, przedstawiam ci Amber.

Amber? Czy ona jest piosenkarką z lat osiemdziesiątych? A może gwiazdą filmów porno?

– Cześć, Amber. Miło cię poznać.

W odpowiedzi niedbałym gestem unosi dłoń. Ale tipsy! Od razu widać, że to sztuczne szpony. Biust chyba też. Na pewno nie potrafi ścisnąć ręki jak należy, bo przeguby ma szczuplutkie jak chińskie pałeczki. Tata mówi, że uścisk ręki wiele mówi o człowieku.

– Amber, gdzie poznałaś Nat?

– W szkole.

Chyba nie mówi o uczelni. Taka laska o figurze modelki nie ma głowy do studiowania.

– W liceum?

– W podstawówce – odpowiada niskim, lekko schrypniętym głosem potwora z „Ulicy Sezamkowej”.

– Amber jest moją sąsiadką – dodaje Natalie, wyręczając niezbyt rozmowną przyjaciółkę, która nadal ma kłopoty z podtrzymywaniem konwersacji.

– Super. – Milczenie. Teraz z kolei nasza droga Amber powinna się odezwać.

Milczenie. Dobra, znowu moja kolej.

– Co robisz w Bostonie?

– Mieszkam.

Domyśliłam się, kretynko. Chcę wiedzieć, czy pracujesz, czy jeszcze się uczysz, ale teraz zakładam, że przez cały dzień siedzisz na swoim chudym



tyłku, malujesz sztuczne paznokcie i od czasu do czasu umawiasz się ze znajomymi na obiad. Zamawiasz wtedy seler naciowy.

Od incydentu ze zboczeńcem Natalie stanowczo odmawia chodzenia piechotą.

– Gdzie zaparkujemy? – pytam, ale nikt mnie nie słucha. – Hej, miejsce do parkowania? Ktoś wie, gdzie postawić auto? – Czuję się jak bohaterka absurdalnej sztuki Becketta albo kolejnego odcinka „Z archiwum X”.

– Amber parkuje przed budynkiem straży pożarnej. –Natalie odwraca się do mnie.

– Jak to? Ma tam znajomych? – Brak odpowiedzi. –Twój ojciec jest strażakiem?

– Nie, chirurgiem.

A to przepraszam. Już wiem, jak zinterpretować jej odpowiedź. Zakładam roboczo, że Amber wstąpiła do służb mundurowych.

– Pracujesz w straży pożarnej?

– Nie, jestem dentystką.

Zaskoczyła mnie. To nie jest zwyczajna laska... raczej zołza. To stwierdzenie wiele tłumaczy. Nic dziwnego, że w jej obecności jestem taka skrepowana.

Budynek straży pożarnej stoi tuż za „Orgazmem”. Sześciu mężczyzn, zapewne strażaków (tak, wiem, nadzwyczaj błyskotliwe rozumowanie) pali papierosy, stojąc na skrzyżowaniu ulicy i drogi dojazdowej. Dziwaczny obrazek, prawda? Mam na myśli palącego strażaka. Co powie Dymiący Miś? Amber wjeżdża na puste miejsce parkingowe obok wozu strażackiego i wyłącza silnik.

– Bądźcie miłe dla Freda, co?

Gdy Amber wysiada z auta, dochodzę do wniosku że skojarzenie z tubką pasty do zębów jest naprawdę uzasadnione. Ona wygląda jak tubka prawie całkiem zużyta. Czasami zwijam dolną część, aby resztkę zebrała się na samej górze. Nie, raczej wyginam i skręcam pionowo, żeby wydobyć ostatnią kropelkę. To Sam zwija od dołu. Tak czy inaczej u Amber resztkę pasty poszła w górę i teraz wydyma koszulę w okolicach biustu. Moim zdaniem, został sztucznie powiększony, ale wygląda super.

Kiedy tak patrzę, przychodzi mi do głowy, że nos także wydaje się dziwnie kształtny.

Podchodzi do nas niski, strasznie napakowany Azjata.

– Cześć, Fred. – Dłoń Amber sunie w dół jego przedramienia. – Tęskniłeś za mną?

– Miłości mego życia! A już myślałem, że o mnie zapomniałaś.

– Nie mogłabym o tobie zapomnieć. – Całuje go... w same usta. To jej facet? Romeo w służbach mundurowych.

– Pamiętasz mnie, Fred? – odzywa się nadąsana Natalie.

– No pewnie! Jak mógłbym zapomnieć taką śliczną buzię. – Całuje ją, też w usta. Czy i ja mam dać mu buzi?

– Cześć, chłopaki! – piszczy Amber do reszty strażaków, więc nie muszę już całować żaby.

Dymiące Misie mruczą na powitanie, a Fred, który mógłby być moim ojcem, przydeptuje butem niedopałek i pyta:

– Przyjechałyście nas rozruszać?

– Nie dziś, kochany – odpowiada Amber. – Planujemy „Orgazm”.

– Może pomóc? – wypytuje.

O kurde, czy miejsce do parkowania warte jest takiej ofiary?

– Innym razem. Zostawiamy tu auto. – Amber nie prosi, tylko informuje.

Natalie całuje Freda. W samiotkie usta. Ja tylko macham.

Hostessa mówi mi cześć, co najwyraźniej oznacza, że zyskałam status stałej bywalczynie. Ale to Amber jest z nią po imieniu i dostaje stolik przy barze. Zawistne spojrzenia dwu oczekujących dziewczyn dowodzą, że to rzadki przywilej. Amber i Natalie siadają zgodnie przodem do baru, a mnie przyszło gapić się w okno. Jeśli chłopcy przy barze nie mają lusterek wstecznych, równie dobrze mogłabym nie istnieć.

Cycata barmanka podchodzi do naszego stolika.

– Co podać, dziewczęta?

– „Manhattan” – odpowiada Amber. Chętnie bym zapytała, co to jest, ale chyba wyszłabym na kretynkę.

– Dla mnie to samo – mówi Natalie.

– Ja też proszę. – Zgoda, papuguję, lecz Amber wygląda mi na osobę, która wie, co należy zamówić w klubie takim jak „Orgazm”.

– Nie do wiary! – piszczy Natalie. – Wydaje mi się, że widziałam przed chwilą Darlene Powell. To chyba nie mogła być ona. W zeszłym tygodniu wpadłam na nią w butik. Wyglądała okropnie. Miała worki pod oczami wielkie niczym torby z zakupami.

Śledzę ich spojrzenia systematycznie przeszukujące salę. Przypominają mi aktorki, którym reżyser zalecił obserwować publiczność, zamiast patrzeć na partnerkę. Nasza Dolly stawia na stoliku trzy bardzo wytworne czerwone drinki w kieliszkach do martini.

– Zdrówko – mówimy, stukając się nimi.

No, no, całkiem niezłe. Bardzo mocne. Pożyteczna jesteś, Tiffany, Debbie, Amber. Jak cię zwał...

– Widziałaś pierścionek Debbie? – pyta Natalie, zapisując kilka cyfr w notesie strażnika kalorii.

Amber przegarnia dłonią ciemną grzywę.

– Chyba nie uważasz, że tandetne oczko zasługuje na miano szlachetnego kamienia. Debbie na pewno umiera ze wstydu.

– Zaraz wrócę – mówię do rozplotkowanego duetu, bo nie jestem w stanie słuchać dłużej tych bzdur. Przejdę się po sali.

Przeszkoda numer jeden: o spacerku nie ma mowy. Pracuję łokciami i wciskam się w mikroskopijne luki dzielące mocno obnażone ciała dziewczyn od lepkich męskich łap. To właściwy opis mojej wędrówki. Niski wzrost dodatkowo pogarsza sprawę, bo nie mogę się rozglądać ponad głowami.

Trudność numer dwa: przy każdym kroku zawartość mego kieliszka burzy się gwałtownie, grożąc wystąpieniem z brzegów. Kto wpadł na pomysł, żeby wytwarzać kieliszki w kształcie idiotycznej litery V?

Mimo wszystko znajduję się już w połowie drogi do baru, który majaczy w oddali jak worek złota albo wyprzedaż ciuchów na zasadzie dwa w cenie jednego. A jeśli przy barze czeka mój jedyny? Może jeszcze trochę posiedzi, a za cztery minuty odejdzie? Jeżeli nie wpadnę na niego w odpowiednim momencie, chwila minie bezpowrotnie i przez całą wieczność będę samotnie chodzić po ziemi.

Ojej, przecież to „pasiasty chłopczyzna” z poprzedniego tygodnia. Rozjaśnione włosy i nowojorskie okulary w drucianej oprawce. Siedzi sam w rogu, a tymczasem ja utknęłam i głowię się nad problemem podobnym do zadań matematycznych z jedenastej klasy. Skoro dla osiągnięcia celu wędrówki trzeba najpierw minąć półmetek, jak mam dotrzeć do punktu przeznaczenia, jeżeli stale dzieli mnie od niego połowa drogi? Rozumiecie, do jakich wniosków prowadzi takie wnioskowanie? Jeżeli odległość między dziewczyną i barem wynosi sześć metrów, należy przejść trzy, żeby mieć za sobą połowę dystansu dzielącego od baru, ale wówczas zostanie do pokonania

kolejna połówka, czyli półtora metra, i tak dalej, i tak dalej... Dobry Boże, zawsze jesteśmy w połowie drogi do celu. Nie dotrę nigdy do najdroższego, który jest mi przeznaczony. Och, mój „pasiasty chłopcze”, tyś marzeniem wiecznie niespełnionym!

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, ponieważ Jon Gradinger stoi w połowie drogi do mojego celu, niedbale oparty łokciem o bar. Ma na sobie czarny golfik, więc utwierdzam się w przekonaniu, że nie będę chodzić z facetami, którzy tak się ubierają. Kto wkłada golf, gdy idzie do klubu? Odwracam się i pokonuję w odwrotnej kolejności trzy szczęśliwie przebyte połówki.

A skoro już mówimy o strojach, czemu „pasiasty chłopczyna” z uporem maniaka nosi pręgowane ubranka? Kompleks wyniesiony z dzieciństwa? Może chce dać do zrozumienia, że szeregowo planuje swoją przyszłość? Tak samo jak ja. Prosta sekwencja czynności: najpierw telefon do mistrza NanCzu, potem decyzja. „Pasiasty chłopczyna” planuje zapewne z dziesięcioletnim wyprzedzeniem. Najpierw pozna miłą dziewczynę, czyli mnie. Potem się zakocha, rzecz jasna we mnie. Następnie oświadczy się...

W połowie drogi do kolejnego celu mignęła mi ruda czupryna. Andrew? Dzięki Bogu. Będę mogła z kimś pogadać, a zarazem udowodnię wszystkim sceptykom (głównie samemu Andrew), że mam paru znajomych.

Prawdziwa z niego ćma barowa. Często tu bywa. Pracuję łokciami, przepychając się w jego stronę. Ramię, łokieć, ramię, łokieć. Ktoś mnie poklepał po tyłku. Andrew uśmiecha się, gdy podchodzę.

– Cześć, Jack. – Łagodnym ruchem obejmuje mnie w talii. Jednak osiągnęłam cel. Moja hipoteza okazała się fałszywa. – Widziałem cię z daleka. Przyszłaś sama? – pyta i dostaje lekkiego klapsa w ramię.

– Wcale nie jestem tu sama. Natalie siedzi tam...

– Żartuję. – Sący swoje piwo. – Dziewczyna taka jak ty nie włości się w pojedynek każdej nocy. – Znowu się uśmiecha, a jego oczy wyglądają jak dwa półksiężycy.

– Dowiem się, co to za blondynka?

– Blondynka? Gdzie? – Rozgląda się, jakby kogoś szukał. Znowu dostaje klapsa w ramię.

– Jessika. Ta lalunia, z którą byłeś w kinie.

– Nie bawię się lalkami!

– To przenośnia! Niczego was nie uczą w tym Harvardzie.

– Najwyraźniej marnuję czas.

– Czy w ogóle masz czas na naukę, skoro jesteś stałym bywalcem knajp?

– Bez przesady, żaden ze mnie bywalec. Opuzczam mieszkanie średnio cztery razy do roku.

– Tere–fere. Bujasz. W ciągu ostatnich dwóch tygodni co najmniej trzy razy wypuściłeś się do miasta. – Niech mi tu nie udaje mizantropa.

– Mnie ciekawi inna sprawa. Gdzie byłaś przez okrągły rok?

– Tu i ówdzie. – Głównie w domu.

Mocno wstawiona brunetka zatacza się na nas. Andrew przysuwa się bliżej i niechcący dotyka mego uda.

– Wychodzę z domu tylko wówczas, gdy Benowi uda się mnie wyciągnąć – tłumaczy spokojnie, jakby nie spostrzegł, że się dotykamy.

No, no... Stoi teraz bardzo blisko. Czyżby nie zdawał sobie z tego sprawy? A może celowo się przysunął.

Stojąc tuż obok, wyczuwa się drugą osobę, nawet jeśli ciała prawie się nie dotykają.

– Jaki Ben? – pytam, chrząkając.

– Mój współlokator. Nie poznałaś go przed tygodniem? To jest dopiero prawdziwy bywalec. – Brunetka znika i Andrew odsuwa się znowu.

– Przystojny?

– Skąd mam wiedzieć? Nie znam się na męskiej urodzie.

– Bzdura! Ja zawsze wiem, które dziewczyny mogą się podobać.

– A konkretnie?

– – Zmieńmy temat. Nie ujawnię swych lesbijskich skłonności, dopóki mi nie powiesz, czy ten twój Ben jest sam. – Brunetko, brunetko, gdzie jesteś? Wracaj natychmiast!

– Ben! – woła ponad głową blondynki w koszuli zapiętej pod szyję. – Jesteś dziś sam? – przekrzykuje muzykę i znowu dostaje klapsa. – Dlaczego mnie bijesz?

– Bo lubię... Bo zasłużyłeś! – Kurczę, mało nie palnęłam głupstwa.

– Ilekroć dajesz mi klapsa, odrobina twojego koktajlu wylewa się na podłogę... Ben. – Unosi szklanekę, witając barczystego blondyna, który idzie do nas od strony baru. Chwilowy samotnik obrzuca mnie taksującym spojrzeniem i mówi zmysłowym głosem:

– Czeeeść.

– Ben, to jest Jackie. Jackie, przedstawiam ci Bena.

– Jakie przyjemne spotkanie. Jestem zachwycony. – Ben podnosi do ust moją dłoń i całuje. – Co ci postawić?

– Przestań się ślinić nad rączką tej damy i przynieś nam drinki – wtrąca Andrew.

– Ma taką gładką skórę. – Ben przesuwa wargami po moich palcach. Usta ma miękkie. Co to za facet?

– Przestań bajerować, ona jest zajęta.



Zajęta? Czyżby Andrew się mną interesował? Co mam na to powiedzieć? Ben gryzie mnie leciutko w palce, więc zaczynam chichotać. Puszczam dłoń i z uśmiechem wracam do baru.

– Dlaczego psujesz mi szyki? Nie ma wątpliwości, że facet jest do wzięcia.

– Jer nigdy by mi nie wybaczył, gdybym ci pozwolił wyjść stąd z Benem.

– Jer? – Jer? Jer!

– Chodzi o to...

– Właśnie, chodzi jedynie o to, żebym się dobrze prowadziła, podczas gdy Jer posuwa wszystko, co się rusza. – Niespodziewanie podnoszę głos. Dlaczego wspomniał o Jerze? Czy jest kompletnym idiotą? Albo pozbawionym elementarnej wrażliwości popaprańcem? Byłam z siebie taka dumna, bo przez kwadrans ani razu nie pomyślałam o tamtym draniu, a Andrew mi wszystko popsuł.

– Spokojnie! Nic z tych rzeczy. Możesz spać, z kim zechcesz, ale jestem twoim przyjacielem i od lat przyjaźnię się z twoim byłym, więc nie będę patrzeć obojętnie, jak idziesz do faceta, który dzieli ze mną chatę, wrywa średnio trzy panienki tygodniowo i wypija butelkę wódki dziennie.

– Aha. – Niepotrzebnie się tak obruszyłam.

– Chyba że gustujesz w pijakach i podrywaczach.

– Raczej nie. – Wącham rękę, która śmierdzi szkocką.

– W takim razie wybaczam, że na mnie nawrzeszczałaś. Na szczęście nie dostałam klapsa.

– Wróciłem, ślicznotko – słyszę głos Bena, który podaje mi dwa kieliszki z tajemniczą zawartością.

– Co to jest? – pytam.

– Bez obaw, moja słodka. – Lepkimi palcami szczypie mnie w policzek.  
– Za śliczną koleżankę Andrew – mówi, drugą ręką unosząc kieliszek.

– Piękny toast. – Patrzę mu prosto w oczy. Co mogę o nim powiedzieć?  
Zarozumiały podrywacz, niejedną ma na sumieniu... Mimo ostrzeżeń kusi mnie... ale nie za bardzo.

– Zdrówko – mówi Andrew i wszyscy troje wypijamy pierwszy łyk tajemniczego alkoholu.

Ben znów unosi kieliszek do toastu.

– Za dzisiejszą noc.

Koktajl pali w gardle. Z trudem łapię oddech.

– Przyjdiesz dzisiaj do mnie, śliczna koleżanko Andrew?

Przez chwilę udaję, że się nad tym zastanawiam.

– Nie.

Ben wzrusza ramionami i wraca do baru.

– Na podstawie odgłosów dochodzących z jego sypialni wnioskuję, że wiele tracisz – mówi Andrew.

– Nie sędzę. Te hałasy mogą oznaczać, że facet rzyga do kosza na śmieci albo jęczy, bo po pijanemu nie może stanąć na wysokości zadania.

– Na pewno nie zmienisz zdania? Nie jest draniem, tylko dziwakiem.

– Przed chwilą starałeś się mnie zniechęcić, a teraz gadasz jak rajfur.

– Po to są przyjaciele.

Tak wygląda przyjaźń? Ciekawa koncepcja.

– Nie masz pojęcia, jak trudno zaprzyjaźnić się z mężczyzną w wielkim mieście – wyznaję. – Nie wiedzieć czemu nieznanemu, którego proszę, żeby wymienił żarówki, od razu przychodzą do głowy głupie myśli. Czyżby zwykła żarówka budziła u innych falliczne skojarzenia, których jestem nieświadoma?

– Transakcja stara jak świat: najpierw czarna robota, potem seks. Ile żarówek trzeba u ciebie wymienić?

– Kilkadziesiąt. – Może coś z tego będzie... Co miał na myśli Harry, kiedy powiedział Sally, że kobiety i mężczyźni nie mogą się przyjaźnić? – Mam też do powieszenia półkę na książki i regał, który trzeba skrócić...

– Postawmy sprawę jasno: mam harować u ciebie jak niewolnik i nic za to nie dostanę?

Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz.

– Zyskasz moją przyjaźń i dożywotnią wdzięczność. Dostaniesz kolację.

– Umiesz gotować? – pyta. – Twoja ulubiona potrawa?

Ja w kuchni? Uchowaj Boże!

– Mam talent do zamawiania dużej pizzy – wyjaśniam, odwracając się, bo pora już wracać do Nat. –I świetnie rezerwuję stoliki.

Muszę usiąść. Bola mnie nogi. Czemu najładniejsze botki są zawsze tak cholernie niewygodne? Na szczęście obok Natalie jest wolne miejsce. Opadam na krzesło i widzę, że „pasiasty chłopczyzna” przycupnął na miejscu Amber.

– Wróciłam – mówię.

Jaki przystojny! Włosy ufarbowane na blond sprawiają, że wygląda jak solista boys–bandu, ale okulary w ciemnych oprawkach dodają mu parę lat.

– Gdzie się włóczysz? – mówi Natalie. – Siadaj.

– Rozmawiałam z Andrew.

– Naprawdę? On tu jest? Gdzie? – wypytuje.

Pokazuję róg sali.

– Z kim przyszedł?

– Z kumplem. Ma na imię Ben.

– Ben Manson?

– Nie znam nazwiska.

– Wysoki, przystojny blondyn?

– Tak?

– Pijany?

– Jak byś zgadła.

– Ten chłopak w ogóle nie trzeźwieje – wtrąca „pasiasty chłopczyna”.

Natalie mierzy spojrzeniem najpierw jego, potem mnie.

– Zaraz wrócę – mówi, co oznacza, że zniknie na cały wieczór, ale liczy na to, że mam ochotę pogadać, więc tu zostaniemy. – Amber nie chce tracić stolika – dodaje na odchodnym – więc się stąd nie ruszaj.

Chyba ze mnie kpi! Nie zamierzam nigdzie łązić!

– Cześć, jestem Jackie. – Niezbyt błyskotliwe zagajenie, ale na początek wystarczy.

– Damon. – Wyciąga rękę i potrząsa moją. Mocny uścisk dłoni. Silna osobowość. Tata byłby zadowolony.

– Opowiedz mi o sobie, Damon. – Pod wpływem alkoholu robię się odważna.

Chłopak wolno obraca kieliszek w małej dłoni.

– Jestem pisarzem.

Ojej, to chyba przeznaczenie.

– A ja redaktorką. – Milcząc, spoglądamy sobie w oczy. Tyle jest między nami niewypowiedzianych słów. – Co piszesz?

– Powieść.

– Pierwszą?

– Tak.

– O czym?

– O chłopcu dorastającym w Bostonie.

Boże, daję słowo, nie zmyślam: gdybym sama zaczęła pisać powieść, wybrałabym podobny temat. Fakt, nie zajmowałabym się dorastającym chłopcem, bo niewiele wiem o głębi męskiej jaźni. Szczerze mówiąc, odkąd poznałam Jera, zadaję sobie pytanie, czy mężczyzna w ogóle posiada jakąś głębię. Zapewne pisałabym o kobietach. Coś w stylu Judy Blum. Rzecz działałaby się w Connecticut, Jedyne miejsce w Bostonie, które znam dość dobrze, aby je opisać, to ten obskurny bar. Trudno, żeby młodziutka, niewinna bohaterka dostała pierwszej miesiączki w miejscowej toalecie.

– Jak zostałam redaktorką? – Na ustach Damona pojawia się diabelski uśmieszek Jacka Nicholsona.

– Wystarczył licencjat z anglistyki. Jestem w połowie studiów magisterskich.

– W czym się specjalizujesz?

– Ogólnie w literaturze. Taki był zakres mojej pracy dyplomowej. Magisterkę mam pisać z amerykańskiej literatury epoki romantyzmu i realizmu. – Powinnam dawno podać temat pracy, ale na jakiś czas przerwałam studia i jak głupia wyruszyłam za Jerem do Bostonu. Wmawiam sobie, że je wznowię. – Domyślam się, że również skończyłeś anglistykę i pisałeś pracę z literatury–

– To się rozumie samo przez się, prawda? – odpowiada z uśmiechem.

Nie chodziłam nigdy z chłopakiem, który dużo czyta. Na seminarium z „Królowej Elfów” Spensera nie pojawił się żaden facet do rzeczy. Nie wiedzieć czemu w grupie było sporo świetnych dziewczyn i kilku strasznie głupich chłopaków. Nie mówię o dobrodusznych głuptasach, którzy emablują panny w biały dzień, przesiadując w przytulnej knajpce nad filiżanką kawy espresso. Taki miły głuptas zapytany, co go kręci, mówi, że uwielbia czytać dzieła Karola Marksa na plaży nudystów w Meksyku. Straszliwy głupek z mojej

grupy przez całe zajęcia stukał zaostrozonym ołówkiem o dłoń, a zapytany, co go rajcuje, odpowiadał, że długi ołówek. Dla ścisłości dodam, że wcale nie miał na myśli fiuta.

– A twoja specjalność? – Jeśli odpowie, że interesuje się poezją, moje poszukiwania dobiegły końca. Oddam długie czarne botki do sklepu z używaną odzieżą i uznam, że Damon był mi przeznaczony. Kto by się sprzeciwiał wyrokowi losu?

– Ciekawiły mnie rozmaite gatunki, ale skupiłem się na poezji.

O Boże! O Boże! Za pięćdziesiąt lat wyjdziemy na werandę i usiądziemy na szerokiej huśtawce w promieniach zachodzącego słońca. Będę pomagała Damonowi redagować najnowsze dzieło. Nasz dom stanie w górach, na uboczu. Może to będzie zwykła drewniana chata jak w „Domku na prerii”? Oczywiście z wygodami: bieżąca woda i kanalizacja, a także komputer i kuchenka z płytą ceramiczną. W salonie fortepian. Koniecznie fortepian (chyba zapiszę się na lekcje muzyki). Ja będę grać, a on niech zarabia na życie. Powinniśmy coś kolekcjonować, na przykład popielniczki i dzieła sztuki.

Rozmarzyłam się. Istna sielanka.

– Co redagujesz? – pyta Damon.

– Książki.

– Jakie?

– Powieści dla kobiet.

– Literatura feministyczna? Powieści obyczajowe? Poradniki?

– Pudło!

– Pracuję w „Kupidynie”

– Romanse? – Wybuchu śmiechem. – Henry James przewraca się w grobie. Masz ochotę na drinka?

– Tak. Poproszę „Manhattan”.

- Ulubiony koktajl mądrych kobiet.
- Jestem bardzo mądrą kobietą. – Kocham tę Amber!
- Zaraz wrócę.
- Będę czekała.

Wszystko układa się idealnie. Zgodnie z planem zaczynam nowe życie. Spotkałam już swoją drugą połówkę. Wszystko trwało zaledwie czterdzieści osiem minut.

Damon wraca – musiał wrócić, bo przyciąga go do mnie niewytłumaczalny magnetyzm – z dwoma „Manhattanami”.

- Świetnie. Nadal tu jesteś.

Ani mi w głowie odchodzić bez niego, gdy literacko już się dogadaliśmy (choć literalnie jeszcze nie osiągnęliśmy porozumienia; to dwie różne sprawy).

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o twoim pisaniu – mówię, sącząc koktajl. Patrząc na zawartość kieliszka i ogarnia mnie panika, a żołądek podchodzi do gardła. Obawiam się, że po tym drinku będę miała czerwone zęby. Muszę szybko przełykać alkohol, nie trzymając go w ustach. Przydałaby się słomka. – Gdzie publikowałaś?

– Głównie w czasopiśmie: „Heat”, „Other People's Money”, „Playboy”... i parę innych. Przeważnie opowiadania, ale zrobiłem też kilka wywiadów. Napisałem...

Przerywam mu, bo ten „Playboy” bardzo mnie zainteresował.

- Co ci przyjął „Playboy”?
- Opowiadanie.
- Naprawdę? Chciałabym je przeczytać.
- Interesują cię erotyczne kawałki?



Człowieku, do kogo ta mowa? Jestem mistrzynią literackiej erotyki. Gdyby nie ja, takie teksty byłyby pozbawione znaków przestankowych i pełne źle zbudowanych zdań.

– Nie zapominaj, że pracuję w „Kupidynie”.

– Jasne. Masz jutro wolny wieczór?

Muszę przyznać, że mnie zaskoczył. Z drugiej strony jeżeli wziąć pod uwagę, że dwadzieścia cztery lata czekałam na swoją drugą połówkę, nie powinnam być taka zdziwiona. Trzeba udawać, że zastanawiam się nad jego propozycją.

– Do czego zmierzasz?

– Chciałbym cię zaprosić na drinka.

W końcu spotkałam miłego głuptasa, który o drugiej nad ranem będzie mnie emablował nad filiżanką espresso lub kieliszkiem alkoholu w przytulnej kawiarence czy knajpie!

– Fajny pomysł. Mam nadzieję, że chcesz się ze mną spotkać nie tylko z powodu erotyki, którą się zajmuję. – Oczywiście to żart. Jestem pewna, że również pociągam go nieodparcie.

– To ma swój urok, ale umówiłem się z tobą głównie dlatego, że kolega daje mi znaki. Pewnie chce już wracać. Musiałem się upewnić, że znowu cię zobaczę.

Bardzo dobry powód do kolejnego spotkania. Damon jest nie tylko wrażliwy (dla pisarza to najważniejsza cecha), lecz także cwany. Idzie do baru po kartkę i długopis. Na ustach barmanki widzę złośliwy uśmieszek.

– Chcesz ją podpisać? – Prymitywna baba. Zapisuję numer telefonu. Mam nadzieję, że charakter

pisma zdradza moją wyjątkową zmysłowość. Na wszelki wypadek wielkimi literami notuję pod spodem swoje imię. Damon jest wprawdzie moją

drugą połówką, ale przedstawiłam się na samym początku rozmowy, kiedy jeszcze nie pojął, że zostaliśmy sobie przeznaczeni.

Siedzę przy najlepszym stoliku. Jestem pewna, że Amber, dentystka czarodziejka, zbeszta mnie za tę samowolę, ale nie zamierzam tkwić tu bez towarzystwa przez najbliższe trzy godziny. Przy barze zrobiło się luźniej, więc nie muszę się przepychać, wystarczają łokcie.

– Cześć – mówię do Natalie stojącej tam z Benem.

– Pogadałaś z Damonem? Można powiedzieć, że macie ze sobą wiele wspólnego.

– Owszem. Miły chłopak. Umówił się ze mną.

– Naprawdę? Sądziłam, że jest z Suzanne.

– Chyba nie. Co wiesz o Suzanne?

– To dziewczyna Damona, jest od niego starsza.

– Na pewno z nią zerwał. Rzeczywiście jest miły.

– Szczerze mówiąc, to przeuroczy facet.

Tak! Mój jedyny wzbudza ogólną sympatię.

– Kto jest uroczy? Ja? – pyta Ben. Jedzie mu z ust przetrawioną whisky.

– Damon.

– Jaki Damon?

– Damon...

To jedna z tych informacji, które powinnam od razu wyłapać. Czy wymienił swoje nazwisko? Nie przypominam sobie, lecz nie jestem dobra w zapamiętywaniu, kiedy się kto urodził albo gdzie wsadziłam bilet na samolot. Przysięgam, że ta druga wpadka zdarzyła mi się tylko raz. Bez wątplenia w samolocie bilet powrotny spadł pod fotel. Przecież wszystko opada. Takie jest prawo grawitacji. Zapytajcie Janie, która ciągle narzeka, że pośladki jej opadają. Policzki też. Wczoraj zadzwoniła do mnie w panice i marudziła, że

nie mieści się w stare spodnie. Nosiła trójkę, a teraz musi kupować piątkę. I co? Miałam płakać jak bóbr? Tak czy inaczej przypadkowa utrata jednego biletu w całej mojej lotniczej karierze to całkiem niezły wynik, prawda? Właściwie to miałam dwie takie wpadki, ale za drugim razem winna była Janie, bo twierdziła, że kupiła mi bilet na szóstego czerwca, na siódmą wieczorem, a potem okazało się, że samolot odlatuje siódmego czerwca o szóstej po południu. Gdyby nie była taka pewna swego, bez wątpienia sprawdziłabym w informacji.

– Damon Strenner. – Natalie uratowała mój honor. Jackie Strenner... Jak to ładnie brzmi.

– Umówiłaś się z Damonem Strennerem? – Ben prychnął z pogardą. – Przecież to oferma.

– W ciągu ostatnich dwudziestu minut nazwałeś tak trzech facetów. – Natalie przewraca oczami. – Czy w tym klubie jest gość, którego nie uważasz za oferwę?

Ben przekrzywia głowę, jakby usłyszał podchwytliwe pytanie.

– Tak – mówi w końcu. – Andrew.

– Twój najlepszy kumpel się nie liczy. Znać się od drugiego roku życia. Kawał czasu! Czy można prosić o szczegóły?

– Jak to możliwe, że tak dawno się poznaliście?

– Nasi rodzice byli zaprzyjaźnieni.

Oho, zaczyna bełkotać. Ktoś dotyka moich pleców? Czy to jego ręka? Czyżby ją zsuwał?

– Gdzie jest Andrew? – wypytuję, starając się odsunąć i przerwać te karesy.

– Nie wiem – odpowiada Ben, zataczając się lekko. – Widziałem Jess. Chyba wyszli razem.

– Co to za Jess? – ożywia się Natalie.

– Jego panna.

Jessika, lalunia Andrew. Czy to jego dziewczyna? Sympatia? Kochanka?

Dłoń Bena spoczywa na moim pośladku. Mówię Natalie, że czas się zmywać.

Czterdzieści pięć minut później widzę Sam owiniętą w koc i siedzącą na kanapie. Ani drgnie, wygląda jak pogrążona w transie. Ogląda „Ally McBeal”.

– Cześć! – wołam. – Żyjesz?

Mamroce niewyraźnie.

– Masz jakieś żarcie? – Ściągam ciasne botki.

– Płatki kukurydziane.

Może być. Nalewam mleka do miseczki i wrzucam garść płatków. Stanowczo ich nie doceniamy. Czemu uchodzą wyłącznie za potrawę śniadaniową? Są smaczne, niskokaloryczne, a wzbogacone mlekiem dostarczają składników odżywczych z dwu podstawowych grup. Rzecz w tym, by za bardzo nie rozmiękły, ale to kwestia proporcji.

– Co się stało? – Siadam na kanapie z podwiniętymi nogami.

– Nienawidzę go.

Co jest grane? Misiaczki się poprzytykały? Aha, widzę łzy.

– Opowiadaj – zachęcam, sięgając po chusteczki leżące na niskim stoliku. – Możesz się zwierzyć współlokatorce. Przydaje się, gdy trzeba ponarzekać na chłopaka. – Mniejsza z tym, że sama jestem teraz między jednym a drugim facetem (szkoda, że tylko w przenośni), więc nie mam powodów do marudzenia. Nagle uświadamiam sobie, że Sam nie wspomniała dotąd o żadnej przyjaciółce. – Z kim zwykle rozmawiasz, kiedy Mark cię wkurzy?

– Co ty gadasz? Z nim rozmawiam.

– Ale komu się zwierzasz? – O kurde! Powinna iść na terapię i znaleźć sobie dziewczyńską grupę wsparcia.

– Mamie. Boże miłosierny!

– Odkąd zaczęłaś chodzić z Markiem, nie masz żadnych przyjaciółek, co? Jak długo jesteście razem?

– Pięć lat. – Nadal gapi się w telewizor. Ciemnowłosa aktorka skracala właśnie koszmarną sukienkę. – Natalie jest moją przyjaciółką.

– Kiedy ostatnio z nią plotkowałaś?

– Racja! – Sam patrzy na mnie zdumiona. – Stuprocentowa racja. Nie mam ani przyjaciółek, ani narzeczonego, który chciałby ożenić się ze mną. – Bez przesady! Kto mówi o ślubie? – Skończyłam dwadzieścia pięć lat. Zostanę starą panną.

– Mam dla ciebie nowinę: gdybyś do tej pory nie bzykała się z żadnym chłopakiem, mogłabyś uchodzić za pewną kandydatkę do staropanieństwa. Dziewice nie mają teraz wzięcia. Poza tym ze wszystkich moich znajomych ty masz największe szanse na małżeństwo.

– Mama urodziła mnie, gdy miała dwadzieścia cztery lata. Była o rok młodsza niż ja teraz! Wyszła za mąż, gdy ledwie skończyła dwadzieścia jeden.

– Zgadza się. Moja również i wiadomo, co z tego wynikło.

Sam peroruje, jakby mnie w ogóle nie słuchała.

– Nie rozumiesz? Przyjmijmy, że zostanę z Markiem do dwudziestego dziewiątego roku życia. Nadal nie będzie się palił do żeniaczki, a wtedy zaczniesz tykać mój biologiczny zegar, więc zerwę, lecz wtedy nikt mnie już nie będzie chciał.

Biologiczny zegar? Ja nie mam nawet stopera. Takie wynalazki są poza zasięgiem mego systemu wczesnego wykrywania.

– Dobra. Po pierwsze, dość oglądania Ally McBeal. –Naciskam guzik pilota. – Po drugie, musisz mi opowiedzieć ze szczegółami o waszym związku, żebym mogła zrozumieć, gdzie tkwi problem. Zacznijmy od samego początku. Jak się poznaliście?

– Jasne. – Szłocha. – Zobaczyłam Marka w bibliotece. Siadał zawsze przy tym samym stole, naprzeciwko mnie. Pewnego dnia włożył karteczkę do mojego podręcznika psychologii dziecięcej...

– Po co wzięłaś ten przedmiot? Żeby zrozumieć mężczyzn?

– Nie, chciałam lepiej poznać dzieci.

– To ma sens.

– Mark napisał na karteczce: „Cześć, pójdziesz ze mną na obiad?”

Oczywiście zgodziłam się i powiedziałam...

– Napisał do ciebie, a ty się odezwałaś?

– Tak było.

– Skąd wiedziałaś, z kim masz do czynienia?

– Znałam go. Siedział zawsze przy tym samym bibliotecznym stole, naprzeciwko mnie.

– Miałaś pewność, że karteczka jest od niego?

– Naturalnie.

– Skąd wiedziałaś?

– Gdy podniosłam głowę, patrzył na mnie, więc powiedziałam: „Bardzo chętnie pójdę z tobą na obiad”, a on na to, że się cieszy.

– Trzeba wziąć pod uwagę i taką możliwość, że nie był autorem listu.

– Na pewno go napisał!

– Skąd wiesz?

– Wiem i już. Przestań się wygłupiać. Mam opowiadać czy kończymy rozmowę?

– Dobra, przepraszam. Wal dalej.

– Poszliśmy na obiad, umówił się ze mną na weekend i od tamtej pory jesteśmy razem.

– I to już koniec.

– Jak byś zgadła.

– Byłoby znacznie ciekawiej, gdyby inny chłopak napisał tamten list.

– Nie zwracajmy sobie tym głowy. Teraz chodzi o to, żebyśmy się bardziej do siebie zbliżyli.

Co ona bajdurzy?

– Nie próbuj mi wmówić, że się nie bzykacie! – Czyżby istotnie czekało ją gwarantowane staropanieństwo?

– Przecież wiesz, że z nim sypiam. Chodzi mi o inne sprawy.

A konkretnie? Czy mogłaby wyrażać się jaśniej?

– Wybacz, każdemu facetowi, który proponował mi zbliżenie, chodziło o łóżko. Do czego zmierzasz?

– Jesteśmy razem od pięciu lat. Moim zdaniem, powinniśmy razem zamieszkać.

Czy ona zwariowała? Chyba całkiem jej odbiło.

– To koszmar.

– Dlaczego? – pyta nerwowo. – Sądzisz, że przed ślubem pary nie powinny razem mieszkać?

– Przeciwnie, ale nie mieści mi się w głowie, że mogłabyś wystawić do wiatru swoją współlokatorkę i w połowie roku zostawić ją samą w mieszkaniu z dwiema sypialniami. – Utkwiłam spojrzenie w miseczce i westchnęłam.

– Co jeszcze?

– Wlałam za dużo mleka. Muszę dosypać płatków. Nie zwraca na mnie uwagi, gdy usiłuję przywrócić



swojej kolacji właściwe proporcje.

– Nie zostawiłabym cię na lodzie. Wcale nie musiałabyś płacić sama pełnego czynszu. Znaleźlibyśmy chętną osobę, która by z tobą zamieszkała, albo zostałabym tutaj do września, kiedy wygasa nasza umowa.

Właściwie to miałyśmy razem mieszkać przez rok i miesiąc, bo poprzednia współlokatorka wyprowadziła się miesiąc wcześniej, a ja przyjechałam na początku września. Sam najwyraźniej bagatelizowała naszą zażyłość, bo dręczyło ją poczucie winy.

Ciekawe, czego się po mnie spodziewa. Nie znam nikogo, kto szukałby mieszkania i nadawał się na mego współlokatora. Szczerze mówiąc, nie mam również znajomych, z którymi nie chciałabym żyć pod jednym dachem, a którzy na szczęście mają już własne lokum.

– Nie powiedziałam wprost – ciągnie Sam – ale setki razy dawałam mu to do zrozumienia. Pozwalałam sobie na rozmaite aluzje.

– Na przykład?

– Kiedy w ubiegłym roku Angie postanowiła się wyprowadzić, poprosiłam go o radę i usłyszałam, że najprościej będzie dać ogłoszenie do gazety. Powinien dojść do wniosku, że to znakomita sposobność, abyśmy razem zamieszkali.

– Rozpaczasz, bo przed rokiem zrobił ci przykrość?

– Nie. Dziś wieczorem też zachował się jak ostatni gbur. Po pracy spotkaliśmy się w chińskiej restauracji. Zapytał, czy u niego przenocuję, więc się zgodziłam, ale chciałam jeszcze wpaść do domu, żeby wziąć kilka drobiazgów. Wtedy powiedział, że powinnam szczoteczkę do zębów i takie rzeczy mieć... w samochodzie. Rozumiesz? W moim samochodzie!

– Ale numer!

– W moim samochodzie! Nie u niego w mieszkaniu, tylko w moim aucie.  
Powiedz, czy to normalne? Po takiej uwadze postanowiłam wrócić do domu.

– Chwileczkę! Na którym kanale „Ally McBeal” leci o drugiej w nocy.

– Nagrałam kilka odcinków.

– Chyba trafiłaś na związkofoba.

– Takie już moje zezowate szczęście. Ale skąd mogłam wiedzieć?

Miałam gotową odpowiedź. Tropienie związkofobów to moja specjalność.

– Co on lubi mieć w ustach?

– Czemu pytasz?

– W ostatnim numerze „City Girl” jest artykuł omawiający nastawienie faceta do związku w zależności od tego, co łąduje do paszczy. Poczekaj, zaraz przyniosę. –Pobiegłam do pokoju po czasopismo. – Czym odświeża oddech?

– Słucham?

– No wiesz: guma do żucia, miętowy cukierek, tic-taki?

– Uwielbia tic-taki. Co to znaczy?

Katastrofa!

– Łatwo się rozpuszczają, prawda? Tutaj jest napisane, że taki łachudra chętnie znika z horyzontu.

– Nie strasz mnie!

– Ulubione danie twojego mężczyzny: pieczony kurczak, pierożki ravioli, zrazy.

– Chyba... ravioli.

Ponuro kiwam głową.

– Fatalnie. To znaczy, że jedna mu nie wystarczy.

– Nie rozumiem.

– Nie potrafi się związać na stałe z jedną dziewczyną. –Przecież to oczywiste!

Sam patrzy na mnie z rozpaczą. Na co dzień jej piękne brązowe oczy po prostu jaśnieją.

– Co powinien jeść?

– Zrazy wołowe. – Czytam dalej. – Mężczyzna zamawiający tę potrawę chce dużo wnieść do waszego związku. Bywa twardy, ale trzyma się mocno.

– Co to są zrazy?

– Plastry wołowiny z różnościami w środku, ciasno zwinięte. Kup mu czasem wołowinę.

– Nie zamierzam karmić drania. Chcę tylko z nim mieszkać.

– Życzę szczęścia, ale poczekaj do końca września, co?

W łóżku byłam dopiero pół do czwartej. Okropność! Powinnam wstać pół do dziesiątej, żeby zdążyć na taekwondo! Uparłam się, że pójdę na trening. Mogę najwyżej darować sobie śniadanie i wstać o dziesiątej. Nie, trzeba jednak coś rano wrzucić do żołądka. Kupię po drodze szybkie danie na wynos.

Komu zraziki?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *Pieprzona kula*

Oddycham płytko, żeby nie czuć odoru stóp unoszącego się nad niebieską matą rozłożoną na podłodze. Widzę składowisko butów przy drzwiach, ale ruszam do grupki mężczyzn w białych kimonach przewiązanych barwnymi pasami, którzy wykonują ćwiczenia rozciągające.

– Stać! – słyszę wibrujący baryton i zamieram w bezruchu.

– Czemu? – Spoglądam na mocno zbudowanego, piekielnie seksownego osiłka, na oko Włocha. Ciemna opalenizna lub śniada karnacja pięknie kontrastuje z białym kimonem zawodnika taekwondo. Do tego czarny pas. Nogi mam jak z waty. Kto mnie zanieś do szatni?

– Po dojo nie wolno chodzić w butach – tłumaczy samiec doskonały.

– Przepraszam. – Ale wpadka. Jestem tu zaledwie trzy minuty, a już zdążyłam urazić tego Herkulesa.

Uśmiecha się. Ojej! Czy to krzywy ząb? Mężczyźnie taka drobna usterka dodaje zapewne wyrazistości i podkreśla atrakcyjność. Nieprawda. Bardziej mi się podobał z zamkniętymi ustami.

– Nie szkodzi. Chętnie zrobię ci małe wprowadzenie. Jestem Lorenzo.

Cicho... nic nie mów, przystojniaczku.

– Na imię mi Jackie. Dzięki za pomoc. – Wygląda dziwnie znajomo. Gdzie ja go widziałam? W Connecticut? Nie, tam brak seksownych facetów. Może jest aktorem? Znam tę twarz i tors...

– Jackie?

– Tak.

– Nie zdjęłaś butów.

– Fakt. – Był w Penn? Wygląda mi na trzydziestolatka, ale może być starszy. Znajomy z „Orgazmu”? Nie, powtarzam, ma co najmniej trzydziestkę.

– Gdy się tu rozejrzysz, idź do mistrza. Czeka na ciebie w gabinecie.

Mistrz NanChu jest wysokim Koreańczykiem po sześćdziesiątce. Gdy wchodzę, pochyla w ukłonie łysą głowę, więc także się kłaniam.

– Siadaj, siadaj – mówi. Na ścianie wisi oprawiona w ramki fotografia mistrza z Sylwestrem Stalone. A to Chris O'Donnel. Mistrz NanChu obserwuje moją rozanieloną twarz. – Lubisz Chrisa? Dobry chłopak. Trenuję gwiazdorów do filmu.

Czy to jest Tom Cruise? Tak, zgadza się! Mistrz zna Toma Cruise'a! Zechce mnie mu przedstawić? Zapewne przygotowywał go do roli w „Mission: Impossible”. Jeśli będę rzeczywiście dobra, wręcz świetna, może zarekomenduje mnie do roli mocnej kobiety. Błyskawicznie opanuję wszystkie śmiercionośne chwyt, które ma wykonać niewysoka, ale groźna adeptka karate. Zasad interpunkcji nauczyłam się błyskawicznie. Helen twierdzi, że moje kropki powalają na kolana.

– A zatem czemu zainteresowałaś się taekwondo? No, pora wrócić do rzeczywistości.

– Chciałabym poznać sztuki walki, żeby czuć się bezpiecznie.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– I trzymać formę.

– Dobrze. Bardzo dobrze. I poznać superfacetów.

Po kwadransie pogawędki o Bostonie mistrz każe mi wrócić na dojo.

– Dokończymy rozmowę po treningu. Jeśli ci się spodoba, zapiszesz się do sekcji, zgoda? – Trochę jesteśmy namolni, co? Zresztą czy mogę spierać się ze znajomym Toma Cruise'a? Chyba nie. – Zostaw skarpetki w szatni.

No i proszę, zaczynam nowe życie. Dziękuję mistrzowi, zamykam za sobą drzwi i pędzę do szatni. Muszę zdjąć skarpetki. Co takiego? Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, nic o tym nie wspomniał. Jak mam ćwiczyć bez skarpetek? Od czerwca ani razu nie byłam u pedikiurzystki. Istna katastrofa! Pukam do gabinetu mistrza NanChu.

– Sir?

– Tak?

– Mogłabym ćwiczyć w skarpetkach?

– To zbyt niebezpieczne. Możesz się poślizgnąć.

– Ach tak... Dzięki! – O cholera.

Przez całą następną godzinę próbowałam zrozumieć, o co tu, kurde, biega. Wszyscy liczyli po koreańsku i wymachiwali pięściami. Choć po rozgrzewce żołądek podchodził mi do gardła (kawa i ciastko tuż przed treningiem to nie był mój najlepszy pomysł), chociaż raz po raz wyrzucałam do przodu nie to ramię, co potrzeba (lewa ręka, proszę pani. To nie jest lewa ręka, ta druga jest lewa!), wcale się nie przejmuję, bo stosunek obu płci jest tu po prostu fantastyczny: dwudziestu przystojnych, wspaniale umięśnionych mężczyzn na trzy pulchne kobitki. No i ja. Tak! Trudno powiedzieć, czemu inne samotne, ładne dziewczę nie wpadło na taki sam pomysł, ale... co mnie to obchodzi? Będę miała większy wybór. Sala wprost spływa testosteronem. Usiłowałam przekonać Nat, żeby ze mną przyszła, bo przecież to był jej pomysł, ale powiedziała, że osobisty trener nie życzy sobie, aby ćwiczyła dodatkowo.

– *Hanna, twul, zed, ned, dasso...* blokuj *jekiah!* – Trening prowadzi Lorenzo. Nie wiadomo, o co mu chodzi, ale głos ma bardzo seksowny.

Chyba okropnie się wygłupiłam, bo podchodzi, żeby popracować nad moją pozycją. A może interesuje się mną z powodu innych pozycji? Chyba

wiecie, o czym mowa. Jakie ciemne, gęste włosy. Ach, ta opalona, gładka skóra. Ten... Co jest grane? To jest... To przecież... Fuuu! Ohyda!

Byłam niesprawiedliwa. Nie mogę oczekiwać, że facet zlany potem będzie pachniał różami. Mimo wszystko jest cudny. A raczej będzie, kiedy weźmie prysznic.

Wolałabym, żeby odsunął się trochę... jeszcze odrobinę... niech idzie w drugi kąt sali. Doskonale. No i proszę, znów mi się podoba.

Oho, mężczyźnie stojącemu przede mną granatowe majtki prześwitują spod białego kimona. Uwaga: trzeba się zaopatrzyć w jasną bieliznę.

Cios, kopnięcie, obrót. Dziwne, ale każdy z tych facetów jest zwinniejszy ode mnie.

– A teraz obserwujcie Lorenza. Zademonstruje, jak należy robić pompki – odzywa się mistrz NanChu. Lorenzo ląduje na podłodze. Góra, dół, góra, dół, góra, dół, góra, dół. – Zwróćcie uwagę, w jaki sposób jego biodra zbliżają się do podłogi.

Ramiona w górę. Barczyste, męskie, szerokie ramiona. Biodra w górę. Cudowne, wąskie biodra. Gdybym to ja była podłogą... Ale najpierw prysznic.

Kiedy pól do pierwszej znalazłam się w domu, stopy okropnie mi śmierdziały, a konto zubożało o pięćset dolców za roczny kurs plus sześćdziesiąt za śliczny biały strój, którego jeszcze nie zdjęłam, bo wygląda świetnie.

Sam, owinięta kocem, gapi się w telewizor. Ogląda „Modny ślub – magazyn dla nowożeńców”. Na kanapie leżą bezładnie rozrzucone albumy z fotografiami.

– Ale śmierdzisz – mówi.

– Piękne dzięki, ty również. Spałaś na kanapie? Ktoś do mnie dzwonił?



– Dwa razy nie. Czemu pytasz? Kto miał dzwonić? –mówi głosem bezbarwnym i płaskim jak sprasowana butelka po coli light, którą przez roztargnienie zostawiłam na blacie w kuchni.

– Poznałam w klubie chłopaka. Obiecał, że się odezwie.

– Jak twierdzi, że zadzwoni, nie zawsze mówi poważnie. W „City Girl” piszą, że facet bierze numer telefonu, bo chce szybko skończyć rozmowę. Kim jest ten twój?

– To Damon Strenner. – Od kiedy Sam jest czytelniczką „City Girl”?

– Znam go. Fajny chłopak. Sądziłam, że mieszka ze swoją dziewczyną.

– Chyba nie. – Mam dość gadki o jego pannie. Z pewnością już o niej zapomniał. Wszyscy przez to przechodzą i nieźle sobie radzą. Moje egzemplarze „Cosmopolitan”, „Mademoiselle”, „Glamour” i „City Girl” walające się po podłodze wyglądają na mocno zaczytane. – Uczysz się artykułów na pamięć? – Siadam wśród czasopism i zaczynam kartkować niektóre.

– Znalazłam wiele pożytecznych informacji. Sporo się dowiedziałam o seksie tantrycznym. Muszę spróbować „precla”.

– Co to jest? – pytam.

– Pozycja, w której dziewczyna jest na górze, nogami obejmuje mężczyznę, wsuwając stopy pod jego kolana, a ramionami otacza luźno barki.

– Dosyć męczące.

– Ta mała sztanga oznacza stopień trudności. Na pięć możliwych dali tutaj cztery, więc nie jest to łatwa pozycja. Chciałabym też wypróbować „zanurzony pokład”.

Nie chcę wiedzieć, jak to się robi. Nagle doznaję olśnienia.

– Wiesz, jak się weźmie pierwsze litery imienia twego i Marka, wychodzi S i M.

– I co z tego?

Mam pomysł na świetne kostiumy. W Halloween pasowałyby im stroje ze skóry ozdobione na piersiach czerwonymi inicjałami S i M. Do tego kajdanki, którymi powinni być skuci. Szczerze mówiąc, nie mam pewności, czy pytanie Sam oznacza, że nie zajarzyła, o co chodzi. Może w ogóle jej to nie obeszło? Lepiej nie drażyć tematu.

– Patrz, jacy byliśmy szczęśliwi – biadoli, rzucając mi album na kolana. Po prawej stronie są trzy zdjęcia szczęśliwej parki plażującej się na Florydzie oraz jedno przedstawiające Sam, która siedzi na łóżku w pokoju hotelowym. Pod każdym jest podpis: Sam w hotelu „Hyatt”, Mark i Sam w grajdołku, Sam się kąpie i tak dalej. Po lewej stronie widzę kolekcję biletów lotniczych, autobusowych i muzealnych oraz rachunki z restauracji.

Sam przechowuje zapewne opakowanie gumki otwarte, gdy spali ze sobą pierwszy raz. Ten typ tak ma.

Na zdjęciach Mark i Sam wydają się szczęśliwi. Jedna z fotek przedstawia Sam wyciągniętą w hotelowym łóżku i okrytą białym kocem. Jest uśmiechnięta i trzyma kieliszek wina. Chwileczkę!

– Sam, czy to jest twój koc?

Przesuwa dłonią po bielutkim pledzie owiniętym wokół nóg.

– Używałaś w hotelu własnej pościeli? – Jak to możliwe? Czyżby była całkiem stuknięta?

Unika mojego wzroku.

– Masz pojęcie, ile chorobotwórczych bakterii żyje w hotelowych kocach? Są na nich plamy z jedzenia, zaschnięta krew i...

– Zabrałaś także poduszki?

– Tylko jaśki. Nie oglądasz telewizyjnych poradników medycznych?

– Sam, wyluzuj się. Kto weźmie ślub z taką wariatką?

Rozkleja się i zaczyna ryczeć.

Przecież tylko żartowałam. Niektórym brak poczucia humoru.

Damon zatelefonował o trzeciej. Słyszałam dzwonek, ale nie mogłam znaleźć słuchawki. Powinna leżeć na podłodze w moim pokoju, ale gdzieś przepadła między swetrami, zmiętym prześcieradłem, noszonym wczoraj paskiem...

– Cześć, jak tam? – usłyszałam znajomy głos, kiedy znalazłam w końcu telefon spoczywający pomiędzy miseczkami stanika bez ramiączek.

– Cześć. – Zadzwoił! Zadzwoił! Powiedział, że się odezwie i zadzwoił, zadzwoił, zadzwoił!

– Spotykamy się dziś wieczorem?

– Naturalnie. – Z pewnością czuje moc przeznaczenia emanującą z jego pasków ku mej duszy.

– Świetnie. Gdzie mam czekać?

Proszę? Spodziewałam się, że tu po mnie przyjedzie. Myślałam, że spyta o adres. Czemu moja druga połówka chce czekać w innym miejscu?

– Sama nie wiem. Dokąd chcesz pójść?

– Gdzie mieszkasz?

– W Back Bay.

– Ja również. Spotkajmy się przy Marlborough i Dartmouth, zgoda?

– Marlborough i Dartmouth? – Na skrzyżowaniu? Mam wyjść na róg i czekać? Jak kurwa? A jeśli przypadkowy zbieganiec wciągnie mnie do auta i odjedzie? Mogę spotkać napalonego żartownisia, który laźł za mną w ubiegłym tygodniu.

– Pasuje ci?

Nie! W żadnym wypadku. Kto umawia się ze swą wybranką na rogu? A jeśli nie przyjdzie? Może będę czekać wiele godzin, raz po raz zerkając na

zegarek? Dla zabicia czasu zacznę przypominać sobie imiona wszystkich facetów, z którymi chciałam się przespać.

– Może być. – Być może nie jesteś wcale moją drugą połówką, bezduszny draniu. – O której się spotkamy?

– Pół do dziesiątej?

– Dobra. – Jeśli spóźni się więcej niż trzy minuty, znikam stamtąd.

– W takim razie do zobaczenia.

Nie byłabym taka pewna, bo ta randka fatalnie się zapowiada.

– Damon?

– Tak?

– Podaj swój numer telefonu na wypadek, gdyby coś mi wypadło i chciałabym cię zawiadomić.

Zamilkł. Halo? Mamy problem? Przecież staram się być miła i proszę o kontakt, żebyś nie musiał przez całą noc tkwić na rogu i liczyć aut, jeśli postanowię wypiąć się na ciebie. Po długiej chwili dyktuje mi numer.

– W takim razie do zobaczenia. – Rzucam słuchawkę. Rozmowa trwała dwie minuty i właściwie skończyła się kłótnią.

– To był Damon? – wrzeszczy siedząca w salonie Sam.

– Tak. Widzisz, zadzwonił! Umówiliśmy się na wieczór! – krzyczę przez ścianę sypialni.

– O której?

– Pół do dziesiątej. Czemu pytasz? Masz ochotę na wspólną kolację?

– Nie! Spotykam się z Markiem! Ale w „City Girl” jest napisane, że proponowana godzina randki wiele mówi o zamiarach chłopaka. Jeśli umawia się po dziewiątej, chciałby po prostu ściągnąć ci majtki.

To mi się nie podoba, ale nie zamierzam ulegać pesymizmowi Sam.

– W przeciwieństwie do pewnych znanych osób nie marzę o rychłym ślubie. Lubię, kiedy chłopcy zdejmują mi majtki!

– Nie muszę wychodzić za mąż. Wystarczą mi zaręczyny. Przyjedzie po ciebie pół do dziesiątej?

– Owszem. – Nie muszę jej zdradzać wszystkich szczegółów. Niespodziewanie ogarnia mnie panika. Jak się ubrać na randkę z pisarzem? – Co mam włożyć? On jest pisarzem! – wołam przez ścianę. – Sam? Samantha!

– Nie wrzeszcz tak – odpowiada, stając w drzwiach. – Przecież nie jestem głucha.

– Masz bluzkę w paski?

– Czemu pytasz? Dlaczego w paski? – dziwi się Sam.

– Damon lubi paski. Spotkałam go dwukrotnie i za każdym razem miał na sobie pasiaste ciuchy.

– A jeśli znowu się tak ubierze? Będziecie wyglądali jak dwie pszczołki z kreskówki.

– Co myślisz o pionowych paskach?

– Razem stworzycie siatkę geograficzną.

– Proste czy kręcone?

– Paski?

– Nie, włosy? Odłotowo czy poważnie?

Zwycięża powaga. Biorę prysznic i zaczyna się mój rytuał. Najpierw wycieranie ręcznikiem, potem rozczesywanie, następnie specjalna pianka, wreszcie kolejne pasma nawijane na grubą, okrągłą szczotkę i suszarka w ruch. Ledwie słyszę Sam zagłuszaną tym warkotem.

– Co mówisz?! – wrzeszczę. – O co chodzi?

Żadnej odpowiedzi. Nie znoszę takich sytuacji. Tak samo się czuję, kiedy robię siusiu i nagle dzwoni telefon. Wciągam majtki i pędzę do telefonu, ale połączenie zostało już przerwane.

Pół godziny później włosy mam śliczne i wbrew naturze zupełnie proste. Wchodzę do salonu jak modelka na wybieg. Sam smaruje masłem orzechowym kawałek selera naciowego.

– Przecież ci mówiłam, żebyś się nie przejmowała włosami. Będzie padać. Cholera jasna! Dziś wieczorem kłamka zapadnie. – Sam podaje mi kawałek starannie posmarowanego selera.

– Jaka kłamka? – Chyba zostawiłam parasol w wydawnictwie. Jestem wściekła, ilekroć mi się to zdarza. Dlaczego ciągle gubię parasole? Jestem zwykłą gapą? Czemu parasolka nie leży nigdy na swoim miejscu?

– Postawię ultimatum.

Oho. Sam ma teraz znacznie poważniejsze kłopoty. Brak parasola to pestka.

– Fatalny pomysł.

– Wręcz przeciwnie. Zdaniem Candice, należy jasno postawić sprawę, więc tak będzie. Potrzebuję faceta, z którym będę robić plany na przyszłość. Jeśli Mark nie jest gotowy, muszę znaleźć sobie innego, który będzie.

– Przyjmiesz do wiadomości jego odpowiedź, jeśli będzie inna od tej, którą chciałabyś usłyszeć? Kim jest Candice?

– Dziennikarką „City Girl”.

– Moim zdaniem, robisz błąd.

– Decyzja podjęta. – Smaruje masłem orzechowym następny kawałek selera naciowego.

Obudziłam potwora.

Pół do dziesiątej Damon jest na rogu i siedzi na ławce ubrany w szarą koszulę z poziomym zielonym pasem. Jego szafa musi wyglądać jak podręcznik geometrii.

– Cześć – mówi i całuje mnie w policzek, co byłoby przemiłe, gdybym w tej samej chwili nie spostrzegła, że ma na sobie dżinsy. Dżinsy! Kto przychodzi w dżinsach na pierwszą randkę? Równie dobrze mógłby dotknąć rozporka, żeby się podrapać. Czy w „Orgazmie” również miał na sobie dżinsy? Tak mnie zaabsorbowały jego paski, że nie zwróciłam uwagi.

Przynajmniej deszcz nie pada.

– Cześć – odpowiadam. – Dokąd pójdziemy?

– Sam nie wiem. Masz jakieś ulubione miejsca?

Będziemy jak w ósmej klasie godzinami zastanawiać się, dokąd warto iść? To jest randka. Zaprosił mnie, więc powinien zaplanować coś więcej poza spotkaniem na rogu ulicy. Gdzie ta nastrojowa francuska kawiarenka, w której miał odkrywać przede mną tajemnice wszechświata? Aha, teraz wiem, czemu włożył dżinsy. O rany, czy powinnam ubrać się podobnie jak on? Może pomyślał, że mam awersję do takich miejsc i stąd nagle te szkolne rozterki, dokąd się wybrać.

– Co sądzisz o „Róży”? Jest tuż za rogiem – pyta Damon.

Nieświadomie ocalał przed ostatecznym zaszufładkowaniem, inaczej w mojej kronice wypadków miłosnych raz na zawsze zostałyby uwiecznione jako popapraniec w dżinsach umawiający się na skrzyżowaniu, który nawet nie pomyślał, dokąd mnie zabrać.

„Róża” to fajny barek. Sala jest tak niska, że gdybym przyszła tu z wyższym chłopakiem, musiałby pochylić głowę. Jest pusto; tylko my i para siedząca w głębi. Pod słuchujemy rozmowę barmana z kelnerką. Drewniane stoliki są okrągłe i wysokie; przypominają meble na wysoki połysk z mojego



mieszkania. Różnica polega na tym, że dzięki Sam w naszych blatach mogę się przeglądać, a tu widzę odciski palców. Siadamy na metalowych stołkach przy stoliku na wprost baru. Rozmowa dotyczy uroków lokalu. Zaczynam się wiercić. Czemu kelnerka do nas nie podchodzi? Przecież nie jest zajęta.

– Coś nie tak? – pyta Damon.

Mam wrażenie, że siedzę na składanym krzeselku w szkolnej sali gimnastycznej, pisząc maturę.

– Te krzesła są niewygodne – odpowiadam, próbując mu dać do zrozumienia, że powinien wybrać stolik.

– Wątpię, żeby kelnerka do nas podeszła. Sam pójde zamówić napoje. Co chcesz?

Od ciebie nic, dziecinko. Na razie „pasiasty chłopczyzna” wypada blado.

– Poproszę białe wino – mówię, a Damon pędzi do barmana i rozmawia z nim, machając rękami jak wiatrak. Przypomina mi postać z komiksu. Nie zamierzam proponować, że zapłacę za swoje wino. Na pewno by się zgodził.

– Wyjdźmy na zewnątrz – proponuje, biorąc karafkę z winem. – Mam nadzieję, że krzesła będą wygodniejsze.

Miły jest. Chyba zbyt surowo go oceniłam.

W ogródku stoi mniej więcej dziesięć niewielkich metalowych stolików oświetlonych świecami. Oprócz nas nie ma tutaj nikogo. Wybieramy stolik w głębi, pod blaszanym daszkiem. Już mam usiąść, ale Damon mówi:

– Chwileczkę, sprawdź, czy krzesło nie jest mokre.

Jaki miły. Z pewnością byłam wobec niego niesprawiedliwa. Zapewne rzadko chodzi na randki i dlatego nie wie, że na pierwsze spotkanie nie należy wkładać dzinsów. Postanowił mnie zabrać do francuskiej kawiarenki. W barze takim jak „Róża” jego strój jest całkiem nie na miejscu. Do głowy mu chyba

nie przyszło, że ma po mnie przyjść. Czy zbyt dużo wymagam od współczesnego inteligenta z otwartą głową? A może taki typ nie istnieje?

Moje krzesło jest mokre. Damon wyciera je chusteczką.

– Mogę zapalić? – pyta, wyjmując paczkę marlboro.

– Proszę – odpowiadam. Nie ciągnęło mnie nigdy do papierosów. Raz czy drugi sztachnęłam się jako nastolatka, lecz łapał mnie kaszel. Szkoda, bo palacze zawsze mogą coś zrobić z rękami.

Damon wyjmuje papierosa i zapala go od stojącej przed nim świeczki. Zwierzam mu się, że uwielbiam bostońskie lody, a on na to, że jest uczulony na laktozę. Odpowiadam, że moja matka też cierpi na tę alergię, więc musiała całkiem wykluczyć z jadłospisu mleko i sery. Dawniej płatki kukurydziane zalewałam mlekiem sojowym, które smakowało, jakbym do zwykłego mleka wsypała łyżkę cukru. On mówi, że pije krowie mleko i bierze mnóstwo prochów. Fiolka kosztuje piętnaście dolców; niemal wszystkie jego honoraria idą na tych cholernych pogromców laktozy. Potem gawędzimy o serach; oboje uważamy, że tylko stary cheddar zasługuje na swoją nazwę. Damon mówi z kolei, że do poobiedniej kawy pasuje tylko baileys, a ja twierdzę, że czarno-białe fotografie są lepsze.

Ogródek jest teraz zatłoczony. Trochę przesadziłam, ale co najmniej trzy inne stoliki są zajęte. Widzisz, Sam? Wiele par umawia się pół do dziesiątej. Mówimy głośniej nie tylko dlatego, że w ogródku gada teraz więcej osób, lecz i z tego powodu, że karafka jest w trzech czwartych pusta. Rozmawiamy o związkach oraz naszych byłych. Na moje pytanie odpowiada, że właśnie się z kimś rozstał, więc przyznaję, że jestem w podobnej sytuacji. Zastanawiamy się, jak przez to przejść. Nagle o blaszany dach uderzają krople deszczu. Inne pary siedzące przy stolikach zabierają szkło i znikają w barze.

– Gdzie mieszkasz? – pytam.

- Za rogiem. – To odpowiedź czy zaproszenie? –W Platinum Towers.
- Niesamowite!
- Mamy zniżkę czynszu.
- Wzięłeś sublokatora?
- Tak.

Pochylamy głowy, zaglądamy sobie w oczy, nasze dłonie się przyciągają. Mówię, że podobają mi się jego okulary i że nie mogłam dobrać oprawek pasujących do mojej twarzy, więc noszę szkła kontaktowe. Przymierzam jego okulary, sprawdzając, czy mi w nich ładnie. Pachną wodą po goleniu, deszczem i dymem.

– Jak wyglądam? – dopytuję się, a on twierdzi, że ślicznie. Ja na to: – Mężczyznom nie podobają się okularnice.

– Jesteś pewna?

Gdy oddaję okulary, nasze palce stykają się, a Damon nie puszcza mojej dłoni. Na moim miejscu bohaterka powieści „Kupidyna” poczułaby rozkoszne dreszcze, lecz w moim przypadku to raczej uderzenie gorąca i zamęt w głowie. Czy to jest wzajemne zauroczenie, o którym tak często wspomina Julie? Mam na myśli postać, nie redaktorkę. Zauroczenie czy wpływ wina? Jak rozróżnić? Może powinnam do końca życia chodzić podchmielona?

– Dorothy Parker mówi... – zaczynam.

– Aha, nasza kochana Dorothy? Popijała, nie? – Nadal trzyma mnie za rękę. Zaczynam chichotać.

– Co w tym złego?

Palcami gładzi wnętrze mojej dłoni niczym Mart Roland w szóstej klasie. Powiedział, że gdy facet pieści rękę, ma ochotę na seks, więc go uszczypnęłam w ramię.

– Zadam ci zagadkę – proponuje Damon.

– Jaka?

– Podam ci zniekształcony tytuł książki, a ty musisz wymienić autora.

– Dobra, wal śmiało.

– „Przypowieść bibilijna”.

– Za łatwe.

– Jasne, spróbuję jeszcze raz. „Stary człowiek i łoże”

– Idiotyczna gra. – Znowu chichoce. – Kto jest twoim ulubionym poetą?

– Nie potrafię wymienić jednego nazwiska. Czyje to słowa? – pyta, zamyka oczy i recytuje: – „Cała nasza siła oraz słodycz cała w jedną małą kulę zwinięta została, aby straszną mocą, którą w sobie mamy, za żelazne przewlec życia tego bramy”.

Marnie sobie radzę w zgadywankach typu: jaka to melodia, co za wiersz i temu podobnych. Tak, tak. Nie bez powodu postanowiłam specjalizować się w dziewiętnastym wieku. Szesnasty, siedemnasty, osiemnasty to dla mnie jedno i to samo.

– John Dunne?

– Nie, ale ciepło, ciepło. Andrew Marvell: „Do nieśmiałej wybranki”.

Przypominam sobie ten utwór. Omawialiśmy go na ćwiczeniach. Facet usiłuje przekonać znajomą, żeby się z nim przespała, twierdząc, że powinna korzystać z życia, póki jest młoda i ładna, bo po śmierci będzie już na to za późno.

Wiem, że nie powinnam tego robić. Matka wbijała mi to do głowy, a wszystkie magazyny kobiece zgodnie się temu sprzeciwiają, wrzeszcząc jak nastolatka w młodzieżowym horrorze. Lecz od czterech miesięcy... To ponad sto dwadzieścia dni. Z drugiej strony jak mamy stać się idealną parą, skoro od razu pójdę z nim do łóżka? Bohaterka romansu pod żadnym pozorem nie przespałaby się z facetem na pierwszej randce. Seksualne napięcie stopniowo

rośnie przynajmniej do dziewiątego rozdziału, gdzie przychodzi pora na kulę słodczy. Jeśli w chwili zapomnienia dziewczyna ulega i śpi z najdroższym, zwykle zachodzi w ciążę i nie chce go więcej widzieć. Przystają się spotykać, aż po dwóch latach ona wpada na niego przypadkiem w wypożyczalni kaset wideo. Rzecz jasna, jest z nią maleńki synek Adam, który ma tajemniczy uśmiech taty, o którym bohaterka nie może zapomnieć. Nie! Nie! Nie!

Precz z nieśmiałością; dziś czuję w sobie odwagę.

Pochyliłam się nad stołem i całuję Damona. Nie ma mowy o niewinnym całusie, o lekkim muśnięciu warg. Chodzi mi o taki pocałunek, który obudziłby Królową Śnieżkę ze snu wywołanego zjedzeniem zatrutego jabłka.

– Chodźmy stąd – mówi Damon sto lat później.

Nie puszcza mojej ręki, gdy biegniemy w deszczu, przemykając między kroplami jak para z reklamy Maybelline. Idę o zakład, że jego mieszkanie to prawdziwe królestwo pisarza: ogromne czarne regały zastawione książkami, plakat „Reservoir Dogs”, popielniczki w kształcie nagich kobiet.

– Gdzie mieszkasz? – pyta.

Coś podobnego! Nie możemy pójść do mnie! Łóżko jest rozbebeszone, a brudy wysypują się z kosza. Dlatego całuję go wargami mokrymi od deszczu.

– Chodźmy do ciebie. Mieszkasz w pobliżu?

– Tak, ale chcę zobaczyć twoje mieszkanie. – Oddaje pocałunek.

Myślę o Sam oraz jej ultimatum. U mnie raczej nie ma nastroju. Znowu całuję go.

– A ja twoje.

Obejmuje mnie ramieniem i tak mijamy Platinum Towers. Pewnie Damon też ma bałagan w mieszkaniu i nie chce, żebym uznała go za brudas. To bardzo miłe, że się nie zorientował, jak mało dbam o porządek.

– Nie możemy iść do mnie – odpowiada.

– Dlaczego? – Nie znam faceta, który zamiast przespać się z dziewczyną, pozwala jej odejść, ponieważ nie posprzątał chaty.

– Bo nie.

Nagle doznaję olśnienia. Pozwoliłam kobiecej intuicji błędzić po manowcach, ale teraz nadaje, jak trzeba.

– Mieszkasz u swojej dziewczyny. – Odpycham jego ramię. Już wiem, czemu stać go na lokum w takim budynku. Jest na utrzymaniu tamtej i dorabia jako wolny strzelec.

– Wspomniałem ci, że szukam samodzielnego mieszkania, ale honoraria współpracowników są mizerne...

– Idź do diabła!

– Nie chcesz mnie zaprosić?

– Wykluczone. Nie przespałabym się z chłopakiem, który jest z inną.

– Wcale nie chciałem z tobą spać. – Znowu próbuje mnie objąć.

Proszę? O co mu chodzi? Dlaczego to powiedział?

– A co zamierzałeś robić przez całą noc? Recytować wiersze?

– Są inne sposoby, nie uważane za zdradę. – Patrzy mi prosto w oczy.

Czy ja dobrze słyszę?

– Chodzi ci o... seks oralny?

– No... mniej więcej...

Za kogo on mnie ma? Nie wydaje mi się, aby Andrew Marvell usiłował przekonać nieśmiałą wybrankę, że powinna wziąć swoją kulę słodczy i przygrzać mu, jak się patrzy. Gdybym dłużej ćwiczyła taekwondo, mogłabym kopnąć drania w jaja i poważnie go uszkodzić.

– Odpieprz się! – wołam i uciekam. Nie jest to oryginalne pożegnanie, ale robi wrażenie.

– Nie uwierzysz. – Dzwonię do Wendy i streszczam jej wydarzenia dzisiejszego wieczoru.

– Jaki numer telefonu ci podał? – Odczytuję cyfry. – Chyba komórkowy. Powinnaś się domyślić, że facet daje ci numer komórki, bo nie chce, żebyś dzwoniła do domu.

Ciekawe, skąd dziewczyna pochodząca z Connecticut, która uczyła się w Filadelfii, a mieszka w Nowym Jorku, może coś wiedzieć o numerach bostońskich telefonów komórkowych. Ale Wendy można zaufać.

– Upokorzył mnie.

– Wiesz co? Człabyś się gorzej, gdyby zostawił ci numer pagera.

O trzeciej nad ranem zza ściany dobiegają stłumione jęki. Dochodzę do wniosku, że Sam i Mark, już pogodzeni, kochają się po wariacku. Pół do czwartej. Jęki dobiegają z salonu. No pięknie. Czemu robią to na kanapie? A gdybym zgłodniała? Słyszę odgłos kroków. Ktoś łązi po całym mieszkaniu. Zасыpiam.

O piątej dzwoni telefon. Ze słuchawki dobiega łkanie. Kto mi zawraca głowę? Chyba nie powiedziałam tego na głos.

– Halo? Szloch.

Gdzie mój wyświetlacz rozmówcy?

– To ja. Obudziłaś się?

– Tak. – Czemu zawsze tak odpowiadam? Wcale nie jestem rozbudzona tylko strasznie zaspana. – Co jest?

– Zjadłam lody z kawałkami czekolady i zabrałam się do ciasteczek. – Szloch.

– Co się stało?

– Powiedział, że potrzeba mu życiowej przestrzeni. Nie chce ze mną zamieszkać. Nie kocha mnie.



– Kto mówi?

– Proszę? – Och... to Sam. Pierwszy raz gadam z nią przez telefon. Ma taki młody głos, inny niż zwykle. –W „City Girl” piszą, że jak facet bajdurzy o potrzebie życiowej przestrzeni, zastanawia się, czy ciągnąć sprawę, czy zwać i...

– Gdzie ty jesteś?

– W salonie. Dzwonię z komórki.

– Zaraz przyjdę.

Ale najpierw zajrzę do kuchni, Sam wspomniała o lodach z kawałkami czekolady. Fakt, pożarte. W takim razie wezmę serowe chipsy. Trzeba zrównoważyć poziom cukru i soli. Duża paczka. Zapowiada się długa noc.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### *Ja też chcę być księżniczka!*

Blask słońca sączy się do salonu przez szpary rolet i rozświetla drobiny kurzu wirujące w powietrzu. Leżę na kanapie zwinięta jak precel. Nie mówię o pozycji opisanej w kolorowym czasopiśmie. Po prostu spałam na kanapie, bo taka ze mnie dobra współlokatorka. Ponad setkami magazynów i zdjęć piętrzących się na blacie widzę Sam, która siedzi przy stole i gapi się w sufit.

– Witaj – mówię zachrypnięta.

– Spadaj – mamrocze, patrząc przed siebie tępym wzrokiem.

Aha, życiowa przestrzeń. Sam postawiła Markowi ultimatum, ale nie jest zadowolona z odpowiedzi.

Gdy ostatniej nocy przylazłam do salonu, całkiem się rozkleiła. Tak szlochała, że ledwie była w stanie mówić. Wargi jej drżały.

– Po–o–o–wiedział, że nie wiecee, czy chcee ze mną zo–zo–zo–stać – łkała, a gdy zjadłam połowę czekoladowych ciastek, nagle się rozwrzeszczała.

– Ten głupi skurwiel nie ma pewności, czy chce z mną być! Sądzi, że znajdzie inną, lepszą ode mnie! Coś podobnego! Dobra, niech szuka! Ciekawe, czy trafi mu się kretynka gotowa dać tyle co ja! Wątpię, żeby spotkał idiotkę, która zaakceptuje go z całym dobrodziejstwem inwentarza! Jasna cholera! Czy tylko on jest taki niedojrzały? Może to norma?

Po serowych chipsach dojadam płatki. Siedzimy przy kuchennym stole, patrząc, jak słońce rozjaśnia skrawek nieba, które powoli błękitnieje. Czuję się jak balon, z którego uszło powietrze. Nie pamiętam, kiedy zwijam się w kłębek na kanapie i zasypiam.

– Dawno wstałaś? – pytam.

– Wczoraj rano.

Próbuję usiąść. O Boże, nie mogę się ruszyć. Bolać mnie takie mięśnie/o których istnieniu nie miałam pojęcia. Czy dlatego, że spałam na kanapie? A może za późno poszłam spać?

– Ojej! – jęczę. Co się ze mną dzieje? Może jakaś bakteria atakuje mój układ mięśniowy? Boże, słyszałam o takich przypadkach. Zdrowi ludzie odczuwają dziwne napięcie mięśni i zapadają w jednej chwili na zapalenie opon mózgowych. Moje ostatnie minuty spędzę w tym salonie, choć wolałabym dogorywać w paryskiej kawiarni albo pójść z Jerem do łóżka.

– Chyba mam zapalenie opon mózgowych.

– Bzdura. Masz zakwasy po karate – mówi słabym głosem Sam.

Jasna sprawa.

– Nie trenuję karate, tylko taekwondo.

Milczy zajęta obserwowaniem kuchennego stołu. Mieszkanie wygląda inaczej niż zwykle.

– Coś ty zrobiła ze stołem?

– Nabłyszczyłam blat. – Milczenie. – Nabłyszczyłam blat? Trzeba być idiotką, żeby się zajmować takimi głupstwami. Nic dziwnego, że Mark nie chce ze mną zamieszkać.

Trudno zgadnąć, o co jej chodzi, ale wiem, że pora wziąć prysznic. Opuszczam nogi na podłogę i zsuwam się z kanapy. Stopy mnie bolą, gdy stoję. Podłoga też jakaś dziwna...

– Co zrobiłaś z podłogą?

– Zapastowałam, bo wyglądała okropnie.

Z niedowierzaniem rozglądam się po salonie i kuchni. Blaty lśnią. Ruszam w głąb korytarza. Łazienka śmierdzi chlorem.

– Sprzątałaś i u mnie?

– Owszem. Nie martw się, włożyłam rękawice.

– Przecież wszystko wyszorowałam w ubiegłym tygodniu.

– Wiem, ale teraz jest naprawdę czysto.

Sprawa wymaga dalszego śledztwa, więc idę do swego pokoju. Łóżko jest pościelone, podłoga zamieciona. Otwieram szafę i widzę swetry ułożone kolorami. Festony zwisające z kosza na brudy zostały wetknięte do środka.

To nie jest normalne.

Idę z Sam robić zakupy na Copley Square. Nie mam innego pomysłu, jak ją rozruszać. Ma odłożonych pięćset dolarów na czarną godzinę. Tłumaczę jej, że właśnie nadeszła. Pogoda na szczęście dopisuje; nie pada. Jedyne wolne miejsce na parkingu jest tak daleko od wejścia do Marcy, że właściwie należałoby wziąć taksówkę. Para trzymająca się za ręce popycha obrotowe drzwi.

– Chcę wrócić do domu – marudzi Sam.

– Nie ma mowy. Mamy robić zakupy. Zapomniałaś, co należy zrobić po zerwaniu?

– Przecież wysokie czarne botki do mnie nie pasują.

– Wstydź się! Musisz poznać samą siebie i odkryć nowe aspekty swojej osobowości.

– Dobra. Niech będzie. – Sam wzdycha. – Nie chce mi się o tym myśleć. Serce mnie boli.

Idziemy razem do Marcy. Kosmetyki i perfumy wszystkim poprawiają humory, prawda? Maluję srebrnym lakierem paznokcie kciuka lewej ręki. Ładnie. Ojej, co to jest? Śliczny zapach. Rozpylam odrobinę na swój nadgarstek. Janie powiedziała mi kiedyś, że kobiety perfumowały to miejsce, bo dawniej mężczyźni całowali je po rękach. Wierzyłam w to, póki nie przeczytałam, że chodzi raczej o puls albo coś w tym rodzaju. Jaki piękny

czerwony lakier. Wygląda jak krew. Fajny. Wypróbuję go na prawej dłoni. Co to za perfumy? Bardzo przyjemne.

Oho, nowe kolory obowiązujące tej zimy! Zabawnie, są niemal identyczne z tymi, które nosiło się rok temu. Trzy rzeczniczki najmłodniejszej kolorystyki uśmiechają się do mnie ze stoiska „Jolie”. Nagle wpadam na wspaniały pomysł: Sam przejdzie metamorfozę, nie płacąc ani grosza. Nowy podkład, róż, tusz i cienie – krótko mówiąc: wszystko z wyjątkiem zwalczania cellulitis oraz nowej fryzury. Zakłada się milcząco, że po konsultacji delikwentka zakupi kosmetyki do makijażu, ale nie ma przymusu, by fundować sobie cały zestaw. I chwała Bogu, ponieważ gdybyśmy szarpnęły się na wszystkie kosmetyki, rachunek wyniósłby w przybliżeniu tyle co miesięczny czynsz.

Oczywiście należy coś kupić, bo tego wymaga zwykła uprzejmość. Taki zakup jest formą napiwku. Nie bierzcie szminki. Marnowanie pieniędzy, skoro do innych produktów zwykle dołączony jest zestaw próbek. Można go porównać z paczkami otrzymywanymi podczas dziecięcych zabaw gwiazdkowych. Takie upominki dla dorosłych dziewczynek zawierają często szminkę, chociaż kolor raczej nam nie pasuje, a poza tym jest niemodny.

Pewna trudność związana z taką metamorfozą to kosmetyczki malujące klientki. Są przerażające. Mamy trzy typy: wytworna dziewczyna o nieskazitelnej twarzyczce Barbie w wieczorowym makijażu z efektownymi perłowymi kolczykami, ekscentryczna królowa piękności w kreacjach Barbie wyruszającej na bal oraz pani w średnim wieku o brwiach mocno podkreślonych ołówkiem i szerokim uśmiechu ust powiększonych konturówką.

Dla Sam wybieram elegancką Barbie numer jeden.

– Dzień dobry, prosimy o konsultację – zaczynam z uśmiechem. – Moja przyjaciółka chce kupić trochę kolorowych kosmetyków. Czy może jej pani

coś doradzić? – Gdy mowa o konsultacji, wiadomo, że chodzi o darmową metamorfozę.

Popycham moją ospałą współlokatorkę na fotel. Od kosmetyczki z kręconymi włosami słyszy, że ma śliczną cerę, która jednak wymaga ochrony.

– Dobrze – odpowiada Sam, a w jej głosie pobrzmiewa nadzieja. Od razu wiem, co pomyślała, słysząc wyważony komplement: Jeśli będę miała gładką cerę, Mark zapragnie bez przerwy dotykać mojej skóry. Gdybym nie kupiła ochronnych kosmetyków, zrobi to inna dziewczyna, on się w niej zakocha i zostanę sama mimo pięknej karnacji, która zresztą wcale nie jest taka doskonała, bo, zdaniem wieczorowej Barbie, wymaga ochrony.

Och, jaki piękny złoty cień do powiek. Nabieram odrobinę na palec i rozcieram na powiece.

– Woli pani podkład czy puder? – pyta wieczorowa Barbie, ale Sam gapi się na nią, jakby gadała po koreańsku. *Hanna, twul, zed, ned?*

Ładny róż. Maluję nim wysokie kości policzkowe. To ładne określenie. Ale czemu wysokie? Może lepiej powiedzieć: wystające?

– Podkład w sztyfcie? Może kompakt? Albo lekki podkład o płynnej konsystencji? – Kosmetyczka nie zwraca uwagi na zakłopotanie Sam i ciągnie monolog.

Przeglądam się w lustrze. Wyglądam jak czterolatka, która wysmarowała sobie buzię szminką matki. Gdzie mleczko do zmywania makijażu? Zwykle stoi przy lustrze. O rany, ten brązowy lakier jest super. Maluję nim paznokieć małego palca lewej dłoni. Wygląda jak zanurzony w karmelu.

– Emulsja nawilżająca? Woli pani kosmetyk nie zawierający tłuszczu? A może system uwalniający składniki z opóźnieniem?

Sam wybucha płaczem. O cholera, zagapiłam się i wieczorowa Barbie numer jeden przestraszyła mi współlokatorkę. Trzeba uciekać.

– Przepraszam – mówię. – To chyba nie jest właściwa pora na rozmowę o makijażu. – Chwytam ramię Sam i ściągam ją z fotela, a ona zanosi się szlochom. – Wychodzimy.

W milczeniu spacerujemy po centrum handlowym.

– Na co masz ochotę? – pytam.

– Zgłodniałam.

– Dobra, w takim razie jemy. Żarcie – zgubny nałóg kretynek.

Sam nie jada w restauracjach (wszędzie czyhają bakterie). Znajdujemy jednak przyjemny bar sałatkowy na końcu handlowego pasażu.

– Dla mnie sałata – mówi Sam, wyjmując z torebki plastikowe sztucce.

– Tylko sałata? Wystarczy, aby zaspokoić głód? Zamów do niej kurczaka.

– Tylko sałata. Mam fatalną cerę, a na domiar złego jestem gruba. Dlatego on mnie nie chce.

– Oczywiście – mówię, przewracając oczami. – A twoje natręctwa nie mają tu nic do rzeczy.

– Pracowałam latem w restauracji. Naczynia myje się byle jak.

– Byłaś kelnerką? – Nie potrafię jej sobie wyobrazić, jak przez cały dzień serwuje dania.

– Hostessą. To mi pasuje.

Zamawiam cheeseburgera, a Sam prosi o zieloną sałatę.

– Sos proszę mi dać osobno, dobrze? – Gdy kelnerka przynosi jedzenie, Sam niespodziewanie wybucha: – To ma być sałata?! Wciskają mi zwiędłe, kwaśne zielsko! I ten smak! Ohydny! Ceny są wygórowane, a potrawy niejadalne! – Woła kelnerkę. – To obrzydliwe! Proszę mi podać coś innego. – Ciekawe, czego się spodziewała, zamawiając sałatę.



– Dobrze, proszę pani. – Wystraszona kelnerka skwapliwie kiwa głową. –  
Co pani sobie życzy.

– Na widok tego paskudztwa straciłam apetyt na obiad. Proszę o sernik z  
truskawkami. Zjesz kawałek? –mówi do mnie.

– Nie, dziękuję.

– Zrób to dla mnie, proszę. Skuś się na jeden kawałek. Ja stawiam.  
Będzie jak za dawnych dobrych lat.

Wzdycham. Zawsze uwielbiałam sernik z truskawkami, więc szybko  
kapituluję.

– Jack?

– Tak?

– Wyglądasz jak dzieciak, który pomazał sobie twarz farbami.

Nie da się ukryć.

Po marnym obiedzie Sam marudzi, żebyśmy wróciły do domu, co byłoby  
śmiesznie łatwe, gdyby tylko udało nam się znaleźć moje auto.

– Zaparkowałam w sektorze D – upieram się, ale samochodu nie widać.  
Jest za to bmw i dwa mercedesy, niepodobne do mego gruchota. – Który  
bierzemy? – Żart spalił na panewce, bo Sam nie parsknęła śmiechem.

Mniej więcej pół godziny później trafiamy na samochód w sektorze G.

– Nazwy liter się rymują – stwierdzam, ale Sam jest tak przygnębiona, że  
nawet nie przewraca oczami.

Po południu wpada Andrew z dwoma śrubokrętami. Szkoda, że zamiast  
narzędzi nie przyniósł wódki i soku pomarańczowego. Najpierw zamawiam  
dużą pizzę pepperoni, a potem rozkładamy instrukcję na podłodze w sypialni,  
żeby skrócić regał na książki.

– Gdzie Sam? – pyta Andrew, podwijając rękawy markowego czarnego  
swetra. Nie pachnie dziś jak Jer. Czuję lekką, świeżą woń.

– Poszła spać – odpowiadam. Nareszcie. Daje mi popalić.

– Niewiarygodne! Masz te meble od czterech miesięcy i jeszcze ich nie złożyłaś – mówi Andrew, kręcąc głową.

Racja. Pudełko z częściami regału wsunęłam pod łóżko. Ta zwłoka łączy się chyba z bolesną świadomością, że gdy tylko półki będą gotowe, przyjdzie mi ułożyć książki. Ostatni raz miałam je w ręku podczas pakowania, kiedy zaczęła się ta farsa z Jeremym w roli głównej. A może odkładałam ich rozpakowanie, bo najzwyczajniej jestem leniwa? Mniejsza z tym.

Zabieramy się do skręcania regału, a konkretnie Andrew pracuje, a ja siedzę na łóżku i patrzę. Miło z jego strony, że przyszedł mi pomóc (przypominam: odwała całą robotę, więc trudno mówić o pomaganiu).

– Kto powiesił te obrazki? – wypytuje, spoglądając na dwie reprodukcje ozdabiające mój pokój.

„Pocałunek” wisi nad łóżkiem, a widoczek подарowany przez Janie w rok po rozwodzie z tatą zajmuje ścianę, gdzie wkrótce stanie regał. Dając mi ten prezent, matka stwierdziła, że, jej zdaniem, mam obsesję na punkcie czytania, bo próbuję uciec od rzeczywistości i zapomnieć o rozbitej rodzinie, ale ona to akceptuje. Dała mi „Pejzaż z czytającą kobietą”; autorem jest Jean-Baptiste Camille Corot. Kiedy w Penn dostałam od Jeremy'ego „Pocałunek”, chodziłam na wykład z historii sztuki. Dowiedziałam się, że ten obraz stanowi dobry przykład włoskiego romantyzmu, natomiast Corot reprezentuje francuski realizm. Los bywa złośliwy, prawda?

– Sam i ja to zrobiliśmy. Nie można twierdzić, że mam dwie lewe ręce.

– A kto tak mówi? Przecież nie ja.

Próbuję zapłacić za pizzę, gdy zjawia się dostawca, ale Andrew mi nie pozwala.

– Co powiesz o Jess? – pytam, gdy zjedliśmy po dwa kawałki pizzy i dwie półki znalazły się na swoich miejscach.

– Jest w porządku.

Ciekawe, jakie byłoby jej samopoczucie, gdyby usłyszała, że tak ją podsumował. Gdyby o mnie chodziło, rzuciłabym się pod pociąg.

– Nie myślisz o niej poważnie?

– Skądże! Dobrze się bawię, ale to nie jest moja druga połówka. – Chciał powiedzieć: sydam z nią, ale nie ma na mnie wyłączności.

– Jesteś świnią! – karcę go.

– Ja? Dlaczego?

– Wykorzystujesz ją.

– Nieprawda. Jest nam razem dobrze. W łóżku.

– I w kinie.

– To gra wstępna.

– Co jej masz do zarzucenia?

– Nie powinienem o tym mówić – stwierdza po chwili namysłu. – To dosyć krepujące.

– Przestań się ze mną droczyć. Wal śmiało. Mogiła! Nikt się nie dowie, co tu plotłeś.

– Zachowuje się jak księżniczka na ziarnku grochu. – Andrew pochmurnieje. – Uważa, że powinienem zadbać o wszystko. Mam wrażenie, że jesteśmy w latach pięćdziesiątych. Zawsze to ja mam dzwonić i przyjeżdżać po nią. Ani razu nie zaproponowała, że za siebie zapłaci. Chętnie dzwonię, przyjeżdżam i płacę, ale ona zachowuje się tak, jakby to było oczywiste. Czuję się zmęczony. Poza tym sądzę, że... nie pasujemy do siebie. Rozumiesz?

– W takim razie czemu z nią jesteś?

– Bo to fajna laska – odpowiada z łobuzerskim uśmiechem.

– A nie mówiłam? Jesteś świnia. Poza tym nie znajdziesz swojej drugiej połówki, jeśli będziesz się afiszować z takim substytutem. Powinieneś umawiać się z różnymi dziewczynami. Chętnie bym cię przedstawiła paru znajomym, ale niektórym z nich trochę odbija. – Ruchem głowy wskazując pokój Sam.

– Fajna jest. – Sam i Andrew? Inicjały S i A nie są tak zabawne jak S i M. Zresztą potrafię ją sobie wyobrazić tylko z Markiem. – Obiecuj, że nie będziesz próbowała spiknąć mnie znowu z Natalie.

– Dlaczego?

– To wariatka, a wymagania ma jeszcze większe niż Jess.

Aha. Ta gadka o księżniczkach oraz ich życzeniach sprawia, że czuję się zakłopotana. No dobra. Zsuwam się z kanapy na podłogę i chwytam śrubokręt.

– Czy mogę pomóc, łaskawy panie?

Jestem nadzwyczajną współlokatorką, ponieważ:

1. Chowam wszystkie zdjęcia Sam i Marka, a także miski, które jej podarował (w sumie osiem, żadnej tandety, wyłącznie pierwszy gatunek). Wrzucam je do zielonego worka na śmieci i upycham w składziku za długą marynarską kurtką nie noszoną od lat. Trzymam ją na wszelki wypadek, bo dawna moda czasami powraca.

2. Trzykrotnie przekonałam Sam, żeby odłożyła słuchawkę. Podejrzewam, że chce do niego zadzwonić. Już wiem, kiedy ją to nachodzi. Z początku się wierci, potem milknie, a po kilku chwilach niepostrzeżenie znika, zamykając drzwi do swego pokoju. Podobnie zachowywała się moja siostra Iris, która jako małe bobo chowała się po kątach, żeby nasikać w pieluchę. Gdy intuicja podpowiada mi, że Sam właśnie dzwoni, wparowuję do jej pokoju. Zwykle trzyma już w ręku słuchawkę, więc przekonuję, aby ją odłożyła, i zapewniam, że kiedyś mi za to podziękuje. System działa bez pudła. Miałam

wprawdzie dwie wpadki, ale za każdym razem Sam dzwoniła, kiedy spałam, a następnie przyznawała się z płaczem. Po każdej rozmowie z Markiem czuje się podle.

3. Kupiłam pięć dużych opakowań chusteczek do nosa i obejrzałam kolejny odcinek „Modnego ślubu – magazynu dla nowożeńców” z moją przyjaciółką, której chłopak złamał serce. Powtarzam jej, żeby przestała się dręczyć. Te programy uzależniają jak chipsy. Jak można je regularnie oglądać? Czy dziewczyny rzeczywiście marzą tylko o ślubie? W każdym odcinku inna panna młoda opowiada o bukiecie, welonie, sukni z falbankami. Moja kreacja będzie znacznie wytworniejsza od tych prezentowanych w telewizji. Chyba zdecyduję się na spory dekolt, wąskie rękawy i szeroką spódnicę. Ale to nie będzie zwykła beza. Najważniejsza jest elegancja.

– Nie martw się – usiłuję pocieszyć Sam. – Każda potwora znajdzie swego amatora. – Jak mogłam powiedzieć taką bzdurę? Litości! Przecież gadam jak ojciec.

Pierwszy tydzień po zerwaniu z Markiem wlecze się okropnie.

W poniedziałek Natalie wpadła na dziewczynskie plotki. Jej perlisty śmiech i pieprzne kawały były nie do zniesienia, więc Sam udała, że boli ją głowa, i poszła spać, a ja musiałam paplać dalej.

We wtorek Sam posprzątała mieszkanie.

W środę włączyłam telewizor i trafiłam przypadkiem na „Policjantów z Nowego Jorku”. Gliny tropią morderców. Śledztwo dotyczy trupa znalezionej w bagażniku porzuconego auta. Sam ma smutną minę. Wyłączam telewizor, a ona znów pucuje dom.

W czwartek Andrew i ja wyciągamy ją do baru na pikantne skrzydełka, bo w promocji są za pół ceny. Nie lubię jeść takich potraw, siedząc twarzą w twarz z facetem –nawet jeśli to Andrew – bo całą twarz mam zwykle

wymazaną sosem. Obserwuję Andrew, który trzyma lekko koniec skrzydełka i ogryza je starannie, aż kostka jest czyściutka. Dyskretnie zlizuje sos z palców. Jak mu się udaje jeść z takim wdziękiem? Aż chciałoby się go schrupać! Miło jest siedzieć ramię w ramię i po prostu obserwować go podczas jedzenia. Nagle Sam widzi przy sąsiednim stoliku najlepszego przyjaciela brata Marka. Przez całe pół godziny namawiam ją, żeby wyszła z kibla, w którym się zamknęła.

W piątek budzą mnie dźwięki „I will Survive” Glorii Gaynor. Daje czadu, aż ściany drżą.

– Hej!

– Dzień dobry! – woła Sam, otwierając drzwi do mego pokoju.

– Cześć – mamrocę.

– Dzień dobry, dobry, dobry – podśpiewuję wesolutko. – Po raz pierwszy w tym tygodniu miałam ochotę wstać z łóżka.

– To dobrze.

– Zaczynam nowe życie. – Nie wiem, jak odpowiedzieć: cieszyć się czy biadolić. Sam z impetem siada na posłaniu. – Nie będę taka upierdliwa, zdobędę przyjaciółki i znajdę nowego faceta. Od dziś mów mi Samantha.

– Wspaniale – odpowiadam radośnie i sennie. Od mojego zerwania minęły trzy tygodnie, więc zdaję sobie sprawę, że nie jest całkiem gotowa do poważnych zmian, ale nie zamierzam jej zniechęcać.

– Szkoda czasu. Powinnam jak najszybciej umówić się na randkę. Mark to dzieciak. Potrzeba mu życiowej przestrzeni? Bardzo proszę. Niech się cieszy swobodą. Nie będzie wiedział, co z nią zrobić, kiedy usłyszy, że pieprzę się z każdym facetem na tej planecie.

Kiedy mówi o pieprzeniu, odnoszę wrażenie, jakby wymawiała brzydkie słowo, pożerając kanapkę z masłem orzechowym.

– Wspaniale – powtarzam z ociąganiem.

– Najwyższa pora znaleźć dojrzałego mężczyznę. – Wypina biust i przegląda się w lustrze. – Jestem gotowa.

– Na co? Zamierzasz się przespać z dojrzałym mężczyzną.

– Nie. Postanowiłam iść do „Orgazmu”.

Z deszczu pod rynnę, z ognia na patelnię. Daremnie próbuję ją namówić, żeby wybrała spokojniejszy lokal, taki jak „Aqua” na pięćdziesiątym szóstym piętrze Tyler Building, gdzie wpada się po pracy. Na szczęście po południu Natalie zdołała jej uświadomić, że do „Orgazmu” przychodzą ludzie przed trzydziestką, natomiast „Aqua” jest lokalem, gdzie można spotkać trochę starszych mężczyzn szybko pnących się w górę. To klub dla dojrzałych facetów.

Natalie zgodziła się prowadzić auto, co oznacza, że może sobie pozwolić tylko na kieliszek wina. Mam przecucie, że Sam chętnie by się kompletnie ululała, ale jestem dobrą przyjaciółką, więc nie będzie piła do lustra. Natalie zapewnia, że chętnie zapłaci za parking. Ja i Sam jak zwykle jesteśmy spłukane, więc nie protestujemy.

– Okropne uczucie – mruczy Sam. Okleiła sutki plastrem opatrunkowym na wypadek, gdyby zmarzła. Ma na sobie top bez pleców i ramiączek pożyczony od Natalie. Wielki dekolt i sterczące sutki to aż nadto.

– Poczekaj, aż będziesz go odklejać – mówi Nat. – Wtedy naprawdę boli.

– Jak wyglądam? – pyta Sam.

– Ekstra – odpowiadam. Naprawdę jest na co popatrzeć. Wszystko na sprzedaż, ale jest dobrze. Fajna laska... chociaż nie wiem, czy odpowiada jej klub, gdzie wpada się po pracy.

Gdy czekamy na windę, zza kontuaru wychyla się niska kobieta i mówi, że za wejście się nie płaci, ale musimy zostawić okrycia, co kosztuje dziesięć dolców od łebka. Wszystkie trzy splatamy ramiona na piersiach.



– Tak się składa, że wolę zostać w płaszczu, jeśli można – odpowiada Natalie. Nie chodzi jej o pieniądze. Po prostu nie lubi powierzać obcym ludziom swojej własności.

– Próbujcie – mówi kobieta. – I tak odeślą was na dół.

– Nie ma mowy – stwierdza półgłosem Natalie. – Zawsze wchodzę w płaszczu.

Jedziemy na górę szybkobieżną windą. Powinam żuć gumę, bo pod wpływem rosnącego ciśnienia szumi mi w uszach. Drzwi się otwierają i stajemy oko w oko z hostessą.

– Dobry wieczór – mówi Natalie. – Prosimy stolik na trzy osoby.

– Przykro mi, mamy komplet. – Hostessa obrzuca nas taksującym spojrzeniem. Widzę przy oknie wolne krzesła. Chwila wymaga niekonwencjonalnych środków, więc zbijamy się w gromadkę i po chwili dysponujemy zawrotną sumą dziesięciu dolarów.

– Ten stolik właśnie się zwolnił – stwierdza hostessa słodkim głosem – ale płaszcze trzeba zostawić na dole.

– Wolimy je mieć na sobie – tłumaczy Natalie.

– Przykro mi, żeby tu wejść, trzeba zostawić okrycie w szatni.

Bez słowa naciskam guzik windy i wyciągam gumę do żucia.

Jesteśmy znów na parterze. Wzrok mamy utkwiony w podłodze.

– Chciałybyśmy zostawić płaszcze – mówi Natalie, a Sam i ja chichoczymy.

Podnoszę oczy i rozbawiona patrzę na kobietę za kontuarem, która także się uśmiecha. Pięć minut później po raz drugi wysiadamy z windy, natykając się od razu na hostessę.

– Prosimy nasz stolik – mówi Natalie, wskazując miejsca, które nadal są wolne.

– Przykro mi, mamy komplet.

Raz jeszcze zbijamy się w gromadkę i biedniejsze w sumie o pięćdziesiąt doliczając siadamy przy stoliku z widokiem na miasto. Natalie i Sam kładą swoje komórki obok serwetek. Na wszelki wypadek.

– Dzwonił? – pyta Natalie, mając na myśli Marka.

– Nie.

Zapada milczenie. Co można powiedzieć w takiej chwili? Chciałoby się ją pocieszyć i zapewnić, że facet się odezwie, ale z drugiej strony warto by dać do zrozumienia, że nie jest jej wart, że to drań, że dla niej byłoby lepiej, gdyby nie zadzwonił. No a jeśli mimo wszystko zatelefonuje? W takim wypadku pogodzą się i oboje będą mieć do was pretensje, że na niego pomstowaliście. Pamiętajcie zasadę numer trzy z poradnika dziewczyny dochodzącej do siebie po rozstaniu? Tylko zwyczajnym znajomym pozwalamy wieszać psy na byłych chłopakach.

Zamawiamy trzy kieliszki wina: czerwone dla Sam i Natalie, a dla mnie białe.

– Lubi, kiedy go wiąże.

– Słucham? – Omal się nie zakrztusiłam.

– Wiażę go. Najbardziej rajcują go kajdanki. Cieszy się, jak dostaje klapsa.

Nie jestem w stanie przełknąć ani łyka. Sam chyba w końcu pojęła, jak można rozumieć inicjały S i M.

– Często tak się z nim zabawiałaś? – Natalie wybucha śmiechem.

– Od czasu do czasu. Ale to dziwne.

Ilekoć zobaczę Marka, zawsze mi się to przypomni.

– Sądzicie, że z inną dziewczyną będzie używał tych samych kajdanek? – zastanawia się głośno Sam.

– Przecież nie kupujesz nowej paczki gumek, ilekroć zmieniasz faceta – odpowiada rozsądnie Natalie, a ja czuję, że pora wtrącić swoje trzy grosze.

– Moim zdaniem, każdemu partnerowi należą się nowiutkie kajdanki. Przecież każdy jest inny. Jabłko to nie pomarańcza. Uważam kajdanki za przedmiot bardzo osobisty, wręcz intymny, ale zgadzam się, że gumki z otwartego opakowania można spokojnie wykorzystać, sypiając z różnymi facetami. Natomiast stanowczo nalegam, żeby wywalać te zużyte.

– To nie dla mnie – odpowiada Sam. – Mam wibrator.

Gdy obie pijemy drugą kolejkę, przy barze pojawia się dwu superfacetów. Na oko po trzydziestce, noszą garnitury, jeden rozmawia przez telefon komórkowy, drugi ma popołudniowy zarost; obaj są bardzo seksowni.

– Zawołajmy ich tutaj.

Nie mam pojęcia, jak się woła facetów. Chyba nie wypada pomachać i krzyknąć: Chłopcy, zapraszamy do nas! Od razu by wiedzieli, że stawiamy wszystko na jedną kartę.

– Może przyciągniemy ich siłą naszych spojrzeń?

– Ależ skąd – obrusza się Natalie, dotykając palcem brzegu kieliszka. – Nie będziemy wołać ani patrzeć.

– W takim razie co zrobimy? – Sytuacja mnie przerasta.

– Zaczniemy wybuchać śmiechem. Niech myślą, że doskonale się bawimy. Nie wolno na nich patrzeć.

– To działa? – Moim zdaniem, Natalie powinna uważniej czytać kolorowe czasopisma.

Sam wkłada palec do kieliszka i łapczywie go oblizuje.

– Potrzebuję więcej alkoholu – mówi.

– Dopij mój. – Natalie podsuwa jej kieliszek.

Twarz Sam odzwierciedla mieszane uczucia. Czy sięgnąć po wino z bakteriami Nat? A może powrócić do poprzedniego upierdliwego wcielenia i stracić darmową kolejkę? Dotykam jej ramienia.

– Miałaś iść na całość, pamiętasz?

– Dzięki. – Odważnie kiwa głową. Początkowo ma taką minę, jakby zamierzała golnąć sobie szklankę wody ze spłuczki. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo nie byłam dotąd świadkiem podobnego zdarzenia. Po chwili twarz jej łagodnieje, a mnie ogarnia prawdziwa duma. Wzruszam się jak stara ciotka.

Natalie odrzuca głowę i wybucha perlistym śmiechem. Zaczynamy przedstawienie, udając, że przy naszym stoliku jest ubaw po pachy.

Dziesięć minut później supersamce siedzą z nami. Natalie kokietuje niedogolonego, a Sam uwodzi komórkowca. Sądziłam, że na widok flirtującej Sam poczuję zakłopotanie, jakbym zobaczyła na ulicy dziewczynę, która wetknęła w majtki tył spódnicy i paraduje z odsłoniętą pupą. Tymczasem gdy moja współlokatorka przedstawiła się jako Samantha, od razu przybrała pozę zalotnej nimfetki. Udaje, że z ciekawością słucha wynurzeń faceta, i zadaje dziesiątki pytań, a potem zrećźnie kieruje rozmowę na swój temat.

– Uczę piąte klasy – mówi, gdy gość standardowo wypytuje o jej zawód. Jeśli będzie chciał wiedzieć, pod jakim znakiem zodiaku przyszła na świat, chyba puszcze pawia.

– Nie jesteś przesadnie surowa dla swoich uczniów, prawda?

– Unikam kar. Dziewczynki są bardzo miłe, ale ich koledzy czasem rozrabiają. Zapewniam, że umiem sobie radzić z niegrzecznymi chłopcami.

Czy telefon komórkowy tak mu wypycha spodnie, czy to widomy dowód oczarowania? No, no, może te klapsy rzeczywiście na coś się przydają.

W windzie niedogolony pyta, czy możemy się znowu spotkać.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – odpowiada Sam, zaskakując wszystkich. Całuje w policzki obu panów. Aha! Coś mi chyba umknęło.

– Nie masz ochoty umówić się z nimi? – pytam, gdy są już daleko.

– Zapomnij. Nawet nie zapytali, czy nam coś postawić. – Sam macha ręką, jakby odpędzała dokuczliwą muchę.

– Przecież nie dałyśmy im do zrozumienia, że tego oczekujemy – sprzeciwiam się od razu.

– Kombinatorzy – dodaje Sam, a Natalie kiwa głową. –Poza tym trzeba być ostatnim dupkiem, żeby podrywać dziewczyny w takim klubie.

Po kwadransie wysiadamy z samochodu Natalie pod naszą kamienicą. Gdy wkładam klucz do zamka i otwieram drzwi, Sam mówi:

– Zgadnij, co nas jutro czeka?

– Odsypianie.

– Tak. A potem ozdobimy kolczykami nasze pępki. Samantha trochę mnie przeraża.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

## *Pięćdziesiąt dolców za nowe wcielenie*

Od Natalie słyszymy, że jej znajomi robili to na Wellington Street.

– Należało chyba poprosić o bliższe informacje – marudzę przez brudne okna sklepu z używaną odzieżą.

– Jeśli będziemy zwlekać, nigdy się nie zdecydujemy – odpowiada cierpko Sam. – Szkoda czasu na długie poszukiwania.

– Nie proszę o czas do namysłu. Chciałabym się tylko rozejrzeć.

– Wejdźmy tu – mówi Sam.

Nad wejściem jest szyld z napisem „Pająk”. Buczenie maszynki do robienia tatuaży sprawia, że czuję się jak w średniowiecznej izbie tortur. Sam pyta mężczyznę o dziwacznym i przerażającym wyglądzie, czy przekłuwa pępki.

– No *ingles* – słyszy w odpowiedzi.

– Moim zdaniem, istnieje tu ogromne niebezpieczeństwo, że przekłują nam niewłaściwą część ciała – mówię słabym głosem, bo zbiera mi się na mdłości.

Sam dziękuje facetowi i szybko wychodzimy.

Nieco dalej tabliczka w oknie wystawowym informuje o fachowym przekłuwaniu egzotycznym. Pod spodem adnotacja, że liczy się dobra renoma, a nie rozgłos. Łudząc się nadzieją, że to nie jest wyłącznie lokalna sława, wchodzimy do środka.

Fachowiec, że się tak wyrażę, ma powierzchowność raczej osobliwą: wiele tatuaży w kształcie owadów, sporo kolczyków (doliczyłam się dziewiętnastu na odsłoniętych partiach ciała). Domyślałam się, że trzeba mieć

przynajmniej dziesięć, aby znaleźć zatrudnienie w tej branży. Facet zapewnia, że kolczyk w pępku wart jest pięćdziesiąt dolarów.

Jako nowoczesna dziewczyna żyjąca w dwudziestym pierwszym wieku pytam, jak tu jest z higieną.

– Zawsze pracuję w czystych gumowych rękawiczkach i używam jednorazowych igieł – odpowiada.

Wszystko w porządku, myślę. Igły jednorazówki. Chwileczkę... igły? Jakie igły? A gdzie pocziwy stary pistolet. Kiedy w trzeciej klasie miałam przekłuwane uszy, dwie kobiety jednocześnie wypaliły ze swoich maszynek i było po sprawie. Trochę huk i nic więcej.

– Zechcą panie wypełnić ten formularz?– pyta mimochodem dziwny facio.

Co jest grane? Jakaś biurokracja? Czemu mamy podpisać rezygnację z dochodzenia roszczeń i odszkodowań? Czytam tekst: „...na wypadek obfitego krwawienia, szoku pourazowego, utraty przytomności...” Mogę zemdleć?

Nie wiem czemu postanowiłam iść na pierwszy ogień. Może dlatego, że Samantha wyglądała jak dawna wystraszona Sam. Zdaję się na los szczęścia. Siadam na wielkim fotelu obitym czarną skórą, a potem nie wdając się w szczegóły, mówię, że boli tylko przez moment.

Teraz jej kolej.

Ze skórzanego fotela dobiegają wrzaski. Kłamałam.

**REAKCJA – SCENA PIERWSZA**

Natalie: Rzeczywiście to zrobiłyście?

Ja: Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła włożyć spodnie.

Natalie: Może też się zdecyduję.

Ja: Bardzo słusznie. Właściwie nie boli, ale potem troszkę dokucza.



Natalie: Kto wie? Kolczyk w pępku to dziwactwo, nie sądzisz? A poza tym trochę się już opatrzył.

Ja (mamrocę): Serdeczne dzięki, Nat. Z tego wniosek, że naśladowuję innych i mam zły gust.

#### REAKCJA – SCENA DRUGA

Iris: Ale super! Ja też chcę. Masz czerwony pępek? Założę się, że poczerwieniał, ale to zejdzie, prawda? Moja przyjaciółka Mandy też ma kolczyk w pępku, ale nie powiedziała matce i teraz wchodzi pod prysznic w kostiumie kąpielowym, bo się boi, że jej stara wpadnie i ją nakryje. Martwi się, co będzie latem, bo mają basen, więc stara zacznie kombinować, czemu Mandy przestała nosić bikini. Zapytałam mamę, czy mogę przekłuć pępek, ale stanowczo zaprotestowała. Jak tylko skończę osiemnaście lat, zaraz to zrobię. Jeszcze rok, pięć miesięcy i trzy dni do pełnej wolności i efektownego pępka! Nie będzie zakażenia, co?

REAKCJA – SCENA TRZECIA Janie: Powinnaś się raczej zdecydować na pasemka albo coś w tym rodzaju.

REAKCJA – SCENA CZWARTA Tata: Co nowego? Ja: Nic.

#### REAKCJA – SCENA PIĄTA

Wendy: (głos z mikrofonu, bo maluję paznokcie u nóg): Dziwię się, skąd w naszym pokoleniu ten pęd do okaleczania własnych ciał.

Ja: Nasze pokolenie nie jest wyjątkiem. Od wieków na całym świecie nosi się kolczyki.

Wendy: Ale czemu w Ameryce przekłuwają się teraz pępki, języki, sutki oraz inne części ciała, których nie będę wymieniać?

Ja: Może to wpływ politycznej poprawności i chęć zademonstrowania kulturowego relatywizmu.

Wendy: Albo tworzenie nowej estetyki.

Ja (dmucham na paznokcie prawej stopy): Albo duchowości.

Wendy: Albo seksualności.

Ja (udaję oburzenie): Przecież nie przekłułam sobie łąchtaczki!

Wendy: Zapewne traktujesz własne ciało jako obiekt agresji, bo nie masz się na kim wyładować.

Sam (zwana Samantha, wpada do mojego pokoju i unosi koszulę): Jest super, prawda? Możemy zrobić fotkę? Wendy: Twoje dzieciaki pękają ze śmiechu.

## REAKCJA – SCENA SZÓSTA

Jemy wczesną kolację w „Soczystym mięsiwie”. To jedna z tych restauracji, gdzie gość sam wybiera mięso, warzywa, dodatki, sosy i resztę, a potem odkrywa, że niewielka porcja kosztuje trzydzieści dolarów.

Andrew (siedzi naprzeciwko mnie przy zacisznym stoliku dla dwóch osób): Nie wierzę, że się zdecydowałaś.

Ja (dłonie mam zaciśnięte na koszulce): Dlaczego? Zapewniam, że takie zabiegi upiększające to nie jest ciężka próba charakteru. (Dalsza kwestia – na stronie). Ojej, czy przez ten kolczyk mężczyźni nabiorą do mnie obrzydzenia?

Andrew: Zawsze mi się wydawało, że kolczyk w pępku noszą tylko młode buntowniczkę.

Ja: Bzdura! Nawet jedna z kandydatek na Miss Ameryki paradowała z takim kolczykiem. Jakaś Springfield albo podobnie.

Andrew: Mogę zobaczyć?

Ja: Chcesz, żebym odsłoniła brzuch tu, w restauracji? Andrew (robi wielkie oczy): Tak! Ja (unoszę brzeg koszulki): Zadowolony? Andrew: Skąd ten rumień?

Ja: Facet wbił mi igłę w brzuch. Myślałeś, że nie będzie śladu?

Andrew (oczy ma wielkie jak spodki): Wiesz, jest bardzo, no, bardzo seksowny. Ja (na stronie): To dobrze. Koniec.

W poniedziałek po pracy Sam i ja idziemy robić zakupy. Szczerze mówiąc, z chodzeniem mamy pewne trudności. Od trzydziestu sześciu godzin nie dopinam dżinsów, a gdy cokolwiek – ramię, tkanina, nawet podmuch powietrza – muska brzuch, mam wrażenie, że mdleję.

Jak zwykle wrzucamy do wózka soki, mleko, makaron i żółty ser. Potem Sam zaczyna szaleć i kupuje salami, sześciopak piwa, ostry ser i tabletki dla alergików.

– Szykujemy paczkę dla więźnia?– Pytam nie kryjąc zdziwienia.

– Nie. Chcemy, żeby mężczyzna czuł się u nas mile widziany.

– Mam rozumieć, że zwabieni przyjazną atmosferą zaczną nas wreszcie odwiedzać? Niech zgadnę: „Cosmo”, „Glamour”, „City Girl”?

– „City Girl”.

– Co tam jeszcze piszą?

– Musimy kupić psa. Faceci się nim zainteresują, będą podchodzić i zagadywać właścicielki, czyli nas.

– Jesteś uczulona na psią sierść.

– Dlatego najpierw spróbujemy wabić ich na żarcie. Na wypadek, gdyby pies okazał się niezbędny, kupiłam tabletki antyalergiczne.

Kim jest ta dziewczyna i co zrobiła mojej współlokatorce?

Sam ma jeszcze kilka pomysłów, które stanowczo odrzucam:

1. Kurs komputerowy (brak nam czasu; jesteśmy strasznie zajęte).
2. Ssanie lizaka, gdy jesteśmy w klubie (ma to swoje dobre strony, bo zmienia smak pocałunków, ale przy okazji zęby paskudnie się przebarwiają).
3. Spacerki przed koszarami (nie do przyjęcia).

4. Kurs salsy (Ja: Wykluczone, nie umiem tańczyć. Sam: właśnie dlatego powinnaś się zapisać. Ja: Nie ma mowy).

5. Laleczki voodoo robione ze skarpetek. Sam mówi, że w tym wypadku nie chodzi o przyciąganie facetów, tylko o zemstę na Jeremym i Marku. Czekają ich fizyczne męczarnie, załamanie psychiczne oraz bieda (brzmi nieźle, ale my trafimy do czubków).

Wyprawa do księgarni to mój pomysł. Uznałam, że skoro pracuję w wydawnictwie, studiowałam literaturę i dużo czytam, powinnam umawiać się z mężczyzną o podobnych zainteresowaniach.

– Nie rozumiem – mówi Sam. – Szukasz faceta czytającego romanse?

– Nie, po co mi takie dziwadło. – Niech gustuje w męskiej literaturze. Mógłby na przykład czytać Hemingwaya i jemu podobnych.

Naszym celem jest księgarnia „Barnes i Nobles”. Na moim zegarku szósta. Sam i ja postanawiamy wyjść dopiero wtedy, kiedy damy numer telefonu co najmniej jednemu kandydatowi na męża. Ona rusza natychmiast do działu finansowego, a ja wciąż się waham. Postawić na duszę (powieść) czy na dobre zarobki (informatyka). To prawdziwe wyzwanie, ale walczę z zamiłowaniem do pięknych aut i wybieram zasobną bibliotekę. Już mam przejść do działu z beletrystyką, gdy pod wpływem nagłego impulsu skręcam do sekcji komputerowej. No cóż, jestem słabą kobietą.

La, la, la... W dziale informatycznym stoją trzy długie regały wypełnione książkami. Postanawiam zacząć od prawej i przesuwać się w lewo.

– Czy mogę w czymś pomóc? – wypytuje ekspedientka.

– Nie, dziękuję. Rozglądam się tylko.

Tamten przystojniaczek ogląda tom w twardej oprawie. Spokojnie czekam na odpowiednią sposobność... chociaż nie wiem, jak do niego zagadać.

Mam! Poproszę, żeby mi coś polecił. Świetnie. Niech się poczuje jak prawdziwy spec.

– Przepraszam?

– Tak?

O co chciałam go zapytać?

– Szukam dobrej książki na temat... komputerów.

Patrzy na mnie jak na okropne dziwadło. Można by pomyśleć, że włożyłam paskudne buciory albo zgoliłam brwi.

– Proszę zwrócić się do pracowników księgarni. Cholera. Idę do barku na kawę.

Po sześciu kawach i czterech godzinach prawie rzygam kofeiną i umieram z nudów. Poznałam trzech facetów, których żony, dziewczyny lub kochanki natychmiast by mnie przegnały, gdybym naruszyła ich terytoria. Dwaj następni mieli dzieci (dziewczyna w moim wieku nie nadaje się ani na macochę, ani na kochankę). Spotkałam też żartownisia, który tak natarczywie mi się przyglądał, że musiałam na pewien czas opuścić moje stanowisko. Ekspedientka na pewno uznała, że jestem kompletną wariatką. Podchodzi do mnie co dziesięć minut i pyta, czy potrzebuję pomocy.

– Mnie nie można pomóc – odpowiadam.

Poznaję Josha. Stoi przy regale oznaczonym literą C i kartkuje podręcznik zatytułowany „Radość programowania”. Jest wysoki i przystojny, miło się uśmiecha (robią mu się wtedy dwa urocze dołki).

Jestem zmęczona i chcę iść do domu, więc od razu wyciągam rękę i przedstawiam się, nie zwracając uwagi na pozory i zasady skutecznego podrywu. Dowiaduję się, jak ma na imię, rozmawiamy przez kilka minut, ale gdy zaczyna opowiadać o swoim kocie, psie oraz pięciu mikroprocesorach, przerywam mu w pół słowa, prosząc o telefon, zapisuję na przygotowanej

zawczasu karteczce (wszystkie skropiłam perfumami) swój numer telefonu, wciskam mu ją i odchodzę, szukając wzrokiem Sam. Mam poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Sam rozsiadła się na kanapie i gada jak najęta z facetem, który wygląda jak Jerry Seinfeld. Macham do niej, ale nie reaguje. Kolejna próba. Jestem pewna, że celowo nie zwraca na mnie uwagi. Pora na jeszcze jedną filiżankę kawy.

– Jak wyglądam? – pyta Sam i obraca się wokół własnej osi.

Ma na sobie mocno wyciętą małą czarną z wiązaniem na szyi oraz nowiutkie czarne botki, bardzo oryginalne, bo wiązane z tyłu. To jej pierwsza randka z Philem, którego poderwała w dziale z książkami dotyczącymi finansów. Okazało się, że prowadzi własne przedsiębiorstwo i chętnie czyta Grishama. Rzecz jasna, „Firma” to nie „Komu bije dzwon”, ale też powieść. Facet nie jest analfabeta. No i zadzwonił.

Minęło pięć dni, a Josh się nie odezwał. Dobrze mi tak, skoro gotowa byłam umówić się z kolejnym popaprańcem, który ma imię zaczynające się na literę J. Co więcej, powinnam była zostać w dziale związanym z finansami i zarządzaniem. Komputerom już dziękujemy. Chłopcy, którzy czytają literaturę informatyczną, są równie mało wiarygodni jak początkujące firmy internetowe, dla których porzucają swoje pewne, choć nudne posadki.

Siedem dni. Czemu nie poszłam do działu podróźniczego? Nawet regał z książkami kucharskimi lepiej nadawał się do moich celów. Natalie poznała kiedyś fajnego psychologa w dziale z poradnikami. Ale przy tym zezowatym szczęściu trafiłby mi się jakiś cholerny patolo.

Odreagowuję wściekłość, ćwicząc taekwondo.

– *Hanna. Twul. Zed. Ned. Dasso!* – krzyczy Lorenzo. –Rozstaw nogi. Szerzej.

Przecież staram się, jak mogę.

Po treningu proponuje mi pomoc w opanowaniu pierwszej techniki. Kładzie mi dłonie na ramionach – te swoje wielkie, znakomicie wyćwiczone dłonie – ustawia mi barki we właściwy sposób. Jest pół do ósmej. śnię na jawie o wielkim talerzu klusek z pysznym serem, lecz mimo to zgadzam się, żeby Lorenzo dalej mnie uczył. Muszę poznać tę technikę, żeby zdawać egzamin na żółty pas, który optycznie wyszczupła bardziej od białego. Teraz wyglądam pewnie jak galeretowaty potwór z „Ghostbusters”.

– Sir? – mówię. Tak trzeba zwracać się do szefostwa. Tak, sir. Nie, sir. Proszę mnie przycisnąć do ściany i pocałować, sir.

– Tak?

– Kiedy będę mogła zdawać egzamin na żółty pas, sir?

– Jackie, zaliczyłaś tylko jeden trening.

– Aha. Rozumiem, sir. – Chwila moment. – Po ilu zajęciach mogę zdawać, sir?

– Wymagamy co najmniej dwudziestu. – Zbity z tropu Lorenzo przygląda mi się uważnie.

Dwadzieścia? To oznacza dwadzieścia godzin ciężkiej harówki! A zarazem dwadzieścia godzin pracy pod kierunkiem boskiego sir Lorenza, demona seksu. Mniejsza z tym. Chyba do końca życia będę nosić biały pas. Wydaje mi się, że jestem zakochana.

– Wiesz, kogo mi przypominasz? – pyta boski i seksowny sir Lorenzo. Jego dłoń dotyka moich pleców, więc oddycham z trudem. Wciąż nie mogę skojarzyć, gdzie widziałam tę twarz. Jest taka znajoma, chociaż nie przypominam sobie, żebyśmy się wcześniej spotkali.

– Kogo? – Jakąś aktorkę? Twoją pierwszą sympatię?

– Chelsea Clinton.



Spadaj, boski Lorenzo. Ty śmierdzisz, sir.

– Moim zdaniem, nie ma się czym przejmować – mówi Sam.

Przysiadłam na koszu w jej łazience i patrzę, jak pewną ręką maluje powieki jasnym cieniem. Robi się na bóstwo, bo dziś ma drugą randkę z Philipem. Zerwała niespełna dwa tygodnie temu i już umówiła się po raz drugi. Kolejna randka! Nie do wiary!

– Chelsea Clinton uchodzi za brzydulę. – Zrywam się z piskiem, bo poduszka leżąca na koszu jest mokra.

– Ja tak nie uważam.

– I co z tego? Problem w tym, że większość ludzi odmawia jej urody. Satyrycy i karykaturzyści ciągle z niej kpią. Czy mogę uznać za komplement porównanie z dziewczyną uchodzącą za symbol brzydoty.

– Może jemu się podoba.

– Opinia jednostki nie ma znaczenia. – Nasz spór nie ma sensu, bo Sam jest rozkojarzona. Philip zabiera ją dzisiaj na prezentację win. Tere–fere! Bujać to ja, a nie mnie. Pęknę ze śmiechu. Moim zdaniem chce ją upić i zaciągnąć do łóżka.

Przyznaję, zżera mnie zawiść. Po prostu zielenieję z zazdrości, aż po szkła kontaktowe na tęczęwkach.

– Mam duże oczy? – Trzepoce rzęsami.

– Na pół twarzy. – Co będę robić dziś wieczorem? Jest sobota. Sam ma randkę, Natalie także. Nawet Andrew spotyka się ze swoją lalunią Jessiką.

Siedzę w pokoju na kanapie owinięta kocem Sam i z rozpaczy dzwonię do mojej siostry Iris.

– O Boże! Nie uwierzysz, co się stało!

– Wal.

– Boże, Boże! Moja najlepsza przyjaciółka od siedmiu lat szaleje za pewnym chłopakiem, a on uderza do mnie i ma wielkie szanse. Co robić?

Rozterki nastolatków. Wzdycham. To były piękne dni.

– Mandy go tak lubi?

– Nie, Tamara.

– Sądziłam, że Mandy jest twoją najlepszą przyjaciółką.

– Była, ale teraz spadła na drugą pozycję. Mów, co mam robić.

– A czego ty chcesz?

– Wczoraj byliśmy wszyscy na imprezie. Gdy Kyle podchodził, żeby pogadać, Tamara uważnie mi się przyglądała. Zamieniłam z nim kilka słów, gdy poszła do łazienki. To bez sensu, bo przez ostatni rok podobało jej się dziesięciu chłopaków. Nie może polować na wszystkich, którzy jej wpadną w oko, prawda?

To zamieszanie z Mandy i Tamarą całkiem ją zaabsorbowało. Nie oczekuje rady. Przeciwnie, sama gada, jak najęta.

– Kyle dorabia sobie w Abercrombie, a to dowód, że jest przystojny, bo tam pracują sami ładni chłopcy...

Po kwadransie takiej paplaniny o ślicznym Kyle'u całkiem odpadam.

– Iris, idę spać.

– Dopiero dziesiąta. Przecież to sobotni wieczór. Coś podobnego!

– Daj mi spokój, jestem zmęczona.

– Nie wychodzisz?

Ciekawe, dokąd i z kim. Lepiej skłamać.

– Miałam pewne plany, ale wolałam zostać w domu. A ty się gdzieś wybierasz? – Bip. – Chwileczkę, mam drugi telefon.

– Halo?

– Jackie, jesteś moim literackim kołem ratunkowym. Masz sześćdziesiąt sekund na odpowiedź. Włączamy stoper... – To Bev, moja macocha. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Jakie literackie koło ratunkowe?

– My tu sobie z twoim ojcem i kilkoma przyjaciółmi gramy w „Milionerów”. Nie znam odpowiedzi. Ty jesteś moim literackim kołem ratunkowym.

Mam pytanie: czemu moi starzy bawią się w sobotni wieczór znacznie lepiej ode mnie? Nie ma czasu do namysłu, proszę odpowiadać.

– Poczekaj, muszę się najpierw rozłączyć, mam drugą rozmowę. – Naciskam guzik. – Iris?

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Idę na imprezę do Angie. Tamara i Kyle też są zaproszeni.

– Możemy pogadać jutro?

– Ale ta impreza jest dziś!

– Muszę kończyć.

– Dlaczego?

– Bev czeka na drugiej linii.

– Dobra. Tamta rodzina jest dla ciebie ważniejsza ode mnie. – Rzuca słuchawkę.

Przełączam Bev.

– Jestem gotowa.

– Uwaga! Uruchamiam stoper.

– Rozmawiamy przez mikrofon? Okropne urządzenie. Cześć, tatku. Możesz wyłączyć to paskudztwo? – Nie zamierzam publicznie robić z siebie idiotki.

Ta gadka o literackim kole ratunkowym bardzo mnie speszyła. A jeśli podam błędną odpowiedź? Czy Bev będzie stratna? Ile już uzbierała? Muszę znać stawkę. Nagle zapada cisza. Mikrofon został wyłączony.

– Komu T.S. Eliot zadedykował poemat „Ziemia jałowa”? Czy to był Andrew Marvel, Ezra Pound czy jego żona Jennifer Eliot, czy też William Carlos Williams, a może nie było żadnej dedykacji?

Żadnej dedykacji? Chwileczkę, w „Milionerach” nie ma takiej możliwości.

– Pięć odpowiedzi do wyboru? – pytam.

– Staramy się, żeby nasza wersja była nieco trudniejsza.

Dobrze, tylko spokojnie. Nie wolno się denerwować. Czytałam ten poemat na zajęciach z historii literatury, z modernizmu i poezji współczesnej. Poza tytułem niewiele z niego rozumiem. Dobra, Marvel odpada, bo „Ziemia jałowa” powstała na początku dwudziestego wieku. Poczekajcie minutkę. Przecież wiem.

– Marvel – głośno myślę.

– Jesteś pewna?

Nie! Nie! Czemu wymieniłam jego nazwisko? Przecież wiem, że to błąd! Można się wycofać? Czas minął? Przegrałam?

– To nie Marvel. Przejęzyczenie. Ezra Pound. – Muszę zrobić magisterium! Czemu nie napisałam pracy?

– W porządku. Ezra Pound. Na pewno?

– Nie. William Carlos Williams też pasuje. Nie mam pewności. Moim zdaniem, to Pound.

– Jak to się układa procentowo?

– Pięćdziesiąt jeden procent dostaje Pound, czterdzieści pięć William Carlos Williams, cztery żona. Moment. Nie pamiętam, czy Eliot był żonaty.

- Zadedykowałby ten wiersz żonie, gdyby ją miał? Trudno wyczuć.
- Nie mam pojęcia. Moim zdaniem, to Pound.
- Dobrze. Serdeczne dzięki. Dobranoc. – Odkłada słuchawkę.

Dobranoc? Chwila! Nie zmrużę oka, jeśli się nie dowiem, czy miałam rację. Co za szczęście, że książki stoją na regale. Najwyższą półkę zajmują podręczniki i antologie dla studentów, drugą klasyka, trzecią literatura popularna, czwartą dziewiętnasty i dwudziesty wiek, a na samym dole są romanse. Ułożyłam je wydawnictwami. To mój ulubiony sposób zabijania czasu, który odciąga mnie od telewizora w godzinach największej oglądalności. To wspaniałe zajęcie powinnam sobie rezerwować na wieczory takie jak dzisiejszy.

W antologii Nortona jest „Ziemia jałowa”. Zgadza się, Ezra Pound. Dzięki Bogu. Wyrazy serdecznej wdzięczności dla T.S. Eliota. Może pójdę w jego ślady i zacznę używać skrótu F. J.

Nieważne.

Dzwonek telefonu budzi mnie punktualnie siedem po pierwszej.

- Halo?
- Fajnie, że cię nie obudziłam. – To Iris.
- Przeciwnie. Mówiłam ci przed trzema godzinami, że idę spać.
- Wiem, ale sprawa jest pilna.
- Czemu?
- Bo Kyle wcześniej wyszedł z imprezy, ale Michael dał mi numer i powiedział, że mam zadzwonić.
- Do Michaela?
- Nie, do Kyle'a.
- Kim jest Michael?
- Przyjacielem Kyle'a.

– Przekreśliłaś do niego?  
– Jeszcze nie. A powinnam?  
– Tamara nie będzie wściekła?  
– Nie dowie się. Zadzwoń, pogadamy, jak dobrze pójdzie, Kyle umówi się ze mną. Taka sprawa. Przezornie nie zmyłam tapety.  
– Chcesz teraz wyjść? Jest osiem po pierwszej! Starzy cię puszcza?  
– Racja, ale to nie problem. Mogę wyjść przez okno. Przełomowe chwile wymagają śmiałych rozwiązań.

– W takim razie dzwoń.  
– Dobra, ale nie przerywaj połączenia. Telefonuję z trzeciej linii.  
– A jeśli zacznę chichotać?  
– Ani mi się waży.  
– Nie potrafię nad sobą zapanować. Jesteś pewna, że to dobry pomysł?  
– Błagam, zgódź się!  
– No dobrze.

Błyskawicznie wybiera numer (pewnie już go wpisała do pamięci). Nagle rozlega się niski męski głos.

– Tak?  
– Czy to Kyle?  
– Zgadza się.  
– Co słychać? Tu Iris.  
– Cześć, Iris. Jak leci?

Ale konwersacja! Co za język!

– Nic nowego. Siedzę w domu. Co robisz?  
– No wiesz, trzepię kocyk.

Jaki kocyk? Czy ten chłopak nie ma kołdry? W jakim jest wieku? Czemu trzepie koc? Proszek mu się rozsypał? Może to narkoman?

– Aha – słyszę Iris.

Cisza. Milczenie się przedłuża. Mam zareagować? Biiiip! Ojej!  
Przysięgam, że to czysty przypadek...

– Baw się dobrze – dodaje. – Do zobaczenia.

– Jasne. – W głosie Kyle'a słyszę lekkie zmieszanie. Spodziewałam się usłyszeć rejestry wyższe co najmniej o jedną oktawę.

– No to cześć. – Iris przerywa połączenie z Kyle'em. Znowu cisza.  
Kwiczę ze śmiechu.

– Przestań! – woła Iris, daremnie tłumiąc chichot.

– To było mocne! Jestem pod wrażeniem.

– Boże, Boże, Boże.

– O co chodzi z tym kocykiem?

– Boże, Boże, Boże. Na pewno przyjdzie taki czas, kiedy zacznę w końcu traktować chłopaków jak normalnych ludzi. Mam rację?

– Będziemy w kontakcie.

Przez te chichoty boli mnie pepek.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

*No, braciszku...*

Zabieram się właśnie do redagowania „Miłości szejka”, gdy widzę na moim ekranie migający napis: Masz wiadomość.

Nie wytrzymam kolejnego zebrania na temat znaków przestankowych. Moment, o co chodzi?

*Jackie!*

*Przesyłam zdjęcie mojego brata Tima. Jeśli ci się podoba, proszę o wiadomość, a ja dam mu twój numer telefonu.*

*Julie*

Też coś! Czy ona uważa mnie za dziewczynę, dla której liczy się tylko wygląd zewnętrzny? Pewnie myśli, że umówię się z jej bratem, ponieważ jest przystojny. A mnie interesuje też jego osobowość, inteligencja, poczucie humoru, no i stan posiadania.

Otwieram załączony plik. Niezły. Jest wysoki, góruje ponad trzydzieści centymetrów nad stojącą obok Julie. To zdjęcie wykonał chyba zawodowy fotograf. W tle widzę jasnoniebieski ekran. Może to prezent dla rodziców na dwudziestą rocznicę ślubu? Zawsze chciałam mieć takie porządne zdjęcia, ale mój tata jest niespełnionym fotografem, więc kiedy byłam mała, nosił na szyi aparat z wystającym obiektywem, w pełnej gotowości do kolejnego ujęcia. Tata wyglądał jak turysta w Disneylandzie.

– Patrz, Janie! Mała się uśmiecha! – wołał. Albo: –Spójrz, Janie, ma nowy ząbek!

Dziękuję niebiosom, że rodzice się rozwiedli, nim urósł mi biust i dostałam pierwszy stanik. Zakłopotanie wywołane jego manią wcale nie było najgorsze, chociaż okropnie męczące. Największy problem w tym, że na

fotkach ludzie byli bez stóp albo głów. Dlatego nie miałam ani jednego przyzwoitego zdjęcia.

Jako trzynastolatka ułożyłam śmiały plan. Przekonałam Janie, aby z okazji urodzin zafundowała sobie sesję zdjęciową w salonie „Wspaniałe ujęcie”. Takim zdjęciem można się pochwalić. Modelce robi się odpowiedni makijaż i fryzurę, stroi się ją w etole i lśniące ciuszki. Obiecałam opłacić sesję zdjęciową, a Janie miała tylko pokryć koszt odbitek. Kiedy zjawiliśmy się w salonie, ja również musiałam zrobić sobie zdjęcie, więc przyszło nam wybulić dwadzieścia pięć dolców. Ale na tym nie koniec, bo tyle kosztowały dwa ujęcia, a za odbitki skasowali dodatkowo czterysta pięćdziesiąt dolarów. Ale opłacało się, bo fotki były super, zwłaszcza moje. Z tego wniosek, że warto było zadać sobie tyle trudu. Przynajmniej ja byłam zadowolona.

Przystojny chłopak, to mało powiedziane. Jest po prostu fantastyczny: szeroki w ramionach, szatyn, któremu niesforne kosmyki zasłaniają trochę piwne oczy wielkie jak u szczeniaka. Chodź, pieseczku. Pokaż mi się.

Czemu Julie nie wspomniała, że ma takiego fajnego brata? Jak mu na imię? Tak samo jak tacie. Nazywa się Timothy, Timmy, Tim.

Trudna sprawa. Jeśli dam jej znać, że chętnie się z nim spotkam, będzie wiedziała, że zachęcił mnie jego wygląd, bo w przeciwnym razie już wcześniej bym się zgodziła. Jeśli od razu jej odpiszę, czy nie pomyśli, że oceniam ludzi powierzchownie? A może skłamać, że nie mam czasu na oglądanie zdjęć? Lepiej nie, śliska sprawa. Mogłabym też powiedzieć, że nie udało się na moim komputerze otworzyć załącznika, lecz mimo to chętnie umówię się z jej bratem, chociaż go na oczy nie widziałam. Szczerze mówiąc, jestem ciekawa, dlaczego Julie przysłała mi tę fotografię. Czyżby się domyśliła, że kłamałam, wspominając o moim chłopcu? Może uznała mnie za kobietę wyzwoloną, która bez skrępowań spotyka się z różnymi facetami. A jeśli, uchowaj Boże, doszła

do wniosku, że wprawdzie mam chłopaka, ale nie jestem w stanie go przy sobie zatrzymać...?

Piszę odpowiedź. Nie ma się nad czym zastanawiać.

*Kochana Julie, Do dzieła! Jackie*

Odpowiedź została wysłana.

Zadzwoił tego samego wieczoru punktualnie o ósmej. Nadzwyczajne. Po prostu nie do pomyślenia. Dziś dostał mój numer i zaraz się odezwał. Widzicie? Nie wszyscy mężczyźni bawią się z nami w te swoje gierki. Można trafić i na takich, którzy nie śpiewają w musicalach, nie uciekają do Tajlandii, nie zdradzają swoich dziewczyn. Przynajmniej tak mi się wydaje. Byłby to nadzwyczaj paskudny zbieg okoliczności, gdyby Tim miał dziewczynę, zaplanował podróż na Daleki Wschód i śpiewał hity.

A jeśli zaproponuje wyprawę do teatru? Może kupił już bilety na „Mieszkanie”? Czy mam po raz drugi iść na przedstawienie?

– Jackie! – Sam wrzeszczy ze swego pokoju, gdy oglądam zakończenie „Ally McBeal”. – Do ciebie!

– Powiedz, że zadzwonię później! – odkrzykuję. Cholera, właśnie zaczyna się fantastyczna piosenka. Co za idiota telefonuje, gdy nadają kolejny odcinek „Ally McBeal”? Jakie to denerwujące! Po dwóch minutach wydieram się znowu: – Kto dzwonił?

– Jakiś chłopak. Chyba Jim. Nie, Tim.

– Tim? Czemu nie kazałaś mi odebrać?

– Powiedziałaś, że później zadzwonisz.

– Bo myślałam, że to Natalie albo ktoś ze znajomych. Nie przyszło mi do głowy, że Tim odezwie się tak szybko.

– W takim razie dzwoń. Zapisałam numer.

– Jak brzmi jego głos? Spryciarz? Przystojniak? Dowcipniś? – Nie muszę pytać Sam, jakie zrobił na niej wrażenie, bo już wiem, że facet jest super; przynajmniej taką mam nadzieję. Na zdjęciu wygląda fantastycznie.

Moment, a jeśli zostało wyretuszowane? – Myślisz, że jest przystojny?

– Po głosie trudno stwierdzić.

– Nieważne. Jest zabawny?

– Niespecjalnie. Zapytał po prostu, czy może z tobą rozmawiać.

– Nic mi nie powiesz?

– Był uprzejmy.

To dobrze. Nie znoszę chamstwa.

– Dobra, to dzwonię. – O, kurczę! – Nie mogę! Co powiem, gdy Julie podniesie słuchawkę?

– Mieszka z siostrą?

Dobre pytanie. Oby nie! Ale wykluczyć tego nie można.

– Co mam zrobić, jeśli to Julie odbierze? Przywitać się, jak gdyby nigdy nic? To okropnie stresujące.

– Jeśli nie zadzwonisz, on się więcej nie odezwie. Racja. Sytuacja patowa. Już wiem!

– Nagram się na jego automatyczną sekretarkę! Wykorzystam cudowne talenty mojej telefonicznej

lukstorki i zadzwonię, używając opcji „Tylko wiadomość”. Tim uzna, że nie mogłam się dodzwonić.

– Czy przygotujesz sobie wypowiedź na piśmie? Ciekawa sugestia.

– Nie. Sama widzisz, że wcale nie jestem zdenerwowana. Jeszcze nie wiem, czy go polubię. Widzisz? Całkiem spokojnie wykonuję telefon.

Sam podaje mi słuchawkę i patrzy na ręce, gdy wybieram numer.

– „Witamy. Tu mieszkanie państwa Mittman. Nie możemy teraz odebrać telefonu. Aby zostawić wiadomość dla Tima, należy wcisnąć jedynekę. Aby zostawić wiadomość dla Normana i Sandry, należy wcisnąć dwójkę”. – Bip.

Wystukuję jeden.

– Cześć, Tim. Mówi Jackie, koleżanka Julie. Zadzwoń do mnie w wolnej chwili. Zadzwoń do mnie w wolnej chwili. Pa. – Chi, chi! Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło, żeby parodiować Jona Gradingera, ale nie mogłam się oprzeć.

– No i co? Jak brzmiał głos na taśmie?

– Staro. Chyba nagrał się jego ojciec.

– Naprawdę? Facet mieszka z rodzicami?

– Chyba tak. – Oj, marnie.

– Ile ma lat?

– Nie wiem.

– W jakim wieku jest Julie?

– Skąd mam wiedzieć? – A może Tim to raczej Timmy? Osiemnastoletni Timmy, który jeszcze chodzi do szkoły.

– Gdzie pracuje? Ma posadę?

– Nie wiem. – Powinnam była przeprowadzić małe śledztwo, a nie tylko zachwycać się jego zdjęciem. Jeśli facet nie ma roboty, będę musiała płacić za siebie, kiedy się spotkamy.

Dzwoni telefon.

– Ja odbiorę. – Minę mam ponurą. – Halo?

– Cześć, mógłbym rozmawiać z Jackie? – Głos mu się nie łamie. To dobry znak. Chłopaczek jest po mutacji.

– Przy telefonie.

– Cześć, mówi Tim, brat Julie.

– Cześć, Tim.

Przyjemny baryton. Jest dobrze.

– Cześć, Jackie. Miło, że cię zastałem.

– Mnie również.

– Fajnie. – Chwila ciszy. – Wygląda na to, że jesteś w moim typie – słyszę. Niezłe zagajenie. Timmy dostaje trzy punkty.

– Nikt mi dotąd tego nie powiedział.

– Z tego, co mówi moja siostra, wynika, że każdemu mogłabyś się spodobać, bo jesteś ładna, mądra i pełna wdzięku.

Dwa punkty dla Tima, cztery dla Julie. Ale, ale, chwila, moment. Poprzednia uwaga budzi wątpliwości. Kto się podoba wszystkim, jest raczej bezbarwny. Na razie nie będę tego analizować. Zakładam, że oboje chcieli dobrze.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Milczenie. – Pójdiesz ze mną na kawę w tym tygodniu?

– Chętnie. – Mam nadzieję, że nie jest popaprańcem.

– Masz czas w piątek wieczorem?

No nie! W piątkowe wieczory chodzimy do „Orgazmu”. Mój drogi Timmy, jeszcze nie wiadomo, jak z tobą będzie, więc lepiej nie palić za sobą mostów. Zresztą, kto w piątek wieczorem chodzi do kawiarni? Wtedy obowiązkowo trzeba być w klubie.

– Raczej nie. Lepszy byłby czwartek.

– Aha. Środek tygodnia? Dobra. Problem w tym, że wstaję pół do szóstej i wieczorem przysypiam. A że w piątek od rana jestem na nogach...

Miał na myśli pół do szóstej rano? Co można robić o tej porze? Nie zadaję tego pytania, żebyśmy mieli o czym rozmawiać podczas randki.

– A sobota? – pytam śmiało, chociaż sporo ryzykuję. Pierwsza randka w sobotni wieczór. Czuję się, jakbym obstawiała fuksa.

– Wspaniale – odpowiada Tim.

Tak! Pełnia szczęścia: piątek w „Orgazmie” i sobotnia randka.

– Zadzwoń w sobotę rano i zapisz się sobie adres.

Przyjedzie po mnie do domu, zamiast umawiać się na rogu! Chyba został tu przeniesiony z dziewiętnastego wieku.

– Świetnie, w takim razie czekam na telefon.

– Dobranoc.

– Dobranoc. – Odkładam słuchawkę.

– I co? Jakie wrażenia?

– Jest... miły.

– To dobrze, prawda?

– Sama nie wiem. Chyba tak.

W piątek wieczorem idziemy do „Orgazmu”. Nasz stały skład: Sam, Natalie oraz ja. Mam na sobie dżinsową spódnicę, białą bluzkę wiążaną w tali, kowbojski kapelusz (wszystko kupiłam w osiedlowym supermarkecie) i kowbojki pożyczone od Sam. Nie udało mi się z niej wyciągnąć, po co trzyma takie buty. Niestety, są trochę za ciasne i strasznie piją mnie w stopy. Na głowie mam kucyki, a parę kosmyków opada na policzki. To nie jest wcale dowód złego gustu i nieznajomości mody, tylko impreza z okazji Halloween.

Natalie się nie przebrała; to poniżej jej godności. Sam włożyła obcisłe spodnie z czarnej skóry, czarny gorsecik odsłaniający pępek, uszka niczym króliczki „Playboya” i puszysty ogonek. Wyraźnie ogrywa ten kostium, flirtując z każdym, kto się nawinie – nawet z Andrew, który pojawia się obok mnie, ubrany w czarny golf, czarne spodnie i czarne buty. Na szyi ma amulet



symbolizujący totalny nihilizm i abnegację. Wybaczam mu, że nosi golfik, bo to przecież bal przebierańców.

– Zainspirował cię „Big Lebowski”? – pytam, śmiejąc się z jego pomysłu.

– Fakt, ale, moim zdaniem, nikt prócz ciebie na to nie wpadł.

Ben ma na sobie kostium ulicznego moczymordy. Właściwie nie musi udawać. Na widok Sam w śmiałym kostiumie wita się bardzo wylewnie. Stawia kolejkę całej naszej piątce, ale tylko ona zostaje zaszczycona toastem.

– Nie będziesz się już zachwycał moją gładką skórą? – wzdycham rozpaczliwie.

– Znalazłem ci godną następczynię.

Przynajmniej jest szczery. Obejmuje ją w talii, zsuwa dłoń coraz niżej, teraz dotyka pośladków. Czy Sam da mu w mordę? Nie. Rozchichotana przytuła się do niego.

– Dlaczego nie włożyłaś krótkiego gorsetu? – pyta Andrew, zerkając na mój zasłonięty brzuch.

No, jakby tu...

– Tylko wybrani mogą oglądać mój kolczyk w pępku.

– Ja widziałem. – Uśmiecha się.

– W takim razie jesteś wyjątkowy. – Pochyłam się i całuję jego gładko wygolony policzek. Jak to dobrze, że nigdy nie próbowałam go poderwać. Znam siebie i wiem, że to byłby koniec naszej przyjaźni.

– Co z Philipem? – wypytuję Sam w damskiej toalecie. Po degustacji win spotkali się jeszcze dwukrotnie, więc w sumie odbyli już cztery randki.

– Czemu pytasz?

– Przecież z nim jesteś, prawda? W takim razie czemu lecisz na Bena?

– Po pierwsze, wcale nie jestem z Philem, tylko czasami się z nim umawiam. Nie zamierzam łądować się od razu w kolejny poważny związek. Mogę flirtować, wychodzić i sypiać, z kim zechcę. Po drugie, Ben jest fajny, więc go kokietuję, ale to nie oznacza, że do niego pójdę. Zajarzyłaś, mamuśka?

To niesamowite, jak szybko Sam się w tym wszystkim odnalazła. Przecież dopiero od dwóch tygodni buszuje na swobodzie.

Tim dzwoni o trzeciej po południu, żeby potwierdzić spotkanie i zanotować adres.

Stary Tim (zwany tatą) telefonuje o siódmej, bo chce wymusić na mnie obietnicę, że przyjadę na Boże Narodzenie do niego i rzeczniczki duchowej odnowy (zwanej także Bev).

– Dobrze, wpadnę do domu.

Zresztą i tak nie mam innych propozycji. Nie do wiary, wkrótce święta. Aż trudno uwierzyć, że mieszkam w Bostonie prawie rok.

Iris dzwoni przed ósmą. Ma pretensje, że do niej nie przyjadę.

– Janie w przeciwieństwie do mego ojca nie obchodzi Bożego Narodzenia.

– Jasne. Tamtą rodzinę kochasz bardziej niż mnie.

– Iris, nie bądź dziecinna. Przed przeprowadzką do Bostonu spędziłam z tobą dwa tygodnie.

– Aha. Traktujesz mnie jak małe bobo. Dzięki. Serdeczne dzięki. – Rzuca słuchawkę.

Domofon dzwoni o ósmej. Przyszedł po mnie Tim (potencjalny chłopak, nie mój tata). Nie mam ochoty przedstawiać go Sam, ścielić łóżka, chować skarpetek leżących w salonie i tak dalej.

Dziwna sprawa. Odkąd Sam buszuje na swobodzie, przestała mnie zmuszać do regularnego i dokładnego sprzątanía. Może rozstanie sprawiło, że

zastanowiła się głęboko nad swoim życiem i relacjami ze światem. Musiała w końcu zrozumieć, że nie da się kierować innymi ludźmi, jakby to były marionetki. Zresztą tak jest zaabsorbowana podrywaniem facetów, że nie myśli o innych sprawach.

Włożyłam strój, który zawsze noszę w czasie pierwszej randki, ale włosy są kręcone. Po co robić się na bóstwo, skoro nie wiem, czy polubię faceta? Jak straci głowę, trudno go będzie przegonić. Tak myślę.

Stoi przy długim, jasnoniebieskim samochodzie. Taki sam Kevin Arnold z „Cudownych lat” odziedziczył po dziadku. Na szczęście Tim wygląda znacznie lepiej niż jego auto. Jest też przystojniejszy od Kevina. Punkt dla Julie za posiadanie takiego brata. Ciekawe, czy jej przykro, że z rodzeństwa ona jest brzydsza. Może góruje nad nim inteligencją? Mam nadzieję, że nie. Nie umiem się postawić na jej miejscu.

U nas nie ma takich problemów. Moja siostra wygląda tak samo jak ja, kiedy miałam szesnaście lat, jest tylko niższa i szczuplejsza, a poza tym nosi baseballówkę. Obie jesteśmy podobne do Janie. Mamy jej rysy, a ponadto Iris biust, a ja uda. Na dodatek obie zostałyśmy obdarzone wyjątkową inteligencją. Zero rywalizacji. Wzajemny podziw. Ciekawe, czy Julie jest przywiązana do brata. Zastanawiam się, czy dziewczyny próbują się z nią zaprzyjaźnić jedynie po to, żeby go poznać. Tak by się działo, gdyby był od niej starszy. Ciekawe, czy to mój rówieśnik, czy wcześniej przyszedł na świat.

Tim albo facet, którego biorę za Tima, uśmiecha się do mnie, a skoro nikt poza nim nie czeka przed wejściem, chyba nie ma pomyłki. Gość jest podobny do chłopaka z fotografii. Oczywiście należy wziąć pod uwagę możliwość, że ma brata bliźniaka, o którym nie wiem, i obaj bawią się moim kosztem jak bachory z „Rodzicielskiej pułapki”.

Przyjmijmy jednak, że to jest Tim. Wygląda trochę inaczej niż na zdjęciu, ale wiadomo, że fotki bywają mylące. Ramiona nieco węższe (czyżby do fotografii włożył poduszki?), za to uśmiech przyjemniejszy, co się jakoś równoważy.

Nie poszliśmy do kawiarni, tylko na wystawę do Muzeum Sztuk Pięknych. Otrzymał trzy dodatkowe punkty: za pomysłowość, za plan oraz stanowczość, bo nie wypytywał, dokąd chce się wybrać; i wreszcie jeden punkt za oglądę, a także wiedzę o takich imprezach.

W samochodzie pogadaliśmy trochę na temat Julie. Niewiele powiedział o sobie. Wciąż nie mam pojęcia, gdzie pracuje. Na razie wolę nie zadawać tak drażliwych pytań, bo jeszcze sobie pomyśli, że lecę wyłącznie na facetów z wypchanym portfelem. Z drugiej strony jednak zastanawiam się, czy on nie marnuje życia. A jeśli robi lewe interesy na pornografii? Byłoby lepiej, gdybym od razu wiedziała takie rzeczy. Pytam, skąd pochodzi.

– Z Bostonu.

– Aha.

W muzeum zamiast włóczyć się bez celu od razu wybiera konkretną trasę. Kolejny punkt, bo chce mi zaimponować świetną orientacją. Albo jest leniwy.

Sobotni wieczór, a w muzeum spory ruch. Kto by pomyślał? Zapewne ogląda i kultura stały się modne. Tim kupuje bilety. Gdy bez przekonania sięgam do torebki, mówi:

– Nie wygłupiaj się. Ja zapraszam, ja płacę. To dla mnie przyjemność. – Tak! Dostaje kolejny punkt.

W ogromnej, wysokiej sali z białym sufitem podchodzi do nas sklonowana Helen, szefowa mojej serii, i pyta, czy potrzebujemy słuchawek.

Można je dostać gratis, ale daje nam do zrozumienia, że mile widziany byłby datek na potrzeby muzeum.

– Poproszę – odpowiadam, wręczając cztery dolary. To mój rewanż. Albo inwestycja w przyszłość; można i tak spojrzeć na tę sprawę.

Zakładam słuchawki i od razu uświadamiam sobie, że popełniłam niewybaczalny błąd. Jak mam poznać lepiej Tima, skoro nie możemy rozmawiać?

Za późno. Nosowy głos z taśmy już nakazuje mi spojrzeć na obraz po prawej stronie. Tim stoi obok mnie i słucha uważnie. Macham do niego, odpowiada tym samym gestem. Ale ze mnie kretyńka! Poza tym wyglądam jak księżniczka Lea.

Powinam była wziąć jeden zestaw dla nas dwojga, jak przed laty brało się koktajl mleczny i dwie słomki.

Zwiedzanie trwa. Jest trochę obrazów abstrakcyjnych, ładna ekspozycja antyczna, płótna Renoira... sporo impresjonistów. I nagle odkrycie: malowidło Francuza Paula Gauguina zatytułowane: „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?” Moim zdaniem, to dobre pytania. Skąd pochodzę? To wiem: z Danbury. Ale kim jestem? Dokąd zmierzam? Trzeba się zastanowić. Obraz przedstawia grupę ludzi, zapewne rdzennych Tahitańczyków (głos z taśmy informuje, że Paul Gauguin wyjechał na Tahiti, bo szukał nieskażonej społeczności i chciał zmniejszyć koszty utrzymania). Chcę mieć ten obraz. Albo przynajmniej jego reprodukcję. Powinam stale na niego patrzeć. Nie wiedzieć czemu lżej mi się robi na sercu, gdy uświadamiam sobie, że mieszkańcy Tahiti także czuli się zagubieni.

W ciągu godziny przechodzimy całą trasę i zdejmujemy słuchawki.

– Czy moglibyśmy wstąpić do sklepu z pamiątkami? Muszę kupić reprodukcję tamtego Gauguina.

Nie mam szczęścia, sklepik jest zamknięty. Wskazuję drzwi muzealnej kafeтерии.

– Wstąpimy, żeby się czegoś napić?

– Niestety, wkrótce musimy się pożegnać. Mam nadzieję, że nie pogniewasz się na mnie z tego powodu. Muszę zawieźć babcię na lotnisko, ale chciałbym się z tobą spotkać w przyszłym tygodniu.

O Boże! Nikt mnie dotąd tak jawnie nie splawił. Czemu ten drań miesza babcię do swoich brudnych kłamstw? Jaki mężczyzna odmawia kolejki? I co z tego, że jutro będzie trochę zmęczony, prowadząc to swoje auto? Pół życia spędziłam lekko nieprzytomna i nic mi nie jest.

– Rozumiem – słyszę własny głos. – Nic nie szkodzi. –Dlaczego mu się nie podobam? Czego mi brakuje? Szuka ładniejszej albo mądrzejszej? Może nie lubi „Gwiezdných wojen”? Posłuchaj pan, jesteś przystojny, ale trudno cię nazwać gejzerem intelektu.

Wracamy do wehikułu dziadunia (na pewno ukradł auto babci i zostawił ją samiutką na rogu ulicy). Uznaję, że skoro tak jawnie okazał mi obojętność, niewiele zaryzykuję, pytając wprost o jego zawód.

– Jestem psychologiem szkolnym w liceum – odpowiada.

No, no, ciekawa posada.

– Dlaczego wstajesz tak wcześnie? W twojej szkole praca zaczyna się o szóstej?

– Nie. Rano biegam, a potem nadzoruję spotkania zespołu przygotowującego szkolną kronikę. Spotykamy się przed lekcjami.

– W szkole średniej także redagowałam kronikę – odpowiadam. Wendy i ja razem się zgłosiłyśmy, ale zespół ani razu nie spotkał się przed pierwszym dzwonkiem. Szczerze mówiąc, starałam się zawsze organizować je w czasie

lekcji. Poza tym nasz opiekun nie przypominał Tima. – Chciałbyś otworzyć prywatny gabinet?

– Może kiedyś. Teraz mam pełne ręce roboty z moimi dziećmi. – Zdanie nieco dwuznaczne. Gdyby mówił ktoś inny, można by je opanicznie zrozumieć.

Podsumujmy. Tim majątku nie robi, ale ma poczucie własnej wartości. Znowu to moje zezowate szczęście: spotkałam przystojnego i kulturalnego mężczyznę, który umie zaplanować czas, lubi dzieci i potrafi się z nimi dogadać, ale nie chce mieć ze mną do czynienia. Ale dlaczego? Czym zawiniłam?

Zatrzymuje się przed moją kamienicą.

– Zadzwoń – obiecuje.

– Dobranoc – odpowiadam, powstrzymując łzy. Dlaczego mnie nie polubił? Co ja powiem Julie?

W mojej obecności będzie teraz zakłopotana, jakbym była niedomyta albo niestosownie ubrana. Takie osoby zwykle omija się wzrokiem, bo nie wiadomo, jak im pomóc. Julie będzie mnie ignorować, gdy wejdę do naszej kuchenki. Albo poczuje się winna, bo przez nią mam złamane serce, więc przyniesie mi czekoladę. Lub porzeczkę. Są jednocześnie słodkie i kwaśne. Kiedy je skubię, mam podobne uczucie jak podczas regulowania brwi. W domu jest chyba całe opakowanie.

Żegnaj, Timmy, słodki i kwaśny zarazem.

Powinna być wyprostować loczki.



# ROZDZIAŁ DWUNASTY

*Wstrzemięźliwość zaostrza apetyt*

PIERWSZY TYDZIEŃ, PONIEDZIAŁEK

9:15

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Nie rozumiem*

Cześć!

Dobra, posłuchaj. Zadzwoił wczoraj wieczorem. Czy to ma sens? W sobotę byliśmy umówieni, ale zmył się pod byle pretekstem. Plótł coś o babci, która ma wkrótce samolot. A ja na to:

– Czy twoja babcia jada kolację o piątej po południu?

– Wszystkie babcie tak robią – odpowiedział, więc zadałam następne pytanie.

– Sądysz, że takie przyzwyczajenia nagle dopadają nas, kiedy osiągamy pewien wiek, czy może nabieramy ich stopniowo, aż w końcu musimy zasiąść do stołu o piątej.

– Zawsze jadam punktualnie o szóstej, bo o tej porze wracam do domu z treningu. Gram w piłkę nożną – powiedział. Na uczelni był zawodnikiem, a teraz po lekcjach prowadzi drużynę juniorów. Masz pojęcie? Kronika, a do tego piłka nożna. Zapytał mnie, jakie dyscypliny sportowe uprawiałam.

– Ja? – Westchnęłam ciężko i od razu wiedziałam, że to nie jest dobra odpowiedź. Na szczęście przypomniałam sobie o taekwondo i zaczęłam mówić o wielkiej

Zapewne to dżentelmen, nie sądzisz? Może nie chciał zasnąć za kierownicą i wjechać z nieszczęsną babunią na miłości do sztuk walki. Zapytał

mnie, jaki mam pas, a kiedy usłyszał odpowiedź, mruknął, że to super. Pewnie sądzi, że biały pas jest dla zaawansowanych, na przykład tuż przed czarnym. A potem spytał, czy wypuścimy się gdzieś w przyszłą sobotę.

\_ Chyba jestem zakochana. W co on gra? Czemu spławił mnie pierwszego wieczoru i od razu zaproponował następne spotkanie? I dlaczego zrobił to z tygodniowym wyprzedzeniem?

22:00

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [facquelynNorris@cupid.com](mailto:facquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp: Nie rozumiem*

Miłość do sztuk walki? Przestałaś chodzić na taek-wondo.

22:04

*Od: Jacquelyn Norris [facquelynNorris@cupid.com](mailto:facquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp: Nie rozumiem*

Wręcz przeciwnie. Co ty wiesz? Masz w komputerze ukrytą kamerę albo inny podgląd? Me przypuszczam. Najbardziej kocham taekwondo, gdy do końca treningu zostaje pięć minut. Niech ci będzie. Darzę sport największą miłością, gdy po powrocie z zajęć siedzę w domu, wykąpana i ubrana w piżamkę.

Czemu on jest taki dziwny?

2:00

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [facquelynNorris@cupid.com](mailto:facquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp: Nie rozumiem*

Zapewne to dżentelmen, nie sądzisz? Może nie chciał zasnąć za kierownicą i wjechać z nieszczęsną babunią na barierkę autostrady? Moim

zdaniem, zadzwonił, żeby się z tobą umówić na następną sobotę, bo jest przekonany, że ma do czynienia z duszą towarzystwa. Jest też przekonany, że masz ogromne wzięcie, toteż z góry zaklepał sobie sobotni wieczór, najważniejszy w tygodniu, bo w przeciwnym razie zaszczyciłabyś swoją obecnością inne towarzystwo.

2:05

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Temat: Fw:Odp:Odp:Odp: Nie rozumiem*

*Co o tym myślisz? Czy Wendy ma rację (tekst w załączeniu)?*

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat:Odp:Odp:Odp: Nie rozumiem*

Zapewne to dżentelmen, nie sądzisz? Może nie chciał zasnąć za kierownicą i wjechać z nieszczęsną babunią na barierkę autostrady? Moim zdaniem, zadzwonił, żeby się z tobą umówić na następną sobotę, bo jest przekonany, że ma do czynienia z duszą towarzystwa. Jest też przekonany, że masz ogromne wzięcie, toteż z góry zaklepał sobie sobotni wieczór, najważniejszy w tygodniu, bo w przeciwnym razie zaszczyciłabyś swoją obecnością inne towarzystwo.

3:00

*Od: Sam Emerson [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Fzv:Odp:Odp:Odp: Nie rozumiem*

*Moim zdaniem to świr!*

3:02

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: SamEmerson@hotmail.com*

*Temat: Odp:Odp:Fw:Odp:Odp:Odp: Nie rozumiem*

Ale na razie jest bardzo miły.

3:05

*Od: Sam Emerson SamEmerson@hotmail.com*

*Do: JacquelynNorris@cupid.com*

*Temat: Rozumiem!*

„Na razie” to wyjątkowo trafne wyrażenie! Taki miły facio nawet w najodleglejszej przyszłości może stać się dupkiem!

3:07

*Od: Jacquelyn Norris JacquelynNorris@cupid.com*

*Do: SamEmerson@hotmail.com*

*Temat: Odp: Rozumiem!*

O wiele bardziej podoba mi się wyjaśnienie Wendy. Przestań nadużywać wykrzyknika w e-mailach. Głowa mnie od nich rozboleła.

3:20

*Od: Sam Emerson SamEmerson@hotmail.com*

*Do: JacquelynNorris @ cupid.com*

*Temat: Odp: Odp: Rozumiem!*

Sama powiedziałaś, że Wendy od roku nie była na randce. Co ona wie? Muszę iść. Zaczynam lekcję.

3:30

*Od: Jacquelyn Norris JacquelynNorris@cupid.com*

*Do: WendyBerger@petersonmarcus.com*

*Temat: Dziwne zachowanie*

Odkąd pracuję w „Kupidynie”, każdego ranka spotykałam w kuchence Julie, siostrę Tima. Powtarzam: każdego ranka. Ani razu nie chorowałam. Ona

też nie opuściła ani jednego dnia. Obie jesteśmy lekko uzależnione od kofeiny i dlatego spotykamy się często przy ekspresie do kawy. Wyjaśnij mi, czemu właśnie dzisiaj, po mojej randce z jej bratem, przez cały dzień się nie pokazała. Czyżby jej powiedział, że mu się nie podobam? A może to Julie doszła do wniosku, że przestała mnie lubić i nie życzy sobie, żebym się zadawała z jej bratem?

4:00

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp: Dziwne zachowanie*

Zapewne kupiła termos i dziś rano wstąpiła do baru. Kawa musiała być pozbawiona właściwości moczopędnych, bo inaczej spotkałybyście się w toalecie.

4:30

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp: Dziwne zachowanie*

Z powodu zagadkowej nieobecności Julie nie usłyszałam komentarzy, których okropnie jestem ciekawa, na przykład: „Słyszałam, że między wami dobrze się układa” albo „Zakochane gołąbki umówiły się na kolejną randkę”, albo „Przykro mi, że randka wam się nie udała, bo powinnam sama odwieźć babcię na lotnisko”. Skoro już o tym mowa, gdy Tim i ja zaczniemy na serio chodzić ze sobą, czeka nas poważna rozmowa. Postanowiłam zmienić niesprawiedliwe zasady, według których w jego rodzinie przydziela się obowiązki.

PIĄTEK 1:00

*Od: Uśmiezek [U.smieszek@e-cards.net](mailto:U.smieszek@e-cards.net)*

*Do: JacquelynNorris @ cupid.com*

*Temat: Uśmiech dla ciebie!*

Serdeczne pozdrowienia przesyła Uśmieszek! Bardzo proszę, otwórz załącznik! (załącznik binarny): Moim zdaniem, jesteśmy ładną parką (na obrazku kurtka zwana parką)

Nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania. Tim

2:05

*Od: Jacquelyn Norris  JacquelynNorris@cupid.com*

*Do:  SamEmerson@hotmail.com;  WendyBerger@peterson-marcus.com*

*Temat: Fw: Uśmiech dla ciebie!*

Czy to nie urocze? Naprawdę urocze (tekst w załączeniu).

*Od: Uśmieszek  Usmieszek@e-cards.net*

*Do:  JacquelynNorris@cupid.com*

*Temat: Uśmiech dla ciebie!*

Serdeczne pozdrowienia przesyła Uśmieszek! Bardzo proszę, otwórz załącznik! (załącznik binarny): Moim zdaniem, jesteśmy ładną parką (na obrazku kurtka zwana parką) Nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania.

Tim

3:30

*Od: Sam Emerson  SamEmerson@hotmail.com*

*Do:  JacquelynNorris@cupid.com;  WendyBerger@petersonmarcus.com*

*Temat: Odp: Fw: Uśmiech dla ciebie!*

A co z wykrzyknikami!!! Nie masz żadnej parki.

3:36

*Od: Jacquelyn Norris  JacquelynNorris@cupid.com*

*Do:  SamEmerson@hotmail.com;  Wendy Berger @peterson-marcus.com*

*Temat: Odp:Odp:Fw: Uśmiech dla ciebie!*

Nie mam nic przeciwko wykrzyknikom. Nawet je lubię, ale bez przesady.

4:00

*Od: Wendy Berger*

*WendyBerger@petersonmarcus.com*

*Do: JacquelynNorris@cupid.com; SamEmerson@hotmail.com*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Fw: Uśmiech dla ciebie!*

Jak ci się nie podobają wykrzykniki, użyj redaktorskiego ołówka. On się z nim rozprawi. Moim zdaniem, kartka jest zabawna. Daj mi znać, jak wypadła randka.

DRUGI TYDZIEŃ, PONIEDZIAŁEK

9:08

*Od: Jacquelyn Norris JacquelynNorris@cupui.com*

*Do: WendyBerger @petersonmarcus.com*

*Temat: Gdzie jesteś?*

Muszę ci opowiedzieć o mojej randce! (Zwróć uwagę na wykrzyknik). Czemu przez cały weekend ani razu do mnie nie zadzwoniłaś? Zostawiłam ze czterysta wiadomości. Sprawdź komórkę, telefon służbowy i domowy oraz pager.

Tim przyniósł mi czerwone tulipany. Słodki jest, co? Były śliczne. Dostaje za to trzy punkty. A właściwie dwa, bo kiedy stanął w drzwiach z rękoma schowanymi za plecami, zobaczyłam wystające lekko zielone łodyżki i pomyślałam, że to róże. Nie byłam rozczarowana widokiem tulipanów. Przecież nie oczekiwałam, że dostanę kwiaty, więc pretensje byłyby nie na miejscu. Z drugiej strony jednak każda dziewczyna woli róże, prawda?

Tym razem zaprosiłam go do mieszkania, bo musiałam przecież wstawić te moje nie-róże do wazonu... którego nie mam. Butelka po wodzie mineralnej świetnie go zastąpiła.



Sam twierdzi, że Tim jest ekstra. Nie powiedziała mu tego w oczy, ale tak się ostatnio zmieniła, że wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby z czymś takim wyskoczyła.

Zabrał mnie do kręgielni! Do kręgielni! Wyobrażasz sobie? Prawdziwa hala do gry w kręgle z podświetlonymi torami i fluorescencyjnymi gwiazdkami. Moja siostra też ma takie na suficie. Do tej pory ani razu nie grałam w kręgle na randce. Nie zrozum mnie źle. To bardzo fajna rozrywka, ale bez przesady. Najbardziej mi przeszkadzają te korowody z obuwiem. Sam by stchórzyła. Doskonale wiem, co by pomyślała w takiej sytuacji, jakby nad jej głową pojawiał się dymek jak w komiksie: „Mam włożyć buty, które dotykały setek stóp? Masz pojęcie, ile w nich zarazków? Czy oni nie oglądają poradników medycznych?” Zresztą muszę jej oddać sprawiedliwość, bo ostatnio chyba się przełamuje. Któregoś wieczoru ugotowałam sobie rosół na kolację. Zapytała, czy może spróbować trochę z mojego talerza i śmiało przełknęła zainfekowaną ciecz. Oczywiście wzięła czystą łyżkę.

Nieważne. Tim i ja włożyliśmy buty, które fatalnie leżały – moje były za duże, jego za małe – i podeszliśmy do wyznaczonego toru. Od światła lamp zęby lśniły mu jak halogenowe żarówki. Na szczęście włożyłam ciemne spodnie i czarny sweter. Mam nadzieję, że nie mam łupieżu, bo dziewczyna z sąsiedniego toru miała i wszyscy grający to widzieli.

Mniejsza z tym. Gdy rzuciłam po raz pierwszy, od razu przewróciłam dwa kręgle. Przy następnym rzucie zbiłam jeden. Trzy punkty to całkiem niezły wynik, prawda? Błąd. Dobrze zrobiłam, mówiąc Timowi od razu, że nie mam sportowej żyłki. On potrafi celować. Czy sukcesy w kręgielni oznaczają, że i w łóżku wiele potrafi?

Po kilku kolejkach ja też miałam świetny rzut, więc zaczęłam tańczyć z radości. No wiesz, taki pląs naśladujący figury wykonywane przez animowaną

postać z ekranu umieszczonego nad torem. Szczerze mówiąc, ten mój szalony taniec miał pewien cel. Wystawiłam Tima na próbę. Ciekawe, czy nie straci dla mnie sympatii, gdy zobaczy, że bywam zdrowo stuknięta i dobrze mi z tym.

Chyba mu to nie przeszkadza, bo śmiał się – nie ze mnie, tylko ze mną. A jak zwał wszystkie kręgle, też zaczął zabawnie podskakiwać. Trudno powiedzieć, czy jego taniec był ciekawszy od mojego, bo figurka na ekranie porusza się na jednej nodze.

Potem zaproponował, że nauczy mnie rzucać kulę jedną ręką i dodał:

– Ale kiedy to robisz obiema rękami, wyglądasz super.

– Radź, mój doradco – powiedziałam. Fajna kwestia, co?

Trzymał mnie za ramię i pomógł się dobrze ustawić, całkiem jak w niektórych programach telewizyjnych. To mnie bierze, wiesz? Jeremy by się tak nie poniżył. My rzadko wychodziliśmy. Czasem zapraszał mnie na kolację, ale nigdy do kręgielni. Ani do muzeum.

Po skończonej partii Tim zabrał mnie do małego klubu, o którym dotąd nie słyszałam. Zresztą trudno mnie w tej dziedzinie uznać za eksperta. Ujął moją dłoń i poszliśmy do zacisznego stolika w głębi sali, przy oknie. Wtedy... powiedział, że wyglądam jak Sarah Jessica Parker. To brzmi lepiej niż Chelsea Clinton.

Gdy siedzieliśmy w jego aucie po dziadku, zaparkowanym przed moją kamienicą, poprosił, żebyśmy się spotkali w przyszłą sobotę. Z tygodniowym wyprzedzeniem. Nawet nie sześć dni wcześniej tylko całutki tydzień. Zgodziłam się, oczywiście, zresztą trudno jest tak po prostu odmówić, gdy się kogoś ma przed oczami. Trzeba wrócić do domu, odczekać dzień, a potem zostawić wiadomość, na przykład: „dopał mnie wirus ebola” albo „muszę zawieźć babcię na lotnisko”. Nie, wykreślamy drugą wymówkę. Na szczęście chcę znów spotkać się z Timem, więc nie mam powodu do zmartwień.

Nieważne. Siedziałam tak, czekając, bo uznałam, że po dwóch randkach pocałunek byłby mile widziany. Normalny facet już by mnie obmacywał. Rzecz jasna, nie mówię o tych palantach, z którymi umawiałam się po zerwaniu. No więc siedziałam tak niepewna, czy mam się pochylić i na dobranoc pocałować go w policzek. A jeśli uzna, że przejęłam inicjatywę? Mogę też stracić równowagę i wtedy cmoknę go w czoło, brodę albo, uchwaj Boże, w nos. Ależ bym się ośmieszyła. Położyłam dłoń na jego ramieniu, powiedziałam mu dobranoc i moim najłagodniejszym głosem oznajmiłam, że to był wspaniały wieczór.

– Dobranoc – odparł. Co się teraz stanie? Czy on się nade mną pochyli? –  
Odezwę się do ciebie w tygodniu –dodał. Dziwne. A co ty myślisz?

*11:30*

*Od: Wendy Berger*

*WendyBerger@petersonmarcus.com*

*Do: JacquelynNorris@cupid.com; SamErnerson@hotmail.com*

*Temat: Jestem tutaj!*

Przepraszam, że przez cały weekend nie odzywałam się do ciebie. Jestem przepracowana. Nie mam wolnej chwili na posiłek, a co dopiero gadać o telefonowaniu. Z twoich wywodów można wywnioskować, że nie masz tyle roboty co ja w tym biurze.

Nienawidzę swojego życia.

Co ja gadam? Przecież nie mam życia.

Facet jest uroczy. Nie przyspieszaj.

ŚRODA

*10:30*

*Od: Jacquelyn Norris JacquelynNorris@cupid.com*

*Do: WendyBerger @ petersonmarcus.com Temat: Lista*

A. Atuty Tima:

1. Jest uroczy.
2. Jest przystojny.
3. Troszczy się o babcię.
4. Wymyśla fajne rozrywki. (Może zaproponuje mi wypad na narty lub zbieranie jabłek. Albo karaoke. Zawsze chciałam pośpiewać, ale ty nie chciałeś ze mną pójść).
5. Jest uroczy.
6. Jest przystojny.
7. Lubi dzieci (na razie to bez znaczenia, ale dobrze rokuje na dłuższą metę).
8. Jest przystojny.
9. Dla niego jestem ładna.

B. Wady Tima:

1. Mieszka u rodziców (pozwolą mu nocować poza domem?).
2. Wczesnie chodzi spać. (Jaką mam korzyść z faceta, skoro Sam jest ostatnią osobą, z którą rozmawiam, nim położę się spać?).

C. Wniosek:

Zalet jest więcej niż wad. Super!

TRZECI TYDZIEŃ, PONIEDZIAŁEK

9:30

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Trzecia randka*

Przyniósł czekoladki. Urocze, prawda? Z delikatnym nadzieniem w pastelowych kolorach. Niestety, dał plamę, bo powiedział:

– Mam nadzieję, że takie lubisz, dziecinko.

Trzeba uzupełnić listę wad. Pod B3 wpisujemy: Powiedział do mnie „dziecinko”.

Poszliśmy do włoskiej knajpki w północnej części miasta. Pół godziny staliśmy na mrozie, czekając, aż zwolni się stół, ale Tim zapewniał, że takiej sałatki Cezara jak tu nie ma w całym Bostonie. Uparł się, że sam zapłaci rachunek, chociaż wykonałam pozorowaną próbę wyciągnięcia portfela. Sałatka była palce lizać, ale ledwie pamiętam jej smak, bo niecierpliwie czekałam na deser (chyba rozumiesz, co mam na myśli?). Gdy zaparkował przed moim domem, powiedziałam, że doskonale się bawiłam.

– Ja także – odparł.

Idealna chwila na pocałunek. Byłam okropnie przejęta i zastanawiałam się, czy sama mam go pocałować i przyspieszyć bieg wypadków. Może po prostu rzucić się na niego? Ale to on musi porwać mnie w ramiona, jeśli mu naprawdę zależy. Jakie rady kolorowych czasopism mogą przyspieszyć ten boleśnie spowolniony proces? Mam sprawić, żeby gapił się na moje usta? Och, jaka szkoda, że nie zabrałam lizaka. Oblizuję usta.

– Wargi ci pierzchną? – pyta Tim. – Mam wazelinę. Chcesz trochę?

– Nie, nie, dziękuję. – W tym momencie postanowiłam, że jeśli w ciągu następnych dwudziestu pięciu sekund mnie nie pocałuje, zrywam tę znajomość. Dotknął mojego policzka... jarzysz, o co chodzi... zapytał:

– Czy mógłbym cię pocałować?

Czy on nie jest cudowny? Pocałował.

5:00

*Od: Wendy Berger*

*WendyBerger@petersonmarcus.com*

*Do: JacquelynNorris@cupid.com; SamErnerson@hotmail.com*

*Temat: Odp: Trzecia randka.*

I co? Proszę o więcej szczegółów. Jak było??!!!!!!

CZWARTEK 9:15

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: WendyBerger @ [peterpersonmarcus.com](mailto:peterpersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp: Trzecia randka*

Było nieźle, ale pocałunek miał smak sałatki Cezara. Czuło się ten dressing. Nawiasem mówiąc, zadzwoniłam do niego, żeby spytać, czy nie pogapiłby się ze mną wieczorem na głupi film.

22:30

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@peterpersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@peterpersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp: Trzecia randka.*

Zadzwoniłaś do niego? W końcu przyłączyłaś się do kobiet wyzwolonych!

PS

A co z sobotnią randką?

22:35

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: WendyBerger @ [peterpersonmarcus.com](mailto:peterpersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp: Trzecia randka*

Zwiększam tempo.

2:37

*Od: Wendy Berger*

*WendyBerger @ [peterpersonmarcus.com](mailto:peterpersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Trzecia randka*

W takim razie jak długo zamierzasz czekać...?

2:40

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Trzecia randka*

Niedługo!

4:42

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Trzecia randka*

A konkretnie?

4:50

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Trzecia randka*

Którą mamy teraz? Za dziesięć piąta. Film skończy się przed północą, tak? Za siedem godzin i kilka minut zrywam z celibatem.

4:59

*Od: Wendy Berger*

*WendyBerger @ [petersonmarcus.com](mailto:petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Trzecia randka*

Rozpustnica!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

ŚRODA

9:30

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com) Temat: Czwarta randka*



Niestety, rozpustnicą nie jestem, chociaż bardzo się starałam. Nasze ręce ani razu się nie musnęły nad pudełkiem prażonej kukurydzy. Nic dziwnego, bo ja kupiłam porzeczki. Nasze ramiona ani razu nie zetknęły się w ciemności. A film był dobry.

Potem zaprosiłam go do siebie i pocałowałam w windzie. Oddał pocałunek. Usiadł obok mnie na kanapie. Włączyłam telewizor. Zaczynał się właśnie kolejny odcinek „Policjantów z Nowego Jorku”(film był krótszy, niż sądziłam).

Czekałam, aż mnie pocałuje, bo to jego kolej.

Daremnie.

Minęło dziesięć minut, a on nawet nie drgnął. Kolejne dwadzieścia minut. „Policjanci z Nowego Jorku” stopniowo się rozkręcają...

Nie wiedziałam, na co czeka – zwłaszcza że wstaje o świcie, a dochodziła północ. Był tak zaabsorbowany serialem, że nie zwracał uwagi na moje zniecierpliwienie... Szczerze mówiąc, równie dobrze mogłabym wyjść. W czasie przerwy na reklamę przytuliłam się do niego. W końcu przypomniał sobie, że nie jest sam, i zaczęliśmy się całować. Ale po dziesięciu minutach ziewnął i umówił się ze mną na sobotę (jednocześnie!). Następnie wyszedł.

Dlaczego znów mnie zaprosił na randkę, skoro nie ma ochoty na te rzeczy? Może brzydko pachnę? Bardzo proszę, bądź ze mną szczerą.

Mówiłam ci, że on pracuje w organizacji charytatywnej, która zajmuje się dożywianiem biedaków? Zimą krąży samochodem po Bostonie, rozdając bezdomnym kanapki. Organizuje także bostońskie akcje honorowego krwiodawstwa. Tyle ma pasji i zainteresowań. Moim zdaniem, to święty. Czy ci wybrani dłużej niż zwykli ludzie powstrzymują się od uprawiania seksu? Czy w ogóle interesują się tym? Jak mam sprawić, żeby moje wtórne dziewictwo znalazło się w kręgu jego zainteresowań?

CZWARTEK

3:00

*Od: Wendy Berger WendyBerger @ petersonmarcus. com*

*Do: JacquelynNorris@cupid.com*

*Temat: Odp: Czwarta randka*

Żeby zostać kanonizowanym, trzeba najpierw wyciągnąć kopyta. Bardzo ładnie pachniesz.

CZWARTY TYDZIEŃ, PONIEDZIAŁEK 9:30

*Od: Jacquelyn Norris JacquelynNorris@cupid.com*

*Do: WendyBerger@petersonmarcus.com*

*Temat: Piata randka*

Nareszcie mnie dotknął, choć nie była to śmiała pieszczota. Jego dłoń błądziła po mojej koszulce, a miało to miejsce na mojej kanapie. Jutro też się z nim spotykam, więc przekonuję Sam, żeby przenocowała u Philipa (to facet z księgarni). Wolałabym, żeby się nie rozpraszał.

Czemu trzeba najpierw wyciągnąć kopyta, żeby zostać kanonizowanym? Podobno oni robią to ze zwierzętami. To był żart!

3:00

*Od: Wendy Berger WendyBerger @ petersonmarcus. com*

*Do: JacquelynNorris@cupid.com*

*Temat: Odp: Pięta randka*

Lepiej, żeby Sam czuwała w pobliżu. Wygląda na to, że Tim o własnych siłach niewiele zdołała. Ja też żartuję!

ŚRODA 11:26

*Od: Jacquelyn Norris JacquelynNorris@cupid.com*

*Do: WendyBerger @petersonmarcus.com*

*Temat: Szósta randka*

Mogę chyba powiedzieć, że mam chłopaka. Wczoraj z kanapy w salonie przenieśliśmy się do mojego pokoju. Tim zdjął mi stanik, ale na tym się skończyło.

Sprawy posuwają się do przodu znacznie wolniej, niż przewidywałam. Sądysz, że mój chłopak ma jaja?

3:00

*Od: Wendy Berger [WendyBerger @ petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp: Szósta randka*

Co to za wyrażenie: „sądysz, że ma jaja”? Chyba zamierzałaś napisać, że on jest bez jaj. Płacą ci za właściwe używanie frazeologizmów, prawda?

PIĄTEK 11:00

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Temat: Ratunku!*

Kto ci pozwolił zasnąć, nim wróciłam do domu? Chciałam z tobą pogadać! Wczoraj wieczorem znów widziałam się z Timem i nic się nie wydarzyło. Minał już miesiąc. Czy to jego wina? A może jestem gruba i brzydka? Bądź szczerą.

PS

Nastolatki z jego szkoły bywają znacznie śmielsze. Coś tu nie gra.

2:00

*Od: Sam Emerson [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp: Ratunku!*

Moim zdaniem, to pedał.

2:06

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Temat: Odp:Odp: Ratunku!*

Po co by się tak często umawiał, gdyby nie lubił kobiet? 2:10

*Od: Sam Emerson [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp: Ratunku!*

Pedał.

2:18

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp: Ratunku!*

Nie wygląda na pedała. Cóż to byłaby za strata dla nas, dziewczyn, gdyby wolał facetów. Ma takie poważne zainteresowania. Świetnie się ubiera. Po męsku. Ale samochód ma do kitu. Może zwleka, bo nie lubi pośpiechu? Jak sądzisz?

2:20

*Od: Sam Emerson [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Ratunku!*

Nie. Pedał.

PIĄTY TYDZIEŃ, ŚRODA

1:30

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Mam dość.*

Minęło pięć tygodni, a on nie zamierza się ze mną przespać. Dochodzę do wniosku, że jest prawiczką. Dwudziestosześcioletni prawiczek. A ja myślałam, że natychmiast zacznie mnie obmacywać! Znam kilka dziewczyn (bardzo niewiele), ale żadnego prawiczka. Sądzisz, że ma żelazne zasady, więc postanowił czekać do ślubu? A może nie potrafił żadnej przygruchać? Doszły mi słuchy, że wstrzemięźliwość zaczyna być modna. Wiele bohaterek „Kupidyna” to dziewczyny, ale nie przypominam sobie, żeby się nam trafił prawiczek. Może faceci się do tego nie przyznają? Prawiczków należy podpisywać. W prawie należy zapisać, że mają nosić na szyi wielkie czerwone P.

Mam rozumieć, że między nami nic nie będzie?

CZWARTEK 22:10

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp: Mam dość*

*Może wstrzemięźliwość skłoni go do szybkich oświadczeń. Przedstawił cię rodzicom?*

PIĄTEK 9:22

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp: Mam dość*

Wmawiam mu, że lepiej będzie, jeśli on przyjdzie do mnie, niż ja miałabym przychodzić do niego. Zresztą spotykamy się dopiero od pięciu tygodni! To zbyt wcześnie, żeby poznawać jego rodziców..

22:30

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: JacquelynNorris @ cupid.com*

*Temat: Odp:Odp:Odp: Mam dość*

Postawmy sprawę jasno. Za krótko go znasz, żeby poznać starych, z którymi mieszka, ale wasza znajomość trwa dostatecznie długo, żebyście dzielili najintymniejsze ludzkie doznania i padli sobie w ramiona, a nie mówię wcale o pocałunku.

**SZÓSTY TYDZIEŃ, PONIEDZIAŁEK 12:00**

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp: Mam dość*

O co ci chodzi? Wyrażaj się jasno. Mam się z nim nie bzykać czy poznać jego rodziców?

Helen właśnie rzuciła mi na biurko opasły wydruk. Nie mam pojęcia, czemu mi go dała. Zwykle to Shauną przydziela robotę. Brak informacji o książce. Nasza Helen zaniedbuje swoje obowiązki. Jeszcze nie skończyłam redagować „Zauroczonego niewiniątka”, a ona domaga się, żebym natychmiast zabrała się do pracy nad tą „Narzeczoną milionera”. Wyjątkowo oryginalny tytuł.

Rzecz jasna, chętnie poznałabym nadzianego faceta. Mogę też zostać narzeczoną. Dlaczego te wszystkie romanse nie mówią o zwyczajnych facetach. Na przykład o psychologach szkolnych?

*11:10*

*Od: Wendy Berger [WendyBerger@petersonmarcus.com](mailto:WendyBerger@petersonmarcus.com)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp:Odp:Odp:Odp:Odp: Mam dość*

Po namyśle odradzam spotkanie z rodzicami. Rób, co chcesz. Twoje zwycięstwo będzie natchnieniem dla wszystkich kobiet! Ruszaj śmiało i dokonaj podboju!

PIĄTEK

1:05

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: WendyBerger@ [peterpersonmarcus.com](mailto:peterpersonmarcus.com); [SamEmerson@hotmail.com](mailto:SamEmerson@hotmail.com);  
[NatalieMoore@excite.net](mailto:NatalieMoore@excite.net)*

*Temat: RATUNKU!!!*

Dziewczyny, pomóżcie! Minęło sześć tygodni! To się stanie w najbliższą sobotę albo nigdy! Jakież pomysły?

2:00

*Od: Natalie Moore [NatalieMoore@excite.net](mailto:NatalieMoore@excite.net)*

*Do: [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Temat: Odp: RATUNKU!!!*

Sześć tygodni! Sześć tygodni i jeszcze się z nim nie bzykałaś? Powinnaś była zrobić pierwszy krok. Czemu się wahasz? Powiedz mu, że chcesz z nim spać. „Pragnę cię” brzmi nieźle. Albo lepiej szepnij mu: „Weź mnie”. –Zawsze powtarzałaś, że trzeba odpowiednio używać zaimków. Takim zdaniem powalisz go na kolana. Śmiało! Powiedz mu tak! Wieczorem „Orgazm”?

3:15

*Od: Jacquelyn Norris [JacquelynNorris@cupid.com](mailto:JacquelynNorris@cupid.com)*

*Do: [NatalieMoore@excite.net](mailto:NatalieMoore@excite.net)*

*Temat: Odp:Odp: RATUNKU!!!*

Obawiam się, że będę chichotać. Nie potrafię mówić takich rzeczy. Ale podsunałaś mi pomysł. Najpierw przeczytam mu fragment „Narzeczonej milionera”. To romans, który właśnie redaguję. To jest dobry kawałek: „Jego palce wślizgnęły się między gładkie uda i odnalazły sekretne miejsce. Pragnęła, by jej dotknął, wyzwalaając ukrytą namiętność. Ogarnął ją płomień żądzy rozgrzewającej krew”. Kiedy będziemy oglądali „Policjantów z Nowego



Jorku", rzucę kilka dwuznacznych aluzji. Glina wyjmuję pistolet, a ja mówię: „Lubi się bawić swoim pistoletem" albo „Czeka nas wielkie bum, co?"

Nie mogę dzisiaj iść do „Orgazmu". Tim i ja mamy inne plany. A właściwie to ja mam wobec niego pewne plany. Nie daruję mu tej nocy. Wyprostuję sobie włosy. Ba, ugotuję nawet kolację.

Myślisz, że makaron z żółtym serem może działać jak afrodyzjak?

TTLRR

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### *Zauroczenie pseudodziewczyny*

Mój wieczór zaczyna się jak scena erotyczna ze strony dziewięćdziesiątej czwartej „Narzeczonej milionera”. Oczywiście mój bohater nie ma ogromnej fortuny, a ja się z nim nie zaręczyłam.

Po kolacji przechodzą do sypialni. Zасыpuje ją pocałunkami, a ich usta przyciągają się, ulegając osobliwemu miłosnemu magnetyzmowi. Nie przerywając pocałunku i umyślnie zwlekając, rozpina jej bladoniebieską bluzkę, a potem zsuwa delikatnie, odsłaniając gładką, jasną skórę (oraz imponujący dekolt, który zawdzięczamy stanikowi typu push-up). Pieści dłońmi kształtne ramiona i łagodną krzywiznę jej brzucha (tu stwierdza się między wierszami, że bohaterka nie robi porannej gimnastyki). Najdroższy wsuwa palce pod biustonosz, rozpina go (zapięcie jest z przodu; bohaterka jest trochę zdziwiona, że błyskawicznie sobie poradził) i niecierpliwymi rękoma obejmuje jędrne białe piersi. Najpierw pieści tę prawą, następnie lewą (nasi bohaterowie są nadzwyczaj metodyczni), a potem dotyka językiem aksamitnych, nabrzmiałych sutków (w tej samej kolejności). Wolno, wolniutko przesuwając rękoma po jej plecach, a potem z jawną niecierpliwością, której nie potrafi ukryć, przytula bohaterkę do muskularnego torsu.

Ona wtula się w niego i zmysłowo całuje w ucho. Odruchowo porusza biodrami, a on kładzie się na plecach i zachęca ją, aby została na górze. Z trudem nad sobą panuje, a ona płonie i czuje pulsującą żądzę, której płomień lada chwila spopieli jej ciało i duszę. Wsuwa palce w jego włosy, dotyka pleców i ramion.

Z jękiem (głośny jest, to dobrze!) zdejmuje jej spódnicę i figi (żadna dziewczyna tak o nich nie powie; dawno wyskoczył z dzinsów, o czym chyba

zapomniałam wspomnieć). Ona z kolei ściąga mu bokserki (heros w bokserkach? No nie!). Zbliża się najważniejsza chwila.

– Czy masz...? – pyta zaniepokojona bohaterka.

– Nie, kto by pomyślał...

– Przewidziałam to i mam. – Sięga do szuflady nocnego stolika po gumkę, wyjmuje z opakowania i nakłada na jego nabrzmiałą męskość.

Siada mu na biodrach i wciąga go w siebie, a jej serce bije jak oszalałe. On znowu jęczy i bum... Tu się niespodziewanie kończą wszelkie podobieństwa między „Narzeczoną milionera” i mną.

Koniec – to właściwe określenie.

On przeżywa wybuchowy orgazm.

To już wszystko? Tego się domagałam? Czy to ma być powód, dla którego podałam kolację? Po co nam bohater kończący sprawę jednym pchnięciem? Gdzie rozkosz przeżywana godzinami? A wielokrotne szczytowanie?

Czy facet ma świadomość, że nie sprawdził się w łóżku, czy przypomina rozmaite brzydactwa, które nie zdają sobie sprawy, że są ohydne?

Zaraz, zaraz... zatrzymajmy się na sekundkę (szkoda, że on tak nie zrobił). Może naprawdę jest prawiczkiem? To wiele tłumaczy, ponieważ trochę go poniosło.

Czy to ma mi schlebiać? A może czuł, że eksploduje zbyt szybko, i czekał, aż powiem:

– Nie ma sprawy, kochanie. Przestań się martwić. To bez znaczenia. – No tak.

– Nie chce mi się wracać do domu, dziecinko – mówi przyciszonym głosem. Nadal leży na mnie, a jego głowa spoczywa na moim ramieniu.

– W takim razie zostań.

Najchętniej wyciągnęłabym się swobodnie na łóżku, ale trudno. Liczę na to, że spróbujemy ponownie. Teraz jednak trudno mi oddychać, pod takim ciężarem. Zamykam oczy. Powinien zleźć, nim gumka mu się zsunie i zostanie we mnie. W takim wypadku trzeba jechać na ostry dyżur, żeby lekarze ją wyjęli.

– Tim? – Brak odpowiedzi. Lekko go trącam. Litości, czyżby zasnął? Trącam go ponownie. – Tim! – Zostaje odepchnięty. – Muszę pójść do łazienki.

Wskazówka numer sześć z kolorowych magazynów dla pań nakazuje zrobić siusiu zaraz po stosunku, co pozwala uniknąć infekcji dróg moczowych. A może chodziło o drożdżycę? Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy niedawne przeżycie Tima i moje można nazwać prawdziwym stosunkiem.

Korzystam z toalety i splukuję ją cichutko, żeby nie usłyszał. Czy to nie śmieszne? Jakby faceci nie zdawali sobie sprawy, że dziewczyny sikają. Wpadam na moment do kuchni i napełniam wodą dwie szklanki. Jeszcze nie jesteśmy ze sobą tak blisko, żeby pić z jednej.

Może byłam dla niego zbyt surowa? Kładąc się do łóżka, zerkam na budzik. Jest 11:55. Tim siedzi na posłaniu i czeka. Kołdra wybrzusza się, tworząc mały namiocik. To dobry znak.

Nagle doznaję olśnienia i przypominam sobie, co niedawno przeczytałam: pierwszy numerek ma być szybki. Facet celowo się spieszy, bo wie, że później mały Timmy godzinami może stać na baczność.

O 11:59 Tim znowu śpi.

Cztery minuty. Czym są cztery minuty? Cztery minuty to jedna reklama. Cztery minuty trwa wideoklip. Cztery minuty to nie jest seks.

Leżymy przytuleni, Tim obejmuje mnie ramieniem w talii. Jest mi za gorąco. Na pewno nie zmrużę oka. Litości, on śpi po mojej stronie łóżka.

Czemu tu nocuje? A jeśli mama będzie się o niego martwić? Nawiasem mówiąc, co myśleć o gościu, który nie ma przy sobie gumki, tak na wszelki wypadek?

Następnego ranka po przebudzeniu, jak to zwykle bywa, liczymy naszych byłych. Właściwie takie rozmowy należałoby odbywać, nim zacznie się bzykanie. Zresztą mniejsza z tym.

– Czterech – mówię – wliczając ciebie. – Choć jeszcze nie zdecydowałam, czy warto go uwzględnić.

– Co to za faceci? Ale wścibski!

– Pierwszego zaliczyłam na studiach, na drugim roku był czarujący epizodzik, potem Jer, mój były. A co z tobą? – Wolałabym, aby nie mącił mi w głowie, twierdząc, że przez całe życie czekał na dziewczynę tak niezwykłą jak ja.

– Właściwie... było ich trochę więcej niż cztery. – Aha, więcej niż cztery. Zapewne pięć.

– Piątka?

– Więcej.

– Poddaję się. – Znudziła mnie ta gra. – Ile?

– Trzynaście. Wliczając ciebie.

Trzynaście? Wierzyć się nie chce, że spał z dwunastoma dziewczynami i ani jedna (ani jedna!) mu nie powiedziała, że jedno pchnięcie to za mało! Może ja jestem parszywą trzynastką. Nie wykluczam, że z moimi dwunastoma poprzedniczkami uprawiał seks jak należy. Albo jestem taka śliczna, że nie był w stanie nad sobą panować.

Tak, ostatnie wyjaśnienie najbardziej mi się podoba.

– I co ja mam robić?

– Musisz go podszkolić – odpowiada Natalie.

– Podsuń mu egzemplarz „Cosmopolitan” otwarty na stronie dotyczącej seksu – radzi Sam.

– Ale on nie zdaje sobie sprawy, że powinien się uczyć! Wcale nie był zakłopotany! Wygląda na to, że wszystkie filmowe, literackie, musicalowe i telewizyjne aluzje dotyczące seksu spływają po nim jak woda po kaczce. Pewnie sądzi, że jak Phil Collins śpiewa „All Night Long”, chodzi o rozmowę.

– Są sposoby, żeby pokonać wasze trudności – mądrzy się Sam.

Czy można podpuścić faceta, żeby bzykał mnie, jak należy?

– A konkretnie?

– Można zastosować przerwę. Bzykacie się przez chwilę, ale nie do końca. Potem robicie sobie przerwę i zajmujecie się czymś innym. I zaczynacie od początku.

– Czym się mamy zająć? – pytam. – Zamówić pizzę? Poza tym nie tak łatwo przerwać, gdy facet ma już gumkę. Przecież facetowi się kurczy i co wtedy?

– Może to gumka jest powodem trudności – wtrąca Natalie.

– Bez sensu! Prezerwatywa z założenia ma zmniejszyć tempo – protestuję. – Gdyby jej nie użył, w mgnieniu oka byłoby po sprawie.

– Niech założy dwie – dodaje Sam.

– Absurd. – Natalie kręci głową. – To go dodatkowo nakręci. Będzie w strachu, że nic nie poczuje, więc zacznie nadrabiać szybkością.

– Daj mu szansę – radzi Sam. – Za pierwszym razem zjadają ich nerwy.

O nie!

Masz wiadomość.

Informacja o liście od „Uśmieška” pulsuje jasno na ekranie monitora. Otwieram plik zawierający tekst i obrazek przedstawiający bezgłowy męski korpus.

*Cześć, dziecinko. Straciłem dla ciebie głowę.*

Dwadzieścia minut później dostaję kolejną wiadomość. Znów pisze do mnie „Uśmieszek”: *Cały dzień bez ciebie! Jestem samotny jak palec.* Na obrazku wielki paluch. Subtelna aluzja. Gdy mam do czynienia z Timem, czuję się znów jak dziewczica.

Tę kwestie należałoby poddać starannej analizie. Już mam napisać e-maila, gdy uświadamiam sobie, że potrzebuję bezpośredniego kontaktu. Czemu nie wymyślono dotąd interaktywnej poczty głosowej przekazującej natychmiast wszystkie opinie? Działałaby jak internetowe pogaduszki, ale używałoby się głosu i odpowiedzi przychodziłyby natychmiast. Odpowiedni sygnał dawałby znać, że można nadawać. Gdyby odbiorca odszedł od komputera albo miał inną rozmowę, można by się nagrać.

Sięgam po telefon.

Sam powinna już wrócić do domu, więc spróbuję z nią pogadać.

– Ratunku! Próbowałam wszystkich sposobów. Na przykład gdy we mnie wchodził, powiedziałam: „Poczekaj chwilę, jest mi tak dobrze”. Nie protestował, ale poruszył się dwa razy i było po sprawie. Odsunął się i zasnął. Jak mogę być z takim dupkiem? Zakładam, że będziemy się bzykać trzy razy w tygodniu i za każdym razem potrwa to pięć minut, co oznacza, że tygodniowo będę uprawiać seks przez kwadrans, resztę czasu poświęcę na zupełnie inne zajęcia! Śmiechu warte! Nie zamierzam poświęcać na seks małego ułamka całego tygodnia! Jak mam spędzać czas, który mi pozostanie?

– Cześć, Jackie – odzywa się Sam.

– Czy to możliwe, że przestało mi na nim zależeć, bo mu się podobam? Może jestem zdrowo walnięta? – Chyba wpadam w histerię. – A jeśli Bev ma rację? Może potrzebuję terapii? Czyżby podobali mi się wyłącznie mężczyźni, którzy mnie lekceważą? Czy do końca życia będę się uganiać za facetami,



którzy mnie olewają, i lekceważyć prawdziwych wielbicieli? Tim chce, żebym spotkała się z jego rodzicami, ale nie mam na to ochoty. Nie zamierzam brać ślubu z popaprańcem, który przeznaczona na seks tylko kwadrans tygodniowo.

– Nie potrzebujesz żadnej terapii – zapewnia Sam. – Tim ci nie odpowiada, bo w łóżku jest do niczego. Życie jest krótkie i nie warto go marnować na bzykanie się z byle dupkiem. Rzuć go. Muszę lecieć.

I to ma być pogłębiona analiza mojego problemu.

– Jacqueline? – Cholera, to Helen.

– Tak?

– Dzięki, że zredagowałaś „Narzeczoną milionera”.

Rany boskie, ona mi dziękuje? Od kiedy zrobiła się taka uprzejma?

– Och, drobiazg. Za to mi płacą.

– Jasne. Masz rację. – Nie wiedzieć czemu wydaje się podenerwowana.

Może się dowiedziała, że sypiam (tak jakby) z bratem koleżanki? – A właściwie – dodaje po chwili – jak ci się podobała?

Czemu pyta? Przecież nikogo tu nie obchodzi moje zdanie?

– Mówisz o książce?

– Tak. Co o niej myślisz?

– Jest w porządku. Fajna akcja.

– Naprawdę? Coś jeszcze?

No cóż, skoro tak się dopytuje...

– Owszem, mam kilka redaktorskich uwag. Zacznijmy od sceny, w której się poznają. Moim zdaniem, autorka powinna dodać kilka szczegółów działających na zmysły. Ta scena jest trochę bezbarwna. Brak mi takich detali. Jak pachnie ten facet? Czy używa wody po goleniu? Za dużo jest w tym romansie opisu, za mało oddziaływania. Scena ślubu wymaga znacznych poprawek. Chodzi o narrację prowadzoną na zmianę przez różne postaci. To

rozprasza uwagę. Wiem, że było intencją autorki, aby czytelniczka identyfikowała się z obojgiem bohaterów, ale to irytująca maniera. Siedzę w głowie faceta i nagle słyszę myśli dziewczyny. Zaczynam się denerwować i tracę wątek. Poza tym guzik mnie obchodzą weselne rozważania mamuśki. Wprowadzenie jej punktu widzenia to błąd kompozycyjny. A ciotka? Ona jest po prostu niepotrzebna. Wszystkie jej kwestie mogłaby przejąć matka. Trzeba poradzić autorce, żeby wykasowała tę babę.

Helen oniemiała. Przecież sama prosiła, żebym powiedziała, co myślę. Może sądziła, że nie potrafię tak nawijać.

– Włączę twoje uwagi do swojej recenzji.

– Aha, jeszcze jedno. Świetne sceny erotyczne. Ta książka nie powinna iść do serii „Prawdziwa miłość”. Znacznie bardziej pasuje do „Miłosnego pożądania”.

– Dziękuję – mówi rozpromieniona Helen.

– Nie ma za co. – Fajna rozmowa.

Masz wiadomość.

Jeśli to kolejna głupawa kartka od Tima, to się chyba zabiję. Nie, raczej poderżnę mu gardło. Jeśli znów napisze, że jestem super, zrywam natychmiast.

*Cześć, Jackie!*

*Wróciłem i mieszkam u rodziców, w Nowym Jorku. Jak tam sprawy? To była cudowna podróż. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci zdjęcia. Zadzwoń do mnie albo napisz. Jer.*

Boże. Boże. Boże. Boże.

Mam zadzwonić? Nie mogę. Chciałby się ze mną zobaczyć i pokazać mi zdjęcia. Wrócił. Czy na fotkach będzie ta jego holenderska laska? A może Jer ukryje zdjęcia, na których ona się pojawia, żeby nie ranić moich uczuć? A jeśli ma dwa albumy: jeden bez cudnej Holenderki przygotowany specjalnie dla

mnie, i drugi, pełny, dla osób o zrównoważonej psychice. Czy przez wzgląd na mnie zadałby sobie tyle trudu? Czy kocha mnie na tyle, że gotów się zdobyć na taki gest? Może jednak przeniesie się do Bostonu, żeby tu zrobić magisterium? Będzie przychodzić do „Orgazmu”? Zamieszka w Back Bay? Może już wynajął mieszkanie?

Powinam schudnąć trzy kilo, nim spotkamy się w „Orgazmie”. Powinam być otoczona rojem wielbicieli. Jer wypatrzy mnie z daleka i zdziwi się, że tak świetnie wyglądam. Będę miała na nogach superbotki, króciutką spódnicę i top, a on będzie żałował, że mnie zostawił.

Skoro tak bardzo mu zależy, aby ze mną pogadać, niech zadzwoni. Albo wyśle kolejnego e-maila. Jeśli dostanę drugą wiadomość, to mu odpiszę.

Przyszło mi do głowy, że strasznie długo nie widziałam się z Wendy. Chyba powinam pojechać na święta do Nowego Jorku, żeby ją odwiedzić. Na pewno bardzo się ucieszy z mojej wizyty. Wreszcie się nagadamy. Chcę pojechać do Nowego Jorku. Mam na to ochotę, bo od dawna nie widziałam Wendy. Planuję wyjazd, bo się za nią stęskniłam.

– Wiesz co? Chętnie bym cię odwiedziła – mówię jej wieczorem.

– Teraz nie mam czasu na przyjmowanie gości – odpowiada.

Nie gadaj głupstw. I tak jadę. Muszę przyjechać.

– Czemu?

– Siedzę w pracy do pierwszej w nocy. Nie będę miała dla ciebie czasu.

– Przecież to Boże Narodzenie! – Niech mi tylko zostawi klucze do swego mieszkania.

– Jestem Żydówką, więc nie obchodzę tych świąt.

– Ale twoja firma daje ludziom wolne. Nie mają prawa oczekiwać, że będziesz harowała, kiedy inni świętują.

– To prawda. Chyba uda mi się wykroić jeden dzień. A przynajmniej pół dnia. Zapewne.

Bóg istnieje!

– Super!

– Zamierzasz tłuc się do Nowego Jorku, żeby spędzić ze mną jeden dzień? – wypytuje. Oho, zaczyna być podejrzliwa.

– Stęskniłam się.

– I twoje odwiedziny nie mają nic wspólnego z faktem, że Jer jest teraz w Nowym Jorku?

Trafiona, zatopiona.

– Skąd wiesz, że wrócił?

– Mój oddział zorganizował świąteczne przyjęcie w nowej modnej japońskiej restauracji „Katsura”. Wpadłam na niego przy barze.

– Spotkałaś go i nic mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam cię martwić. Wiem, że masz kłopoty z Timem, więc bałam się, że ta drobnostka będzie kroplą przepełniającą czarę i całkiem wytrąci cię z równowagi.

Widziała się z nim i nie raczyła mi o tym wspomnieć! Jak mogła! Powinna zadzwonić do mnie natychmiast, z restauracji.

– O co ci chodzi? Dlaczego miałabym się martwić? Z kim przyszedł? Z tą swoją holenderską laską? Proszę cię, nie mów, że szlaja się z tą zdzirą! Jest ładna? Ładniejsza ode mnie?

– Jestem pewna, że nie przywłókł do Nowego Jorku tej swojej tajlandzkiej zdobyczy. Do restauracji przyszła stara paczka z Penn: Rob, Jon i Crystal.

Aha. Crystal. Zawsze mu się podobała.

– Są razem czy tak się tylko spotkali?

– Bawili się razem. Nie zauważyłam, żeby ją wyróżniał.

Powiedział mi kiedyś, że Crystal Werner, która tak samo jak on działała w samorządzie studenckim, jest śliczna. Nie powiem, że bym była zadowolona, kiedy to usłyszałam. Powinien trzymać się od niej z daleka.

– Mało mnie obchodzi, że wrócił – mówię nie wiadomo po co. Przecież wiem, że kłamie, i Wendy również jest tego świadoma. Kiedy oszukujesz, powinnaś mieć pewność, że kogoś nabrałaś, a jeśli ci się to nie uda, przynajmniej sama powinnaś wierzyć w swoje kłamstwa.

– Możesz nocować u mnie, jeśli chcesz – mówi z ociąganiem Wendy.

Tak, pewnie. Ciekawe, gdzie miałabym się zatrzymać. Czyżby sądziła, że w ogóle brałam pod uwagę możliwość nocowania u Jera? Szczerze mówiąc, zawsze można liczyć na cud, ale nie pojechałabym do Nowego Jorku, gdybym nie miała czegoś w odwodzie. Wyobraźmy sobie taką sytuację: Jer pokazuje mi zdjęcie rajskiej świątyni i mówi:

– Teraz przyszło mi do głowy, że nie wiem, gdzie się zatrzymałaś.

Od razu wiadomo, że skoro zadaje takie pytanie, z pewnością nie zaprosi mnie do siebie, więc muszę skłamać. Mówię, że nocuję u Wendy, bo gdybym przyznała się do wynajęcia pokoju w hotelu, wiedziałby, że przyjechałam tylko ze względu na niego.

– Fajnie, wezwę ci taksówkę – powiedziała by, a ja wysiadłabym na najbliższym skrzyżowaniu, bo nie stać mnie na to, żeby po nocy rozbijać się taksówkami. Chodziłabym po ciemku ulicami Nowego Jorku, szukając taniego hotelu, ale i tak pewnie bym się splukała.

– Dzięki, jesteś kochana!

– Zadzwonisz do niego?

– Coś ty! Natkniemy się na niego przypadkiem.

– Nie mamy pojęcia, gdzie chodzi.

– Raz go spotkałaś. Na pewno znowu ci się uda.

Tak! Boże Narodzenie w Nowym Jorku!

Fajnie, że postanowiłam wyjechać. Wszyscy opuszczają Boston. Sam z dwoma braćmi jedzie do dziadków na Florydę. Natalie wyrusza z rodzicami w rejs po Morzu Karaibskim. Andrew tak samo jak ja wybiera się do Nowego Jorku, ale ma tam rodzinę i to nas różni.

– Dla Bev to wielkie rozczarowanie. – Tata marudzi, bo zmieniłam plany.

– Wiem, ale odwiedziłam was we wrześniu, a z Iris i Janie nie widziałam się od lipca.

Czy pójdę do piekła, bo przed świętami okłamuję najbliższych? Jestem wyrodną córką. Moja matka sądzi, że będę u taty w Connecticut, a tatko myśli, że pojedę do mamy do Wirginii. No i proszę, to dla mnie jedyny pożytek z faktu, że rodzice zachowują się, jakby byli obcymi ludźmi: mam pewność, że się nie dowiedzą, co wymyśliłam.

Tim również jest markotny, bo wyjeżdżam.

– Może spędzimy razem te święta? – proponuje. –Przebieram się za Świętego Mikołaja i jadę do sierocińca.

No, no, sama nie wiem, czemu robi mi się gorąco na myśl o Timie w takim stroju. To mnie kręci. Czy mam słabość do facetów w uniformach? A może przeczytałam za dużo świątecznych romansów? Dać mu jeszcze jedną szansę? W końcu lepszy wróbel w garści (Tim) niż gołąb na dachu (Jer). Nie mam ochoty zastanawiać się nad przysłowiami.

Sądzę, że mój Święty Mikołaj potrzebuje więcej pomocników. Szczerze mówiąc, nie dorasta mi do pięt.

Przykład numer jeden: Wczoraj wieczorem zostawił dla mnie maskotkę z bilecikiem, na którym jest taki napis: „Dam ci dowód miłości”. Ile głupich dowcipów jest w stanie wymyślić jeden facet?

Przykład numer dwa: Gdy dostałam wiadomość od Jera, powiedziałam Timowi, że zaczęła mi się miesiączka, więc nie będę z nim spała tej nocy. Ze zdumieniem stwierdziłam, że wcale nie był rozczarowany. Zadziwiające, ale nie pamiętał, że w ubiegłym tygodniu właśnie się skończyła. Facet powinien chyba kojarzyć takie rzeczy. Skoro tak mu na mnie zależy, musi uważać na te sprawy.

Trzeba skończyć tę farsę.

Nienawidzę pożegnań.

Może przestanę odpowiadać na jego telefony? Czy to . głupi pomysł?

Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że ani razu nie rozmawialiśmy o naszym związku. Można by pomyśleć, że nic nas nie łączy. Sama nie mówiłam o nim jak o moim chłopaku (przynajmniej w jego obecności, a to przecież najważniejsze), więc na dobrą sprawę nie jesteśmy parą. W takim razie trudno mówić, że go rzucam.

Dobra, postanowione. Zerwałam z nim.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *Wielkie Jabłko z robolem w środku*

Wysiadam z pociągu i od razu widzę Wendy, która macha do mnie jak szalona.

– Cześć, marnotrawna kumpelo. – Obejmuje mnie z całej siły, a potem cofa się o krok.

– Fantastycznie wyglądasz! – mówię zgodnie z prawdą. Brązowawe włosy zaczesane do tyłu i upięte w mały kok, dyskretny garnitur w prążki, świetne buty z miękkiej czarnej skóry. Jest bardzo elegancka. I okropnie chuda.

– Pożyczasz ciuchy od Ally McBeal?

– Cześć! – piszczy. – Nie mam własnego życia, więc trwonię pieniądze na drogie szmaty. Jedna torba?

– Przyjechałam tylko na pięć dni. Po co mi więcej bagażu?

Mogłabym zostać dłużej. „Kupidyn” nie pracuje między świętami; w wydawnictwie mam być dopiero trzeciego stycznia. Jeśli dogadam się z Jerem, może zostanę w Nowym Jorku na dłużej?

– Spoko, mam plan: zabiorę twoją torbę do biura. Przez kilka godzin powłóczysz się po mieście. Wróc koło dziewiątej. Ty zdecydujesz, jak spędzimy wieczór. Co zaplanowałaś na jutro? To Wigilia, prawda? Masz ochotę na jakieś wyjątkowe atrakcje? Rano muszę być w pracy, ale po południu pewnie zamkną bank.

– Jeszcze się nie zastanawiałam, co chcę robić.

Ciekawe, gdzie jest Jeremy? Jak go znaleźć? Może wyjechał na święta? Przecież dopiero wrócił do miasta, więc chyba nie wyruszy od razu. Zresztą kto wie?

Jestem kretynką. Kto się tłucze taki kawał drogi i przyjeżdża do Nowego Jorku, nie mając pewności, czy facet jest w mieście i czy będzie się można z nim spotkać. Mam do niego zadzwonić i spytać, co robi wieczorem? Wtedy domyśli się od razu, że jestem tu ze względu na niego. Muszę tak wszystko zorganizować, żeby nasze spotkanie wyglądało na przypadkowe. Czy to będzie trudne? Bohaterowie serialu „Przyjaciele” raz po raz na siebie wpadają.

Nie zadzwonię do niego. Nie zamierzam do niego dzwonić. Pogapię się na wystawy. Uwielbiam Nowy Jork. Powinnam się tu przeprowadzić. Z drugiej strony trochę tu niebezpiecznie. Człowiek wychodzi na ulicę i zaczyna się bać, że go obrabują albo zabijają. Mordercy zostawiliby pewnie moje ciało w Central Parku, bez dokumentów i ciuchów – nie ma mowy o przeprowadzce, póki nie zrzucę paru kilo – a policjanci z Nowego Jorku potrzebowaliby wielu tygodni, żeby ustalić moją tożsamość.

Chyba oglądam za dużo kryminałów.

A skoro mowa o utracie wagi, czemu Wendy jest taka chuda? Chodzi piechotą? Szybko żyje? Nie ma czasu na posiłki? W Nowym Jorku zamierzam stosować dietę niskowęglowodanową. Pisz o niej „City Girl”. Żadnego pieczywa, kluch, owoców. Problem w tym, że gdy człowiek zaczyna znowu jeść te produkty, wraca do poprzedniej wagi. Ale mnie to nie przeszkadza, bo po wielomiesięcznej rozłące z Jerem muszę teraz wyglądać super, więc odpowiada mi dieta przynosząca efekty szybkie, choć nietrwałe. Na razie jest świetnie. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo trudno coś wyrokować, jeżeli stosuję ją pierwszy dzień. Od śniadania. Właściwie zaczęłam po śniadaniu. Na obiad była sałatka. Bez grzanek.

Zmarzły mi ręce. Czemu nie mam rękawiczek? Gdzie jest para kupiona w ubiegłym roku? Chyba zgubiłam. Gdy sprawię sobie kolejne rękawiczki,

przyszyję je do rękawów kurtki. Ale wtedy, jak znam życie, na pewno ją gdzieś zostawię.

Gdy spotykam się z Wendy w jej biurze, stopy mam obolałe, a dłonie czerwone i spuchnięte. Jestem głodna jak wilk. Przebieram się w strój odpowiedni na wieczór: mała czarna i wysokie czarne botki. Idziemy na kolację do modnej japońskiej restauracji. Zamawiam łososia teriyaki (mało węglowodanów). Potem ruszamy na drinka do klubu w West Chelsea. Wendy spotyka kilku znajomych speców od lokat bankowych, ale Jeremy'ego nie widać.

– Uprzedzałam, że się na niego nie natkniemy – mądry się Wendy.

Po godzinie zaczynam drzemać przy stoliku. Wracamy do domu. Spoko. Nikogo tu nie znam, więc jutro wieczorem będę mogła włożyć te same ciuchy.

Do Bronxu, gdzie mieszka Wendy, jedziemy taksówką. Musimy być cicho, bo jej babcia już śpi. Dobrze znam bubbe Hannah, ponieważ odkąd przyjaźnię się z Wendy, zawsze przynajmniej raz w miesiącu przyjeżdżała z Nowego Jorku do Danbury. Zapowiedziała mi, żebym jej nie nazywała panią Teitelbaum.

– Mów mi bubbe – stwierdziła od razu z wyraźnym żydowskim akcentem i dlatego jest dla mnie bubbe Hannah.

Zazwyczaj o tej porze roku jedzie na Florydę, ale w połowie stycznia wypada bar micwa kuzyna Wendy, więc odłożyła wyjazd. Z tego wniosek, że ta uroczystość ma dla wapniaków ogromne znaczenie, skoro z tego powodu gotowi są nawet zmienić plany wyjazdowe.

Nocuję w pokoju Wendy, bo kanapę w salonie okrywa pokrowiec z plastiku przypominającego folię, w którą jako uczennice podstawówki okładałyśmy podręczniki. Nie jest miło siedzieć na takim meblu, a co dopiero mówić o spaniu.

– Nie zagarniaj dla siebie całej kołdry – prosi Wendy, rzucając na podwójne łóżko dodatkową poduszkę.

– Co ty! Ja przecież niczego nie zagarniam. – O cholera! – Zapomniałam piżamy. Mogę od ciebie pożyczyć?

– Wiedziałam, że tak będzie. – Rzuca mi legginsy i T-shirt. – Naprawdę ściągasz kołdrę. Zwijasz ją jak naleśnik. To mi przypomina, że w kuchni jest ich cały stos. Przyniosę kilka.

Biegnie do kuchni i wraca z naleśnikami i słoikiem dżemu. Trudno, od jutra będę na diecie. Po małej przekąsce myjemy się, przebieramy, zaciągamy rolety, gasimy światło i wskakujemy do łóżka.

– Jak często nocowałam u ciebie, gdy mieszkaliśmy w Danbury? – pytam, owijając się kołdrą w kwiatki. Nie za mocno.

– Co najmniej raz w tygodniu. Dlaczego częściej ty zostawałaś u mnie niż ja u ciebie?

– Miałaś braci, którzy chętnie się z nami bawili. U was było lepsze żarcie.

– Racja. – Wendy cicho wzdycha. – Szkoda, że nie zostałam w naszym mieście.

– Może kiedyś wrócisz.

– Albo rzucę bank i zamieszkam w Bostonie.

– Nie lubisz swojej posady?

– Tego nie powiem. Byłaby w porządku, gdyby nie godziny pracy. Zwykle siedzę w biurze do jedenastej, czasami wychodzę dopiero po pierwszej. Co to za życie?

– Ale zgarniasz dużą kasę! I nie musisz płacić za mieszkanie! Zostaniesz milionerką, nim skończysz trzydzieści lat.

– Mam tak żyć do trzydziestki? Na głowę upadłaś? Nie zamierzam harować do upadłego przez sześć lat! Byłabym wariatką! Schudłabym tak bardzo, że w końcu bym zniknęła.

– W takim razie, co zamierzasz? Chcesz studiować zarządzanie?

– Myślałam o tym, ale nie mam czasu na pisanie tych wszystkich prac. Może poszukam ciekawszej pracy, na przykład zacznę redagować książki.

– O tak, fantastyczne zajęcie. Ja umieram z nudów. Nie jestem stworzona do poprawiania interpunkcji. A poza tym, gdybyś zarabiała tyle co ja, nie mogłabyś sobie pozwolić na modne garnitury.

– Myślałam, żeby się zwolnić, dać sobie trochę luzu i zdecydować, co chcę dalej robić.

– Zawsze miałaś smykałkę do interesów.

– Tak? A może powinnam zostać lekarzem? Wtedy byłabym pewna, że jestem pożyteczna dla społeczeństwa.

– W takim razie idź na medycynę.

– Kto wie?

– Wiesz, co stanowi twój największy problem? Zawsze miałaś w życiu cel i teraz nie potrafisz sobie odpuścić, wyluzować się i trochę zabawić. Na twoim miejscu wyrwałabym się stąd na pewien czas i ruszyła w świat. Zwiedź Włochy, Francję, Grecję. Po prostu wyjedź. Odetnij się od tego wszystkiego. Wyrusz w nieznane.

– Tobie to pasuje, Jackie, ale ja tak nie potrafię. Ty spakowałaś klamoty i przeprowadziłaś się do Bostonu. Z drugiej strony nigdy nic nie wiadomo. Może pewnego dnia i ja się zdecyduję? Po przebudzeniu uznam, że mam dość pracy od dziewiątej rano do piątej po południu, dziewiątej wieczorem, jedenastej albo pierwszej w nocy. Złożę wymówienie i zostanę cyrkówką.

Milczałyśmy przez chwilę. Wendy zapewne planowała, jak dogadać się z akrobatami i klaunami, jak urządzić garderobę i tak dalej... Tymczasem moje myśli krążyły wokół innej sprawy.

– Mam do niego zadzwonić?

– Teraz?

– Nie teraz. Jutro.

– Po co tracić czas na próżne gadanie? Przecież i tak do niego zadzwonisz.

– Skądże! – Obie wiemy, że to nieprawda, i wybuchamy śmiechem.

– Dlaczego za nim tęsknisz? – pyta Wendy.

– Dlaczego? – Cóż to za pytanie? – Nie wiem. Po prostu tęsknię i już.

– To zadzwoń.

– Nie powinnam.

– To nie dzwoń.

Pomyślę o tym jutro. Teraz jestem zbyt senna, żeby wykrzesać z siebie choć odrobinę energii niezbędnej do podjęcia decyzji.

– Śpimy?

– Tak. Dobranoc.

Gdy rano milknie budzik, jestem bardzo zadowolona, że nie muszę się zrywać. Zasypiam ponownie. O jedenastej budzi mnie pukająca do drzwi bubbe Hannah.

– Wszkawaj! Wszkawaj, ty szpiacza królewno!

– Cześć, bubbe Hannah – mruczę, siadając na łóżku. Całuje mnie w policzek.

– Głodna jeszcze? Mam obiadek. – Każde jej słowo zabawnie szeleści.

– Niepotrzebnie się tak męczysz – odpowiadam.

– A co też ty wygadujesz? Przygotowałam czy rosółek, lane kluszczyki, kurczaczka i kugiel z rodzynkami, a na deser oczywiście moje naleśniki.

Kiedy zacznę wreszcie stosować dietę niskowęglowodanową? Na razie jestem bez szans.

Siadam przy stole, na którym czeka już pięć dań. Kurczaczek wygląda bardzo apetycznie. Rosółek wspaniale pachnie, ale pływają w nim lane kluszczyki. Chyba je sobie daruję. Kugiel z rodzynkami i naleśniki to zbyt wielka pokusa, żebym mogła odmówić.

– Dziękuję, wspaniały obiadek.

– Bardzo proszę. Moja Vendy je tyle czo nicz. Mówi, że nie ma czasu. Na jedzenie nie ma czasu? Czo to za życie? Czo byś jeszcze chciała? Może chlebka? Ukroję czy parę kromek.

– Jestem na diecie. Nie jadam chleba.

– Ty na diecie? Przecież jesteś chuda jak szczapa. Wszystkie panny są teraz za szczupłe. Jedz, bubelah, no jedz.

Jestem chuda jak szczapa? Ja? Kocham tę staruszkę. Może się tu przeprowadzę? Miałabym wreszcie babunię.

– To kilkudniowa dieta. Teraz w dietetyce pojawił się nowy trend. Przez kilka dni należy unikać wybranych produktów, na przykład chleba i makaronu.

– Szłyśzałam o tym – mówi bubble Hannah, kiwając głową. – To się nazywa poszt. – Przez kilka minut jem w milczeniu. – Powiedz, jak czi jeszt w Bosztonie – odzywa się znowu.

– Fajnie.

– Czo tam lubisz?

– Moją pracę.



– Dobrze, ojoj, jak dobrze. A twój chłopiec? Przyzwoity człowiek? Cieszę się, że masz chłopca. Wendy jest szama. To niedobrze. Sztarzeje się, a nie znalazła szobie chłopca.

– Daj spokój, bubbe Hannah, Wendy jest młoda, ma czas, nie musi jeszcze wychodzić za męża.

– Ona ma czas, ale za to ja nie młodnieję. Tak ciężko pracuje. Późno wraca do domu. Zostanie sztarą panną. Ty nie. Ty się nie martw. Kiedy szlub?

– Jeszcze nie wyznaczyliśmy daty, bubbe Hanah, ale już niedługo. Wkrótce.

– Dobrze. Talerze zostaw na sztole. Ja poszprzątam. Nie lubisz lanych kluszczyków? Dlaczego zostawiłaś? Zjedz kluszczyki, bubelah. – Idzie do kuchni, żeby obejrzeć „Koło fortuny”.

Zjadam kluszczyki, bo nie chcę jej robić przykrości. Po południu zacznę stosować dietę.

Po obiedzie jadę metrem na Trzydziestą Pierwszą ulicę, oglądam wystawy markowych sklepów, a potem robię ostatnie przedświąteczne zakupy. Staję przed witryną centrum handlowego i patrzę na swoje odbicie w szybie. Dlaczego pozwalam bubbe Hannah myśleć, że kogoś mam? A może nie poznam nigdy człowieka, który nadaje się na męża?

We wszystkich romansach „Kupidyna” zakłada się od pierwszej strony, że bohater i bohaterka są sobie przeznaczeni. Mój tata ciągle powtarza: „Każda potwora znajdzie swego amatora”. To nie ma sensu. A jeśli dwoje ludzi stworzonych dla siebie mieszka w różnych krajach? Z tego wniosek, że w takich sprawach od przeznaczenia ważniejszy jest łut szczęścia.

Na przykład jest zapisane w gwiazdach, że spotkasz prawdziwą miłość punktualnie o trzeciej, ale za minutę trzecia kichasz i zaczynasz grzebać w

torebce, szukając chusteczki. Nim wytrzesz nos, twój jedyny znika za rogiem i nigdy więcej się nie spotkacie. A dlaczego? Bo kichnął! Oto cały sekret. Nic dziwnego, że potem wychodzimy za przypadkowych facetów poderwanych na krótko przed ukończeniem trzydziestki. Tracimy cierpliwość, bo nie spotkałyśmy naszej drugiej połówki. Dlatego jest tyle rozwodów.

Mam zimne ręce. Muszę też kupić nową kurtkę. Gdybym pojechała do taty, mogłabym zajrzeć do pracowni, gdzie projektuje się okrycia dla jego firmy.

Mam zadzwonić do Jera? Nie, wykluczone.

Mogłabym zatelefonować i odłożyć słuchawkę, żeby sprawdzić, czy jest w domu. Chyba wyjechał z miasta. Trzeba się upewnić. Na wszelki wypadek, by mieć pewność, że nie tracę czasu.

Gdzie jest budka telefoniczna? Muszę jej poszukać. Trzeba znaleźć telefon i wystukać numer, nim zmienię zdanie.

Dlaczego to robię? Dzwoni telefon. A jeśli odbiorą jego rodzice? Nie mogę z nimi rozmawiać. Co robić, jeśli nie będzie go w domu?

– Halo? – To on. Jest w domu. Odebrał telefon. Mogę z nim porozmawiać.

– Cześć – mówię. – To ja.

– Cześć! – Jego głos wydaje się zarazem obcy i znajomy. – Co słyszeć?

– Wszystko dobrze. Jak leci? Cieszysz się, że wróciłeś?

– Trochę. Miło być czystym. Sama rozumiesz.

– Naturalnie. – Właściwie nie bardzo.

– Jak Boston?

– Fajny – kłamię. Nudna robota, brak przyjaciół, jeśli nie liczyć Sam i Nat. Tęsknota za tobą. – Co słyszeć u twoich rodziców?

– Wszystko w porządku. Pojechali na Hawaje.

- Nie wybrałeś się z nimi?
- Przecież dopiero wróciłem. Chciałbym trochę pomieszkać w domu. Chwila milczenia. Nie mogę dłużej ukrywać, skąd dzwonię.
- Jestem tu.
- Gdzie? W Nowym Jorku?
- Tak. W Nowym Jorku.
- A konkretnie?
- Na Trzydziestej Czwartej Ulicy.
- Przyjedź do mnie – mówi bez chwili wahania. Czy chcę tam pojechać? Przecież to oczywiste, że tego chcę.
- Dobra.

Muszę znaleźć miejsce, żeby się przebrać. Na szczęście wzięłam plecak Wendy. Zapakowałam do niego wysokie buty, czarne rajstopy, fajną spódnicę i sweter zakładany na pierwsze randki. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Wysiadam z taksówki w dobrej dzielnicy na East Endzie, przed budynkiem, gdzie mieszkają jego rodzice. Uśmiecham się do portiera, który dzwoni na osiemnaste piętro, aby uprzedzić Jeremy'ego, że ma gościa. Dwa, trzy, cztery... A wydawałoby się, że w takim eleganckim budynku są szybkobieżne windy. Co ja robię, co ja robię, co ja robię? Nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć. Mniej więcej po dwunastu godzinach otwierają się drzwi windy. Po co tu przyszłam? Czemu zawsze idę za głosem instynktu, zamiast kierować się rozumem?

Opiera się ramieniem o framugę, ramiona skrzyżował na piersi. Patrzymy sobie w oczy i kolana się pode mną uginają.

Kiedy po długiej rozłące spotykasz byłego, łudzisz się, że będzie gorzej wyglądać. Może nie fatalnie, bo wtedy musiałabyś zadać sobie pytanie, co w

nim widziałaś. Chcesz po prostu, żeby mniej ci się podobał. To ma być dowód, że bez ciebie nie radzi sobie tak dobrze jak przedtem.

Jer wygląda super w ciemnych dżinsach i granatowej bluzie podkreślającej błękit jego oczu. Na policzkach ma niezwykle seksowny poranny zarost. I jest opalony. Niestety, gorszy wygląd mamy z głowy.

– Cześć, Jack – mówi.

– Cześć.

Dlaczego użył właśnie takiej wody po goleniu? Przecież wie, że uwielbiam ten zapach.

Zamierzam go pocałować... chyba w policzek, a on mnie obejmuje i przytula. Niespodziewanie jego wargi dotykają moich ust, szyi i znowu ust. Wciąż stoimy w korytarzu. Przesuwam dłońmi po bluzie, ramionach, twarzy Jera. Czuję jego ręce na włosach, plecach, spódnicy.

I tak dalej.

– Chcesz obejrzeć zdjęcia? – pyta, jedną ręką otulając mnie kołdrą aż po szyję, a drugą dotykając kolczyka w pępku.

– Pewnie – odpowiadam sennym głosem – pod warunkiem, że nie muszę wstawać z łóżka.

– A po co? Mam je tutaj. – Całuje mnie w czoło i wyjmuje z szuflady nocnego stolika dwie koperty. – Nie miałem czasu, by włożyć je do albumu.

Tylko dwa filmy? Jestem zaskoczona. Gdy raz pojechaliśmy na narty, wziął cztery rolki. Tym razem był pewnie tak zajęty, że nie miał czasu na fotografowanie. Przeglądamy stos zdjęć, na których Jer stoi obok różnych Tajów. Gdy sięga po drugą kopertę, jestem pewna, że zaraz dostanę ataku serca.

– To paczka, z którą podróżowałam około miesiąca – tłumaczy. – Razem zwiedzaliśmy Tajlandię.

Pierwsza fotka przedstawia Jera, Francuza imieniem Francois i cztery dziewczyny: dwie wysokie blondynki, rudego chudzielca i niską brunetkę. Skąd mam wiedzieć, którą sobie przygruchał? Nie wypada zapytać. Dlaczego pokazuje mi te zdjęcia? Jeszcze pięć fotek, są na nich ci sami ludzie. Chce, żebym tu wykorkowała? Zaraz dostanę zawału.

Wspaniale! Dziewczyny pozują w kostiumach kąpielowych. No, która to? Która? A jeśli przespał się ze wszystkimi? Głupie, ale na myśl o tym humor mi się poprawia. Gdyby bzykał każdą po kolei, byłoby jasne, że nie kocha żadnej, prawda? Kiedy do mnie napisał, że kogoś poznał, może chodziło mu o kilka osób.

Nie widziałam ani jednego zdjęcia, na którym siedziałby z panną na plaży, oglądając zachód słońca. Takie fotki dajemy na okładki romansów. Ale, ale... Jer kupuje zazwyczaj filmy z trzydziestoma sześcioma klatkami. Czy obejrzałam siedemdziesiąt dwa zdjęcia? Nie sędzę. Najwyżej sześćdziesiąt sześć, najwyżej sześćdziesiąt siedem. Cholera! Na pewno schował kilka. Ukrył je! Albo klatki były prześwietlone. To się zdarza.

– Wezmę prysznic. Pójdiesz ze mną? – Chowa fotki do kopert.

– Nie, dziękuję. Jeszcze poleżę. – Chcę je spokojnie obejrzeć. Nie mogę się skupić, kiedy Jer patrzy mi przez ramię.

Czekam, aż odkręci wodę, a potem wyjmuję zdjęcia z kopert i przeglądam raz jeszcze. To chyba jedna z blondynek. Oczywisty wybór, prawda? On chce, żebym tak myślała, a w gruncie rzeczy spiknął się z brunetką.

Nie wiem, co jest grane. Znów jesteśmy razem? Mam wymazać z pamięci ostatnie miesiące? Czy potrafię? Będę w stanie znów mu zaufać? Gdy sięgnął do szuflady po gumkę, zauważyłam, że opakowanie było otwarte. Przy-

wiół je z Tajlandii? Wcześniej ich nie kupił, bo przez ostatnie dwa lata łykałam pigułki.

Zachowałam się fatalnie, przeszukując szufladę, żeby go sprawdzić. To wręcz okropne. Niewybaczalne. Niezgodne z prawem.

Spoko. Woda nadal pluszcze o kafelki. Otwieram szufladę i wydaję opakowanie z gumkami. Tu jest napisane, że powinno ich być dwanaście. Pudełko nie jest pogniecione, więc nie było w plecaku i nie zostało przywiezione z Tajlandii. Nowiutkie opakowanie. Otworzył je po moim telefonie, bo cieszył się i czekał niecierpliwie. Kupuję to, ale powinien się teraz modlić, żebym naliczyła jedenaście gumek, bo zużyliśmy tylko jedną. Zajrzyjmy do środka. Cztery. Zaledwie cztery małe pakieciki. Cztery? Tylko cztery? Nie ma podwójnego dna? W samochodowym baku jest przecież rezerwa na wypadek braku paliwa. Dlaczego zostały tylko cztery? Gdzie jest brakujących siedem. A co ważniejsze, gdzie były?

Szum wody nagle cichnie, więc nerwowo wrzucam do szuflady opakowanie i zdjęcia.

Siedem. Przez ostatnie dwa tygodnie pieprzył się aż siedem razy. Byłam gotowa mu darować, że bzykał panny w czasie wakacji, ale seksu w Nowym Jorku mu nie wybaczę.

Nie potrafię teraz logicznie rozumować.

Gdy wchodzi do pokoju, siedzę po turecku na jego łóżku. Biodra ma owinięte czarnym ręcznikiem. Mokre kosmyki spadają mu na oczy. Cudnie wygląda zaraz po kąpieli. To mnie rozprasza.

– Umieram z głodu – mówi.

– Co chcesz zrobić na kolację? – Postanowiłam na razie interpretować fakty na jego korzyść. Może kupił to opakowanie przed wyjazdem do Tajlandii, ale w ostatniej chwili postanowił zabrać tylko siedem gumek?

– Właściwie... – No... Zamówimy coś do domu? Pójdziemy na kolację? Jego głowa leży na moim kolanie. – Jestem dziś zaproszony na Wigilię – mówi.

– Aha. – Ale koszmar. Chyba jednak namówię Wendy, żeby wzięła sobie wolne na cały dzień. – Nie możesz się wykręcić?

– Niestety, to się nie da zrobić. Skąd miałem wiedzieć, że przyjechałaś? – Obserwuję, jak kolor oczu z niebieskiego zmienia mu się na szary. Wyglądają rozmaicie w zależności od oświetlenia. – Gdybyś mi dała znać, mógłbym cię zaprosić.

Chyba pobladłam śmiertelnie, bo czuję, że jest wystraszony. Albo ma pietra, bo dopiero teraz uświadomił sobie, że się wygadał.

– Zaprosiłaś inną. – To nie jest pytanie.

– Ja...

Właśnie się z nim przespałam, a on ma randkę. Byłam z nim i nagle odkrywam, że kogoś ma. Spotka się z nią wieczorem. Po tym, jak mnie bzyknął. Spycham jego głowę z mojego kolana.

– Kto to jest? Z kim się umówiłaś?

Ponownie zapada milczenie.

– Jackie, lepiej, żebyś nie wiedziała...

O Boże! Wiem. Domyśliłam się, co to za dziewczyna.

– Spotykasz się z Crystal Werner? – Znowu milczy. Najwyraźniej zapomina języka w gębie, ponieważ go nakryłam. – Chodzisz z Crystal. – Chyba się zabiję. Zawsze mu się podobała. Może po prostu czekał, aż zerwie z poprzednim chłopakiem? Czy byłam mu potrzebna tylko na pewien czas? – Pasujecie do siebie. Mam nadzieję, że będziecie żyli razem długo i szczęśliwie.

Wybucha śmiechem. To się nie mieści w głowie! Ja myślę o samobójstwie, a on chichoce.



– To nic poważnego. Właściwie nic nas nie łączy. Oboje nie chcemy się wiązać. Pamiętaj, że za tydzień przenoszę się do Bostonu.

Ja mam pamiętać? Przecież nie zawiadomił mnie, kiedy nastąpi przeprowadzka. Co kombinuje, gdy mówi: „nic nas nie łączy”? Może gdyby nie planowany wyjazd, związałyby się z nią na serio? Od razu zaczynam się zastanawiać, jak wyglądała nasza znajomość. Czy sypiał z innymi, gdy byliśmy razem, wmawiając im, że na dobrą sprawę niewiele nas łączy, a związek jest tymczasowy, bo on jedzie do Tajlandii?

Gdyby mu choć trochę na mnie zależało, na pewno by się tak nie zachował i dałby sobie spokój z tą Crystal. Z żadną by się nie zadawał ani w Tajlandii, ani gdzie indziej. Nie trzymałby mnie w odwodzie i nie kombinował, że jak mu nie wyjdzie z innymi, zawsze przecież ma tę Jackie.

Muszę natychmiast wyjść z tego mieszkania. Inaczej wybuchnę – w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Wcale nie chodzi o awanturę. Gdzie moje ciuchy? Gdzie te cholerne szmaty? Nienawidzę go. Słowo daję, że go znienawidziłam. Chciałabym, żeby umarł. Marzę, aby zginął w straszliwych męczarniach. Mógłby zostać pożarty przez rekina. Albo niech spłonie żywcem, bez zaczadzenia. Szkoda, że nie mam tych laleczek voodoo robionych ze skarpet. Wiem, gdzie go nakłuć.

Gdy wkładam spódnice i botki (mogłabym przebrać się w wygodne ciuchy, które mam w plecaku, ale wiedziałby, że się dla niego wystroiłam), czuję na sobie jego wzrok, ale nie zwracam na to uwagi.

– Wesołych świąt z Crystal – mówię i wychodzę z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Nie będę płakać. Nie mogę pozwolić, żeby aż tyle dla mnie znaczył. Nie rozplączę się. Nie jest tego wart. To krople rosy na płatkach róż. Płatki śniegu topnieją mi na nosie i rzęsach?

Wchodzę do pierwszego z brzegu sklepu i pytam sprzedawczynię, gdzie znajdzie telefon. Wskazuje aparat wiszący przy szafie chłodniczej w głębi sklepu. Muszę pogadać z Wendy.

– Cześć – mówi. – Zostajesz u Jeremy'ego?

– Nie. Chcę wrócić do bubbe Hannah.

– Od razu?

– Tak.

– Co się stało?

– Nic – odpowiadam drżącym głosem. Nie będę płakać. Nie mogę płakać. Nie wypada zalewać się łzami na oczach ekspedientki, która wstawia do szafy chłodniczej mleko w kartonach.

– Co się stało?

– On chodzi z Crystal Werner. – Nie rozplączę się w sklepie. Nie mogę się tak poniżyć.

Sprzedawczyni podaje mi chusteczki.

– Odpuść sobie – mówi uspokajającym głosem (Wendy, nie sprzedawczyni). – Głupi dupek. To było do przewidzenia.

– Wiem. – Łzy spływają mi po policzkach. – Czemu jestem taka zaskoczona? Na swój sposób jest konsekwentny.

Wendy każe mi zostać tam, gdzie jestem, i obiecuje, że za pół godziny przyjedzie po mnie taksówką. Przez pięć minut krążę po sklepie, kupuję sobie tabliczkę czekolady i w końcu postanawiam zadzwonić na komórkę do Sam.

– Jack! Jak Nowy Jork?

– Okropny! Nienawidzę tego miasta. Kiedy wracasz do domu?

– Pojutrze, dwudziestego szóstego. Co z Jerem?

Jeszcze nie jestem w stanie opowiadać o swoich przeżyciach.

– Ja też. Wracam do domu.

– Miałaś przyjechać dwudziestego ósmego.

– Ale będę wcześniej. Nie chcę o tym rozmawiać. Opowiedz mi o Florydzie.

– Spotkałam na basenie fantastycznego ratownika! –woła radośnie i zaczyna opisywać nowego znajomego.

Po dwudziestu minutach (na szczęście dawno wykułam na pamięć numer karty telefonicznej ojca) widzę przed sklepem żółtą taksówkę. Odwieszam słuchawkę, przerywając w pół słowa opowieść o sztucznym oddychaniu metodą usta–usta, i zapłakana siadam w taksówce obok Wendy.

Zamawiamy kolację w koszernej chińskiej knajpie (je z nami bubbe Hannah) i wypożyczamy „Love Story”, „Titanic”, „Pożegnanie z Afryką” oraz „Przeminęło z wiatrem”. Powinnam się porządnie wypłakać.

– Jim dzwonił – mówi bubbe Hannah.

– Jim?

– Jaki Jim? – pyta Wendy.

– Nie do ciebie. Ten chłopiec pytał o Jackie. Nie o ciebie. A szkoda.

– To chyba Tim, co? – Wendy przewraca oczami.

– Raczja, Tim. Wydawało mi się, że twój chłopiec nazywa się inaczej, ale sztara jesztem, więc zapomniałam.

– Nie jesteś stara, bubbe. Przeżywasz trzecią młodość. –Wendy głaszcze babcię po policzku. – Co powiedział?

– Żeby do niego zadzwonicz. Nie ma mowy.

– Mam dla ciebie upominek z okazji święta Chanuka –mówię do Wendy następnego dnia, w bożonarodzeniowy poranek.

Wyjmuję z plecaka kupiony wczoraj prezent. Nie zapakowałam go ładnie, zapomniałam o bileciku, ale liczy się intencja.

– Nie musiałaś mi nic dawać. Z okazji Chanuki przyjaciele się nie obdarowują. Zresztą znamy się ponad piętnaście lat i ani razu nic od ciebie nie dostałam na święta.

– Wiem, ale zawsze chciałam ci coś dać. – Wręczam jej przewodnik po Europie. – Niech cię zainspiruje.

– Jest wspaniały! – mówi, kartkując tom. – Ojej... Włochy. Kiedyś na pewno tam pojedę.

– A mnie wszystko jedno, gdzie wyląduję, byle moja noga nie pozostała więcej w Nowym Jorku. – Obrzydło mi to miasto. Chyba zacznę sprzedawać koszulki i czapki z napisem „Nienawidzę Nowego Jorku”.

– Ja też mam dla ciebie prezent – mówi Wendy.

– Naprawdę? – Super! Uwielbiam prezenty.

Wręcza mi pudełko opakowane w lśniący, zielony papier i przewiązane zwiniętą w spiralę różową wstążką. Dodała też bilecik z ładniutkim obrazkiem: para trzy mająca się za ręce stoi przy ogromnej choince. Na pewno kupiła tę kartkę, nim spotkała mnie katastrofa. Wewnątrz napisała: „Dla najwspanialszej i najlepszej przyjaciółki. Jesteś silna, mądra i śliczna. Kto się na tobie nie pozna od pierwszego wejrzenia, nie zasługuje na twoje względy”. Napisała to chyba po katastrofie.

Pociągam nosem, Odwijam z papieru eleganckie pudełko, w którym są dwie pary ciepłych szarych rękawiczek.

– Jakie cudne! – mówię. I to prawda. – Czemu dwie pary?

– Jedną natychmiast schowaj do szuflady. Będą jak znalazł, kiedy zgubisz pierwszą parę.

Sprytna ta Wendy. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszej przyjaciółki. Na nią zawsze mogę Uczyć. Ale dla niektórych w ogóle się nie liczę.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### *Noga za nogę – najdosłowniej*

Czytam artykuł w „City Girl” o tym, jak po świętach zrzucić trzy zbędne kilogramy, gdy nagle w pociągu gaśnie światło, a za oknem przelatują iskry. Przypominają małe petardy na moment przed wybuchem. Nagle za szybą robi się czarno i pociąg staje. Ktoś zapala latarkę i w jej bladym świetle widzę niewyraźnie sylwetkę zajmującej sąsiednie miejsce pasażerki, która je kanapkę z szynką i serem. W podobnej sytuacji większość ludzi natychmiast by ją schowała, a ona nadal żuje. Kto żre, gdy pociąg może lada chwila wybuchnąć? Powiedzmy, że za minutę rozstaniecie się z życiem. I co? Spokojnie dojadacie kanapkę? Jeśli o mnie chodzi, wolę rozmyślać. Nie o kolejach mego losu, tylko o nawykach żywieniowych mojej sąsiadki.

Mam nadzieję, że wkrótce ruszymy. I tak za dużo czasu straciłam już w tym pociągu, który z niewiadomych powodów jedzie chyba z Nowego Jorku do Bostonu okrężną drogą. W jaki sposób najszybciej dotrzeć z A do B? Wiadomo: zboczyć w stronę C, poczekać trochę w F i ruszyć do U. Śmiechu warte.

Głowa mnie boli. To błąd, że nie mam szkieł kontaktowych. Wyjęłam je, ledwie wsiadłam do pociągu, bo miałam nadzieję, że prześpię podróż, żeby nie myśleć o świątecznym koszmarze. Nie znoszę spać w soczewkach kontaktowych, bo gdy się obudzę, są wysuszone i lepkie. Powinnam zdecydować się na laserową korektę wzroku, ale koszt zabiegu przekracza zapewne moje roczne zarobki. Ilekroć o nim myślę, wyobrażam sobie obraną mandarynkę. Okropność. Nie lubię mandarynek, bo mi przypominają gałki oczne.

Nagle wszyscy ludzie wokół mnie zaczynają szeptać i nerwowo chichotać. Zapala się więcej latarek; rozglądam się, mrużąc oczy. Starucha z wronim gniazdem na głowie stoi na swoim miejscu. Nosi chyba długi czerwony płaszcz od deszczu. Dla moich niedowidzących oczu wygląda jak diabeł wśród ogni piekielnych. W rzędzie tuż za nią zrywa się mężczyzna w szarym urzędniczym garniturku i krzyczy:

– Jestem ratownikiem! Czy trzeba komuś pomóc?! No nie, mamy topielca? Dziwak. Dwójka dzieciaków

po drugiej stronie przejścia między fotelami najwyraźniej też uważa jego wrzaski za śmieszne, bo nie opuszczając swoich miejsc, zaczynają wyrzucać ramiona w górę i gwałtownie je opuszczają, co przypomina mi czynność tęsknie nazywaną przez tatę pływaniem.

Czyżbym poczuła dym? Owszem, tu cuchnie dymem. Po prostu wspaniale! W drugi dzień świąt spłonę żywcem, jadąc pociągiem. Jako dwudziestopięciolatka. Samotnie. Umrę anonimowo. Nikt się tym nie przejmie, bo tylko Wendy wie, że jadę tym pociągiem, a ona dowie się, co mnie spotkało, dopiero za parę tygodni, bo praktycznie nie wychodzi ze swego biura. Rodzice myślą, że jestem zupełnie gdzie indziej, a Sam uzna, że postanowiłam zostać dłużej w Nowym Jorku.

Może zasnąć? Jest nadzieja, że obudzę się w Bostonie.

Gdzie są moje okulary? Nie mogę ich znaleźć. Po ciemku nie zdołam nałożyć soczewek kontaktowych. Okulary są w torbie podróżnej. Muszę znaleźć bagaż.

– Proszę, żeby wszyscy usiedli! – woła kobieta z ostatnich rzędów.

Mężczyzna w kolejarskim mundurze otwiera suwane drzwi i każe nam wysiąść z pociągu. Mamy zabrać wszystko, co jest pod ręką, i nie zawracać sobie głowy rzeczami przewożonymi w przedziale bagażowym. Wzięłam

jedynie torbę i czasopismo. Wszystko, co ze sobą zabrałam, jest w torbie podróżnej. Muszę ocalić swoje czarne botki! Bez nich jestem nikim!

Czekam w kolejce, żeby wysiąść. Kobieta, która pachnie jak środek do dezynfekcji, rozmawia z ratownikiem, więc podsłuchuję. Ciekawe, czy znali się wcześniej, czy zbliżyła ich ta nasza tragedijka. Nie będę nigdy jeździć samotnie. Zawsze muszę mieć przy sobie czarne botki. Pierwsza reguła podróżnika: noś ze sobą rzecz, którą uznasz za ważną. W moim przypadku chodzi o wiele rzeczy. Druga reguła podróżnika: stale miej pod ręką wygodne sportowe buty, ponieważ nie możesz przewidzieć, kiedy przyjdzie ci wiać z płonącego pociągu.

Siedzę na śniegu, obejmując ramionami kolana. Pali się pierwszy wagon, a drugi jest poważnie zagrożony i lada chwila ogarną go płomienie.

– Jackie? – słyszę czyjś głos. Ktoś mnie woła? Czy tym pociągiem jechała też inna Jackie?

– Tak? – wołam w ciemnościach.

– Wierzyć mi się nie chce, że jechałaś tym pociągiem.

Andrew! To Andrew! Był w moim pociągu! Dzięki Bogu! Zrywam się na równe nogi, staję na śniegu i natychmiast go obejmuję.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę.

Przytula mnie, a potem siadamy na ziemi ramię przy ramieniu.

– Nie zauważyłaś, jak do ciebie machałem? Śpisz z otwartymi oczyma?

Wspaniale! Na pewno uznał mnie za kretynkę.

– Zdjęłam szkła kontaktowe, żeby w nich nie zasnąć, a potem nie było okazji, żeby je znów nałożyć. Myślałam, że wyjeżdżasz na dłużej. Czemu wracasz do domu tydzień wcześniej?

– Mam w Bostonie mnóstwo spraw.



Pewnie chciałby się jak najszybciej rzucić w ramiona swojej gorącej laluni.

– Stęskniłeś się za Jess?

– Nie. Wziąłem sobie do serca twoje rady i zerwałem z nią. W tej znajomości brakowało sensu i celu. To znaczy, miałem pewien cel, ale znowu nazwiesz mnie świnią. –Nie rozwija tematu, a ja nie zadaję pytań.

Ludzie zbierają się w grupki po dwoje, po troje, ściskają w rękach bagaż podręczny, obserwują płonący pociąg. Szkoda, że nie mamy żelków. Kobieta cuchnąca środkami do dezynfekcji wciąż rozmawia z ratownikiem, a diablica w płaszczu przeciwdeszczowym gada do siebie. Słyszę, jak ratownik mówi, że strażacy już wyjechali do pożaru, ale nieprędko się tu zjawią. Najwyraźniej im się nie pali.

Nie martwcie się o nas. Banalny wypadek: płonie pociąg złożony z dwudziestu wagonów. Nie ma pośpiechu. Spoko. Mniejsza z tym, że utknęliśmy na pustkowiu. Serdeczne dzięki.

Dzielę się z Andrew drożdżówką kupioną na dworcu. Początkowo myśli, że nadziana jest jagodami, lecz bliższe oględziny wskazują, że to krem czekoladowy. Oddaje mi bułkę, mówiąc, że jest uczulony na laktozę. Może warto przyłączyć się do alergików? Wygląda na to, że ich dieta jest skuteczniejsza od niskowęglowodanowej. Żadnej czekolady ani lodów... zrezygnować z żółtego sera? Zapomnij! Nie chcę być uczulona na laktozę. Sięgam do torby i podaję mu torebkę porzeczek.

– Zostaw kilka. Strasznie je lubię.

Niebo jest usiane gwiazdami. Obserwujemy je, leżąc z głowami opartymi na jego plecaku.

– Łeb mi pęka – mówię.

Andrew myśli, że jest mi twardo, a ja marzę o aspirynie. Wyciąga z plecaka czystą bluzę, zwija jak poduszkę i wsuwa pod mój kark. Czuję zapach płynu do zmiękczenia tkanin. Od razu wiadomo, że spędził święta w rodzinnym domu.

– Takie niebo to dobry temat na zajęcia z malarstwa –mówi.

– Chodzisz na malarstwo? – Naprawdę wybrał takie zajęcia? Czemu się na nie zdecydował? Zarządzanie i sztuki piękne? Czy to dozwolone? Czy dziekanat nie odrzuca takich planów zajęć, żeby superfacet nie spuścił z tonu?

– Tak. Mam spore zdolności plastyczne. W dzieciństwie maczałem szczotkę do zębów w białej farbie i stukalem w nią podłużnym lizakiem, żeby malować gwiazdki. –Siada niespodziewanie. – Nie sądzisz, że to niebo przypomina obrazy impresjonistów?

Gęsta chmura dymu zasnuwa niebo i lada chwila pochłonie ten jego niezwykły pejzaż. Widzę niewyraźnie i dlatego płomienie są dla mnie jak namalowane palcami smugi czerwieni i oranżu.

Czy mogłabym polubić Andrew?

Jego oczy wydają się teraz jaśniejsze, jakby odbarwił je blask ognia. Kładzie się znów na ziemi, tym razem na boku, podparty łokciem. Jak mam się zachować, jeśli pochyli głowę, żeby mnie pocałować? Czy nie miałabym nic przeciwko temu? Czy chcę tego pocałunku? W jaki sposób go zachęcić, żeby dał mi całusa? Moje usta będą chyba smakowały czekoladą. Czy będzie musiał wziąć potem tabletki dla alergików?

– Domyślam się, że pojechałaś do Nowego Jorku, aby spotkać się z Jeremym.

No tak. Nowy Jork. Zwlekam z odpowiedzią.

– Właściwie tak – przyznaję niechętnie.

Czy mogłabym polubić Andrew? Chyba już go lubię. Czy mu się podobam? Trudno powiedzieć. Czemu wciąż się zastanawiam, na kim mi zależy? Skąd mam wiedzieć, czy Andrew naprawdę jest mi bliski, czy zaczął mi się podobać, bo świecą gwiazdy, oczy mu pojaśniały, a w plecaku miał czystą bluzę.

Mężczyzna uczestniczący w akcji ratunkowej – nosi odblaski – każe nam udać się do najbliższej farmy, gdzie będą czekać autobusy, które zawiozą nas do Bostonu. Zdejmuję kurtkę i ostentacyjnie wkładam bluzę Andrew. Ubieram się ciepło, ale nie zaciągam suwaka. Sama ledwie widzę i czuję się dziwnie, ale wmawiam sobie, że to wyrazista aluzja. Drepczemy przez las, potykając się o pęknięte korzenie i zdzierając buty na wybojach. Chyba dobrze się stało, że nie włożyłam moich czarnych botków. Słyszę głos diablicy, która twierdzi, że ścieżka została oczyszczona i poszerzona, żebyśmy bez trudu doszli do szosy, ale moje stopy mają w tej materii inne zdanie. Poza tym nie wdziałam tu buldożera.

Gołe ręce Andrew są lodowate. Wygląda na to, że wkrótce zsinieją. Ujmuję mocno tę jego artystyczną dłoń swoją ciepłą ręką. (Dałabym mu drugą parę rękawiczek, ale zapakowałam ją do torby podróżnej). Tłumaczę, że wzięłam go za rękę, żeby nie wleźć przypadkiem na drzewo, a zważywszy na to, że marnie widzę, a w lesie jest ciemno, nie można tego uznać za wierutne kłamstwo. A poza tym przynajmniej jedna dłoń mu się rozgrzeje. Oczywiście mógłby trzymać ręce w kieszeniach, ale tego mu nie podpowiem. Jednocześnie stawiamy stopy, poruszając się w jednym rytmie. Lewa, prawa, lewa, prawa, raz, dwa...

– Czuję się jak postać z serialu „Z archiwum X” – mówi Andrew.

Ratownik idący teraz przed nami odwraca głowę.

– Podobno jakieś gnojki majstrowały przy torach i to było przyczyną pożaru. – Czemu ludzie zawsze winią dzieci? Tak jak mój tata. Ilekroć słyszy o chuligańskich wybrykach, krzyczy: – Te cholerne bachory!

Nienawidzę takiego podejścia do sprawy. Jak dorosnę, nie zamierzam odgrywać się na dzieciakach. Zamiast tego będę mówiła:

– Te cholerne zgredy! – No tak, właściwie to już dorosłam.

Kobieta idąca obok ratownika odwraca się i dodaje:

– Słyszeliśmy, że pierwszy wagon tak szybko wypełnił się dymem, że pasażerowie musieli skakać przez wybite okna, aby ujść z życiem.

– Ktoś został ranny? – pyta Andrew.

– Dzięki Bogu nie. Ale kilka osób trafiło do szpitala na obserwację.

Ta wiadomość powoduje, że nasza przygoda staje się znacznie mniej zabawna. Cholera, strach pomyśleć, co tam się działo. Czy jestem bezduszna? Nie ulega wątpliwości. Zasłużyłam na utratę moich botków. Jak zwykle kara przychodzi natychmiast.

Chwila, moment. Mogę być w telewizji! Pokażą mnie? Raz tylko mignęłam na ekranie podczas szkolnego przedstawienia z okazji Gwiazdki i Chanuki, ale byłam wtedy nie do rozpoznania, bo przebrałam się za drzewo.

– Podstawili autobus – mówi Andrew.

Myśli, że jestem ślepa? No dobra, właściwie ma rację, bo niedowidzę.

No i wyszliśmy z lasu – w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Andrew pomaga mi wsiąść. (Trzeba maksymalnie wykorzystać sytuację, skoro jestem taka bezradna). Siadamy razem w głębi autobusu. Andrew zajmuje miejsce przy oknie i obejmuje mnie ramieniem. Aha! Podobam mu się. Chyba. Kierowca puszcza film „Speed – Niebezpieczna szybkość”, co nam się wydaje trochę dziwne, bo fabuła dotyczy autobusu, który w każdej chwili może

ekspłodować. Czerwonawa poświata ekranu to jedyne źródło światła w ciemnym wnętrzu.

Andrew fajnie pachnie. Całkiem inaczej niż Jer.

– Miły zapach.

– Dzięki. Rodzice kupili mi na Gwiazdkę nową wodę po goleniu.

– Podoba mi się. Która godzina? – pytam.

– Dochodzi północ.

– W Bostonie powinniśmy być około dziewiątej.

Czuję na policzku jego oddech. Mam odwrócić głowę i spojrzeć na niego, czy też wpatrywać się w siatkową torbę umieszczoną na wysokości oczu. Dlaczego tak się na nią gapię?

Jeżeli odwrócę głowę, zaczniemy się całować. Jestem tego pewna. Ale skąd to przekonanie? Może jednak nie dojdzie do pocałunku? Trudno powiedzieć. Andrew siedzi nieruchomo. Jego ramię nadal dotyka mego karku. Wciąż. Tam. Jest.

Czy zrobi pierwszy krok? Mam go sprowokować? Może się pochylić? Czy tego chcę?

Raz kozie śmierć. Dlaczego w lodowatym autobusie zrobiło się nagle okropnie gorąco? Odwracam głowę. Jego twarz jest tuż obok mojej. Boże, Boże, Boże!

– Może być – mówi, siedząc nieruchomo.

Co? Co? Odpowiada mu godzina przyjazdu, czy ma ochotę na całusa?

– Dla mnie też.

Usta. Bliziućko. To śmieszne. Czemu zwleka?

– Moim zdaniem, nie ma pośpiechu – dodaje.

– Też tak sądzę – odpowiadam. Usta. Tuż obok.

Idiotyczna sytuacja.

Pochyłam się i całuję go. Nie do wiary, odważyłam się. On najwyraźniej też jest za.

Odsuwam się po kilku błyskach kolorowego ekranu. Idealny pocałunek. Zасыpiam przytulona do jego ramienia.

O ósmej rano dzwonek telefonu wyrywa mnie z fazy REM. Zakładam, że zasnęłam tak głęboko, bo śpiący, rzecz jasna, nie zdaje sobie sprawy ze swego stanu. Widzicie, jak śmiertelne zagrożenie działa na człowieka? Po takich przeżyciach wszystko zdaje się niepewne.

– Dziecinko, ty... martwiłem się. – Trudno mi zrozumieć, o co mu chodzi, bo ponownie zapadam w sen.

– Dzięki Bogu... słyszałem w radiu... twój pociąg... przerażony... Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?

Spoko, już się rozbudziłam. Mniej więcej. Dzwoni Tim. Gdy przed pięcioma godzinami sprawdzałam wiadomości na automatycznej sekretarce, było ich dziesięć, wszystkie od niego. Pewnie zadzwonił do bubbe Hannah, która mu powiedziała, że już wyjechałam. Ciekawe, skąd wziął jej numer? Przecież jest zastrzeżony.

– Wszystko w porządku. – Po prostu luzik, jeśli nie liczyć faktu, że mam ciebie dosyć. I że spałam z Jeremym, mimo że Andrew chyba mi się podoba.

– Tak się martwiłem. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Zaraz przyjadę.

– Daj spokój, Tim. Bardzo proszę.

– Czemu nie?

Zrywanie przez telefon to nie najlepszy pomysł.

– Moim zdaniem, nasz związek nie ma przyszłości.

– Ale banał!

Zapada milczenie, a potem słyszę:

– Czy możemy o tym porozmawiać?

– Jestem bardzo zmęczona, Tim. – Wydawało mi się, że już po rozmowie.

– A co z sylwestrem? Mam rozumieć, że nie bawimy się razem?

– Owszem.

W słuchawce ponownie zapada cisza. Może zasnęłam? Nie jestem pewna.

– Dobra. Trzymaj się, Jackie.

– Pa.

Racja, jestem bez serca. Ale czy nie lepiej zerwać od razu, rozmawiając przez telefon albo wysyłając e-maila, zamiast przedłużać cierpienia. Pamiętacie wskazówkę numer pięć z kolorowych magazynów kobiecych? Lepiej postąpić okrutnie na początku znajomości, niż niepotrzebnie przywiązać do siebie faceta. Zgadzam się, że między nami sprawy zaszły już dość daleko, bo uprawialiśmy seks (w pewnym sensie), ale istota rzeczy pozostaje taka sama.

Telefon dzwoni kilka godzin później i znów mnie budzi.

– Daj mi spokój, Tim – mamrocę do słuchawki. To już przeszłość. Było, minęło.

– Zadzwoiłam do twego taty, ale cię tam nie zastałam – rozlega się oskarżycielski głos Iris. Cholera. Ale wpadłam. – Nie martw się – dodaje. – Potrafię dochować tajemnicy. Dowiedziałam się przypadkowo. Gdy zadzwoniłam, twój tata był speszony, jakby nie miał pojęcia, czemu dzwonię. A gdy zapytał, jak nam obu mijają święta, od razu wiedziałam, co jest grane. Musiałam szybko wykombinować dobry powód, żeby do niego przekreślić. Na szczęście przypomniałam sobie, jak mówiłaś, że sprzedaje ubrania, więc zaczęłam nawijać, że strasznie mi się podoba twoja kurtka i spytałam, czy mógłby dla mnie zamówić taką samą. On na to, że nie pamięta, co nosisz, więc



opisałam mu moją wymarzoną kurtkę, a on od razu wszystko sobie przypomniał i obiecał mi taką wysłać! Jest kochany! Uratowałam twoją skórę, nie? Gdzie byłaś, Jackie? No gadaj!

– Pojechałam do Wendy. Jeśli piśniesz choć...

– Wiesz co? – przerwała z ożywieniem. – Dorwałam Kyle'a!

Próbuję zrozumieć, o co chodzi, ale nie potrafię doszukać się w tym żadnego sensu. Może jestem zbyt wyczerpana, a może Iris plecie bzdury. Czyżby się z nim przespała? Wyjdę na zgreda, jeśli o to zapytam. A, raz kozie śmierć!

– O co ci chodzi? Bzykałaś się z nim?

– O rany, tak się mówi, Jack. Nieważne. Chodzimy ze sobą.

– Ale z nim nie sypiasz, prawda?

– Nie. Spoko. Wciąż jestem dziewicą.

– Powiesz mi, jak to się zmieni?

– No pewnie.

Zabiję smarkatą, jeśli kłamie. Szczerze mówiąc, trudno powiedzieć.

– Przyjedziesz do mnie na sylwestra? Urządzimy sobie całonocną imprezę.

Czuję się winna, bo nie odwiedziłam jej na Boże Narodzenie. Zresztą i tak nie mam się z kim umówić. Jak mi się to udało? No tak, zerwałam z Timem. Niespodziewanie Andrew staje mi przed oczyma. Jeśli mnie lubi, powinien wkrótce zadzwonić i spytać, czy pójdę z nim na sylwestra. Wypadałoby przynajmniej, żeby dowiedział się, co u mnie słyhać po tamtej katastrofie. Mam na myśli pożar, a nie pocałunek.

– Nie. Nie?

– Starzy jadą do Arizony świętować Nowy Rok i zostawiają mnie samą.

– Nie rób imprezy.

– Zrobię i już! To przecież sylwester, a chata wolna. Zresztą Janie się zgodziła.

– Naprawdę? – Trudno mi w to uwierzyć.

– Powiedziała, że bezpieczniej jest, żebym siedziała w domu, zamiast włóczyć się po ulicach.

Rozsądne podejście do sprawy. Tak mi się wydaje.

– Idę o zakład, że rodzice nie wiedzą o Kyle'u.

– Zabiję cię, jeśli mnie wydasz. Myślę, że jesteśmy kwita. Ja im nie powiem o Nowym Jorku, a ty nic nie mów o Kyle'u.

A zapewniała, że nie powinnam się martwić, bo potrafi dochować sekretu.

Po raz trzeci budzę się, bo mam wrażenie, że nie jestem sama. Ciekawa rzecz: pożar wyzwolił u mnie zdolności parapsychologiczne. Ludzie, którzy otarli się o śmierć, widzą czasami oślepiającą światłość, a potem są w stanie rozmawiać z duchami. Jako że nie nosiłam wtedy szkieł kontaktowych i oślepiającą jasność widziałam niewyraźnie, moje doświadczenie spowodowało zupełnie inną reakcję. Bruce Willis nie dorasta mi do pięt! Wiem, że potrafię wyczuć czyjaś obecność, zanim ją świadomie zarejestruję. Inaczej skąd bym wiedziała od razu, że za pierwszym razem dzwonił do mnie Tim? Dziesięć pozostawionych przez niego wiadomości nie ma tu nic do rzeczy. Podobnie jak charakterystyczne dyszenie w słuchawkę.

– Co jest? – pytam, otwierając oko.

Sam siedzi na brzegu posłania i gapi się na mnie.

– O Boże! Nareszcie się obudziłaś. Jechałaś pociągiem, który eksplodował?

– Która godzina?

– Już późno. Przed chwilą widziałam cię w dzienniku.

– Serio? – Wyskakuję z łóżka. – Byłam w telewizji? Nagrałaś to? Dobrze wyszłam? Andrew też pokazali? Widziałaś nas oboje? – Ile razy pokazują relację, nim trafi do lamusa? Dwa razy? Może trzy? Na pewno co najmniej cztery. Tak! Jeremy zobaczy mnie z Andrew!

– Jak miałam nagrać, skoro nie wiedziałam, że to pokażą? Kiedy przyjechałaś? W ogóle nie słyszałam, jak weszłaś. Dobrze się czujesz?

– Spoko. Wróciłam taksówką na spółkę z facetem mieszkającym w pobliżu. – Mowa o ratowniku.

Wsuwam kasetę do magnetowidu i programuję go, żeby nagrać późniejsze wiadomości. Parę godzin później telewizja znów pokazuje materiał z moim udziałem. Ujęcie trwa z pół sekundy. Zupełnie sama siedzę na śniegu, gapię się prosto przed siebie i wyglądam na kretynkę.

– Jakaś ty smutna – użala się Sam i głaszcze mnie po głowie.

Na pewno jeszcze mnie pokażą. Na ekranie widać płonący pociąg. Zmieniam stację. Dziennikarz krótko streszcza wydarzenia. Kamera pokazuje las i buldożer poszerzający ścieżkę. Przełączam. Wsiadamy z autobusów. Przełączam. Znowu pożar. Przełączam. Lewa, prawa, lewa, prawa. Przełączam. Babol w długim, czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym i z wronim gniazdem na głowie udziela wywiadu. Dlaczego na nią padło? Jak to zrobiła? Ona przez dwie minuty gada do kamery, a ja pół sekundy siedzę zasmucona. Na ekranie pojawia się twarz kobiety, która rozmawiała z ratownikiem. Też dali jej się wypowiedzieć w telewizji.

– Byłam przerażona – mówi. – Bałam się okropnie. Ogień pochłaniał wszystko w mgnieniu oka.

– Cholerna kłamczucha! Wcale się nie bała. W tym pociągu znalazła sobie faceta. Pewnie migdalili się w autobusie. – Dziwka!

– Znasz ją? Poznałaś kobietę występującą w telewizji?

Uciszam Sam ruchem dłoni i obserwuję płomienie szalejące na ekranie. Przełączam. Dziennikarz wypytuje maszynistę, co mogło spowodować pożar. Przełączam. Nienawidzę wiadomości.

„Kupidyn” nie pracuje między świętami. Szkoda, bo mogłabym zadzwonić i powiedzieć, że biorę wolny dzień, żeby odzyskać duchową równowagę. Ciekawe, czy w przyszłym tygodniu dam radę się zwolnić, udając, że jeszcze nie doszłam do siebie. Rzadko się zdarza stanąć oko w oko ze śmiercią.

Wieczorem Andrew przychodzi obejrzeć nagrane wiadomości. Niestety, muszę przyznać, że to był mój pomysł.

– Jakaś ty smutna – mówi, gdy pojawia się na pół sekundy. Potem oglądamy „Speed 2”, oddzieleni całą długością kanapy.

Ani razu się nie dotknęliśmy. Gdy zadzwonił, otworzyłam mu drzwi i zaraz pobiegłam do kuchni, udając, że coś pichcę. Fakt, otwierałam właśnie opakowania. Tak czy inaczej, wolałam uniknąć powitalnego cmoknięcia w policzek. Żadnej wzmianki o sprawach oczywistych. Czy to nie dziwne, że oboje nie mamy odwagi rozmawiać o rzeczach, które nie dają nam spokoju?

– Jess zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem.

Gapi się w telewizor, nie patrzy na mnie. Czemu nawet nie spojrzy? No i dlaczego wspomniał o Jess? Przez wiele miesięcy lubiłam go platonicznie. Spotkanie w pociągu sprawiło, że znalazłam się w całkiem innej sytuacji, a teraz mam grzecznie wrócić na dawne miejsce i zachowywać się jak kumpelka, a on będzie analizować swoje dawne związki? Ja chromolę!

– I co? Czyżby kochała cię jeszcze bardziej, odkąd wyszło na jaw, że jesteś związkofobem?

Nie odrywając wzroku od telewizora, rzuca we mnie poduszką.

– Wcale nie jestem związkofobem. Po prostu nie widzę powodu, żeby tracić czas, wiążąc się z nieodpowiednią dziewczyną. Dlatego do tej pory nie byłem z żadną na poważnie.

Bez żartów. Znosi się chyba na dłuższą znajomość, prawda? W przeciwnym razie to jasne, że sprawa się rypnie. Czy on próbuje mnie ostrzec? Chce dać do zrozumienia, że trwały związek go nie interesuje? A kto powiedział, że ja jestem zainteresowana?

– Nigdy się naprawdę nie zaangażowałaś? – Zwróćcie uwagę na zmianę terminologii.

– Tylko raz. W dziesiątej klasie.

– I co?

– Poderwałem jej najlepszą przyjaciółkę.

– No super!

– Rzuciła mnie.

– I słusznie.

– Mój najdłuższy związek trwał dwa miesiące. To było na studiach. – Wzdycha rozpaczliwie. – Dziewczyny nie widzą we mnie narzeczonego. Chcą się tylko zabawić.

Mimo woli wybucham śmiechem.

– No pewnie. Większość z nas interesuje tylko szybki numerek. Wierność i estrogeny to jak ogień i woda.

– Masz rację. Potrzebna mi dobra lektura, na przykład „Randki – poradnik dla debila”.

– Chętnie go napiszę. – Tytuł byłby chyba inny: „Randki z debilami”.

– Od czego zaczniesz?

– Od pierwszej randki. Wyobraź sobie Boston w sobotę wieczorem.

– Bez sensu! Pierwsza randka w sobotni wieczór to strata czasu i energii.

Co myślisz o wtorku?

– Zamknij dziób i słuchaj. Parkujesz przed moim domem. Co robisz?

– No... naciskam klakson? – Drapie się po głowie, jakbym zadała podchwytliwe pytanie. – Dwa razy!

– Świetnie! – Mam nadzieję, że się tylko wygłupia. Pytam dalej. – Co mówisz, gdy wsiadam do auta?

– Cześć?

– Czekam na komplement. Przecież zrobiłam się na bóstwo.

– Aha. Mówię, że w kobiecie podoba mi się naturalność. I proszę, żebyś następnym razem tak się nie pacykowała.

– Znakomicie! Dokąd mnie zabierasz.

– Na solidną wyżerkę. Najlepsze będą zeberka.

– Masz zadatki na donżuana. Jak się zachowasz, gdy sięgnę do torebki?

– Słucham?

– Przynoszą rachunek, a ja wyjmuję portfel.

– Skoro uparłaś się, żeby zapłacić, widocznie ci na tym zależy, nie?

– Naturalnie! Poczulałabym się dotknięta, gdybyś mi fundnął kolację.

– Gdy idziemy do samochodu, trzymam cię za rękę. – Chwyta moją dłoń i wymachuje nią energicznie. – A potem mówię, że świetnie się bawiłem...  
dziecinko.

– No tak. Z tą dziecinką to już przesadziłeś.

– Ale każda chce, żeby do niej mówić „dziecinko” albo „misiu”, albo „skarbie”.

– Ja nie jestem każda.

Przygląda mi się i nagle poważnieje.

– Masz rację. – Nadal trzyma mnie za rękę. Ani myśli ją puścić.

Dlaczego to robi?

Słyszę zgrzyt klucza obracającego się w zamku.

– Uwielbiam wolne dni! – podśpiewuje wesoło Sam.

Andrew puszcza moją dłoń. Dzięki, Sam. Wszystko zepsułaś.

– Gdzie się podziewałaś? – pytam, spoglądając na jej zmięte ciuchy.

– Byłam z Philipem.

– A kogo masz jutro na rozkładzie?

– Bena.

– Jesteś bardzo zajęta – stwierdza Andrew, a Sam pochmurnieje.

– Muszę zdecydować, którego pocałuję w Nowy Rok. Trudny wybór.

– Nie możesz pocałować obu? – pyta Andrew.

– To się da zrobić – odpowiada po namyśle Sam.

– Daruj sobie – wtrącam. – Dokąd idziemy na sylwestra?

– Do „Orgazmu”. – Uśmiecha się promiennie. – Będzie superimpreza.

Musimy się tam pokazać. Ale trzeba wykupić karty wstępu.

– Ile?

– Stówa.

– Stówa? – Sto dolców. Chyba muszę sięgnąć do forsy przeznaczonej na terapię. – Domyślam się, że drinki nie są w to wliczone. Może wypijemy kilka tutaj, przed wyjściem na imprezę. Próba generalna przed wielkim balem.

– Kogo zaprosimy? – Sam patrzy na mnie pytająco.

– Idźmy we czwórkę. – Czy jestem zbyt obcesowa? Może Andrew pomyśli, że mu się narzucam i koniecznie chcę iść z nim na sylwestra. Zresztą nie mam nic do stracenia. Skoro woli, żebym pozostała zwykłą kumpelą, nie mam się czego wstydzić. Jeśli ma dość platonicznej przyjaźni... To był właściwy ruch.



– Otworzyłaś paczkę? – wypytuje Sam.

– Jaką paczkę?

– Kiedy spałaś, dostarczono pocztą kurierską wielkie pudło. Nie zauważyłaś go?

– Nie! Gdzie stoi? – Co to za paczka?

– W moim pokoju.

– Skąd miałam wiedzieć, że w twoim pokoju czeka na mnie przesyłka?

Dlaczego tam leży?

– Nie chciałam cię budzić.

– Nie mogłaś jej zostawić w salonie?

– Mniejsza z tym. Możesz ją otworzyć? Umieram z ciekawości.

Sam i ja biegniemy do pokoju. Przy łóżku stoi duża paczka owinięta świątecznym papierem. Na wierzchu napisane jest flamastrem: „Nie podlega zwrotowi. Wesołych świąt. Tim”.

Rozrywam papier. To jest reprodukcja obrazu „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?”

O Boże!

Nie do wiary! Kupił ją dla mnie. A ja go tak skrzywdziłam. Jutro muszę zadzwonić i bardzo mu podziękować. Wracamy do salonu.

– Co było w tej paczce? – dopytuje się Andrew.

– Prezent od wielbiciela – odpowiadam, a on myśli, że to dowcip.

– Co oglądamy? – wtrąca Sam, sadowiac się na kanapie pomiędzy mną i facetem, z którym zapewne pójdę na sylwestra.

Spoglądam na nią znacząco, próbując subtelnie dać do zrozumienia, żeby się zmyła. Jest tak zaabsorbowana filmem, że nie zwraca na to uwagi.

Czy wystarczy, jeżeli wyślę Timowi e-maila?

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Chcę być dynią!*

Najbardziej lubię okładki romansów w wersji luksusowej. Bohater nosi smoking, a bohaterka otulona jest aksamitem lub jedwabiem. Szmaragdowa kreacja bez ramiączek upodabnia ją do Kopciuszka lub przynajmniej do ładniejszej z podłych siostrzyczek. On patrzy jej w oczy. Ona zatoneła w jego spojrzeniu. Świata poza sobą nie widzą. Dziś jestem Kopciuszkiem. Brak mi tylko szklanych pantofelków oraz srebrnej karocy zaprzężonej w piękne rumaki, która w rzeczywistości jest dynią ciągniętą przez śpiewające myszy. Upinam włosy do góry, wkładam jedwabną czarną suknię do połowy łydki z cieniutkimi ramiączkami, robię wyjściowy makijaż.

Sam wybrała długą purpurową spódnicę i top w tym samym kolorze. Muszę przyznać, że obie wyglądamy prześlicznie.

Andrew też nieźle się prezentuje. Obaj z Benem włożyli ciemne garnitury. Tak, Sam postanowiła, że to Ben, nie Philip, będzie jej partnerem w sylwestrową noc.

Proszę Sam, żeby spytała Andrew, czy zechce pozować ze mną do zdjęcia. Nie powinien się domyślić, że chcę mieć taką fotkę.

– Uśmiech! – Stoimy na tle zaciągniętej rolety. – Dobra, koniec pozowania.

Andrew nadal obejmuje mnie ramieniem. Wciąż się uśmiecham. Janie dzwoni, żeby mi złożyć noworoczne życzenia.

– Gdzie jesteście?

– W Phoenix. Cudowne miejsce. Tyle słońca. Czemu ludzie wybierają miejscowości, gdzie panuje chłód, skoro mogliby osiąść w tych stronach?

– Nie mam pojęcia. Może się tam przeprowadzisz?

– Bierzemy to pod uwagę.

O kurczę! Biedna Iris. Dostanie szału, ledwie o tym wspomną.

– Sądziłam, że polubiłaś Wirginię.

– Bez przesady. Wolę klimat ciepły i suchy.

Z kuchni dobiega postukiwanie kieliszków i śmiech moich przyjaciół.

– Muszę lecieć.

– Czemu? Jak spędzisz dzisiejszy wieczór?

– Idę się upić z moją paczką.

– Kto tam hałasuje?

– Moi przyjaciele. Zamierzamy się napić.

– Ale mówiłaś, że idziecie na drinka. Urządzasz imprezę?

– Nie, wybieramy się do klubu.

– Kto u ciebie jest?

– Tylko paru znajomych.

– Po co tankować, skoro idziecie się napić?

– W czym problem?

– Jackie, jesteś alkoholiczką? – pyta po chwili milczenia.

Litości!

– Nie jestem alkoholiczką. O co ci chodzi? Muszę już iść.

– Jasne. Bądź rozsądna. Szczęśliwego Nowego Roku.

– Nawzajem.

Gdy wchodzę do kuchni, Ben napełnia szkło i unosi swój kieliszek.

– Za wspaniały rok. Niech będzie pełen seksu.

– No, no – mówi Sam, a potem się całują. Na naszych oczach.

Sytuacja jest tym dziwniejsza, że Andrew i ja stoimy nieruchomo, gapiąc się na nich. Od tamtego dnia, gdy jechaliśmy pociągiem, ani razu mnie nie pocałował.

– Musimy już iść – mówi.

Co mu jest? Czuje się skrępowany, obserwując inną parę? W takim razie niech przywyknie... i to szybko. Dziś mamy sylwestra. Czy można sobie wyobrazić lepszy moment na podjęcie decyzji, że będziemy razem, niż północ i Nowy Rok, gdy świat jest jak zaczarowany i wszystkie pary się całują?

„Orgazm” wygląda zwyczajnie, tylko dekoracje są bogatsze. Wszędzie pełno srebrzystych i czarnych serpentyn, a kelnerki chodzą po sali, roznosząc przekąski. Faszzerowane jajka? Uwielbiam je.

– O Boże – jęczy cicho Sam, gdy wchodzimy. – Philip tu jest.

– Ale wpadłaś!

– Co mam robić?

– Żadnemu z nich nie składałaś obietnic.

– Masz rację! Przecież z nimi nie spałam!

Coś podobnego!

– Naprawdę? – O cholera! Mamy z głowy moją hipotezę dotyczącą wyzwolonej Sam. – Co robiliście, gdy nocowałaś u Bena?

– Przytulaliśmy się.

Tylko pieszczoty?

– Chcesz mi wmówić, że przez całą noc spałaś z nim w jednym łóżku i nie doszło... – Przerywam, bo robi się gorąco. – Sam, widzę Marka. – Ruchem głowy wskazuję drugi koniec baru, gdzie stoi otoczony kolegami z pracy. Sam ma wielkie oczy – z pewnością nie dlatego, że podkreśliła je białym cieniem. Oddycha pospiesznie. To się skończy hiperwentylacją. – Przestań histeryzować – tłumaczę. – Wszystko będzie dobrze.

– Czy to normalne? Czy to normalne?

Obawiam się, że lada chwila zemdleje. Mam nadzieję, że mi tego nie zrobi. Musiałabym odwieźć ją do domu i zająć się nią. Nie możemy razem wrócić. Muszę stąd wyjść z Andrew.

– Chyba się napiję – mówi Sam, zamiast mdleć. Dobry znak. Na migi pokazuję Andrew, że idziemy do baru.

– Znajdę stolik – czytam z ruchu jego warg.

– Dwie „cytrynowe krople” – mówię do barmanki. To nie jest cynamonowa, ale, moim zdaniem, wyhodowana została z tego samego materiału genetycznego.

Wypijamy kolejkę i zostajemy przy barze. Sam wzdycha.

– Co robić? Od miesiąca z nim nie rozmawiałam.

– Masz jakiś pomysł?

– Chciałabym, żeby stąd wyszedł. Gardzę nim. Bez niego jestem znacznie szczęśliwsza. Czemu zepsuł mi sylwestra? Widział mnie? Sprawdź, czy nas obserwuje.

Zerkam na Marka.

– Nie patrzy. Chyba cię nie spostrzegł.

– Ledwie stoję. Muszę usiąść.

Tylko nie mdlej, Sam. Bardzo cię proszę.

– Spoko. Poszukajmy Andrew. Obiecał zająć stolik.

– Momencik – odpowiada Sam. – Popraw włosy.

– Co jest?

– Kręcą się.

– Czemu tak stoisz? Zrób coś – syczę zniecierpliwiona.

– Nie dam rady – odpowiada, próbując je przygładzić rękoma. – Musisz je zmoczyć.

Totalna bzdura. Ludzie, którzy mają proste włosy, nie są w stanie pojąć, na czym polega skomplikowany proces prostowania kręconych włosów za pomocą suszarki i szczotki. Woda to nasz wróg numer jeden. Równie dobrze można by jeść batoniki, ćwicząc w siłowni. Po co się wysilać? Na szczęście mam w torebce żel do włosów z silikonem. Nie wiem, czy dawka sylikonu wyjdzie im na dobre. Używa się go do powiększania biustu, więc czy nie nastroszy mi czupryny?

– Dobra. Usiądź, zaraz wracam. – Pracując łokciami i ramionami, toruję sobie drogę w gęstym tłumie sylwestrowych gości. W toalecie wpadam niespodziewanie na Amber stojącą przed lustrem. Pamiętacie Amber? Chuda jak tyczka, żadnych rodzinnych powiązań ze strażą pożarną, z zawodu dentystka sadystka.

– Cześć. – Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem.

– Cześć. – Tę łaskę trzeba odkarmić. – Co słychać?

– Świetnie. A u ciebie? – Poprawia usta. Od razu widzę, że używa ciemnej konturówki i jaśniejszej szminki.

Otwieram torebkę, wyciągam żel i szykuję się do poważnej operacji na mojej fryzurze. Nie mam gdzie położyć torebki, bo na umywalce stoją pachnące flakony i buteleczki z perfumami oraz koszyczek, do którego należy wkładać forszę, jeśli coś wybierzemy z tego zestawu. Torebkę umieszczam w umywalce, sprawdzwszy, czy jest sucha. Rozpuszczam włosy i aplikuję im silikon. (Popatrz, Amber, jesteśmy niczym siostry: ja go mam na głowie, a ty w cyckach!). I szuuu... Woda spływa na moją torebkę. Czemu nie ma tabliczki z informacją, że splukiwanie następuje automatycznie?

Przez całe dziesięć minut trzymam torebkę pod strumieniem ciepłego powietrza z suszarki do rąk. Amber wciąż się maluje. Jej makijaż wymaga pewnie wielu poprawek.

Idę do stolika, gdy spostrzega mnie Mark. Siedzi przy barze wśród przystojnych facetów. Dlaczego ani razu nie zaproponował, że mnie z nimi pozna?

– Cześć, Jackie!

Udaję, że go nie zauważyłam, więc zaczyna machać jak szalony; podchodzi, choć próbuję umknąć w głąb sali.

Ja: O! Cześć, Mark.

Mark: Cześć, Jack. Gdzie Sam?

Ja: Miłe spotkanie. Co u ciebie? – Przynajmniej udaje, że ma ochotę pogadać.

Mark: Wszystko w porządku. A u ciebie?

Ja: Świetnie.

Mark: Jak praca?

Ja: Dobrze. A twoja?

Mark: W porządku. Jakież nowiny?

Ja: Nic szczególnego. – Mark i ja nie mieliśmy nigdy wspólnych tematów.

Mark: Ona tu jest?

Ja: Kto?

Mark: Sam. Przyszła?

Ja: Tak, jest w klubie. – Nic więcej ci nie powiem, kochasiu.

Mark: Gdzie? – Rozgląda się po sali.

Wskazuję stół, przy którym siedzi teraz Sam, Ben, Andrew i... Jess? To ona? Dlaczego się przysiadła? Co robi w „Orgazmie”? Myślałam, że to już skończone? Co mam robić? Podejść do nich? Trzymać się z daleka, żeby spokojnie pogadali? A jeśli ona go poderwie?

– Kto to jest? – pyta Mark z udawaną obojętnością.



– Jess!

– Chodzi mi o tamtego faceta. Kim jest ten gość obok Sam? Poderwała nowego chłopaka? Czemu ten facet ją obejmuje?

– Bo są parą. Czego się spodziewałaś? – O cholera, Jess uśmiecha się do Andrew. Jakim prawem szczyrzy do niego zęby? – Rzuciła ją, więc próbuje z innymi.

– Przecież chciała, żebyśmy razem zamieszkali! Jak mogła tak szybko o mnie zapomnieć?

– Nie należy do dziewczyn, które siedzą w domu i szlochają. – On również się do niej uśmiecha! A co ze mną?

– Ja... – Markowi po prostu szczeka opadła.

– Muszę lecieć – mówię do niego, chociaż nie mam dokąd umknąć. Daleko bym zresztą nie pobiegła w butach na wysokim obcasie, nawet gdybym mogła gdzieś zwać. Tak, najwyższy czas splawić Marka. Niech w samotności rozważa swój życiowy błąd. Czy podejść do stolika? Nie. Wrócę do baru. Może jakiś przystojniak postawi mi kolejkę i Andrew zobaczy, że jestem rozrywana? Co ja plotę? To sylwester. Większość gości ma parę, inni bawią się całą paczką. Nie ma szans, żebym się przysiadła do swojego towarzystwa. Wolę nie przeszkadzać Andrew i jego dziewczynie.

Mogę się napić.

Zamawiam kieliszek szampana.

Doskonałe wyjście. Może Janie miała rację?

Zauważył mnie Rodzynek. Pamiętacie nudziarza Rodzynka? Kaprawe oczka małe jak rodzynki? Poznałam go, kiedy pierwszy raz przyszłam do „Orgazmu”. Patrzy jak urzeczony na moje cieniutkie ramiączka. O kurde, może jest mi przeznaczony? Czyżbym miała doczekać końca roku właśnie z Rodzynkiem?

Spoko. Andrew rozmawia z Jess. Dopiero jedenasta. Za niespełną godzinę pojawi się u mego boku i złoży na mych wargach czarodziejski pocałunek.

– Co za facet gada z Sam? – Mark zachodzi mnie z tyłu i wskazuje Philipa, który przycisnął ją do baru i teraz czule całuje w usta. Kapitalna scena!

– Jeden z jej wielbicieli.

– Popęlniłem błąd, prawda? – rzuca Mark piskliwym głosem, jakby przechodził mutację. Zawsze wydawał się niedojrzały. W końcu przejrzał na oczy.

– To prawda – wzdycham obłudnie. Łzy błyszczą w oczach dorosłego mężczyzny? Gdzie aparat fotograficzny? Dlaczego nie wzięłam go ze sobą?

– Myślisz, że wróci do mnie, jeśli ją o to poproszę?

– Sam nie narzeka na brak towarzystwa. – Ma Bena, Philipa, a na nich się pewnie nie skończy. – Jest dowcipna, ładna, ciepła, a ty ją odrzuciłeś. Zerwałeś z nią, bo jesteś związkofobem. Teraz znalazła szczęście i może przebierać w facetach, a ty zostałeś sam. Twój problem. – Nie przejmuję się, choć jestem okrutna. Za kogo on się uważa? Jakim prawem łamie dziewczynie serce, a potem łudzi się, że wszystko zostanie naprawione jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

W tej samej chwili Sam nieświadomie (genialna intuicja) unosi w górę ramiona, ukazując światu niedawno ozdobiony brzuch. Mark blednie.

– Co to jest? Kolczyk w pępku? Od kiedy Sam go nosi?

– Jest teraz zupełnie inną dziewczyną. – Wzruszam ramionami.

Nie odrywając wzroku od Sam, Mark jednym haustem dopija swego drinka.

– Wychodzę.

Krzyżyk na drogę. Idź do domu. Dzięki, że wpadłeś. Wkrótce zza moich pleców wyskakuje Sam.

– Jak było? Obserwowałam was. Co powiedział? – Powtarzam jej naszą rozmowę. Spogląda na mnie z niedowierzaniem. – Coś ty mu nagadała?

– Uświadomiłam draniowi, że bez niego jesteś szczęśliwsza.

– Czemu tak powiedziałaś?

– Bo to prawda. – Może nie? Chyba teraz jest ci lepiej. Tak mówiłaś.

Ojej, czyżby mi coś umknęło? – Co z Benem? Co z Philipem?

– Co oni mnie obchodzą?

Fatalna sprawa.

– Trochę ci na nich zależy, prawda?

– Gdzie jest?

– Kto? Ben czy Philip?

– Mark! Gdzie jest Mark?

– On... – Nie ucieszy się, gdy odpowiem na pytanie. – Wyszedł.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Muszę go znaleźć.

Jak to? Chce już iść?

– Nie możesz tak po prostu wyjść!

– Wręcz przeciwnie. – Odchodzi, zostawiając mnie samą przy barze, i to w sylwestra. Zresztą nie jestem sama. Towarzystwa dotrzyma mi szczęśliwa parka: Andrew i Jess. Idealny układ, prawda?

Nienawidzę tego klubu. Jaki tłum! Pijani debile tłoczą się jak banda spoconych robotników zapelniających wagony podmiejskiej kolejki w godzinach szczytu. Do tego lokalu wałą dziś setki ludzi, a ja siedzę samiutka przy barze.

Zamówię następną kolejkę. Lepiej wezmę od razu dwa drinki. Jess wciąż siedzi przy stoliku. Po co tu przylazła?

Po czterech albo pięciu kolejkach – trudno mi powiedzieć, kiedy – Rodzynek dochodzi do wniosku, że to odpowiednia pora, aby do mnie zagadać. Najwyraźniej telepatycznie dałam mu do zrozumienia, że zostałam sama i dlatego może mi grać na nerwach. Jestem w patowej sytuacji? Chyba tak. Jess wciąż tam siedzi. Ale po co? Jaki ma cel? Ojej, widzę Amber. Muszę z nią pogadać. To nie Amber. Jest za to Rodzynek. Z nim sobie porozmawiam. Rodzynku, Rodzynku, dawniej byłeś ślicznym, okrągłym winogronkiem. Co tak na mnie patrzysz tymi małymi oczkami?

Która godzina? Zaczął się nowy rok? Przegapiłam północ?

– Kontrolujesz czas? – pytam kochanego Rodzynka.

– Za dziesięć dwunasta.

Widzicie, jak mi się udało? Przełamalam lody i teraz sobie gadamy. Tak samo bywa, gdy sporo wypijesz i musisz biec do łazienki. Pierwszy raz jest najtrudniejszy, a potem zaglądasz tam co pięć minut.

– Jaki mamy dzień? – pytam. Jarzycie? Jaki dzień! Przecież jest Nowy Rok! Zaśmiewam się do rozpuku. Omal nie spadłam z barowego stołka. Ale numer!

– Jak ci na imię?

– Amber – odpowiadam. Trudno wyczuć, dlaczego kłamię. Nagle zaczynam za nią tęsknić. Gdzie moja Amber? Łączy nas silikon. Jesteśmy jak siostry.

– Czemu siedzisz tu sama, Amber?

Nie znasz lepszej kwestii, Rodzynku? Powiedz, że jestem piękna. Śmiało, dasz sobie radę. Nawijaj. Mówię serio. Niech mi to powie.

– Bo moja przyjaciółka wyszła, Andrew siedzi z Jess, a ja piję.

– Och.

– Och. Och, och, och, rozumiesz, prawda? A dlaczego ty jesteś sam?

– Wcale nie. Rozmawiam z tobą.

Przynudzaj, Rodzynku, moje winogronko. Przynudzaj, podrywaj, ale nie porzucaj.

– Czemu?

– Proszę? O co ci chodzi?

– Dlaczego ze mną rozmawiasz? – Chcę usłyszeć komplement. Nie daj się prosić.

– Jesteś wesoła i miła. No i piękna. – To mi się podoba. Zapomniałeś tylko dodać, że wyglądam na łatwą zdobycz. – W mojej firmie rzadko mam do czynienia z kobietami.

Aha, chce, żebym spytała, czym się zajmuje. Zero subtelności. Na złość nie zapytam. Jeśli tak mu na tym zależy, niech sam gada.

– Nie chcesz mieć z nimi do czynienia?

– Chciałbym częściej je spotykać, ale mało jest specjalistek od lokat bankowych.

O rany! To najbardziej żałosna wymówka, aby zacząć rozmowę o pracy, jaką w życiu słyszałam.

– Naprawdę? W twojej firmie nie ma żadnej dziewczyny?

– Kilka by się znalazło.

O rany, jakiś ty miły. Nareszcie raczyłeś pójść na kompromis, zacofany dupku.

– Moja najlepsza przyjaciółka zajmuje się lokatami bankowymi.

– Nie mówiłem, że ich całkiem brak.

– Wręcz przeciwnie.

– Ja... – Ble, ble, ble. Bredzi o inwestycjach bankowych. Patrzą na jego usta, które otwierają się i zamykają w rytm dudniącej muzyki. Opowiada o fuzjach i przejęciach, o przejęciach i fuzjach, o... Wciąż gada? Czemu nie spyta, czym się zajmuję? Dlaczego muszę czekać godzinami, aż facet uświadomi sobie, że pracuję?

– Przepraszam – mówię do barmanki. – Bardzo panią przepraszam, czy mogę prosić o parę kolejek?

– Ile ma być? – pyta, moim zdaniem, dość opryskliwie.

– Niech pani da trzy. – Prosiłam o parę kolejek, więc może liczba powinna być parzysta. Kto by się tym martwił? Wyjmuję portfel i wręczam jej parę banknotów. Jarzycie, co? Parę banknotów. Cztery dolce. Ale pani obrażalska twierdzi, że to nie wystarczy. Dzięki za finansowe wsparcie, Rodzynku. Nawet nie zauważył. Gada jak najęty. Jasne. Wciąż nawija o tej swojej robocie.

– Wiesz co? – przerywam. – Ja też pracuję! – Pierwsza kolejka. Druga kolejka. Trzecia kolejka.

– Naprawdę? Czym się zajmujesz?

– Pracuję w „Ku-pi-dy-nie”. – Akcentuję: pi. Nie wiem dlaczego. – Jestem redaktorką.

– Proszę?

– Wydajemy romanse.

– A znasz... – pyta. Nie mów tego, nie mów tego, nie mów tego. – Fabia? Co jest? Dlaczego wszyscy o niego pytają? Dostyc tego. Fabio ma u mnie przechlapane.

– Znam. Wyobraź sobie, że z nim sytam. Szczerze mówiąc... – zerkam wymownie na krocze Rodzynka – chyba go nie przeskoczysz.

Patrzy na mnie osłupiały.

– Za pięć minut Nowy Rok! – woła jakiś facet, może DJ.

Z głośników dobiegają jego wrzaski. Gdzie Andrew? Muszę go znaleźć. Andrew? Andrew! Gdzieś ty? Aha, tam! Mam cię! Mam! Przy stoliku. Siedzisz sobie wygodnie. Hola, Andrew! Hej, hej! Idę do ciebie, ale dzieli nas tłum. Z drogi, ludzie. Jackie idzie! Macham do niego. Macham, macham, macham. Ramiona w górę. I machamy. Ramiona tańczą. Tańczą ramiona. W tył i w przód. Hej. Hej. Andrew.

Widzi mnie. Dziwnie patrzy. Czemu jest przechylony? Dlaczego wszyscy się przechylają? Nie warto czekać, aż wybije północ. Może od razu dam mu buzi. Marnie się czuję. Jestem w kiepskiej formie.

– Heeeeej. – Andrew stoi obok mnie. Jego głos jest stłumiony i dziwnie przenikliwy. – Gdzieeee byłaaaś przeeeeez caaaaały wieeeeeeczór.

Gdzie byłam? Czy ja wiem?

– Siedziałam przy barze i patrzyłam, jak rozmawiasz z Jess. – No właśnie.

Cześć, Jeremy. Czy to Jeremy? To nie może być Jeremy. Dlaczego Jeremy miałby tu przyjść?

– Jeremy?

– Jestem Andrew. – Wścieka się. Chyba zacisnął zęby.

– Wiem. – Ale głupek. Chi, chi, chi. – Kochasz Jess?

– Przecież tylko rozmawialiśmy. – Dziwnie mi się przygląda.

– Jasne. Tylko rozmawialiście. Nieważne. – Coś tu śmierdzi. Jeśli to nasz wieczór, po co mu wspominki z byłą? – Dla mnie możecie się dogadać. Nie dbam o was. Ani trochę. Mnie to wisi.

– Powinnaś odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie chcę powietrza. Wolę się napić.

– Nie ma mowy. Idziemy. – Chwyta mnie za ramię i ciągnie ku drzwiom.



– Zaraz będzie północ. – Gdzie mój zegarek? Dlaczego przyszedłam bez zegarka? Czy mam jakiś zegarek? Chyba nie.

– Jeszcze parę minut. Jesteś zielona.

– Niełatwo być zielonym. Tak powiedział Kermit. A raczej zaśpiewał. Zawsze lubiłam Kermita. Znasz go? Ja poznałam Fabia. – Zimne powietrze. Chłodzi obnażoną skórę. – Ucieszysz się, jak zamarznę na śmierć? – Obraca się. Uwaga! Neonowy babiszon nad drzwiami „Orgazmu” zaczyna wirować.

– Jak się czujesz?

Andrew trochę przypomina Kermita. Czy mówiłam, że Kermit zawsze mi się podobał? Czy żaba zamieni się w księcia, gdy ją pocałuję?

– Dobrze – odpowiadam.

– Chcesz wody?

– Wody? Nie potrzebuję wody. To dla mnie za mało. Chcę prawdziwego mężczyzny. Normalnego chłopca, rozumiesz? Nie sympatii, nie chłopca, tylko konkretnego chłopca: mocnego, rzetelnego, chłopca z krwi i kości. Nie jest potrzebny mi facet, który przez całego sylwestra gada ze swoją lalunią. Wiesz, że od północy mieliśmy być razem?

– Jackie...

– Chyba nie oglądałeś „Kiedy Harry poznał Sally”! Dlaczego mężczyźni nie zwracają uwagi na takie rzeczy? Sylwestry są przecież najważniejsze.

– Powinnaś się uspokoić.

– Nie będę spokojna! Ty się uspokój! – Ruchomy chodnik? Dziwna sprawa. – Mogę usiąść?

Kiwa głową, więc opadam na ziemię, która jest chłodna i twarda.

– Będziesz rzygać?

– Nie. – Kręcę głową. Trudno powiedzieć. – Sama nie wiem.

– Chodź ze mną za budynek, żebyś jutro nie rumieniła się ze wstydu.

Nie rozumiem? Czego miałabym się wstydzić?

Prowadzi mnie do samotnej ceglanej ściany, stanowiącej chyba część budynku, w którym jest klub. Pewności nie mam, bo mur się przesuwa.

Tata byłby ze mnie niezadowolony, zwłaszcza gdyby usłyszał, że wyszłam z obcym chłopakiem. Andrew nie został mu przedstawiony, więc jest obcy. Czy to rzeczywiście Andrew? Patrzą na włosy. Tak, rude. Zgadza się, Andrew we własnej osobie. Chyba że jakiś cwaniak próbuje mnie nabrać, bo nosi perukę.

– Dziesięć... dziewięć... osiem... – Z głośnika dobiega odliczanie. Prawie dwunasta! Dochodzi dwunasta!

– Pocałujesz mnie? – pytam. – Muszę wiedzieć.

Jeśli nie dostanę całusa, karetą zamieni się w dynię, książkę pozostanie zabą. Gdyby mnie nie pocałował, mogłabym nawet o nim zapomnieć.

– Cztery... trzy... dwa...

– Mdli mnie.

– Jeden! Mamy Nowy Rok!

*Zapomnisz stare przyjaźń tę i wspomnień zniknie ślad...*

Rzygam na ośnieżony żywopłot.

# ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Szczęśliwego Nowego Roku!*

Głowa. Boli.

Jaki mamy dzień? Pamiętam jak przez mgłę, że wczoraj wieczorem żartowałam głupio na ten temat. Gdzie ja jestem? W swoim łóżku. Nie jest źle. Która godzina? Na budziku jest trzecia. Czemu tak dobrze widzę? Nie zdjęłam szkieł kontaktowych. Ciekawe dlaczego. Co tu śmierdzi? O Boże, ode mnie tak jedzie. Dlaczego cuchnę jak zapluty moczymorda?

Rany boskie. Wspomnienia powracają, jakby mi się odbijało. „Orgazm”... Mark... Rodzynek... Andrew. Litości! Mam złe przeczucia. Spodziewam się najgorszego.

Puk. Puk. Puk. Ktoś stuka do moich drzwi, czy w głowie mi tak pulsuje?

– Kto tam? – wołam, ale to raczej wątpliwe, że osoba stojąca w korytarzu zdoła mnie usłyszeć. Trudno mi nawet stwierdzić, czy zdołałam wydobyć głos.

Co gadałam do Andrew? Jak się zachowałam? Pamiętam żywopłot. O nie! Przypominam sobie, że odprowadził mnie do domu, dał szklanekę wody i zapakował do łóżka. Wiem, że wstałam i ponownie zwymiotowałam do kosza na śmieci.

– To ja! – słyszę przenikliwy głos. – Otwórz! Całe wieki tu stoję!

– Poczekaj – mamrocę, zwlekając się z wyra. Ciekawe, jak mi się udało zdjąć w nocy sukienkę? Sama to zrobiłam? Dlaczego mam takie czarne nogi? Aha, spałam w rajstopach.

– Szybciej! – popędza mnie natrętny, przenikliwy głos, który brzmi mi w uszach jak syrena strażacka. Czy to... Iris? – Natychmiast otwieram.

– Nareszcie! – Moja siostra stoi w korytarzu. Drobnutkie ramionka splotła pod obfitym biustem.

– Co ty tutaj robisz?

– Dlaczego pytasz? Człowiek nie może wpaść do siostry? Zawsze musisz być taka podejrzliwa?

Trzeba to przemyśleć. Jest Nowy Rok. Wczoraj miała urządzać superimprezę w domu w Connecticut i przygruchać sobie tego chłopaka. Jak mu tam? Ken? Karl? Kyle? Ona i jej najdroższy mieli dla siebie cały dom, więc czemu nagle wpadła na pomysł, żeby odwiedzić siostrę? Coś tu się nie zgadza.

– Godzinę dzwoniłam z dołu – mówi Iris – ale nie otwierałaś. W końcu ktoś mnie wpuścił. Daj mi trochę forsy, muszę zapłacić taksówkarzowi. Czeka na dole i jest wściekły.

– Przyjechałaś z Danbury do Bostonu bez pieniędzy?

– Tak. Błagam, pospiesz się. Obiecałam, że wrócę za pięć minut!

– Dobra, poczekaj chwilę. – Gdzie moja torebka? O, jest. Ojej, czemu taka lekka? Zajrzyjmy do środka. Czemu brak portfela? A niech to jasna cholera!

Przeszukuję swój pokój. Bez rezultatu. W kuchni też nie znalazłam.

– Przyjmie czek?! – krzyczę z łazienki.

– Mam nadzieję.

– Ile?

– Trzydzieści. Nie zapomnij o napiwku.

Wracam do pokoju po książeczkę czekową, wpisuję wymienioną kwotę i ruszam do drzwi. Iris pędzi do windy.

Ależ nie ma za co, siostrzyczko.

Gdzie jest mój portfel? Muszę go znaleźć.

Idę do pokoju i przeszukuję metodycznie wszystkie szuflady. Daremnie. Potem szafa. Pudło. Strzepuję pościel. I nic.

– Rusz tyłek i pomóż mi! – z korytarza dobiega wrzask Iris wciągającej do przedpokoju zieloną torbę podróżną. – Facet uparł się, że muszę zostawić bagaż, póki mu nie zapłacę. To śmieszne. Moje diesle warte są trzy razy więcej niż ten kurs.

– Wziął czek?

– Niechętnie.

Pomagam jej zanieść torbę do salonu.

– Czemu twoja torba jest taka ciężka? Zapakowałeś do niej wszystkie swoje rzeczy? Jak długo zamierzasz tu zostać? – W mojej głowie zapala się czerwone światło. – Wyjaśnij mi, Iris, po co przyjechałaś. Mów prawdę.

– Przecież to oczywiste. – Zdejmuje opaskę, rozpuszcza włosy i poprawia koński ogon. – Wprowadzam się tu.

Chwila, moment.

– Nie możesz tak po prostu wprowadzić się do mnie. Mam współlokatorkę. Jak się tu dostałaś? Czy Janie wie o tej eskapadzie? Po co przyjechałaś?

– Przede wszystkim twoja kumpela długo tu nie zostanie. Przeprowadza się do Marka.

Co? Skąd ta smarkata wie takie rzeczy?

– Proszę? Skąd wiesz?

– Rozmawiałam z nią dziś rano.

– Sam do ciebie zadzwoniła?

– Nie bądź kretynką. Po co miałyby dzwonić? Telefonowałam z samego rana. Pięć razy. Ale nie odbierałaś. – Udaje, że podnosi kieliszek do ust. – Wiesz, mama sądzi, że jesteś alkoholiczką.

Dobrze wiedzieć, że Janie dzieli się swoimi podejrzeniami z resztą rodziny.

– Nie słyszałam telefonu.

– Chyba straciłaś przytomność. Cholera, wyglądasz okropnie.

– Żadnych przekleństw.

– Nie jestem małą dziewczynką. Przestań mi matkować! – krzyczy Iris.

– Cicho. – Od jej wrzasków łeb mi pęka. – Czemu wpadłaś na pomysł, żeby się do mnie przeprowadzić?

– Mama zadzwoniła wczoraj, żeby mi złożyć noworoczne życzenia i powiedziała, że przenosimy się do Arizony. Tak po prostu. Jej się wydaje, że może w jednej chwili zmienić całe moje życie. Zdziwi się, jak powiem jej i ojcu, że nie wyjadę. Masz pojęcie, na jakie zaburzenia emocjonalne ona mnie naraża? Dziś rano byłam okropnie roztrzęsiona, więc do ciebie zadzwoniłam, ale odebrała Sam. Uznała, że lepiej cię nie budzić. Opowiedziałam jej, jacy okropni są moi rodzice, a ona zwierzyła mi się, że zamieszka z Markiem. Ojej, co tak śmierdzi? Rzygałaś, co?

– Sam! Sam! – Gdzie ona jest? Siedzi w domu? Na pewno nie mówiła serio, gdy wspomniała o przeprowadzce do Marka. Przecież go nienawidzi. Aha, zapomniałam, że wczoraj wieczorem nagle wybiegła z „Orgazmu”, żeby go poszukać. Jak może się do niego wprowadzić, skoro z nią zerwał? Powinnam zadzwonić do Bena. Albo do Philipa.

– Nie ma jej. Poszła do Marka. Powiedziała, że bardzo chce z tobą pogadać, ale śpisz.

– Wierzyć mi się nie chce, że zwierzyła ci się pierwszej, a ja nic nie wiem.

– Zamierzała cię uprzedzić, Śpiąca Królewno. Powinnam raczej powiedzieć: Śpiąca Paskudo.

Czarno to widzę.

– Będę mogła zamieszkać w jej pokoju? Sądzę, że wolisz się tam przenieść. Mam rację? Dobra, mieszkasz tu dłużej, więc niech ci będzie. Biorę twoją sypialnię, ale coś mi się za to należy. Masz telewizor?

Kiedy moje życie stało się piekłem?

– Nie możesz się tu wprowadzić.

– Ale ja nie mam dokąd pójść! – Iris zaczyna szlochać. Trudno powiedzieć, czy to łzy prawdziwe, czy zmusza się do płaczu, ale i tak się wzruszam. – Naszej matce kompletnie odbiło! Mówię ci, tej kobiecie brak piątej klepki. Wciąż jest niezadowolona. Nie chcę przeprowadzać się do Phoenix! Przecież dopiero od niedawna mieszkam w Wirginii. A poza tym w Phoenix jest za gorąco.

– Ale tam...

– Nie mów nic o dobrym klimacie! Mnie to wisi! Nie zniosę kolejnej przeprowadzki. Ona troszczy się tylko o siebie. Nienawidzę ojca, bo tańczy, jak ona mu zagra. To okropna egoistka. Jeśli zamieszka u ciebie, będę mogła wrócić do swojej dawnej szkoły. Tam przynajmniej mam znajomych.

– Nie możesz się przenieść w połowie roku szkolnego.

– Czemu nie? Gdybym zamieszkała w Phoenix, i tak musiałabym zmienić budę. Powinnaś umyć zęby. Przyznaj się, rzygałaś, co?

Trzeba myśleć szybko.

– Na pewno nie ma mowy o przeprowadzce w połowie roku szkolnego, a więc masz sześć miesięcy, żeby się dogadać ze starymi.

– Dla Janie styczeń to początek roku, a nie jego połowa.

– Ale Bernie potrzebuje czasu, musi zmienić pracę.

– Właśnie zwolniło się stanowisko, więc powinni się przenieść w przyszłym miesiącu.

– Aha. – Śmierdząca sprawa.



– Aha? Nic więcej nie umiesz powiedzieć? Moje życie znów się wali, a ty zapominasz języka w gębie?

– Żal mi ciebie, Iris.

– A mnie ogarnia rozpacz. Mogę zostać?

– Starzy nie pozwolą ci tu mieszkać. – Ja się na to nie zgodzę. To pewne.

– Zaadoptuj mnie, co?

– Nie sędzę, żeby można było przeprowadzić adopcję szesnastolatki. Poza tym potrzebuję osoby, która po odejściu Sam zapłaci połowę czynszu. Nie stać mnie na wynajęcie całego mieszkania.

– Jestem bez forsy! Chyba nie oczekujesz, że będę chodzić do szkoły i zarabiać na swoje utrzymanie! Nie ma co, kochana siostrzyczka!

– Uczucia nie mają tu nic do rzeczy. Nie jestem w stanie...

Iris wciąga torbę do mojego pokoju i trzaska drzwiami. Tak mi się zaczął nowy rok.

Szukam w salonie. Nie ma portfela. Czyżbym go zgubiła? Może został w „Orgazmie”? Chyba tak. Na pewno! Zapomniałam schować go do torebki, gdy płaciłam za drinki.

Znajduję w książce telefonicznej numer klubu i telefonuję. Prosta sprawa. Z jednym wyjątkiem: bolą mnie nawet opuszki. Palców. Wczoraj rzeczywiście poszłam na całość. Może nadal jestem pijana, mam halucynacje i dlatego widzę Iris, a portfel leży na swoim miejscu? Nadzieja matką głupich, co? Niestety, torba podróżna Iris była zbyt ciężka jak na pijacką wizję, a portfel chyba zostawiłam w klubie. Oby zaopiekowała się nim jedna z cycatych barmanek. Niech mi go przechowa.

Drrr, drrr, drrr. Na pewno już otworzyli. Jest druga po południu, Nowy Rok, więc nie może być zamknięte. Mamy wolne. Minał kawał dnia. Przyda im się moja Visa. Można zaszaleć.

– Klub „Orgazm”. – Otwarte! Super!

– Dzień dobry. Wydaje mi się, że wczoraj zostawiłam portfel na barze.

– Nie znalazłem żadnego portfela.

– Na pewno?

– Tak. Ani jednego. Przykro mi.

– Proszę się rozejrzeć i sprawdzić! – Zaczynam histeryzować i słyszc to w moim głosie. Ten facet nie rozumie, że w moim śledztwie jest kluczową postacią.

– Moment. – Słyszę niewyraźnie, że łązi po sali. Wraca po pięciu minutach. Już myślałam, że o mnie zapomniał. – Nie znalazłem portfela. Współczuję. Na pewno wszędzie pani zaglądała?

Dlaczego ludzie zawsze o to pytają, kiedy coś zgubimy? Jaką odpowiedź chcą usłyszeć? Och, dzięki za błyskotliwą radę! Teraz sobie uświadomiłam, że trzeba jeszcze odsunąć kanapę i tam sprawdzić.

– Tak, przeszukałam każdy kąt.

– Pamięta pani, gdzie leżał portfel?

– Tak, na barze.

– Fatalnie. Ktoś go musiał zwinąć.

Dzięki, wspaniała nowina.

Wszystko przez tego cholernego Rodzynka. Zadzwonię do Marka, żeby pogadać z Sam. To on podnosi słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, Mark, co słyszc?

– W porządku. A jak u ciebie?

– Świetnie. Mogę rozmawiać z Sam? – Nie mam czasu na bezsensowne pogaduszki. Moim zdaniem, Sam powinna zostać z Benem. Ma przynajmniej osobowość, chociaż za dużo pije.

– Jasne. Chwila. Słyszę chichot.

– Cześć! – piszczy Sam. – Jak się czujesz?

– Nie zadawaj głupich pytań. Chyba wiesz. Gadaj szybko, co tu jest grane.

– Właśnie miałam do ciebie zadzwonić. Dzień dobry! Szczęśliwego Nowego Roku!

Dlaczego wszyscy tak krzyczą?

– Cicho. Ja też ci życzę szczęśliwego Nowego Roku.

– Od razu powiem, że już się na ciebie nie gniewam, jeśli w tej sprawie dzwonisz. Wszystko się wyjaśniło. Znów jesteśmy razem. – Ponownie słyszę chichot.

– Tak, słyszałam. Na pewno się wyprowadzisz. – Czemu jest taka szczęśliwa, gdy ja cierpię męki? Przyjaciele powinni okazywać współczucie.

– Rozmawiałaś z siostrą, prawda? Wybacz, że ci nie powiedziałam, ale nie chciałam cię budzić przed wyjściem. Wczoraj byłaś chyba w kiepskiej formie. Dostałaś mdłości?

Dlaczego wciąż rozmawiamy o mnie?

– Zachęcałaś Iris, żeby się do nas wprowadziła?

– Co ty gadasz?

– Ona tu jest.

– Jak się tu dostała? Rano twierdziła, że jest bez forsy.

– Dobre pytanie. Iris! – wrzeszczę. – Jak tutaj dotarłaś?

– Rusz głową, mądralo! – drze się smarkula przez zamknięte drzwi. – Przyleciałam samolotem.

– Stać cię było na bilet?

– Mama na wszelki wypadek zostawiła mi swoją kartę kredytową! Kupiłam bilet przez Internet.

Z tego wniosek, że za lot do Bostonu należy zapłacić kartą Janie, bo mamy do czynienia z sytuacją awaryjną, a taksówka z lotniska do mojego domu to normalka, więc mam wyłożyć forszę. Tak będzie odtąd wyglądało moje życie.

– Kupiła bilet przez Internet i zapłaciła kartą kredytową Janie – tłumaczę Sam. – Ale odbiegamy od głównego tematu.

– Nie zachęcałam twojej siostry, żeby się wprowadziła. Powiedziałam tylko, że Duzi Miś i ja rozmawiamy o wspólnym mieszkanku.

A dopiero wczoraj się pogodzili! Mark rzeczywiście spokojniał.

– Tylko rozmawiacie? Mam rozumieć, że nie wyprowadzisz się natychmiast?

– Cóż... na razie nie.

Och, kamień spadł mi z serca. Jeśli facet zwleka, nigdy się nie zdecyduje.

– A kiedy? Na święte nigdy?

– Bez przesady. – Czy w głosie Sam pobrzmiewa lekkie zniecierpliwienie? – Najpierw musimy znaleźć kogoś na moje miejsce, dopiero wtedy się wyniosę. Nie zamierzam stawiać cię w trudnej sytuacji.

– W takim razie zapomnij o przeprowadzce. Nie sądzisz, że to dość pochopna decyzja?

– Przykro mi, Jack. Nie cieszysz się moim szczęściem? Znów jesteśmy razem! Chcemy to uczcić, planujemy wspólne wakacje. Może na Wyspach Bahama? Wczorajszej nocy szukaliśmy w Internecie informacji o tanich biletach lotniczych.

– Moje gratulacje – odpowiadam ironicznie. Wiem, że jestem żołą, ale nic na to nie poradzę. Dobrze, niech jej będzie. – Strasznie się cieszę – zapewniam ją i odkładam słuchawkę.

Muszę wziąć prysznic. Jestem odrażająca. Oczy mnie pieką. Nie znoszę kłaść się brudna do łóżka. Tapeta na pewno pobrudziła mi poduszkę. Miga czerwona lampka automatycznej sekretarki. Ciekawe, ile telefonów przespałam dziś rano? Iris. Iris. Wendy (Oddzwoń. Sprawa jest pilna). Iris. Iris. Tata (Szczęśliwego Nowego Roku, Fren). Iris.

Najpierw przeszukam jeszcze raz wszystkie kąty. Pod kanapą? Nie ma. W schowku? Pudło. Cholera, gdzie jest mój portfel?

To już drugi, który straciłam. Pierwszy raz zdarzyło mi się to w Penn. Trwała sesja egzaminacyjna, więc chodziłyśmy z Wendy do biblioteki, żeby się uczyć. Postanowiłam zostawiać portfel w domu, bo w czytelni wszędzie były tabliczki: „Tu grasują złodzieje! Uważajcie na swoją własność!” Muszę przyznać, że dość lekkomyślnie rzuciłam portfel na kuchenny stół. Poszłyśmy do biblioteki.

Gdy wróciłyśmy po czterech godzinach, drzwi były uchylone. Dziwna sprawa. W pierwszej chwili nie przyszło mi do głowy, że ktoś się włamał. Pomyślałam, że właściciel mieszkania wymienił tylko zamki. Wendy pchnęła drzwi, nagle doznałam olśnienia. Zostałyśmy okradzione. Zaczęłam krzyczeć, żeby nie wchodziła, bo złodziej może być w środku, ale pobiegła ocenić szkody. Telewizor stał na swoim miejscu, magnetowid także. Wpadłam do swojego pokoju. Komputer? Jest. Drukarka? Ocalała. Wieża? Mam. W pierwszej chwili sądziłyśmy, że nic nie zginęło, ale po dwóch godzinach okazało się, że przepadła „Immaculate Collection” Madonny. Złodziej był chyba debilem, bo ukradł tylko niektóre kompakty –najgorsze składanki wytwórni Philadelphia. Wendy i ja kupiłyśmy na spółkę dwupłytkowe albumy „Chicago Graetest Hits”, „Air Supply Graetest Hits” oraz pojedyncze płytki: „Here Come the Hits” (mix funky z lat osiemdziesiątych), „Pretty in Pink” oraz

„Spice Girls”. Nie wiem, czemu złodzieje nie zrabowali „Cyndi Lauper's Greatest Hits”.

Następnego dnia zorientowałam się, że wzięli też mój portfel z kuchennego stołu. Gdy tata dowiedział się o włamaniu, z dumą stwierdził, że miał rację, każąc mi zrobić kserokopie wszystkich dokumentów, które nosiłam w portfelu. Tak na wszelki wypadek.

Tak, dobrze się stało, że udzielił mi takiej rady.

I dobrze, że człowiek uczy się na własnych błędach, bo od tej pory rzeczywiście mam kopie wszystkich ważnych papierów, bo nigdy nic nie wiadomo. Dobrze się zabezpieczyłam. Cholera jasna.

W głowie dźwięczy mi piosenka „Time after time” – „Tak raz po raz”. Paskudna sytuacja. Muszę zadzwonić do Wendy.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – woła radośnie. – Cieszę się, że to ty. Podjęłam noworoczne postanowienia.

– Jakie?

– Jadę do Europy.

– Wen... Ja ciebie nie poznaję!

– I to szybko.

– Na jak długo?

– Nie wiem. Kupiłam otwarty bilet.

Otwarty bilet! A jeśli nie wróci? Może zamieszka w Paryżu i z czasem będę musiała nauczyć się francuskiego, żeby z nią pogadać?

– Już go masz?

– Wczoraj w nocy grałam na komputerze, a potem weszłam do Internetu i kupiłam bilet.

No, no w sieci był wczoraj duży ruch. Wygląda na to, że wszyscy kupowali bilety lotnicze.

– Musiałaś pracować w sylwestra? Kto ci kazał?

– Nikt mi nic nie kazał – odpowiada nieco buntowniczym tonem. –  
Chciałam coś skończyć.

– Tak po prostu wyjeżdżasz? Naprawdę dojrzałaś do takiej decyzji?

Chwila ciszy.

– Nie jestem pewna. Ale tego właśnie chcę. Postanowiłam być  
szczęśliwa. Teraz wyłącznie pracuję i śpię. Rozmawiam też z bubbe. To nie  
jest życie.

– Znajdź sobie odpowiednie miejsce. W tym celu nie musisz jechać na  
drugi koniec świata.

– Ale tego właśnie chcę. Potrzebuję odrobiny szaleństwa. Polecisz ze  
mną?

Nie. Tak!

– Do Europy? Nie mogę.

– Dlaczego? Ja się zdecydowałam.

– Przecież... mam pracę, mieszkanie. – Wkrótce opuści mnie  
współlokatorka. – Iris do mnie przyjechała.

– W odwiedzinach?

– To długa historia. Gdzie wylądujesz?

– Na Heathrow.

Ach, Londyn.

– To niesprawiedliwe. Wiesz, że zawsze chciałam zobaczyć Londyn.

– To leć ze mną.

– Nie mogę. Kiedy wyruszasz?

– Na początku lutego.

– Za miesiąc? Tak prędko? A jeśli będziesz mi potrzebna? Jak mam cię  
znaleźć, gdy będziesz korzystać z życia, włóczęc się po Europie?



– To leć ze mną!

– Bądź rozsądna, Wen. Nie mogę tak po prostu wyjechać. Mam tu pracę.

– Ja również.

– I zgubiłam portfel.

– Znowu?

– Co ty gadasz? Wtedy został ukradziony. – Ta wariatka twierdziła, że mój portfel wcale nie padł łupem złodzieja. Według niej zostawiłam go przy ustawionym w holu biblioteki automacie ze słodyczami.

– Wiem, wiem. Gdzie ci zginął?

– Gdybym wiedziała, już by się znalazł, nie?

– Błąd. Możesz tylko pamiętać, gdzie go ostatnio widziałaś.

– W klubie podczas sylwestrowej imprezy.

– Powinnaś natychmiast zastrzec karty kredytowe.

– Cholera, tyle kłopotu.

– Musisz to zrobić od razu. Nie zwlekaj. A jeśli się znajdują?

Bzzz...

– Domofon dzwoni. Poczekaj.

Mam nadzieję, że to nie jest ktoś z rodziny. Mam dość takich wizyt. Proszę, błagam, zaklinam na wszystkie świętości! Byle tylko Janie nie wpadła na pomysł, żeby osobiście przyjechać po Iris! To wcale nie oznacza, że mam ochotę znosić dłużej towarzystwo mojej siostry. Po prostu w tej chwili rozmowa z Janie byłaby ponad moje siły. Może to Andrew. Pamiętam jak przez mgłę, jak obiecywał, że wpadnie i sprawdzi, co ze mną.

– Kto tam?

– Jeremy.

O Boże. Co on robi w Bostonie? Czemu przyszedł do mojego mieszkania? Nie mogę go wpuścić, bo okropnie śmierdzą. Nie chcę go widzieć.

– Włącz – mówię i naciskam guzik domofonu.

Czemu to zrobiłam? Nie powinien mnie zobaczyć w takim stanie. Jestem brudna. Zaraz poczuje ten smród. Zdażę wziąć prysznic? Za trzy minuty będzie na górze.

Domofon znów dzwoni.

– Podaj mi numer mieszkania.

– Pięćdziesiąt osiem.

Dziwne, że pamiętał budynek. Ostatnio widział go, kiedy przyjechaliśmy razem do Bostonu, żeby się tu rozejrzeć. Potem mnie zostawił i wszystko zepsuł. Mam jeszcze dwie minuty i czterdzieści sekund.

Gdy po trzech minutach i jedenastu sekundach słyszę pukanie do drzwi (pewnie winda utknęła w piwnicy; często tak bywa i zwykle jestem wściekła, ale dziś to błogosławiona zwłoka, bo zyskałam trochę czasu), żeby mam wyszorowane, twarz czystą, jestem ubrana w dżinsy i sweter, skropiona perfumami (nie zdążyłam psiknąć niczym pod pachy, raz tylko nacisnęłam atomizer), a włosy schowałam pod baseballówką z napisem „Red Sox”, którą kupił mi Jeremy. Mam nadzieję, że doceni ten gest.

O ile pamięta, że dał mi ją w prezencie.

O Boże, Jeremy zaraz tu będzie. Po co przyszedł? Puk, puk. Otwieram drzwi. Stoi przede mną ubrany w czarną skórzaną kurtkę, spłowiałe niebieskie dżinsy i czarne botki, które wybraliśmy razem tej wiosny. I ten cudowny zapach, jak zwykle.

– Cześć – mówi, próbując nawiązać kontakt wzrokowy.

– Cześć. – Nie patrz mu w oczy; nie patrz mu w oczy. Powinnam być na niego wściekła. Spotyka się z Crystal Werner. Sypia z nią. Zużyli co najmniej siedem gumek.

– Po co przyszedłeś? – Banalna kwestia.

– Możemy porozmawiać?

Jestem zbита z tropu. Skoro zrywamy, takie pytanie jest nie na miejscu. Zresztą już zerwaliśmy.

– Nie chce mi się z tobą gadać.

– Proszę. Możemy stąd wyjść?

– Nie.

– Bardzo proszę. Tęsknię za tobą.

Ach tak. Każda dziewczyna pragnie usłyszeć te trzy słowa. Podobnie jak: kocham cię, wyjdź za mnie, jestem draniem albo weź moją kartę kredytową.

Tęskni za mną.

– Proszę.

I tak łacinie prosi.

– Dobra. Możemy porozmawiać, ale jest u mnie Iris.

– Przyjechała na ferie?

– Niezupełnie.

– Chodźmy do mnie.

Ma już mieszkanie.

– Nie mam ochoty cię odwiedzać.

Pewnie myśli, że natychmiast padnę mu w ramiona. Trzeba go trochę pognać, skoro już spuścił z tonu.

– Czemu powiesiłaś u siebie tych golasów? – Ma na myśli reprodukcję obrazu – gwiazdkowy upominek od Tima umieszczony w salonie nad kanapą. W moim pokoju nie było już miejsca.

– To prezent.

– Jakiś dziwny.

– To nie patrz. – Czy przyszedł tu, żeby mnie denerwować?

– Przepraszam – mówi, dotykając lekko mojego ramienia. – Chciałem cię udobruchać, a znów podpadłem. Mam do tego szczególny talent. Pójdiesz ze mną na spacer do parku?

Do parku? Osobliwy pomysł.

– Przecież to zima.

– Ale jest ładnie. Dopilnuję, żebyś nie zmarzła. Bardzo proszę.

– Zgoda.

Co się ze mną dzieje?

Siedzimy nad stawem, gdzie latem pływają łabędzie. Teraz ich nie ma, bo jest za zimno. Jeremy zdjął kurtkę. Teraz na niej siedzimy. Miły gest.

Czyżby się zmienił? Nie zwraca uwagi na chłód. Myśli tylko o mnie. To możliwe. Kładzie dłoń na moim kolanie.

– Przykro mi z powodu Crystal.

Mnie również.

– Zerwaliście?

– Tak. Przysięgam.

Chętnie bym się czegoś dowiedziała o ich romansie, ale nie będę pytać. Właściwie nie chcę o tym słuchać. A jeśli... to ona go rzuciła? Może on zerwał. Albo ona. Co wtedy? Czy mam być z facetem, którego inna rzuciła? Nie wykluczam również, że wybrał mnie, bo mieszkam w Bostonie, a jej tu nie ma.

Opuszkami palców głaszczę jego dłoń. Od razu widzę, że ma zadbane paznokcie. Są tak starannie opilowane, jakby robił manikiur.

Pochyla się, żeby mnie pocałować. Oddaję pocałunek. Przyjemnie jest poczuć znajome dotknięcie jego ust. Chyba znów jesteśmy razem.

Chce mi pokazać swoje lokum, więc idziemy do niego. Wynajmuje niewielkie mieszkanie z jedną sypialnią na Charles Street. Poznaje szarą kanapę i regały, które miał już w Penn. Na podłodze stoi mnóstwo pudeł.

– Fajne mieszkanie – rzucam.

Pomaga mi zdjąć kurtkę i umieszcza ją na wieszaku. To chyba nowy zakup, bo dolna część tkwi jeszcze w wysokim kartonie.

– Dzięki. Mama je dla mnie wypatrzyła.

– Miło z jej strony. Kiedy się wprowadziłeś?

– Przed dwoma dniami. – Głaszcze mnie po policzku, a potem obejmuje dłonią kark. Całujemy się. Cała seria pocałunków. – Sypialnia jeszcze dziewicza. Pora to zmienić, co? – pyta, odsuwając się nieco.

Czy jestem gotowa go przyjąć? Gładzi mnie po plecach.

– Mogłabym najpierw wziąć prysznic?

Wyjmuje z bielizniarki puszysty szary ręcznik i zarzuca mi go na ramiona. Zawsze bardzo lubiłam ten gest. Moglibyśmy wykąpać się razem. Wyszedłby pierwszy spod prysznica, a ja stałabym długo w strumieniach ciepłej wody. Wróciłby po chwili i owinał mnie ręcznikiem, całując czule w usta.

Po obu stronach łazienkowego lustra umieszczone są rzędy okrągłych halogenowych lampek. Bardzo tu ładnie, jak nie u faceta. Blask słońca wpada przez szpary w plastikowych roletach i maluje więzienne paski na podłodze z jasnobłękitnych kafelków.

Co jest w szafce? Otwieram wolno lustrzane drzwiczki, żeby uniknąć skrzypienia. Widzę niewielkie białe pudełko. Czy są w nim gumki? Przechowuje je w łazience? Może bzykał się już pod prysznicem? Sypialnia jest wprawdzie dziewicza, ale może miał już jakąś panienkę za granatową zasłonką prysznica, pasującą do łazienkowego dywanika?

Chwila, dajmy chłopakowi szansę. Może kupił to opakowanie tu, w Bostonie, bo miał nadzieję, marzy i tak dalej. Łudził się, że mimo wszystko przydadzą się nam obojgu. Ile gumek powinno być w pudełku? Dziesięć? A może dwanaście? Kto by się w tym połapał? Czemu nie piętnaście czy dwadzieścia? Albo po jednej na każdy dzień miesiąca? Jaka strategię rynkową zastosowali producenci prezerwatyw?

Jeśli choć jednej brakuje, wychodzę.

Aha. W białym pudełku są witaminy.

Zamykam szafkę i odkręcam kran. Za zimna. Obracam gałką w lewo. Za gorąca. Jestem na sobie zła, bo jak zwykle nie potrafię sprawnie wyregulować temperatury. Przesuwam na prysznic... a przynajmniej taki miałam zamiar. Znów się złościę, bo to również moja słaba strona. Nie potrafię uruchomić prysznic. Dlaczego to jest takie trudne? Nareszcie. Z sitka płynie gorąca woda, gdy stoję na pasiastej podłodze, żeby wziąć mydło. No proszę, ma „Dove”. Odnoszę wrażenie, że mamusia zadbała o wszystko, a on się tylko wprowadził.

No tak, mieszka tu dwa dni. Gdzie spędził sylwestra? Skoro tak mu na mnie zależy, czemu nie zadzwonił? Może był w „Orgazmie”? Ja go tam nie widziałam. Zauważył mnie? Czy wie, że siedziałam sama przy barze? Zobaczył mnie z Andrew? A jeśli zorientował się, że wychodzimy razem, i teraz ma poważne obawy, że mogę na nowo ułożyć sobie życie i uwolnić się spod jego wpływu? Czy straci zainteresowanie, gdy poczuje się bezpieczny?

Stoję kompletnie zbita z tropu w jego nowoczesnej kabinie prysznicowej, a gorąca woda masuje mi plecy. Od kiedy jestem taka zagubiona? Kiedy zaczęłam przeszukiwać jego szafki i nerwowo liczyć prezerwatywy?

Oddycham z trudem. W łazience kłębi się para.

Zakręcam wodę i wychodzę z kabiny. Muszę zdecydować, jak mam postąpić, co powiedzieć, kim być. Otwieram okno i owinięta puszystym ręcznikiem siadam na kafelkowej podłodze. Nim policzę do dziesięciu, para się chyba ulotni i znów będę normalnie oddychać. Raz... dwa... trzy... Gdy doliczę do dziesięciu, znajdą się pewnie odpowiedzi na moje pytania. Cztery... pięć... sześć...

Czy moje związki są nieudane, bo z woli losu mam być z Jerem? A może boję się polubić innego faceta, okazać mu czułość i przyznać, że Jer to przeszłość i nic nas nie łączy?

Czy ja go kocham? A jeżeli boję się, że nie jestem w nim zakochana?

Siedem... osiem... dziewięć. Dziesięć.

Może jest zapisane w górze, że mamy być razem. To nie jest bez znaczenia, że wciąż do siebie wracamy.

– Jer? – wołam. – Chodź tu na moment.

– Zaraz! – krzyczy z salonu. Po chwili otwiera drzwi.

– Tu jest zbyt gorąco. Wyjdź.

– A tam za zimno.

Chwytam go za ramię i wciągam do środka. Drzwi zostają uchylone.

– Czy ty mnie kochasz?

– Ja... – Patrzy bez słowa. – Jak mam odpowiedzieć na to pytanie? Jestem tu zaledwie dwa dni.

Ale obciach! Jer się nie popisał.

– Znamy się trzy lata. Skoro teraz nie znasz odpowiedzi, chyba nigdy jej nie znajdziesz.

Twarz mu czerwienieje od gorącej pary.

– A ty mnie kochasz? – zadaje to samo pytanie.



Może to bez znaczenia, że nie padło miłosne wyznanie? Czy warto się przejmować, że zawsze będę liczyć mu prezerwatywy? Chyba nie jest nam pisany głębszy związek.

Właściwie liczy się jedynie to, co przeszłam w ciągu ostatnich miesięcy. Jeśli zostanę z Jeremym, powinnam sobie kupić botki sięgające ud.

– Idę do domu.

Patrzy na mnie bez słowa, a potem wychodzi z łazienki.

Ubieram się i postanawiam wrócić autobusem. Jer nie próbuje mnie zatrzymać. Gdy idę do przystanku, na mokrych włosach tworzą mi się lodowe sople. Gdy wrócę do domu, wezmę gorącą kąpiel. Potem unieważnię karty kredytowe.

Czasami trzeba po prostu wziąć się w garść i zrobić bilans strat.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### *Czy mogę być wróżką?*

Wchodzę do domu i widzę Sam oraz Iris. Siedzą razem na kanapie i oglądają „Policjantów z Nowego Jorku”.

– Cześć – mówią chórem.

– Cześć. – Przyłączam się do nich i włączę pod kocyk. – Ktoś dzwonił?

– Tak – odpowiada Iris. – Andrew.

– Co mówił? – Moje serce na moment przestaje bić i potem znów kołacze.

– Nic szczególnego. Szybko odłożył słuchawkę.

– Rozłączył się? Ale dlaczego?

– Nie był zachwycony, że wyszłaś z Jeremym.

– Trzeba mu było nie mówić!

– Ojej, nie miałam pojęcia, że to sekret.

Dobra siostra powinna mieć trochę wyczucia, prawda?

– Skąd wiesz, że wyszłam z Jeremym? – Kiedy zamykałam za sobą drzwi, siedziała w moim pokoju.

– Krzyknęłaś, że idziesz z nim na spacer. Byłam głodna, więc poszłam szukać jedzenia. Nic nie znalazłam i postanowiłam zamówić pizzę, ale słuchawka nie była odwieszona, a po drugiej stronie czekała Wendy. Chyba o niej zapomniałaś. Bardzo nieładnie, Jackie. Wendy nie przepada za Jerem. Wiesz, że ma jechać do Londynu?

Kurczę blade, cholera jasna! Moja siostra przyjechała do Bostonu trzy godziny temu, a już porządnie narozrabiała i przewróciła mi życie do góry nogami. Muszę natychmiast zadzwonić do Andrew.

Biegnę do swego pokoju i zamykam drzwi. Dzwonię. Odzywa się automatyczna sekretarka.

Po godzinie znów próbuję i zostawiam wiadomość. Nie oddzwonił. Do następnego ranka zero kontaktu.

– Co mam zrobić? – wypytuję Sam.

– Pewnie ma wyświetlacz numerów i wie, kto dzwoni. Spróbuj na komórkę.

Dobra rada. Jest połączenie.

– Halo?

– To ja.

– Tak.

– Z Jeremym nic nie było.

– To bez znaczenia.

Czyżby?

– Wręcz przeciwnie. Skoro mnie olewasz, ta sprawa musi być dla ciebie ważna.

– Olewam cię, bo jesteś żalosna.

No, tego się nie spodziewałam.

– Dlaczego?

– Powtarzasz, że nie chcesz mieć z nim nic wspólnego, lecz wystarczy, żeby gwizdnął, a ty już biegniesz.

– Nieprawda. Wcale nie biegnę. – Znowu kłamię jak z nut. Nawet dla mnie to tylko puste słowa.

– Twoja siostra powiedziała, że zapukał do twoich drzwi i zaraz wyszliście razem. Moim zdaniem, pobiegłaś za nim, nie sądzisz?

– A czego się spodziewałaś? Musiałam dać mu szansę, żeby wyjaśnił mi kilka spraw. Ale do niczego nie doszło. Nie jesteśmy razem.

– Ty wiesz lepiej, ale, moim zdaniem, przed walentynkami znów będziecie parą.

– Powiedziałam ci, że to niemożliwe.

– Dobra. Jasne. Uważaj na siebie. – Przerzywa rozmowę.

Następnego ranka budzi nas dzwonek telefonu. To znaczy mnie i Iris, która śpi w poprzek łóżka. Jak taka drobna dziewczyna może zajmować tyle miejsca?

– Halo? – Może to Andrew? Mam nadzieję, że zrozumiał, jak bezsensowne, okrutne i niesprawiedliwe są jego zarzuty.

– Jacquelyn? To ty? – mówi Janie. Jest okropnie zdenerwowana.

Najchętniej powiedziałabym, że to pomyłka, lecz odruchowo mruczę:

– Tak.

– Iris zaginęła! – słyszę jej krzyk. – Właśnie przyjechałam do domu i widzę, że gazeta leży pod drzwiami. Tu jest okropny bałagan. Moim zdaniem, została porwana.

– Spoko. Jest u mnie. – Już się rozbudziłam.

– W Bostonie? Dlaczego?

– Nie była zachwycona twoimi planami kolejnej przeprowadzki.

– Czemu do nas nie zadzwoniłaś? Tak się martwiliśmy.

Nie mam pojęcia, czemu ich olałam. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że należałoby ich zawiadomić. Chyba postąpiłam nieodpowiedzialnie. Gdyby Iris była rośliną doniczkową, pewnie już by mi uschła, ponieważ zapomniałabym o podlewaniu.

– Przepraszam. Nie pomyślałam o tym.

– Musisz ją natychmiast odesłać.

– Nie jest paczką. Mam ją nadać pocztą kurierską? Poczekaj chwilę. Na kiedy wykupiłaś powrót? – pytam Iris.

– Już mówiłam, że mam bilet w jedną stronę. Słuchaj uważnie! Ja tam nie wrócę.

– Postanowiła tu zostać – mówię do Janie.

– Daj mi ją do telefonu.

– Chce z tobą rozmawiać. – Podaję małej słuchawkę.

– Wykluczone.

– Bierz.

– Nie.

– Weź słuchawkę, Iris! – krzyczy Janie, ale Iris kręci głową.

– Teraz się kąpie – podejmuję negocjacje.

– Nie kłam.

– Jest na ciebie wściekła. Nie chce się przeprowadzać do Arizony.

– Dlaczego? To piękny stan.

– Zrozum, ma szesnaście lat, a w tym wieku przyjaciele są strasznie ważni. Przez ostatnie dziesięć lat zaliczyła mnóstwo przeprowadzek. Moim zdaniem, jest trochę zmęczona takim koczowniczym życiem.

– Tak się składa, że w naszej rodzinie nie ona podejmuje decyzje.

– Nie sądzisz, że to przesada? Chcesz, żeby się przeniosła w trakcie roku szkolnego?

– O czym ty mówisz? Przecież musimy sprzedać dom, co zajmie parę miesięcy. Zostanę z nią w Wirginii, aż do rozdania świadectw.

– W nowej szkole będą mnie wytykać palcami! – szlocha Iris.

– Słyszę ją! Wcale nie siedzi w łazience!

Rzucam Iris ostrzegawcze spojrzenie i wracam do przerwanych negocjacji z Janie.

– Naprawdę chcesz zostać do lata?

– Oczywiście.

Odwracam się do mojej zapłakanej siostry.

– Przestań być taka dziecinna.

– Nienawidzę cię! – krzyczy Iris, wrywając mi słuchawkę. – Przez całe lato nie będę miała z kim pogadać! W następnej klasie też nikt się do mnie nie odezwie! Nie chcę się przenosić! Wolę mieszkać z Jackie. Ona jedna mnie kocha. Chce, żebym była szczęśliwa. – I to jest koniec rozmowy. Rzuca słuchawkę na widełki. Terapia tej smarkuli pochłonie bająćskie sumy. – Błagam, pozwól mi tu zamieszkać. Mogę zostać? – prosi.

Żal mi jej. Naprawdę. Ale co ja mogę?

– Nie będę w stanie zająć się tobą.

– Mam szesnaście lat. Nie potrzebuję niańki. Poza tym dla ciebie to również znakomite wyjście. Sam się wyprowadza, a ty nie lubisz samotności.

– Chyba nie sądzisz, że mieszkam tu za darmo. Już ci mówiłam, że nie stać mnie na zapłacenie pełnego czynszu.

– Mogę rzucić szkołę i pójść do pracy.

– Jasne. Moje największe marzenie: Iris przerywa naukę. Przed tobą tylko jeden rok, dziewczyno. Potem rozpoczniesz studia. Zaczynij się wreszcie nad tym zastanawiać.

Odwraca się i ryczy w poduszkę.

Pamiętam jej pierwszy dzień w bostońskiej szkole. Studenci mieli jeszcze wakacje, ale uczniowie zaczynają wcześniej. Czekałam w samochodzie Janie gotowa wysłuchać szkolnych nowinek. Iris była bardzo przejęta i okropnie zaniepokojona, kiedy się rano ubierała. Włożyła spodnie Calvina Kleina i top odsłaniający pępek.

– Jak było? – spytała Janie dość niepewnie. Iris wybuchnęła płaczem i wykrztusiła:

– Przez cały dzień nikt się do mnie nie odezwał. Obiad zabrałam do łazienki, bo musiałabym usiąść sama.

Serce mi się kraje, gdy ta mała płacze. Z westchnieniem patrzę na jej buzię mokrą od łez.

– Proponuję, żebyś spędziła u mnie lato. Czy w takim układzie zechcesz potem przeprowadzić się do Janie? – Nie wierzę własnym uszom. Całe lato z moją siostrą? Chyba mi odbiło. Lepiej od razu połknąć całą fiolkę jakichś prochów. Efekty będą porównywalne.

Janie powiedziała kiedyś, że gdyby Iris urodziła się jako pierwsza, zapewne pozostałaby jedynaczką. Pod koniec lata mojej matce zostanie tylko młodsza córka, bo ja się chyba przekręcę.

– Zaprosisz mnie na całe lato? – Iris przestaje ryczeć.

– Możliwe. Ale musisz płacić czynsz i sama się utrzymywać, a to oznacza, że powinnaś znaleźć pracę. Poza tym ustalę, o której masz wracać.

– W domu nie mam szlabanu.

– A powinnaś. Ja miałam. Będiesz przestrzegać moich zasad, bo w przeciwnym razie polecisz do Phoenix pierwszym samolotem.

– Mówisz serio? Będziemy razem mieszkać?

– Tak, ale tylko w czasie wakacji

Dzwonię do Janie i przedstawiam jej nasz plan.

– Nie potrafiłaś zaopiekować się żółwiem. Jak dasz sobie radę z nastolatką?

– Miałam wtedy dziesięć lat, a żółw wybrał wolność. To nie moja wina.

– Moim zdaniem, to nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? Lepiej się poznamy. Jesteśmy siostrami, a tak mało czasu spędzamy razem. Łączy nas silna więź, którą należy umacniać. Bardzo proszę, zgódź się.



– Powinnam omówić tę sprawę z ojcem Iris, ale dochodzę do wniosku, że wasz plan nie jest taki zły. Będę mogła spokojnie dopilnować przeprowadzki.

Chyba się udało. Przynajmniej nie będę mieszkać tu sama. Iris wprowadzi się w lipcu i zostanie do końca sierpnia, a w tym czasie znajdę odpowiednią sublokatorkę. I prawdziwego chłopaka. Może zostanie nim Andrew? Gdyby zamieszkał ze mną na początku września...

Dwa dni później odwożę Iris na lotnisko, a stamtąd jadę prosto do Andrew. Nie chce ze mną gadać przez telefon, ale chyba nie zamknie mi drzwi przed nosem, co? Mam nadzieję, że go zastanę. To byłoby okropne, gdybym przejechała taki szmat drogi do Cambridge i pocałowała klamkę.

Parkuję przed domem i naciskam dzwonek. Otwiera drzwi ubrany w spodenki, biały T-shirt i czapkę baseballówkę. Wcale się nie cieszy na mój widok.

– Cześć – mówię.

– Czego chcesz?

– Możemy porozmawiać?

– Właż. – Ciężko wzdycha.

Idę za nim korytarzem. Nie zdejmuję kurtki, bo mi tego nie zaproponował.

– Siadaj. – Wskazuje kanapę.

Sadowię się na niej i zaczynam prosto z mostu:

– Przepraszam. Miałaś rację.

– W jakiej sprawie?

– Byłam żalosna. Sądziłam, że Jeremy jest mi potrzebny do szczęścia, ale to nieprawda. Już wiem, czego chcę. – Nadeszła wiekopomna chwila. – Ciebie.

– Nie sądzę.

– Ależ tak.

– Nie. Wmawiasz sobie, że jestem ci potrzebny, ale to nieprawda.

Dlaczego próbuje wyprowadzić mnie z równowagi?

– Dobra, panie Freud. Czego ja właściwie chcę?

– Potrzebujesz chłopaka.

– No i co?

– Nie mam ochoty zadawać się z panną, która chce kogoś mieć. Czekam na taką, która wybierze mnie.

Przecież to brednie.

– Chcę, żebyś ty był moim chłopakiem.

– Zrozum, nie będę z tobą tylko dlatego, że potrzebujesz jakiegoś faceta. Która część tego zdania jest dla ciebie niejasna? – Zdejmuje czapkę, przegarnia włosy i znów ją zakłada. – Lubię cię. Nawet bardzo. Jesteś mądra, śliczna, wesoła. Bardzo mi się podobasz. Zwłaszcza gdy jesteś ze mną.

– Lubię z tobą być. – Chyba wszystko jasne. Po co komplikować sprawę? Jesteśmy parą, nie?

– Ale wiem, że gdy zaczniemy się umawiać, wszystko spieprzymy. To oczywiste, że Jeremy nie jest ci obojętny.

– Wiem, że nie chcę się z nim zadawać. Czy to nie wystarczy?

– Nie nadaję się na pocieszyciela.

– Wcale ci tego nie proponuję!

– Powinnaś stanąć na własnych nogach. Jeśli w ogóle mamy być razem, muszę wiedzieć, z kim się związałem. Jak mam cię rozszyfrować, skoro nie wiesz, kim naprawdę jesteś? Jak masz poznać siebie, jeżeli brak ci poczucia tożsamości? Nie zajmujesz się sobą. Pobądź trochę sama.

Za często ogląda programy Oprah. Czy chce mi dać do zrozumienia, że mam pojechać do Tajlandii, żeby odnaleźć siebie? A przecież Jer wrócił stamtąd jako kompletny dupek. Szczerze mówiąc, zawsze był dupkiem. Wiem,

wiem, Andrew ma rację. Nie można przechodzić z rąk do rąk. Ale samotność jest znacznie gorsza. Nienawidzę być sama. Zawsze starałam się tego uniknąć.

– Jak długo?

– Zobaczysz. To zależy od ciebie.

– Miesiąc? – Jakoś wytrzymam.

– Nie wiem, Jack.

– Dwa miesiące? – Jakoś zleci.

– Może rok. – Rok? Czy jemu całkiem odbiło? Rok samotności? Chyba pobladłam śmiertelnie, kiedy o tym wspomniał, bo wybuchł śmiechem i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– To wcale nie jest tak długo.

– A co z tobą? – Odsuwam jego rękę. – Wrócisz do Jess?

– Nie. Zerwałem z nią, ponieważ do siebie nie pasujemy. Nie wiem czemu, ale tak jest i koniec. My dwoje nadajemy na tych samych falach, ale to nie jest odpowiedni moment.

– Bardziej mi się podobałeś jako nihilista.

Wzrusza tylko ramionami.

– Chyba już pójdę – rzucam, idąc w stronę drzwi. – Odezwę się do ciebie za rok. – To okropne. Nienawidzę go. Przez niego muszę szukać współlokatorki i rozglądać się pilnie za jakimś chłopakiem.

– Jackie, poczekaj. Nie chcę, żebyś wyszła stąd wściekła. Na razie bądźmy przyjaciółmi.

– Mam dość przyjaciół. – To najgorszy tydzień w moim życiu, ale nie będę płakać. Po powrocie z Nowego Jorku ani razu nie ryczałam. – Do widzenia. – Wychodzę z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Wracam do domu. Nie mam ochoty na zwierzenia. Siadam na kanapie i włączam telewizor. Może nigdy się już nie odezwę? Stanę się potworną

dziwaczką, a reporterzy ze stacji telewizyjnych będą koczować przed moim mieszkaniem. Cały kraj zada sobie pytanie, cóż mnie tak odmieniło. Andrew obejrzy wiadomości i poczuje wyrzuty sumienia, że zachęcał mnie do życia w samotności, a Sam pożałuje, że się stąd wyprowadziła.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Kiwam głową.

– Na pewno?

Kolejne skinienie.

Okropne to moje życie. Nienawidzę takiej wegetacji. Na domiar złego jutro muszę wrócić do pracy, której istotę i treść stanowią znaki interpunkcyjne. Co mi po nich? Czy nie można pisać jednym ciągiem, bez żadnych przerw? Niech zdania staną się bezsensowne jak moje życie.

– Idę do Marka – mówi Sam. – Wrócę jutro.

Kiwam głową. Jakie to ma znaczenie? Dwadzieścia minut później słyszę zgrzyt klucza w zamku. Wróciła. Pewnie czegoś zapomniała. Może kajdanek?

– Zmieniłam plany. Wstąpiłam do sklepu. Mamy ciastka, lody, maseczkę do twarzy i zestaw do pedikiuru. Potrzebna ci metamorfoza, prawda?

Wybucham płaczem.

– Moim zdaniem, to zwykły popapraniec – mówi Sam kwadrans później. Twarz ma pokrytą odżywczym błotem. – Czy przyzwoity facet powiedziałby dziewczynie, że potrzeba jej samotności? Szkoda, że tak się ułożyło. Miałam nadzieję, że tu zamieszka i przejmie moje zobowiązania wynikające z umowy najmu.

– Komu przychodzą do głowy takie wariackie pomysły?

– Tylko facet o chorej wyobraźni może coś takiego wykombinować. A mieszkanie? Jak rozwiążesz ten problem?

– Nie mam pojęcia.

– Może Natalie by się tu wprowadziła?

Czy jestem w stanie mieszkać z Nat? Ostatnio robiła dyskretne aluzje. Moim zdaniem, ma dość życia w rodzinnym domu.

– Zastanowię się. Kto wie? – Stawiam jeden warunek: notes strażnika kalorii zostaje w Beacon Hill.

Oglądamy „Policjantów z Nowego Jorku” (Sam już się uniezależniła od „Modnego ślubu”). Kończy się odcinek, idę do łóżka i dzwonię do Wendy.

– Jedź ze mną.

– Nie mogę rzucić wszystkiego i wyjechać.

– Czemu? – Dobre pytanie.

– Przede wszystkim nie mam forsy.

– Żadnych oszczędności?

Chwileczkę!

– Odkładałam sobie dolce przeznaczone na terapię, ale chciałam za nie kupić odtwarzacz do auta.

– Przecież nie masz kompaktów!

– Nieprawda! Po kradzieży dorobiłam się paru.

– Ile ich jest?

– Dwa. Zamierzałam uzupełnić kolekcję, o ile po zakupie odtwarzacza zostanie jakaś końcówka.

– Tych wyłudzonych pieniędzy na pewno starczy na bilet lotniczy. Powiem ci, jak znaleźć w Internecie korzystną ofertę.

– Sam bilet nie wystarczy. W Europie trzeba jeść. Bagietki nie rosną na drzewach. A noclegi?

– Będziemy spać w schroniskach młodzieżowych. Możemy zabrać namiot. Zatrudnimy się jako kelnerki. Zaczniemy handlować błyskotkami w Hyde Parku.

– Jesteś specjalistką od lokat bankowych! Rzucisz doskonałą posadę, żeby sprzedawać tandetną biżuterię?

– Pożyczę ci forszę. Pod koniec ubiegłego roku nieźle się obłowiłam.

– Żadnych długów. – Mój umysł pracuje z zawrotną szybkością. Przed świętami dostałam małą premię. Ziarnko do ziarnka...

– Nie chcesz ode mnie pożyczyć, ale jedziesz, prawda? Nie daj się prosić. Czy potrafię tak po prostu ruszyć w nieznane?

– Wyjeżdżasz pierwszego lutego.

Dla mnie to za wcześnie. Sam jest wszystko jedno. Może się przeprowadzić do Marka, ale umowę najmu trzeba wypowiedzieć z dwumiesięcznym wyprzedzeniem.

– A zatem przyłączysz się do mnie w marcu. Najpierw sama trochę pozwidzam. Dokąd chcesz pojechać?

– Do Paryża. I na południe Francji. A potem do Włoch. Obowiązkowo zrobię sobie zdjęcie na tle krzywej wieży w Pizie.

– A więc postanowione?

– Może. Tak. Pomyślę. No dobra.

Co mnie tu trzyma? Nie mam faceta, współlokatorka niedługo się wyprowadzi, a praca jest śmiertelnie nudna.

Iris mnie zabije.

Następnego dnia idę do pracy. Od razu widzę czerwone baloniki nad klitką Helen i wielki czerwony transparent z napisem: Serdecznie gratulujemy!

Co tu się dzieje? Czy jej książka została nominowana do nagrody Pulitzera? Nie zamierzam jej wypytywać o szczegóły, bo zacznie natychmiast się puszyć.

Nienawidzę tego wydawnictwa. Mam dość obsesyjnej fascynacji zasadami gramatyki. Zaraz napiszę wypowiedzenie. Podchodzę do biurka Shauny.

– Możemy porozmawiać?

– Naturalnie – odpowiada. – O co chodzi?

– Chcę... – Przerywają mi chóralne śpiewy. Jakaś uroczystość? Trzeba zapytać. – Co się dzieje?

– Nie słyszałaś? – Jasna sprawa. W przeciwnym razie nie zadałabym tamtego pytania.

– Wydajemy książkę Helen!

– Słucham?

– Napisała romans do serii „Miłość i pożądanie”, a my go opublikujemy.

Helen pisze romanse?

– Kiedy przyniosła wydruk?

– Przed paroma miesiącami.

– Jak go zatytułowała?

– „Narzeczonej milionera”. Domyślam się, że bohaterem jest nadziany facet, który znajduje sobie żonę.

Trafiłaś w dziesiątkę.

Chwileczkę! Przecież redagowałam tę książkę. Zawierała sceny erotyczne. Helen umie pisać takie rzeczy? Czyżby sama uprawiała seks?

Pędzę do jej pokoju.

– Jesteś autorką „Narzeczonej milionera”.

– Och, Jackie, cieszę się, że wpadłaś, bo...

– Czemu mi nie powiedziałaś? Zrobiłam poprawki.

– Gdybyś wiedziała, że jestem autorką, nie byłabyś obiektywna, a na tym mi zależało.



– Ale czemu poprosiłaś mnie o pomoc w redagowaniu swojej książki, skoro Julie ma znacznie większe doświadczenie? – A poza tym wiesz, że jestem do ciebie uprzedzona, ty pasjonatko interpunkcji.

– Chciałam, żeby tekst był wygładzony, ale bez przesady.

– Ojej, dziękuję. – Zołza.

– Twoje uwagi dotyczące kompozycji były znacznie ważniejsze niż redakcja.

Robi mi się ciepło na sercu.

– Naprawdę?

– Mówię poważnie. Gdyby nie twoja pomoc, chyba nie odważyłabym się na publikację. Bardzo dziękuję.

A więc zostałam podstępnie wciągnięta do spisku, który miał na celu urzeczywistnienie marzenia Helen.

– Nie ma za co dziękować. Gratuluję sukcesu.

– Poczekaj, to nie wszystko. Postanowiłam odejść z wydawnictwa i zostać pisarką. – Niemożliwe! Helen odchodzi? Super! Nawet gdybym nie wybierała się do Europy, miałabym powód do radości. – Zdecydowałam też, że proponuję, żebyś ty przejęła moje dotychczasowe obowiązki. Wiem, że praca redaktorki bardzo ci odpowiada, bo interesujesz się interpunkcją, ale ważniejsze jest twoje wyczucie stylu. Pamiętaj, że moja rekomendacja wiele tutaj znaczy.

Szczęka mi opadła. Świat zwariował? Helen będzie pisała romanse? Proponuje mi awans? Co mam robić? A podróż do Europy? Jeśli dostanę kopniaka w górę, zapewne przejdzie mi koło nosa jedyna szansa odnalezienia samej siebie. Na zawsze pozostanę zagubiona. Gdy na ulicy ktoś zapyta, co u mnie słyszeć, odpowiem, że nie mam pojęcia, bo trzeba by najpierw nadstawić

ucha. Skoro nie mogę się odnaleźć, trudno powiedzieć, skąd płyną dźwięki. Przecież jestem całkiem zagubiona.

Dziękuję Helen i umykam do swego pokoju. Muszę natychmiast zwierzyć się komuś bliskiemu. W przełomowych chwilach zwykle to Wendy słucha na gorąco moich opowieści, ale obawiam się, że tym razem jej konkluzje będą odrobinę stronicze.

Dzwonię do Janie. Dzięki Bogu jest w domu.

– I co byś zrobiła na moim miejscu?

– Przed dyplomem profesor filozofii zapytał mnie o życiowe plany, a ja na to, że chcę wyjść za mąż. Twierdził, że jestem zbyt młoda i poradził, bym pojechała do Europy i znalazła sobie kochanka.

– Chcesz powiedzieć, że mam jechać?

– Mówię, że młodość przeżywa się tylko raz. Kiedy znów nadarzy ci się okazja, by rzucić wszystko i ruszyć w nieznane?

W jej życiu nie brakuje takich sposobności.

– A co z Iris? Miała spędzić ze mną lato.

– Zostaw to mnie. Sama się o nią zatroszczę. Teraz wykorzystaj swoją życiową szansę i jedź do Europy. Ach, jakie to podniecające!

Mam przeczucie, że gdy opuszczę Boston, nigdy już do niego nie wrócę. W każdym razie nie będę tu mieszkać. Czy dojrzałam do przeprowadzki? Zapewne przeniosę się do Nowego Jorku. Gdybym tu jednak została, ciągle będę w strachu, że wpadnę na Andrew lub Jera. A sublokatorka? Czy przez cały następny rok mam liczyć kalorie zapisane w barwnym kołonoatniku?

– Intuicja mi podpowiada, że twoja wyprawa to doskonały pomysł – mówi Janie. Ma bzika na punkcie swoich przeczuc. Twierdzi nawet, że ma wybiórcze zdolności parapsychologiczne. Zapewne odziedziczyłam po niej ten

niezborny wgląd w istotę rzeczy. Po chwili dodaje: –Przyszło mi teraz do głowy, że moglibyśmy zamieszkać w Londynie.

Dzwonię do taty. Z góry wiem, co usłyszę, i moje domysły szybko się potwierdzają. Jego zdaniem, wycieczka do Europy byłaby dowodem braku poczucia odpowiedzialności.

– Zachowujesz się jak twoja matka. Żadnego pojęcia o planowaniu i przewidywaniu. – Trudno powiedzieć, czy chodzi mu o moje przerwane studia magisterskie, czy też o ich małżeństwo. Czy naprawdę brak mi wytrwałości? Mówię ojcu, że muszę kończyć.

Co robić? Potrzebuję rady, pomocy, odpowiedzi... najprawdziwszej intuicji. Mam pomysł. Wróżka! Jo–jo! Światowej sławy adeptka parapsychologii. Jest także doskonałą kosmetyczką (dodatkowe specjalności to przedłużanie włosów i nakładanie tipsów). Czy można do niej zadzwonić?

Biegam po wydawnictwie, szukając gazety. Gdzie ta Jo–jo? Nie pojawia się już wśród specjalistów ze swojej branży. Ale widzę inne ogłoszenie. „Stowarzyszenie

Wróżbiarstwa Praktycznego – także w programach telewizyjnych!" W przeciwieństwie do konkurencji organizacja posiada certyfikat niezależnych ekspertów, co podnosi jej wiarygodność. Podobno ich eksperci odpowiadają na wszystkie pytania dotyczące miłości, forsy i przeznaczenia. „Porady telefoniczne: dwie pierwsze minuty – gratis. Każda następna – 5,99 dolara. Minimalny czas konsultacji: jedna minuta".

Drogo. A jednak wystukuję numer. Nie stać mnie na taki wydatek, ale mam przecież kartę kredytową. Jest nowiutka, właśnie ją odebrałam. Będę się martwić pod koniec miesiąca.

– Witamy w imieniu Stowarzyszenia Wróżbiarstwa Praktycznego – mówi kobieta o cukierkowym głosie nagrany na taśmę. – Tu profesjonalny serwis

wróżbiarski dostępny wyłącznie dla pełnoletnich klientów. Po sygnale zaczniemy odliczać dwie pierwsze darmowe minuty.

Bip. Włączam stoper w moim zegarku.

– Dzień... dobry... Prosimy... wybrać... numer... określonej... wróżki... albo... czekać... na... połączenie. – Skąd będą wiedzieli, z kim chcę porozmawiać? Zapada milczenie. – Proszę... czekać... – Cisza. Sygnał, potem drugi, trzeci. W końcu odzywa się Lewis.

– Witam – mówi Lewis ze śpiewnym, południowym akcentem. Spodziewałam się usłyszeć kobiecy głos, ale nie mnie decydować, kto się nadaje na wróżkę. – Proszę mi podać imię i datę urodzenia. – Słucham? Wróżbita powinien wiedzieć, z kim ma do czynienia. Mniejsza z tym. Podaję mu swoje dane i czekam na raport dotyczący mojej przyszłości. – Jesteś z natury otwarta, szczerą i hojną – ciągnie, jakby czytał z ekranu monitora. – Oddałabyś ubogiemu ostatnią koszulę. Będziesz miała bogate życie uczuciowe, zyskasz poczucie bezpieczeństwa. Kochasz dzieci. Nadchodzący tydzień będzie pomyślny. Otrzymasz dobre wiadomości.

– Proszę? – umyślnie przerywam. To najlepsza metoda, żeby sprawdzić, czy głos nie leci z taśmy. Lewis nie zwraca na to uwagi i mówi dalej:

– Osiągnęłaś doskonałe porozumienie z bliską osobą. – Ale nie z tobą, Lewis. – W ciągu najbliższych trzydziestu dni wszystkie twoje problemy zostaną rozwiązane. Czeką cię podróże. Chyba się przeprowadzisz. Może do innego miasta, do innego stanu. Nawet jeśli z braku odpowiednich środków nie dojdzie do podróży albo przeprowadzki, twoje życie stanie się bogatsze.

– O czym ty mówisz, Lewis?

– Stoisz na rozdrożu. – Święta prawda. Tak trzymać, Lewis.

– Będziesz się przemieszczać.

– Samolotem? Widzisz, jak wchodzę na pokład?

– Pojawi się nowy samochód.

– Naprawdę? Z odtwarzaczem płyt kompaktowych? – Czemu nie mówi wprost? Przecież nie prowadzi „Milionerów”.

– Jaki samochód? – pytam.

– Będiesz z niego bardzo zadowolona. Pierwszy marca to dla ciebie szczęśliwy dzień. W ciągu osiemdziesięciu dni, licząc od dziś, otrzymasz wspaniałe nowiny. Przyjdą najpóźniej w czerwcu.

– Dostanę awans? – znowu staram się mu przerwać. Patrzę na stoper. Sześć minut i trzynaście sekund. – A skoro już rozmawiamy, chciałabym wiedzieć, czy wyjdę za mąż? Może Andrew w końcu mnie zechce? Czy Jeremy tęskni? Poznam kogoś innego? Zapomnę o Jeremym? Andrew pójdzie w odstawkę? Czy...

– Czeka cię romans...

– Redaguję książkowe romanse, więc z pewnością będę miała z nimi do czynienia! A co z seksem? Chciałabym znów się bzykać, byle szybko. Czy Andrew jest na moim rozkładzie? Hej, hej, nie nadążasz? Jesteś tam?

– Przed tobą wspaniały romans. Widzę kowboja...

Słucham? Po co mi kowboj? Stoper pokazuje siedem minut. Wiem, że powinnam odłożyć słuchawkę, ale to nie jest odpowiedni moment. Muszę dowiedzieć się więcej.

Pytam o zdrowie (wspaniałe rokowania), o majątek (będę milionerką). Minęło osiem i pół minuty, a ja wciąż zadaję pytania. Trudno. Dziękuję za wyjaśnienia, a Lewis zachęca, żebym zadzwoniła ponownie. Rozumiem intencje. Z moich pieniędzy finansuje naukę swoich dzieciaków. Czego jeszcze chce? Mam im opłacić studia medyczne?

Odkładam słuchawkę ze świadomością, że nie zadałam najważniejszego pytania. Mniejsza o awans i podróż do Europy. Chcę wiedzieć, czy mam

zadatki na wróżkę. Zostałabym drugą Jo–jo. Ludzie by dzwoniли, a ja zgarniałabym kasę. Można płacić kartą Visa.

O drugiej trzydzieści zagłada do mnie Shauna.

– Jesteś zajęta, Jackie? Leanne i ja chciałybyśmy zamienić z tobą kilka słów.

Leanne sprawuje nadzór nad serią „Prawdziwa miłość”.

Muszę podjąć decyzję.

TTLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### *Dość szczęśliwe zakończenie*

Dziś jest pora na szalone namiętności, kwiaty i czekoladki. To dzień romantycznych uniesień. To święto wyrasta z trzech tradycji. Nawiązuje do rzymskich Luperkaliów, podczas których młodzi mężczyźni smagali panny, co miało dobrze wpłynąć na ich płodność. W tradycji chrześcijańskiej czci się dzisiaj dwu świętych męczenników. Każdy z nich miał na imię Walenty.

Wszystkim życzę szczęśliwych walentynek.

– Podać pani orzeszki i coś do picia? – pyta stewardesa.

– Ma pani ciasteczka? – Szczerze mówiąc, nie przepadam za słonymi przekąskami.

– Mogą być z otrębami?

Ohyda. Skoro kupują takie owsiane zlepieńce z otrębami, czemu przy okazji nie zamówią piegusków? Taki drobiazg uszczęśliwi wielu pasażerów. Z wyjątkiem alergików uczulonych na laktozę. Oni wolą ciastka z owsianej mąki posypane otrębami.

– Wszystko jedno. Poproszę kawę.

Przynosi mi ciasteczka, kawę w plastikowym kubku i walentynkowe serduszka z cynamonem.

Pamiętam, że w podstawówce sama robiłam walentynki z czerwonego brystolu (Janie nie chciała uczestniczyć w zмовie producentów kart świątecznych). Wysyłałam je do wszystkich dzieci z mojej klasy. Właściwie... pomijałam kilka osób. W drugiej klasie nie dostał ode mnie walentynki chłopak, który dłubał w nosie, zasłaniając się drugą ręką. Skreśliłam też dziewczynkę, która cuchnęła. Siedziała za mną; od czasu do czasu zdarzały jej się śmierdzące wpadki. Ciekawe, co czuli, obserwując inne dzieci, które liczyły



otrzymane kartki, rozkładając je na pulpitych. Może poczucie zawodu sprawiło, że on trafił później za kratki, a ona usiłowała popełnić samobójstwo?

Te cholerne społeczne rytuały dzielą ludzi na szczęśliwców i pechowców. Mark przyniósł wczoraj tuzin dorodnych róż. Nigdy w życiu nie dostałam na walentynki takiego bukietu. Około dwunastego lutego Jeremy zawsze oświadczał, że nie zamierza popierać rozpasanej komercji.

Palant.

Siedzę pośrodku; w szeregu jest pięć foteli. Po lewej stronie mam dwu trzydziestolatków, którzy wyglądają na ludzi interesu, a po prawej kobietę z córeczką.

Szkoda, że Wendy ruszyła w podróż znacznie wcześniej ode mnie. Ale za to odbierze mnie z Heathrow. W przeciwnym razie nie trafiłabym do naszego hoteliku. Na pewno zgubiłabym się w metrze. Uwielbiam wyobrażać sobie londyńskie metro. Tak! Będę jeździć metrem po Londynie. Spędzimy tam kilka dni, potem zwiedzimy Paryż, ruszymy na południe Francji, stamtąd do Florencji i do Wenecji. Aha, będziemy też w Mediolanie. Tam się znajduje oryginał „Pocałunku”, który muszę koniecznie zobaczyć. Jeszcze pięć godzin lotu. Na szczęście wzięłam dziesięć wydruków. Niektóre z nich ukażą się w serii „Prawdziwa miłość”.

Wykorzystuję cały urlop, ale myślę, że warto. Przecież lecę do Europy!

Chyba podjęłam właściwą decyzję. Helen zgodziła się zostać do mojego powrotu. Uwielbiam ją za to poświęcenie. Sam cieszy się, że mimo wszystko zostanie w Bostonie. Ma w końcu prawdziwą przyjaciółkę, więc nie chce się ze mną rozstawać. Powiedziałam jej, że może się wyprowadzić dwa miesiące wcześniej, bo Iris spędzi u mnie lato i zapłaci połowę czynszu. Kto wie, co się później wydarzy? Może jesienią wyjdę za mąż? Zawsze mam w odwodzie Nat. Liczę na to, że po wakacjach się wprowadzi.

A może to nie będzie konieczne? Kilka miesięcy samotnego bytowania wyszłoby mi chyba na dobre. Awans oznacza niewielką podwyżkę (super!), chociaż trochę się zadłużyłam przed wyjazdem do Europy. Trudno. Po to wymyślono karty kredytowe. Urzędnicy bankowi są przemili. Nie było żadnych problemów z zaciągnięciem kredytu. Za te pieniądze kupiłam bilet. Część kosztów pokryłam gotówką. Trochę się tego uzbierało: świąteczna premia, forsa na terapię. Starczy na smaczne jedzenie i dobre wino. Europa oferuje mnóstwo takich przyjemności.

Dostałam też odszkodowanie. Kolej mi je wypłaciła. Straciłam torbę podróżną, która spłonęła w wagonie bagażowym, więc w kwestionariuszu zrobiłam bilans strat. Niestety, ogień strawił... dwie pary kosztownych skórzanych botków oraz wiele kompaktów: „Immaculate Collection” Madonny, dwupłytkowe albumy „Chicago Greatest Hits”, „Air Supply Greatest Hits” oraz pojedyncze płytki: „Here Come the Hits” (mix funky z lat osiemdziesiątych), „Pretty in Pink” oraz „Spice Girls”. Fatalny zbieg okoliczności.

Tata przestał marudzić, że wyjeżdżam, gdy poszłam na kompromis i obiecałam, że zamiast emigrować za ocean spędzę w Europie zaledwie kilka tygodni. Gdy mu o tym powiedziałam, odetchnął z ulgą. Macosze oznajmiłam, że nadszedł czas (westchnienie), że bym nareszcie (westchnienie) zadbała o swą duchowość i oczyściła się wewnątrz. Zapewniłam, że wyprawa do Europy to najlepsza terapia. Obie z Oprah entuzjastycznie odniosły się do tego pomysłu.

Kilka dni poprzedzających wyjazd to był jeden wielki zamęt. Ostatni wieczór Sam, Nat i ja spędziłyśmy w „Orgazmie”. Niestety, Andrew się tam nie pokazał. Miło jest plotkować z dziewczynami, ale Nat bywa męcząca, więc chętnie od niej odpocznę.

– Jack – zagadnęła niespodziewanie. – Chcesz wiedzieć, czy Jeremy kogoś ma?

Co to za pytanie? Wcale nie mam ochoty słuchać o jego romansach. Powinien cierpieć w samotności. Ale skoro ta sprawa już wypłynęła, musiałam wyciągnąć od Nat, kogo poderwał. To było silniejsze ode mnie. Umarłabym, gdyby mi natychmiast tego nie powiedziała.

– Mniejsza z tym. Nie interesują mnie takie plotki – odparłam nonszalancko.

– Pamiętasz Amber? Przyjaźnimy się.

– Chcesz powiedzieć, że z nią jest?

– Nie przesadzaj. Spotkali się zaledwie kilka razy.

– Przecież Jeremy nienawidzi dentystów!

Po tych rewelacjach czułam niesmak jak po fluoryzacji zębów. To wcale nie oznacza, że źle życzę Jeremy'emu... Szczerze mówiąc, wcale nie chcę, żeby czuł się szczęśliwy. Powinien zamknąć się w swoim mieszkanku i liczyć gumki. Chwileczkę! Takie rachunki to moja specjalność. I tak złagodniałam, bo nie życzę mu już okrutnych cierpień i powolnej śmierci.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Andrew. Dochodziła pierwsza, ale przed wyjazdem musiałam z nim porozmawiać.

– Halo? – Dopiero po trzecim sygnale usłyszałam zaspany głos. Brzmi nieźle. Mam nadzieję, że wydaję się równie seksowna, kiedy jestem taka senna.

– Cześć. To ja.

– Cześć, Jackie.

– Cześć.

– Długo nie dzwoniłaś. Czterdzieści cztery dni, ale kto by liczył?

– Ty również się nie odzywałeś – odparłam. – Telefonuję, żeby pogadać.  
– Nagle przypomniałam sobie pamiętną rozmowę Iris i Kyle'a. – Tak się składa, że jutro lecę do Londynu.

– Naprawdę? Urlop czy delegacja?

– Urlop. Spotkam się tam z Wendy.

– Podobno rzuciła pracę w banku. To był dla mnie szok. Wciąż nie mogę ochłonać.

– Wszyscy tak reagują.

– Naprawdę chce zostać tam na dłużej?

– Tak.

– Mam nadzieję, że znajdzie to, czego szuka... Jack?

– Tak?

– Zadzwoń do mnie po powrocie.

Sam i Mark odwieźli mnie na lotnisko. Wyjechaliśmy z dwudziestominutowym opóźnieniem, bo nie mogłam znaleźć paszportu. Omal nie dostałam ataku hysterii, ale Sam znalazła go pod moim łóżkiem. Nie mam pojęcia, jak się tam znalazł. Przy okazji wyciągnęła stamtąd starą bluzę, obok której leżał zaginiony portfel.

Sam kazała Markowi nieść mój plecak. Zgodził się bez szemrania, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Nie mam pojęcia, jak sobie poradzę, gdy sama będę musiała dźwigać na grzbiecie taki ciężar w czasie naszej włości–

– Co to jest? – zapytał Mark, wskazując białą kopertę leżącą na podłodze pod szparą w drzwiach. Listonosz wrzuca tędy pocztę. – Tu jest twoje imię, Jackie.

Rachunek? List od właściciela lokalu? Wrzuciłam kopertę do torby z wydrukami romansów. Zapakowałam do niej jedną zmianę bielizny, soczewki i całą resztę, szczoteczkę do zębów, bikini, letnią sukienkę, nowe czarne botki,

cudowne sandaalki, które nie pasują do trampa wędrującego z plecakiem, ale dzięki nim czuję się zawsze ładna i seksowna. Pewnie ich nie włożę, bo jest za zimno, ale przyjemnie jest mieć takie чудо.

W końcu wyruszyliśmy na lotnisko dwudrzwiową hondą civic Marka. Przez pół godziny słuchałam cierpliwie, jak Sam, czyli Mali Miś, tłumaczyła Duziemiu Misiowi, co trzeba zmienić w jego mieszkaniu, żeby mogli tam razem zamieszkać.

Ojej, muszę iść do toalety. Kogo zmusić, żeby wstał? Obu panów czy mamę z córką? Nieważne. Za duża kolejka, i tak się teraz nie dopcham. Zacznę czytać „Ukochaną szejka”. Sięgam do torby po maszynopis i pięć wersji okładki, z których mam wybrać najlepszą.

Ten szejk jest super. Czy w Europie można spotkać szejka? Wygląda mi bardziej na Włocha niż na Araba. Ach, ta włoska uroda! O Boże! Wykapany Lorenzo. Ależ to Lorenzo we własnej osobie! O kurczę, on jest aktorem. Raczej fotomodelem. Teraz wiem, skąd znałam jego twarz. Jest na okładkach wielu naszych książek. Powinien zadbać o zęby. Chyba umówię go z Amber.

Wyjmuję z torby gumę do żucia, bo szumi mi w uszach. Zaraz, zaraz, co tu mamy? Wyciągam białą kopertę. Jaka gruba. Czy londyńscy celnicy mogą się do mnie przyczepić, jeśli odkryją, że przemyciłam na pokład samolotu przesyłkę niewiadomego pochodzenia? Może zostanę uznana za terrorystkę?

Otwieram kopertę. W środku jest zwykła walentynka. Obrazek przedstawia wielką truskawkę. Wewnątrz jest hasło: Słodka Walentynka. Pod spodem kilka słów napisanych niebieskim atramentem:

„Czy już minął rok? Nie siedź tam za długo, kochanie. Andrew”.

W kopercie jest torebka starannie zapakowanych porzeczek. To dlatego koperta była taka wypchana.

Andrew mówi o mnie: kochanie? Do wszystkich tak się zwraca, a może celowo użył tego słowa? Pyta, czy minął rok. Chce się ze mną umówić? Sugeruje, że musimy pogadać? Słodka Walentynka. Jakie to urocze! Miło z jego strony, że przyjechał aż z Cambridge, żeby wrzucić tę kartkę! Ale największą radość sprawiły mi porzeczeki. Zapamiętał, że je bardzo lubię.

Może to zwykła uprzejmość? Lubi mnie czy mu na mnie zależy? Nie napisał „moja droga” tylko „kochanie”.

Dość. Nie trzeba gubić się w domysłach. Nie zmarnuję trzech najwspanialszych tygodni w historii piękniejszej połowy ludzkości na jałowe dociekania. Powinnam skupić się na jednym celu, żeby mi nie umknął żaden seksowny Lorenzo. (A skoro już mowa o taekwondo, mistrz NanChu powiedział, że jestem prawie gotowa do egzaminu na żółty pas. Tak! Zostało tylko siedemnaście treningów). Ciekawe, czy w Notting Hill poznam brytyjskiego księgarza. Nie wykluczam przypadkowego spotkania z arystokratą. Ile lat ma teraz księżę William? Starsza, doświadczona kobieta mogłaby go wiele nauczyć. Zresztą wystarczy mi hrabia. Hrabina Jackie. Hrabina Jacklyn. Lady Fren Jacklyn z Back Bay. Czy szejkwowie odwiedzają Londyn?

– Z okazji dzisiejszego święta pokażemy „Bezsensowność w Seattle” oraz „Kiedy Harry spotkał Sally” – dowiaduję się z głośnika. Super!

– Co to za święto? – pyta swego kolegę przedsiębiorca siedzący obok mnie.

Cieszę się z tych porzeczek. Znaczący upominek. Gdyby Andrew wołał, żebyśmy pozostali tylko przyjaciółmi, wysłałby samą walentynkę, prawda?